

PIOTR GŁUCHOWSKI

Zniknięcie Prezesa



PIOTR GŁUCHOWSKI

Zniknięcie Prezesa



ZNAK HORYZONT

KRAKÓW 2020

CZĘŚĆ I

DoCHodzENIE



1. Rozdział, w którym kończy się dzień i od razu poznajemy porywacza

Nie jest prawdą, że Eskimosi mają czterysta słów na określenie śniegu. Jest ich łącznie kilkadziesiąt na określenie wszelkich form ze śniegiem związanych, takich jak: zamieć, śnieżka, śnieg pokryty lodem czy zaspą. Kierujący starym autem czterdziestolatek w grubych okularach może wiele z tych słów wymienić, ponieważ od małego zapamiętuje tysiące niekoniecznie użytecznych faktów, definicji, anegdot, nazw i szczegółów (pamięta na przykład, że w języku, którym mówią rdzenni mieszkańcy Alaski, śnieg wirujący teraz przed maską nazywa się *qanik*).

Archaiczny wyświetlacz pokazuje minus dwa stopnie w lesie i dwadzieścia w podskakującej na korzeniach kabinie patrola. Noc jeszcze nie zapadła, ale to już nie dzień. Powietrze ma kolor najtańszego papieru toaletowego, jest mglisto, śnieg raz ledwo prószy, a raz sypie tak, że trudno dojrzeć, gdzie grunt, a gdzie przestrzeń. Zima we wrzeźniu. Pewna klimatolożka z Uniwersytetu Warszawskiego, której imię i nazwisko kierowca oczywiście też pamięta, ogłosiła, że w Polsce utrwałą się dwie pory roku: długie i suche lato oraz sześćdziesiąt dni zimy z jednym miesiącem mroźnym, a drugim deszczowym. Na razie się sprawdza.

– Po prostu jedź do najbliższej szosy i poddaj się policji. – Pasażer z tylnego siedzenia wciąż ma ten ton emerytowanego belfra besserwissera, jakim odpowiadał dzisiaj na oskarżenie, jakim przemawia w radiu i z telewizora. Resztki dziennego światła kładą się na twarzy, którą zna każdy Polak (szofer oczywiście pamięta i liczby: dziewięćdziesiąt osiem i pół procent rozpoznających tę buzię w ankiecie z połowy grudnia zeszłego roku wykonanej na próbie dwóch tysięcy dwustu dorosłych obywateli). Ciekawe byłoby zbadanie tej grupki, która go nie kojarzy. Kim oni są? Mnichami z ostatnich klasztorów? Debilami, których trzeba pilnować, by nie zjadali własnych ekskrementów? A może to ci nagrzeni chemiczną śliwownicą, którzy proszą na Centralnym o drobne?

– Nadal masz szansę nie zmarnować życia.

– Nie mam żadnej szansy.

– Będę za tobą świadczył. Bądź co bądź mnie uratowałeś. Pójdiesz na współpracę, dostaniesz średni wyrok, wyjdiesz przedterminowo. Mówię ci jako prawnik...

– Z twoim doświadczeniem powinieneś już wiedzieć, że przewidywanie jest trudne. Szczególnie przewidywanie przyszłości. Niczego nie dostanę i ni-nigdzie nie wyjdę.

– Ja nie chcę twojej głowy. Chcę wiedzieć, kto jej kazał, tej dzikiej dziewczynie...

– Z-za-zamknij już klapę, dobrze?! – Kierowca odwraca do pasażera wychudzoną twarz. Jest teraz podobny zarazem do Nicka Cave'a i do Michela Houellebecqa, mógłby doskonale wyrażać na scenie wszelkie formy rozczarowania. Diody z kokpitu mnożą się na krawędziach jego okularów. – Wszystko w-wy-wytłumaczyłeś...

– ...nie powiesz chyba: przed sądem? Nie kpij sobie, synu. Nawet nie wiesz, kto wami sterował, a miałem cię za mądrzejszego od tamtych

obojga. Jeszcze masz możliwości wyjścia... póki nie zaszło nic nieodwracalnego... – Pasażer akcentuje ostatnie słowo i gwałtownie przerywa, bo najpierw słycać miękki huk z plaśnięciem, jakby ktoś uderzeniem pięści rozwalił karton mleka, a potem wóz przewala się po czymś, co żyje.

Szofer odruchowo wciska hamulec i sprzęgło, zajmuje to może pół sekundy. Przeniesienie wzroku z pasażera na przecinkę – mniej więcej tyle samo. Firana spadających płatków, dalej pusty dukt. Ktoś lub coś, co przejechał, został, zostało, z tyłu. Coś nieodwracalnego, być może, właśnie zaszło.

Tor hamowania na piachu pokrytym świeżym śniegiem (w języku Saamów – *vahca*) wynosi osiem metrów, chociaż hankle są sprawne i nie jechali szybko. Przedmioty w wozie – plecak kierowcy, silikonowy bidon z wodą perła, w której rozpuścił wszystkie uśmierzacze bólu, policyjna latarka i zdobyczny glock luger – całe to zbiorowisko na chwilę zawisło w powietrzu, po czym każdy z gratów uderzył z impetem w odpowiednie miejsce wskazane prawami fizyki. Pasażer odcisnął swą słynną twarz na oparciu przedniego fotela. Teraz trzyma się za policzek i stęka. Diesel pod maską pierdzi, wyświetlacz pokazuje osiemnastą dwadzieścia, suchy las szybko stygnie, wszystkie skryte w poszyciu istoty zakopują się głębiej. Szofer potrzebuje jeszcze pół sekundy, aby załapać, w czym rzecz. Wrzuca wsteczny, otwiera swoje okno, przeciera kantem dłoni zmrożoną szybę lewego lusterka, zaczyna ostrożnie cofać. Od śniegu odcina się szarosiny kształt. Może dzik. Chory na ASF. I tak skazany na kitę.

Pasażer coś mówi, przez otwartą szybę wpada mróz, ból w żołądku kierowcy się pręży jak wąż połknięty przez mangustę. Ciemny kształt na ośnieżonym dukcie drży, żyje, lecz nie jest z nim dobrze. Nawet w tym nędznym świetle widać krew na śniegu.

Z korony wysokiej wierzby scenę obserwuje ktoś jeszcze, coś jeszcze.

2. Rozdział, który dzieje się wcześniej i w którym sierżant Służący dzwoni pod zły numer

Minęła szesnasta, jest 29 września. Tym, którzy dołączyli do nas dopiero teraz, przypominamy, że dziś imieniny obchodzą Franciszek, Rafał i Mikołaj. Słuchacie wiadomości Polskiego Radia Plus. W Rzymie aura jest równie słoneczna jak w Warszawie. Prezydent Rzeczypospolitej, marszałek Senatu i minister obrony narodowej dołączyli właśnie na placu Świętego Piotra do grona osiemdziesięciu pięciu głów państw i szefów parlamentów przybyłych, by wziąć udział w uroczystościach kanonizacyjnych błogosławionego męczennika Kościoła, księdza Jerzego Popiełuszki. Bezpośrednią relację z Watykanu rozpoczniemy przed godziną siedemnastą...

Pułkownik ABW Marian Murzyński ścisza radio i uchyla drzwi od służbowego dodge'a. Wystawia nogę na zewnątrz, by się nie zatrzasnęły. Pochłaniając dym z papierosa, obserwuje sierżanta Służącego, który w popołudniowym słońcu lezie po skosie leśnego wzniesienia w tym samym tempie, jak myśli, czyli bardzo wolno. Trzyma przed sobą pobraną wczoraj z magazynu komórkę, jakby filmował nią teren. Szuka lepszego zasięgu.

Wysyłanie obserwatorów Komisji Europejskiej do kontroli zbliżających się wyborów parlamentarnych jest bezsensownym mieszaniem się w wewnętrzne sprawy naszej ojczyzny – mówił dziś na Podlasiu lider Zwycięskiej Prawicy, który wziął udział w uroczystości nadania szkole podstawowej w Podśmiardowie imienia profesora doktora habilitowanego ministra Jana Szyszki. Przybycie obserwatorów nazwał akcją arcyzbędną...

Już podczas rekonesansu zorientowali się, że zasięg jest tym lepszy, im bliżej szczytu skarpy i starego młyna. Ale celowo zaparkowali oba auta niżej – na skraju boru, za szpalerem brzoź, między jałowcami. Jediną drogę wiodącą do budynku i obumarłej strugi widać stąd doskonale, a nadjeżdżający nie ma szans zobaczyć, kto się czai w cieniu. W radiu przemawia Prezes:

...to nasz rząd wprowadził przepisy o przejrzystych urnach, kamery przy przeliczaniu kart do głosowania i program wsparcia wyborców z mniejszych miejscowości. Nie będziemy blokować obserwatorom dostępu, aby nie dawać asumptu i – mówiąc kolokwialnie – nie podbijać bębenka naszym przeciwnikom...

Stefan Służący przykłada telefon do ucha.

Jarosław Kaczyński wyraził przekonanie, że pięć milionów euro przeznaczonych na operację obserwacyjną w Polsce przydałoby się raczej dla rozwiązania kryzysu humanitarnego w Mołdawii. Tymczasem pierwsze grupy obserwatorów wylądowały już na lotniskach w Gdańsku i Warszawie. Przechodzimy do Podśmiardowa, gdzie mszę świętą w sanktuarium Najświętszej Marii Panny Po Trzykroć Przedziwnej koncelebrował ksiądz prymas Lucjan Maria Lepki. Uroczystości dobiegły końca przed godziną...

Na drodze nadal pusto – jej widoczny fragment wygląda, jakby ktoś przejechał po pejzażu palcem umaczanym w farbie. Dopóki świeciło słońce, była to farba żółta, ale przed chwilą nadciągnęły zbite, ciemne

chmury i barwę żółtą zalała ciemnoołowiana. Już, w dupę, pięć po czwartej. Coś powinni mówić.

Przerywamy wiadomości. Jak podał przed chwilą portal Nasze Podlasie, około godziny piętnastej trzydzieści w miejscowości Kluchy Mazurskie doszło do incydentu drogowego z udziałem samochodu prezesa-wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego... Mamy informację o zderzeniu z przewróconym drzewem i o poszkodowanym mężczyźnie, którego znaleziono na szosie. Na razie nie wiemy, czy tą osobą jest lider Zwycięskiej Prawicy, gromadzimy szczegóły. Będziemy państwa informować na bieżąco.

Plutonowa Krótka wysiada z drugiego wozu. Podchodzi, uchyla drzwi, wsiada, w ręce ma papierowy kubek z kawą. Naturalnie wzięła rachunek, by podpiąć go do delegacji.

– Słyszysz pułkownik wiadomości? Już dają...

– Za dwadzieścia minut tu będą. – Oficer charka i spluwa na peta. Sierżant Służący wraca truchtem jamnika w dół zbocza.

– Żeśmy zabrali ciuchy jak na lato, a się zima robi. – Krótka poprawia kaburę. Zdejmuje bejsbolówkę, ściąga z nadgarstka frotkę, zbiera blond włosy w kité, nakłada czapkę z powrotem. Murzyński kiwa głową: – Tu zawsze jest zimniej niż w Warszawie, chociaż niby blisko. Zobacz tylko, jak wieje.

Korony sosen nad młynem gną się w gwałtownych podmuchach. Sierżant staje przy nadkolu. Ma minę, jakby popuścił i wstydził się przyznać.

– Jaja mi się skurczyły do rozmiaru groszków... i coś nie gra z numerem.

– Co?!

– Odezwał się jakiś kapiszon. Pytał mnie, z kim mówi. Rozłączyłem, od razu oddzwonił. Chciał z jakimś Marcinem.

– Co ty pierdolisz?

– Rozłączyłem się znowu. Myśli pułkownik, że może przez słaby zasięg źle łączy?

– Niemożliwe. Spisałeś drugi numer z wierzchu, tak?

– Na ekranie był jeden. – Studwudziestokilowy podwładny robi pół kroku w tył i pół w przód. Pod ciężkimi wojskowymi butami trzaskają suche szyszki.

– Pokaż...

Służący podaje komórkę.

– Dzwoniłeś z końcówką dwanaście?

– Tak mi pułkownik podał.

Murzyński gwałtownie syczy. Uderza w kierownicę. Znow syczy – teraz dlatego, że o mało nie wywichnął dłoni.

– Kurrr...wa! To jest jej numer. JEJ!!

– Pułkownik dał... – Podoficer cofa się dwa kroki, choć odgradzają go od szefa półotwarte drzwi.

– Do generała masz z końcówką dwa zero. Wsiadł!

Skarcony obchodzi auto łukiem, posłusznie gramoli się na tylną kanapę. Musi przesunąć kaski z kamerami, strzelbę „pompkę” i kuloodporne kamizele z nadrukiem abwery. Gdy zajmuje miejsce, podłoga samochodu wyraźnie osiada. W radiu arcybiskup dwojga imion Lepki mówi o obronie przed szwadronami śmierci i o łapie diabła, co sięga po dzieci.

Pan Jezus krótko powiedział: „Lecz kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą we Mnie, temu byłoby lepiej kamień młyński zawiesić u szyi i utopić go w głębi morza”. Pan Jezus pokazuje potworne zło, które czynią dziś w Polsce lewicowi, wędrowni

gwałciciele dzieci. Pan Jezus mówił, że Antychryst będzie rządził przed końcem i jesteśmy już wszyscy bardzo blisko tego...

– Niemożliwe, by tajny numer jakiś korek odebrał. – Stefan Służący wzrusza ramionami. Kiedy unosi brwi, przypomina wielkiego bobasa z alkoholowym zespołem płodowym.

– Wszystko jest możliwe! – Murzyński sięga do schowka. Przesuwa lufę glauberyta, grzebie wśród zapasowych kajdanek, magazynków i pudeł z nabojami. Wyciąga sprężynowca. Rozbiera telefon sierżanta, jakby otwierał małża. Obudowa pęka, on wydłubuje baterię, a kartę SIM przełamuje dwoma kciukami na ostrzu. Podaje ułamki Służącemu:

– Zeżryj!

Sierżant potulnie kładzie plastik na języku, głośno łyka, krztusi się, zasłania dłonią usta. Nad wargą błyska smark, balerony ramion podskakują, czoło mu czerwienieje. Krótka bez słowa podaje mu kubek z kawą. Służący pije, jeszcze charczy, lecz przełyk już działa. Przeciera nos rękawem chińskiej kurtki. Mela, krople kawy i gile jedynie się rozmazują.

Plutonowa, zaraz po tym, gdy ją przenieśli z cebosiu do Agencji i nadali jej wojskowy stopień, usłyszała o frędzlu kilka ciekawych plotek. Zalicza Cyganki przy końcówce alei Krakowskiej, bije podejrzanych, a jego ulubioną rozrywką, oprócz podziwiania pornoamateerek w serwisach dla dorosłych, jest gra na automatach.

– Nie dzwoniłeś, z nikim się nie łączyłeś. – Murzyński jest już spokojniejszy. Choć nadużywa alkoholu, słów, których nie rozumie, i władzy, to jednak w prostych kwestiach radzi sobie szybko. Wie, że nie powinien wysyłać cymbała, tylko sam zadzwonić, ale nie chciało mu się latać za zasięgiem, bo boli go kolano. Na zmianę pogody.

– Telefon, wczoraj pobrany, uległ, uważaj, przypadkowemu zniszczeniu podczas działań operacyjnych w terenie. Zalaniu uległ. Powtórz!

– Telefon uległ zalaniu. Nigdzie nie dzwoniłem. Zresztą nie mamy zasięgu.

– Ja nie mam ani jednej kreski. – Krótka wyjęła huaweia, pstryka w rant, odebrana od sierżanta resztę kawy wylewa za drzwi. I tak smakowała grochówką.

– Sam zadzwonię. – Pułkownik zerka we własny telefon. Też nie ma kresek. Jest dziesięć po czwartej. Odległość między Kluchami Mazurskimi a nieczynnym młynem to trzydzieści pięć kilometrów w linii prostej i ponad czterdzieści faktycznie. Ćmy mogą się pojawić przy świecy lada chwila.

Wysiada. Wchodząc na wzniesienie, obserwuje na przemian ekran komórki i drogę. Pruski budynek oznaczony na mapie jako Pupy Młyn służył najwidoczniej za melinę jakimś obrzępałom, bo jedna część jest czarna i spalona, a od strony drogi na ceglach bieleje graffiti. „Zawiśnie w lesie ten, kto doniesie”.

Zapala papierosa z paczki ozdobionej zgniłymi płucami, kaszle, jakby go dusił chiński wirus, pluje, potem dzwoni. Słońca już nie ma, temperatura zjeżdża niczym urwana winda. I ciągle wściekle wieje. W samochodzie sierżant Służący mówi cicho do Krótkiej:

– Przecież sam dał mi ten numer. Kazał spisać z ekranu. Jak fasowaliśmy sprzęt. Gdyby mi przesłał, nie byłoby tego... ale on nigdy nie umiał przesłać kontaktów.

– Cyfrowo, bumers, wykluczony. – Krótka wsunęła dłoń pod żółty blezer, drapie się w obojczyk. – Wczoraj przez pół godziny nie umiał zrozumieć, jak się spina kamerę na kasku z komórką. Trep to zawsze trep. Coś mnie chyba ugryzło. Myślisz, że tu są kleszcze?

– Dał mi ten numer sam, mówię ci. Frędzel przypadkowy odebrał, potem z Marcinem jakimś chciał. Zwyczajna pomyłka. Zresztą nasze numery się nie wyświetlają. Kleszcz nigdy z początku nie śwędzi.

– A jednak ci tamten oddzwonił... Może to jakiś pajak jadowity. Oddzwonił, mówię.

Stefan Służący potrzebuje minuty, żeby tę uwagę przyswoić i przetrawić.

Kończymy prognozą pogody. Zimny front atmosferyczny, czoło ukształtowanego nad Estonią niżu Karina, nadciągnął już nad północno-wschodnie województwa, przynosząc ochłodzenie. Niżowi towarzyszą podmuchy wiatru miejscami dochodzące do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Możliwe opady śniegu w pasie od Suwałk po Szczytno, na Bałtyku – sztorm...

– Chuj im wyszedł z globalnego ocieplenia, lewakom. – Sierżant dłubie w uchu i mruczy: – Murzyn mówił, że połączenia nie było. Że nie ma o czym gadać. A pajaki jadowite żyją w Amazonce.

– To nie gadaj. Mówi się: w Amazonii. I mógłbyś tu nie pierdzieć.

– Jakby co, tylko rozkazy wykonywałem.

– Ja też.

3. Średniej długości rozdział, podczas którego pogoń za porywaczem jest całkiem blisko

Kierowca już widzi, że na drodze leży młody łoś. Wysprzęgła, silnika ani świateł nie gasi, podnosi ze zużytej wykładziny glocka, przekłada do lewej ręki, wysiada, ignorując przykutego z tyłu. Gdy tylko się prostuje, czuje na sobie jej wzrok. Siedzi na gałęzi – wielka, długowłosa. Jest ciężka i gałąź musi się pod nią uginać. Nie wydaje dźwięków, nie rusza się, czeka. Jedno z jej wielu imion – cierpliwość. („Jeśli trwamy w cierpliwości, wspólnie z Nim też królować będziemy”. List do Tymoteusza albo coś w ten deseń). Zwierzę leży na boku, poroże sterczy jak rozczapierzone dłonie proszące o pomoc. Ostra woń uwolnionych w spazmie odchodów daje się wyczuć mimo swędu spalin. Biedaczysko rusza kopytami, może mu się zdaje, że jeszcze ucieka. Łypie skierowanym w górę okiem, na rogówkę spadają gwiazdki. (W 1611 roku astronom Kepler napisał krótką rozprawę *Noworoczny podarek albo o sześciokątnych płatkach śniegu* – szukał w niej odpowiedzi: dlaczego nie ma egzemplarzy o trzech czy pięciu ramionach. Rozwiązanie przyniósł dopiero wiek dwudziesty i można je sobie łatwo wygooglować). Szofer klęka na jedno kolano, odblokowuje pistolet, wygina nadgarstek, ustawia lufę pionowo i dwukrotnie strzela w punkt pomiędzy mózgiem a okiem. Ruch kopyt

ustaje, lecz śnieżynki wciąż się topią w onyksie źrenicy. Na powiece siada wyziębiona mucha. (Bim-bom. Im bardziej Puchatek starał się nie myśleć o śmierci, tym więcej jej wokół było. Ale ty nie myśl już, Szymek, o różowym słoniu. Nie myśl o czarnej małpie. Ani o rezurekcji. Nikt nigdy nie wrócił z za finałowej bramy. Ten zwierzak już nie wstanie. Łazarz też nie żyje. Leży w Larnace na Cyprze. Śmierć górą. Najlepiej przyjmij, że cię dzisiaj zastrzeli policja, i luj. Dołączysz do Szczęsnego, Millera i Swata. Będziesz opozycyjnym męczennikiem, a nie kolejnym chorym, co odwalił kitę na korytarzu w szpitalu).

Odrywa kolano od ziemi. Liście przykleiły się do policyjnych spodni, które mu spadają, choć zaciągnął pasek na ostatnią dziurę. Znow puchnie mu szyja, ślinianki produkują wilgoć, jak przed wymiotami. Zaraz się zaczną dreszcze i kij wie, co jeszcze. Haluny. Na przykład ten rumor śmigłowca. Fakt czy ułuda? Jeżeli nawet szukają z powietrza, są jeszcze daleko. Zresztą główny w tym śniegu zobaczą – już prędzej po zmroku, z lampami. Na razie trzeba zrobić pięć kroków i się nie przewrócić.

Warkot helikoptera – albo omam – niknie. Kierowca opada na fotel, zatrzaskuje drzwi. Obraca się do pasażera, przystawia mu lufę do czoła. Nadal lekko ciepła.

– Ja-ak myślałeś, że nie potrafię strzelić, że zrobiliśmy sobie jakieś jaja, to się, kurwa, myliłeś. Pierwsza kula cię o-ominęła, ale jest ich czternaście. Aż za dużo.

– Złapią cię. Już jesteś otoczony. Nie pogarszaj sprawy.

Sprzęgło, pierwszy bieg, w przód. Za oknami mrok. Dwudziestego dziewiątego września słońce we wschodniej Polsce zachodzi o osiemnastej dwanaście. A więc pewnie zaszło, bo jeszcze kwadrans temu firmament był bielszy od gruntu; potem wszystko się zlało, teraz dukt jest jaśniejszy niż

niebo. Tyle że nie wszędzie – tu i ówdzie śnieg nie może się utrzymać, bo ziemia wciąż ciepła. Właśnie mijają skrzyżowanie z bezśnieżną przecinką.

– Skończ to. Ja potrzebuję lekarstw. Jeszcze nie jest za późno.

– Pierdolę sł-o-o-wo „jeszcze”, wiesz? Jeszcze chodzę i szczam. Jeszcze nie jest n-na-najgorzej. Jeszcze mamy internet. Paszporty mamy. Żaba w ga-garnku już postawionym na gazie jeszcze może popływać. Ja też potrzebuję lekarstw. Wszystkie są w tej butelce...

Kierowca luzuje kapsel bidonu i pije. Najlepsze w jego autorskim eliksirze jest to, że działa praktycznie od razu. I wielotorowo. Uśmierza ból, podnosi nastrój lepiej niż alkohol i marihuana; zmysłów może i nie wyostrza, ale pozwala odebrać wszystko bardziej... hmm... holistycznie. Podobnie jak jad żaby, który poniekąd odmienił mu życie. Po kilku łykach wszelkie powierzchnie – siwego nieba, zaśnieżonego piachu, sztucznej skóry w kokpicie – działają na różne zmysły. Nie tyle wzrok, ile sam umysł przenika przez ich fakturę, wwierca się między warstwy, wystarczy trochę skupienia, by poczuć molekuły. Czas również staje się materialny. Można się łatwo zatrzymać pomiędzy chwilami jak między pniami drzew. I tylko jedno nie może się udać. Ucieczka przed zakończeniem. Ale mogło być gorzej. W Szpitalu Bródnowskim leżał obok kolesia, który ledwo przeżył wirusa z Wchujtam, i po co? Po to, by się dowiedzieć, że ma, biedak, raka. Pół nocy grzebał sobie w zębach pękniętą kartą Biedronki, a drugie pół bezskutecznie próbował zbić konia, by nad ranem wywalić, nie wydając dźwięku. Wcześniej rozmawiali o śmierci – jakie przybiera formy. Figo, z zawodu złotnik, mówił o szkieletach z kosami i czarnoskrzydłych aniołach z obrazów Malczewskiego. Sztorm nie mówił o małpie, by typa nie straszyć. Pozwolił mu wierzyć do końca, że przyjdzie doń anioł. Prezes też pewnie w to wierzy. Ostatnimi laty odmienia wiarę i Kościół przez wszystkie przypadki. Klasyczna dewocja starcza. Teraz nie może przeboleć,

rupieć jeden, że go, jak powtarza, „poniżyli tym durnym pseudotrybunałem”.

– ...to był monolog wariatki. Do analizy psychiatrów. Sama to napisała?

– Twoja nie-e-edoszła zabójczyni? Wydaje mi się, że wespół z naszym trzecim kolegą, ja jej kilka wątków tylko podrzuciłem. Ale mogli być jeszcze jacyś inni autorzy. Się przecież przekonałeś, że wszystkiego nie wiem. Gdybym ja to napisał, ująłbym i krócej, i dużo dosadniej. Darowałbym sobie przeszłość, wasze minione świństwa, sku-ku-piłbym się na tutaj i teraz. Unikałbym nowomowy: destrukcja, inwigilacja... jesteście kurwy... i starczy. Fundujecie narodowy socjalizm...

– Bredzisz. Zostaliście wykorzystani i chyba wiem nawet, kto was wykorzystał.

– Twoi wrogowie w partii?

– Odwieczni wrogowie Polski, i to nie jest przenośnia. Nie mam na myśli Hyclowej, ta cała ich opozycja to dokładnie zero...

– Tu się akurat zgadzamy.

– Wszystko, co głoszą, jest kłamstwem.

– Powiedzmy, że p-pra-prawie wszystko.

– Jesteście samobójcami?

– Odpowiem ci tylko za siebie. Nie mogłem już dalej wytrzymać małej stabilizacji. Każdy ma swą chatę z kraja. Jak żeśmy się pozamykali przez koronawirusa, tak to trwa do teraz. Przyszli po demonstrantów, ja nie protestowałem, nie by-byłem demonstrantem. Przyszli po świętokradców...

– Ach, przestań, bo się popłaczę! Po kogo niby przyszliśmy?! Gdzie te obozy pracy, gdzie nowa Bereza Kartuska? Przecież to wszystko, co ona czytała, ten cały akt oskarżenia, to was zupełnie kompromituje... Mogliście do mnie przyjechać, do siedziby partii, zaprosiłbym telewizję i byście sobie

czytali spokojnie te wasze zarzuty, a moja sekretarka by na nie odpowiedziała. Nic to niewarte. Nie zmieniacie kompletnie niczego prócz swojego losu. Na gorsze.

– *Działa Navarony*, pamiętasz?

– Małe pęknięcie w tamie i dalekosiężne skutki. Metafora zupełnie nietrafna. Niczego nie tamujemy. To nasi poprzednicy tłamsili, a my uwalniamy. Ludzką energię, kreatywność, zapal...

– Szczególnie zapal tych za-a-paleńców, co w Łodzi geja spalili. Teraz ty byś już przestał. – Kierowca wpycha palce pod okulary i przeciera oczy. W szpitalu praktycznie nie spał, dwie noce majaczył. Kiedy był przytomniejszy, z pomocą telefonu wymieniał mądrości z Waletem i Madonną99, potem myślał o Irlandczykach, o Baskach, porwaniach samolotów, o Czeczenach w teatrze, w Kizlarze i w Budionnowsku. We śnie na jawie raz widział siebie, jak spada z wysokości (czyli klasyka gatunku), a raz, jak brodzi w mulistym dnie rzeki. Woda nie jest głęboka, ale grunt go pochłania, za cholerę nie może się odbić, a płynąć też nie może, bo dźwiga jakiś balast. Powinien ten ciężar zrzucić, on nie należy do niego, lecz jakoś dziwnie nie może... wiadomo, jak to w majakach. Zawsze jest jakieś tonięcie, spadanie, szukanie czegoś bez skutku, jakaś dusząca odpowiedzialność, stale jakiś niestyk.

– Patrz, już po ciebie jadą!

Robaczek świętojański błyska w tunelu dukt... raz, drugi i trzeci. Za każdym razem mocniej (światliki samice, czyli te, co błyszczą, wbrew powszechnemu przekonaniu w ogóle nie latają, bo nie mają skrzydeł. To brzydkie drapieźniki, które jedzą ślimaki i inne małe gówna. Żaden nie zaświeci we wrześniu i na mrozie).

Sztorm gasi światła auta. Prezes pochyla się do przodu na tyle, na ile pozwala łańcuch od kajdanek. Błyski są już wyraźne.

– Przynajmniej mnie rozkuj. Wyjdę pierwszy i powiem, żeby nie strzelali. Tyle mogę dla ciebie zrobić za to, że miałeś refleks. Że jednak jesteś człowiekiem.

4. Rozdział, w którym trwa jeszcze ciepły dzień, a prosta operacja zaczyna się komplikować

Jak to nic? W wiadomościach już wszystkich podają. Zaraz kurwicy dostanę.

– Trzeba było ustawić się w Kluchach i za nimi jechać. Może się rozwalili w drodze. Śnieg pada, pełna pizda tutaj.

– A ona?

– By zadzwoniła, gdyby tylko mogła. Przecież wie, że czekamy. Widocznie jest na spalonym.

– Weź mi nawet tak nie mów. Krótką wysłałeś?

– Półtorej godziny już ponad czekamy.

– Mam, zegarek! – Szef ABW i zarazem wiceprzewodniczący Wspólnego Komitetu Kontroli, generał Tamir Tajner, zerka na gruenta i widzi siedemnastą dwadzieścia. Jego limuzyna przecina z migalką zakorkowany plac Na Rozdrożu, szofer ciśnie, ale kierowcy na dwóch pasach niechętnie się rozjeżdżają. Słońce nad Warszawą zdaje się już martwe, to podobno ostatni dzień faktycznego lata, szofer jakiegoś autobusu tak dopieprza kopciem, że czuć go przez klimę.

– Pytam, czy Krótką wysłałeś?

– Generał mi powie, że mamy plan B, to się lepiej poczuję. – Murzyński stoi na wzniesieniu w równej odległości od młyna i wozu, w którym zostawił sierżanta, co nie potrafi ogarnąć dwóch prostych numerów. Już zaśnieżony pas drogi widzi ze skarpy dokładnie, służbowy samochód – ledwo, bo chmury są tak gęste, że wszystko rozmywa się w brudach – jak ich operacja.

– Krótką czy wysłałeś? – Tajner powtarza pytanie.

– Więc planu B nie mamy?

Nie dość, że pułkownik unika odpowiedzi, a jego słowa są ledwo zrozumiałe z powodu szyfrowania i złego zasięgu, to jeszcze wdziera się w rozmowę jakieś popierdywanie.

– Co to za hałasy?

– Śmigłowiec, generał poczeka...

Nadlatuje od zachodu, pod niską podstawą chmur, ryczy, jakby mu się coś tam w środku obrywało. Murzyński opiera plecy o kostropaty pień sosny, kaszle, odcharkuje i czeka. Kora zdaje się jeszcze trzymać odrobinę ciepła. Przemarzał, choć większość z ostatnich dwóch godzin spędził w samochodzie. Helikopter zawisa nad młynem. Jeżeli uruchomili termowizję, wóz z sierżantem Służącym w środku wyskoczy im na monitorze jak pryszcz na kutasie. A mają jeszcze inne zabawki. To nowa es-siedemdziesiątka, maszyna zdolna do lotów na przyrządach. Pani premier Pacyna osobiście przekazała dwie sztuki komendantowi podlaskiej policji. Pułkownik, zanim zaproponowali mu etat w abwerze, służył w komponencie lotniczym i należał do pierwszego pokolenia tak zwanych powerpointów. Mówił coś po angielsku, potrafił obsłużyć peceta. I choć na tej zdolności się zatrzymał, to i tak – gdyby został w armii – byłby już generałem brygady. Jednak ponieważ pewien cwel najpierw okradał jednostkę, a potem zechciał się zastrzelić akurat na jego zmianie,

Murzyński musiał przyjąć kopa w bok – wyrzuciło go aż do archiwum. Wyczołgał się z tego syfu nie bez pomocy generała Tajnera i jeśli dzisiejsza operacja jakimś cudem wypali, dawne winy pójdą w niepamięć. Zostanie szefem, a Tamir weźmie ministerstwo. Może nawet Naczelnik mianuje go premierem zamiast tej pizdy Pacyny.

Black hawk odlatuje. Albo nie włączyli termokamery, albo się skupili wyłącznie na młynie.

– Już jestem!

– Wysłałeś Krótką? Dziesiąty raz pytam...

– Tak. Prawie dojechała do Kluchów. Dzwoniła, że burdel, wszyscy skaczą jak pchły po patelni. Graniczni, drogówka, żandarmi... jeden drugiego zatrzymuje na kontrol. Trzy razy ją trzepali, dlatego jeszcze jedzie. Tu dziesięć minut temu podjechał opel z anteną, warszawski numer, w środku chamy z wojskowym osprzętem. Moim zdaniem ceboś. Zaglądali do młyna... Ci z helikoptera najbardziej zasraną polankę filują. Wyjadę spod drzew i nas capną. Jeszcze, kurwa, bekniemy.

– Nikt nie beknie, nie bój.

– To czemu ich nie ma?

– Może im auto padło, może idą pieszo, unikają patroli...

– Pieszoz?! Z Prezesem o lasce?! Niemożliwe. Coś gorszego musi...

– Gdzie twoje legendarne nerwy? – Limuzyna Tajnera nareszcie przyspiesza. – Zaraz się wszystko wyjaśni. Za pięć minut mam sztab kryzysowy, za cztery.

– Może tamci coś wiedzą... – Pułkownik przerywa. Znowu rumor śmigłowca. – Generał poczeka, bo menda nawraca.

Tajner wykorzystuje chwilę, by przejrzeć witryny, również antypolskie. Hasło „incydent na drodze” szybko ustąpiło określeniu „chwilowo zaginął”. Teraz pojawiła się „napaść”. Na razie żadnych szczegółów.

Policja blokuje drogi w województwach podlaskim, mazowieckim, warmińsko-mazurskim, lubelskim. Marszałek Sejmu Piotr Powolny wzywa posłów mijającej kadencji na nadzwyczajne posiedzenie. Zdaniem liderki opozycji Henryki von Hycel istnieje niebezpieczeństwo wykorzystania zaistniałej sytuacji przez resorty siłowe...

Hyclowa straszy fizyczną rozprawą z jej rachitycznym obozem. Gangiem Pippi Langstrumpf. Jest po tamtej stronie parę brandzel-ścierek, które tylko marzą, by ich aresztować, i to w światłach kamer, najlepiej niemieckich. Mogliby ogłosić, że partia odsłoniła prawdziwe oblicze, i znowu wypisywać po murach „Millera pomścimy”. Poczucie się mniej obesranymi. Gdyby wiedzieli, jak sytuacja wygląda naprawdę, powyskakiwaliby ze swoich sandałów i skórzanych stringów.

Szofer przejeżdża na czerwonym. Wszędzie pełno policji. Im bliżej biura sytuacyjnego, tym więcej.

Uruchomiono dwadzieścia dodatkowych linii alarmowych. Mieszkańcy miejscowości po wschodniej stronie Wisły proszeni są o wzmożoną czujność i zgłaszanie najbliższym jednostkom wszelkich odbiegających od normy wydarzeń.

Niech każdy chłop patrzy za oborę, czy się obcy kręcą. Murzyński coś już z mchu i paproci melduje.

– Krótka mi SMS przysłała, że znowu ją zatrzymali. Generał słucha... jak oni by się rozjebali w drodze czy zostawili auto i poleżli pieszo, coś byśmy wiedzieli. Pod każdy kamień tu patrzą. Musiało zajść co innego.

– Też się zastanawiam. Mogli dać przed siebie. W blokady nie wierzę, zawsze ktoś da dupy. Zawsze jest jakaś szpara. Jakby cisnęli maksymalnie, to nawet po tych zakrętach mogą być w Terespolu.

– Tylko, kurwa, po co? Spylą go na organy?

Już widać Narodowe Centrum Bezpieczeństwa. *Vis-à-vis*, przed pomnikiem Lecha i Marii, zbierają się ludzie z flagami. Ktoś trzyma portret Prezesa, ktoś inny – Chrystusa Króla. Generał wyciąga z kieszeni piersiówkę i blister tabletek. Popija andepin koniakiem. Odświeża oddech psikawką. Wybrał Murzyna, ponieważ operacja miała być nieskomplikowana. Ale trep ma rację: winni się zacząć w Kluchach i jechać za pajacami. Od samego początku.

– Nie dzwoń, tylko pisz. Za pół minuty wchodzę, będę miał wyciszony.

5. Rozdział, w którym zatrzymany na gorącym uczynku odmawia zeznań

Czynności przygotowawcze utrwała starszy posterunkowy Tomasz Trepski. Przesłuchuje naczelnik wydziału śledczego Prokuratury Regionalnej w Białymstoku prokurator Hanna Chwast. Początek przesłuchania: godzina dziewiętnasta dwadzieścia pięć.

- Imię i nazwisko.
- Zimno mi, boli mnie noga. Żle mi ją nastawił, konował. Specjalnie, żeby bolała.
- Zgłoszenie przyjąłem, proszę odpowiadać. Imię i nazwisko!
- I za ciasno mi założył kajdanki ten wielki faszysta w rękawiczkach. Złośliwie. Nie czuję palców.
- Imię i nazwisko!
- Żądam adwokata. Chcę do szpitala. Miałem chyba wstrząs mózgu.
- Nie jest pan podejrzany. Jeszcze. Na tym etapie postępowania adwokat nie będzie konieczny.
- Dlaczego?
- Bo nie postawiłam panu zarzutów i nie jest pan, tym bardziej, aresztowany.
- Więc mogę wyjść?
- Nie.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest pan zatrzymany do dyspozycji prokuratora. Czyli mojej. Imię i nazwisko!

– I tak chcę adwokata. Nie jest konieczny, ale przysługuje. Zimno mi. Chyba mam temperaturę. W sądzie powiem, jak byłem traktowany...

Hanna Chwast wstaje ze składanego krzesła i każe wstrzymać nagrywanie. Stojący przy statywie policjant wykonuje polecenie bez słowa. W zimnej hali są jeszcze: wspomniany przed chwilą złośliwy faszysta, czyli sierżant Służący, i dużo od niego niższy negocjator, gość o twarzy czeskiego aktora porno, także po cywilnemu. Łeb nie wypuszcza z ręki telefonu, ciągle z kimś cicho rozmawia. Za jego plecami dwaj faceci w czerni – realizatorzy cebosiu – rzucają na zniszczone ściany wielkie i długie cienie, bo trzeci wjechał oplem do przedsionka hali, by oświetlać scenę.

– Słuchaj, kmiecie, w tym sądzie, do którego tak bardzo ci się spieszy, żeby się tam poskarżyć na metody śledcze... Otóż po tym, co zrobiliście, dla składu sędziowskiego nie będzie wcale ważne, czy ktoś ci źle zapiął kajdanki. – Prokuratorka staje za plecami przesłuchiwanego. W hali nie ma prądu, przez obdarte z futryn otwory okienne wpadają chłód i śnieg. Najpierw topniał, a teraz odkłada się czystą bielą, którą wiatr przesypuje jak mąkę. Skuty podejrzany, z bandażem na głowie, podwinął pod siedziskiem uszkodzoną stopę, skrępowane dłonie wepchnął między uda, mógłby ilustrować w podręczniku techniki śledczej hasło: „pozycja ciała zamknięta – niechętny do współpracy”.

– Będzie natomiast istotne, czy pomogłeś w postępowaniu, czy je utrudniałeś, symulując jakieś popieprzone bóle. Wiesz, ile osób szuka teraz pana prezesa? Setki! Akcja kosztuje miliony! Rozumiesz, co narobiliście?! Jeden mój telefon i wyłączysz dziś jeszcze w celi z Okojadem.

Prokuratorka robi krótką pauzę. Skuty farfocel zdaje się nie oddychać. Nie widać mgły przy ustach. Gliny w kombinezonach z mnóstwem wypchanych kieszeni też milczą. Na udach mają nisko spuszczone kabury i teleskopowe pały, jeden pieści karabin szturmowy, drugi schował dłonie pod pachami, bo zimno. W ciszy słyhać, że konstrukcja zrujnowanej hali wydaje dziesiątki skrzypnięć, pyknięć, szmerów – to wilgoć zamara w ścianach. Pierwszy fragment rudery już się dziś zawalił, w końcu może runąć i reszta. Tak czy inaczej: Chwast musi się spieszyć.

– Słyszałeś o złapaniu Okojada, prawda? O wielkim sukcesie podlaskiej policji. Zamkną cię z nim w piwnicy bez okien, za żelaznymi drzwiami. A potem zgaszą światło i on do ciebie przyjdzie. I nikt cię nie usłyszy.

– Już to ćwiczyliście ze Swatem, nie?

– Będiesz marzył, byśmy ci pozwolili wrócić tutaj, na ten taborecik, i wszystko wyśpiewać. Będiesz marzył, by cofnąć czas. Twój własny czyn zabroniony cię przerósł. Uprawdziliście najważniejszą osobę...

– Więc najważniejsza w kraju nie jest pani Pacyna?

– Na żarty ci się zebrało, kmiotku?

Prokuratorka ruchem głowy daje znak sierżantowi, by podszedł.

– Wyłączyć światła!

Gdy Stefan Służący zbliża się do przesłuchiwanego, ten chowa głowę w ramionach – jak żółw.

– Pokaż, gdzie cię boli. – Sierżant przemawia z czułością kogoś, kto stoi z packą nad muchą. Oddycha nierówno, jakby w jego wielkiej klatce piersiowej kręciło się pranie. Przesłuchiwany wytrzeszcza oczy. Bydlak nad nim ma uświniony rękaw kurtki z AliExpress, jedna z niebieskich rękawic pękła mu na kciuku.

– Gdzie boli? Pokaż! – powtarza.

Siedzący – zupełnie bez sensu – wysuwa stopę w bandażach. Starszy posterunkowy Trepski już się cieszy na to, co zaraz zobaczy. Wielki cham ugina nogi, musi się jeszcze pochylić, by zająć dogodną pozycję, lewą dłonią mocno chwyta słuchanego za ramię, prawą bije go w girę, trochę poniżej rzepki. Uderzony wydaje krótki kwik – jak królik po podcięciu gardła. Taboret wysuwa mu się spod dupy, a on sam przez ułamek sekundy wisi w ręce goliata. Moment – i leży zwinięty na betonie, trzyma się za kolano.

– Biją podejrzanego?

W ociekającym wodą opłu, prócz oficera cebosiu, grzeją się dwaj technicy i szofer z prokuratury. Toyotę – limuzynę, którą wozi Chwast – zostawił na zewnątrz. Zdarzenia z dzisiejszego wieczoru będzie opowiadał wnukom tyle razy, że go znienawidzą.

– Biją? – Technik uchyla szybę, próbuje coś dostrzec. Czarne mundury celowo zasłaniają widok.

– Zgłupiałeś pan? – Facet przy kierownicy zamyka tylną szybę. – Dziś już się podejrzanym nie bije.

Hanna Chwast rozkazuje: – Posadzić.

Służący najpierw stawia taboret, potem wypuszcza z płuc powietrze i podrywa skutego jak worek sztucznego nawozu. I puszcza przy tym bąka.

Prokuratorka:

– Światło!

Reflektory znów błyszczą, cienie się lepia do ściany. Metr pod sufitem, z którego sterczy trzcina, wisi krzywo przybity transparent: „DEMOKRACJA”.

– Imię i nazwisko!

– Faszyści, świnię... lekarza!

– Imię, nazwisko!

- Zeznania będą wymuszone biciem.
- Jeszcze żeś żadnych nie złożył! Imię, nazwisko!
- A chuj wam wszystkim w serce!

W kieszeni spodni prokuratoroki wibruje jedna z komórek. Kobieta musi rozpiąć płaszcz, przez moment męczy się z guzikiem. Palce ma sztywne. Mimo kozaków na grubej podeszwie zmarzła jeszcze w lesie, w zaśnieżonym jarze. Nie może wyświetlić wiadomości. Chucha w dłoń. Lepiej. Przyszedł SMS. Krótki meldunek i zdjęcie. Ogląda, czyta, staje nad siedzącym tak blisko, że ten może poczuć jej słodkie perfumy.

– Słuchaj mnie... zostałeś zatrzymany na miejscu przestępstwa. Za samo rozpowszechnienie w sieci tej błazenady dostaniesz dziesięć lat z ustawy o politterorze. A teraz popatrz tutaj.

Przesłuchiwany patrzy. Zdjęcie zostało zrobione na którejś z manifestacji, może przed aresztami. Widać fragmenty haseł i zamaskowanych ludzi. Kominiarki, czapki i chusty na ustach, w tle dym z petard. Jedna twarz – najbliższej – odsłonięta. Szmer wygląda jak tęższa wersja siebie samego. Światło pada centralnie na nos i grube szkła. Ktoś go zdołał sfotografować teleobiektywem. Skurwysyny jedne, hitlerowcy.

- Poznajesz?
- Nie poznaję... Wołajcie lekarza, rozjebał mi pizszczel, faszysta.
- Skup się. Ten pan już cię nie dotknie... – Ruch brody w stronę sierżanta. – Już nie ma takiej potrzeby. Wiesz, kto mi przysłał to zdjęcie? Mój kolega przesłuchuje właśnie twoją współpracownicę. W śmigłowcu, który widziałeś. Zaczęła mówić. Składa obszerne wyjaśnienia. Na temat Szymona Sztorma, lat czterdzieści. I na twój temat.

Szymon. Imię, którego Szmer nie zdradził nawet jemu. W Ziemiomorzu, kto zna imię człowieka, ten ma nad nim władzę. Może nie tylko tam.

– Nie odlatuj mi tutaj! Skupienie! Wspólniczka obu was w tej chwili obciąża, ale ciebie mocniej. Rozumiesz?

– Obciąża mnie czym?

– Wszystkim.

– Nie wierzę.

– Dała na papier, że to był twój pomysł i twój plan porwania. I że chciałeś zabójstwa Prezesa.

– Nieprawda!

– No to nazwisko i imię!

6. Bardzo krótki rozdział, w którym szef abwery i poseł Konfederacji Ojczystej konspirują w ogródku

Generał Tamir Tajner na sztab kryzysowy. – Kierowca czeka, aż funkcjonariusze, których zna i którzy znają jego, obejrzą wnętrze kufra i sprawdzą lustrem podwozie. Siedzący z tyłu pasażer – ostrzyżony na jeża siwy sześćdziesięciolatek – uchyla ciemną szybę. Muszą się przyjrzeć i jemu. Służba Ochrony Państwa potroiła obsadę, na dachu sąsiadującym z NCB ułożyła się bokiem do słońca para: snajper z obserwatorem. Niżej stoi pół tuzina limuzyn, trochę policji i zielony humvee ze sterującym browningiem.

Kierowca Tajnera cmoka:

– Myśli pan generał, że wprowadzą stan? Wprowadzimy?

Tajner nie odpowiada. Już dostrzegł Cyganiaka. Opalony na lodowcu gdyński poseł Konfederacji Ojczystej, a zarazem szef sztabu wyborczego Zwycięskiej Prawicy, stoi w rozpiętej marynarce z chesanki na lewo od wejścia, coś czyta z elastycznego smartfona, bo gładzi ekran kciukiem. Gdy generał podchodzi, chowa szybko aparat jak przyłapany na szwindlu. Podaje miękką dłoń, drugą chwyta Tajnera za łokieć.

– Musimy pogadać przed.

– Wiem, że musimy.

Przechodzą amfiladę sal wypełnionych uzbrojonymi po zęby mężczyznami. Schodzą pomiędzy żywopłoty tylnego ogrodu. Na dachu budynku sytuacyjnego stoi w gotowości śmigłowiec transportowy SOP. Szczyty drzew jeszcze w słońcu, między krzewami – półmrok. Nikt nie patrzy. Ci, co przechodzą z budynku do budynku – a wszyscy bardzo się spieszą – wybierają najkrótszą drogę przez wewnętrzny parking.

– Nie streamują.

– Jeszcze nie. – Generał kładzie nacisk na „jeszcze”. – Nie dojechali w punkt.

– Dlaczego?

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Chcę wiedzieć, co się dzieje. – W kieszeni marynarki Cyganiaka wibruje telefon, ale ani szef kampanii, ani Tamir Tajner nie zwracają na to najmniejszej uwagi. Mają mało czasu. Zaraz posiedzenie. A właściwie już.

– Prezes jest z nimi, nikt ich nie zatrzymał, zaraz się wszystko zacznie.

– Miał być streaming od godziny, a o wpół do szóstej mieli wchodzić z kamerami i...

– Przecież wiem.

– Powinniśmy zaraz robić konferencję sukcesu. Dziennikarze czekają w Sali Chorągwiej.

– Wiem, kurwa, przecież mówię. Ale nie dojechali do młyna. Co zrobię? Są w drodze.

– W drodze od wpół do czwartej?! – Do wibrowania na piersi Cyganiaka dochodzi nowy dźwięk. Drugi telefon wygrywa marszową melodię.

– Śnieżyca tam jest.

– Ale nie taka, żeby jechać dwie godziny czterdzieści kilometrów.

– Z jakiegoś powodu musieli gdzieś skręcić. Może Naczelnikowi się zachciało srać, może im zasłabł w drodze, może złapali dwie gumy... Moi już ich szukają, za moment będę wiedział, gdzie są. Zespół zrobi swoje. Spokojnie.

– Znajdą i co? Zatrzymają? Bez streamingu to będzie tylko pół efektu. – Telefony w garderobie Cyganiaka hałasują na zmianę. – Powiedz, że masz jakiś awaryjny kontakt z tą pizdą.

– Kontrolujemy teren.

– Chuja kontrolujecie! Gdybyście kontrolowali, tobyśmy teraz nie gadali w krzakach. Jak mnie z tobą Korny zobaczy...

– Powiesz, że opierdalałeś mi lachę. Możesz tu przykucnąć.

– Bardzo zabawne. Kiedy ci Korny u Prezesa przyjebał, nie byłeś taki dowcipny. Wiem, kogo posłałeś, Tamir. Murzyńskiego z tym jego Sancho Pansą. W razie czego ich nie żal, ale lepiej dla ciebie będzie, jak faktycznie odzyskasz kontrolę.

– Nie strasz, masz małego kutasa. Pomysł był twój, Czesiu. – Tajner wie, że kolega z partii nienawidzi zdrabniania swojego imienia. – Przy Rakowieckiej ściany mają uszy. Ja się chciałem umawiać na basenie.

Cyganiak wygląda teraz na kogoś po elektrowstrząsach. Otworzył japę, jakby się faktycznie chciał zabrać do dzidy.

– Panie generale! – Starszy sierżant Majdan, żyłasty pięćdziesięciolatek, który zaczynał jeszcze w Nadwiślańskich i nosił parasol taktyczny za Lechem Kaczyńskim, celowo woła z daleka, by go nie posądzili, że przyszedł podsłuchiwać. – Minister Korny już jest!

Poseł w końcu zamyka paszczę i syczy do Tajnera:

– Jeśli pójdziemy pod lód... to we dwóch.

Generał-wiceprzewodniczący woła do Majdana:

– Już idziemy, Mieciu!

Kurtuazyjnym gestem przepuszcza posła przodem:

– Gówno przed łopata.

7. Rozdział, podczas którego zatrzymana terrorystka przyznaje się, kim jest

Utrwała plutonowa ABW Kamila Krótka. Przesłuchuje pierwszy zastępca prokuratora generalnego, prokurator krajowy Łukasz Łajdus. Początek przesłuchania: dziewiętnasta dwadzieścia pięć.

– Imię i nazwisko.

– Domagam się widzenia z oficerem Agencji. Tym najstarszym, co ma kask z kamerą, pali papierosy i rozsiewa nowego koronawirusa.

– Skąd pani zna tę osobę? Co pani o niej wie?

– Tylko to, że używa operacyjnego imienia Marek. Resztę wyjaśnię w jego obecności.

– Wykluczone. Osoba, o której pani mówi, bierze udział w bezpośrednim pościgu za waszym współnikiem i za uprowadzonym. Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że każda minuta się liczy? Nazwisko i imię!

Przesłuchiwana milczy. We wnętrzu uziemionego helikoptera jest niewiele widniej niż na tartacznym placu, słychać szum generatora, czuć gumę, paliwo i słabą woń spalin. Świecą lampy kontrolne w części dla pilotów. Pomiędzy fotelami widać dwa ekrany. Jeden wyświetla mapę, drugi – przekrój terenu. Po wszystkich szarpaninach i kłótniach o to, kto ma

wyższy priorytet i dłuższego chuja, najważniejszymi okazali się ci, co ją tu przywlekli. Prowadzona pod pachę do śmigłowca zdołała jeszcze dostrzec swego szantażystę. Cham z chorym żołądkiem gadał o czymś z Markiem. Wsiedli do wielkiej, czarnej fury z wgniecionymi drzwiami. A ją skuli i przypięli pasem do wąskiego fotela ci tutaj – matkojebcy. Prokurator krawacz (w innych okolicznościach mogłaby go określić jako interesującego) oraz jego przyboczny, a zarazem pilot, łak w panterce i z hecklerem z boku. Szybki Bill, który już pokazał na wielkoludzie, że umie przypierdolić. Prócz nich do wnętrza weszła jeszcze ubrana zbyt lekko blondynka w bejsbolówce, z pewnością też agentka, która próbuje nie patrzeć zatrzymanej w oczy. Zerka przez ekran iPhone'a, który dał jej przystojniak.

– Zatrzymaliśmy pani współnika. – Typ wskazuje odległą o czterdzieści metrów pokraczną rudę. Kontur byłby już niewidoczny, gdyby nie śnieg na dachu i światła karetki. – Jest słuchany tam, w środku.

– Wiem.

– Ale nie wie pani, że już się rozpierdala. Jestem śledczym przeszło piętnaście lat. Zaczynałem karierę całkiem niedaleko stąd, w Elblągu. – Łajdus ma dobroduszny ton starego kawalera, który od lat trzyma w piwnicy porwaną prostytutkę. – Przesłuchiwałem drobnych gnojów, handlarzy narkotyków i grubszych aferzystów. Młodszych i starszych, tych cwanych i takich, co potrzebowali pomocy, żeby się nie oszczać. Umiejętności pierwszy rzut oka określić, kto się od razu spruje. Ten pedał z rozbitą głową to właśnie ktoś taki. Już panią obciąża. Moja koleżanka, prokurator Chwast, szybko otwiera zatwardziałe serca. Nie sposób się jej oprzeć... tym bardziej, że stawkę mamy, jaką mamy. Pierwsze z was, które wyjaśni, gdzie Prezes, może liczyć na wiele. Drugie nie będzie nam do niczego potrzebne.

Źle powiedziałem, że liczy się każda minuta. Liczy się każde pięć sekund. Imię i nazwisko!!

– Musicie mnie skontaktować z tym, o którym mówię. Wtedy wszystko powiem.

– Niczego nie musimy. Ale możemy. Po tym, kiedy usłyszę, gdzie pojechał wspólnik.

– Ja tego naprawdę nie wiem!

– Wyłączyć!

Prokurator otwiera włącz maszyny, schodzi, wyjmując papierosy. Na paczce – zdjęcie zeżartej gangreną stopy bez połowy palców. Trzaska zapalniczka. Agentka w żółtej bluzie wyskakuje za nim. Oddaje telefon, zaplata ręce na piersi, przytupuje w śniegu. Pilot dźwiga się ze swojego fotela, szybko za nimi zamyka. Zdejmuje kask i słuchawki, pochyla się, przykładając wilgotne usta do ucha zatrzymanej. Wsuwa jej dłoń między uda. Jest twarda, rozgrzana i wielka, bo jego ręce są długie, cały jest duży, wysoki. Jedzie od niego smarem, samcem i niebezpieczeństwem. Potrafi nie tylko uderzyć.

– Możemy poderwać maszynę, a ty z niej wylecisz. Będzie przykry wypadek.

Powiedział to prawie bezgłośnie. Tak, że nie jest pewna, czy się nie przesłyszała. Patrząc na skurwysyna, wciska kość ogonową w oparcie, odchyła głowę, byle dalej od jego lepkiej mordy. Wał kiwa głową, co ma oznaczać: „owszem, dobrze słyszałaś”. Jego ręka przesuwając się po jej brzuchu, dotyka piersi, szyi, na koniec skurwieli rozgnięta jej kciukiem wargi i trzaska w policzek.

Matkojebca od brudnej roboty. Kawał chuja zwiędłego, a reszta buca. Zdrętwiała stara się coś wymyślić. Wszystko się spierdoliło. Ona zrobiła swoje, a nawet więcej, lecz Marek ją zostawił. Odjechał z szantażystą

z cebosiu. A dla tych tutaj, kutasów, jest wyjęta spod prawa. Jeżeli widzieli nagranie, postawią jej zarzut usiłowania zabójstwa Pierwszego Obywatela.

Łajdus stuka w szybę, pilot mu otwiera, agentka tym razem nie wchodzi, choć pewnie chciałaby do ciepłego. Prokurator w ostatniej chwili wyrzuca niespalonego kiepa. Otrzepuje kurtkę, siada przed zatrzymaną. Na ciemnych włosach ma jeszcze białe płatki.

– No więc mamy jasność, co dalej. Wybór należy do pani. Albo w tej chwili usłyszę wyjaśnienia, albo podrywamy maszynę. – Uderza się oburącz w kolana. Pilot, już z powrotem na miejscu w kokpicie, musiał coś przełączyć, bo nagle zapalają się dodatkowe lampy. Gotowi do startu? Prokuratorowi gwizdże iPhone w dłoni. Przyszedł SMS. Krótki meldunek i zdjęcie. Łajdus uśmiecha się połową twarzy jak ktoś, kto ma całkowitą pewność, że nikt nigdy nie odnajdzie zakopanych ciał.

– Tak jak sądziłem... – Przysuwa ekran do oczu zatrzymanej. – Twój kompan otworzył duszę przed panią prokurator. Dał waszego wspólnika. Szymon Sztorm, lat czterdzieści, rozwiedziony, zamieszkały w Warszawie, aktywny uczestnik antypolskich zamieszek. Poznaje pani gnoja.

To nie pytanie, lecz stwierdzenie. Zdjęcie Szmera zostało zrobione podczas manifestacji pod aresztami albo w marszu przeciwników powołania Krajowego Ośrodka Monitorowania Treści i Zachowań Antypolskich. Przesłuchiwana już je wcześniej widziała. Marek przyniósł to na spotkanie w knajpie razem z fotką tego drugiego, gdy już ich doprowadziła do połowy drogi. Szmer i Walet. Walet i Szmer. Butch Cassidy i Sundance Kid. Chudy i chudszy.

– Muszę...

– Niczego już nie musisz. Przestałaś być potrzebna. Flet się rozpruł, ty nie skorzystałaś z okazji. Rzeczy niepotrzebne należy wyrzucić. Nie gromadzić śmieci.

Pilot coś jeszcze uruchomił, bo cichy pomruk płynący z trzewi śmigłowca zmienia się w głośne buczenie. Łopaty większego wirnika już się obracają.

– Nie zrobicie tego!

Łajdus odsłania wybielone zęby. Śmigło się rozpędza. Jasnowłosa agentka na zewnątrz odchodzi od maszyny, przytrzymując czapkę. Przesłuchiwanej dzwonią zęby. Organizm reaguje niezależnie od woli. Wie swoje. Ona nie wierzy, by mogli ją, ot tak, po prostu, wypierdolić z powietrza, jak na jakimś złym filmie. Przecież to są funkcjonariusze państwowi. Ale jej ciało wierzy w najgorsze rozwiązanie. Jej ciało boi się bydlaka, który śmierdzi samcem.

– Nazywam się Monika Męka. Mam stopień chorążego w departamencie teleinformatycznym Agencji. To była operacja specjalna. Prowokacja kontrolowana.

– Kontrolowana przez kogo?

– Mnie rozkazy wydawał ten starszy oficer, o którym mówiłam. W kasku i z fajką w ustach. Co kasłał. Marek z Konsulatu.

– Marek i jakie nazwisko? Jakiego „Konsulatu”?

– Nazwiska nie znam.

– Wydawał ci rozkazy i nie znasz nazwiska?

– Nie znam. Pan je zna. Przecież się o mnie kłóciliście, przecież ten go uderzył! – Monika wskazuje pilota.

– Jeżeli jesteś, kim jesteś, to nie muszę tłumaczyć, że moja wiedza i znajomość osób nie ma tu nic do rzeczy. Ty masz zeznawać, ja słucham.

Łajdus trąca pilota w ramię, dźwięk wirnika zaczyna się obniżać, zmarznięta agentka Krótka wraca do kabiny, wnosząc wilgoć i ziąb.

– Utrwalamy. A zatem udział w przestępstwie zlecił Marek, funkcjonariusz Agencji. Z jakiego „Konsulatu”? Co to za określenie?

– Mówimy tak na Departament Zagrożeń Strategicznych. Przyjął mnie w tym budynku. Kazał na siebie mówić Marek i tyle.

– Kto panią do niego wysłał?

– Mój zwierzchnik, major Franciszek Fagalski.

– I co powiedział?

– Nic, tylko że mam iść. Niczego więcej nie wiem. To było od początku tajne. Myśmy się nawet nie spotykali z Markiem w firmie, to znaczy ten jeden raz, potem już zawsze w mieście.

– I Marek zlecił pozaregulaminową operację... tak?

– Muszę do toalety.

– Potem. W jakich okolicznościach zlecono pani czynności przestępcze?

– Nie przestępcze, tylko przygotowawcze, to była prowokacja. Zgodna z ustawą o uprawnieniach i instrukcją operacyjną o wczesnym wykrywaniu... Pan to zresztą wie. Marek mówił, że pomożemy partii. Że to będzie nasza Akcja pod Arsenalem. Że działam poza strukturą.

– Na czym miały polegać działania?

– Z początku założyłam konta. Różne awatary i nicki. Jedne nibylewackie, inne neutralne. Eva Duarte, Madonna99, Maria Mendelson, KonsTytucJa. To było rozpięcie sieci. Miałam szerować antypolskie treści i wplatać w nie informacje o słynnych akcjach terrorystów i tym podobne rzeczy. Żeby kierunkować wymiany postów w odpowiednie strony. Wyłapać gotowych na przemoc. Jak powiedział Marek: „rozzucać gówno i czekać na muchy”.

8. Rozdział, w którym decydenci obserwują jeden drugiego i podejrzewają

Pani premier, pani dyrektor, panowie... co wiemy? – Minister spraw wewnętrznych Konrad Korny, polityk Jednej Polski, były zapaśnik i były radca prawny policyjnego związku sportowego, sam odpowiada na pytanie: – Prezes został uprowadzony około godziny piętnastej trzydzieści pod miejscowością Kluchy Mazurskie. Jego telefon wypadł z sieci w rodzinie jakieś pięć minut później. Ktoś ten aparat odciął od zasilania lub zniszczył. Jak wiecie, Naczelnik wracał dwoma samochodami z sanktuarium w Podśmiardowie. Jeżeli chodzi o ochronę, była zabezpieczona zgodnie z procedurą. Dwie osoby z Prezesem i dwie w drugim wozie. Spieszyli się do Torunia. Trasa przejazdu została wybrana w ostatniej chwili, lecz tam jest takie ukształtowanie jezior, że przez Kluchy musieli przejechać. Akcja porywaczy była przygotowana, nie spontaniczna, to ważne. Niestety nie wiemy, jaki jest cel uprowadzenia. Osobiście sędzę, że gdyby bandyci chcieli Prezesa skrzywdzić, zrobiliby to od razu. Możliwe, że przedstawia nam jakieś żądania w zamian za uwolnienie. Może im chodzić o Seweryna Swata. Należałoby... winniśmy chyba... rozważyć, czy nie wystosować do nich jakiegoś apelu, by zagrać na czas. W sytuacji, gdyby nie udało się ująć bydłaków niezwłocznie. Nie

wykluczam też, że właśnie teraz ktoś ich zatrzymuje. Sytuacja jest dynamiczna, wszystkie dostępne siły rzuciliśmy w teren. Powiem dwa słowa, jak się to konkretnie odbyło...

– I kto z pańskich podwładnych miał pilnować trasy... – Premierka w tej chwili myśli pewnie o własnych przejazdach, a nie o Prezesie. Rozważa także skutki ewentualnego finału. Ruszył się kalejdoskop i układ sił między Jedną Polską a Konfederacją Ojczyzną może ulec zmianie. Zależnie od tego, kto się okaże lepszy albo przynajmniej sprytniejszy w krytycznej godzinie.

– Formalnie teren powinna zabezpieczać jednostka z Augustowa, a za Bargłowem z Grajewa. To będzie wyjaśnione w odrębnym postępowaniu. – Korny nie zamierza się kajać. Poza policją podlega mu pół tuzina pionów: od straży pożarnej, przez SOP, aż po imigrację. Nie jest w stanie pilnować grafików komend powiatowych. – Napastnicy przygotowali zapórę, to znaczy prawdopodobnie przewrócili drzewo, jakieś pięćdziesiąt metrów przed skrzyżowaniem w Kluchach.

– Licząc od Kluchów czy od Podśmiardowa? – Premierka nieustannie budzi zdumienie Kornego i reszty Jednej Polski. Zresztą we własnej partii też ją mają za skrajną idiotkę.

– Licząc od Podśmiardowa. Z tego, co mi przekazano, wynikło tam zamieszanie, relacje funkcjonariuszy częściowo się różnią. Pewne jest, że jedna z osób chroniących Prezesa została obezwładniona. Zabrano człowiekowi broń.

– Jaką? – Pacyna patrzy na rozmówcę i lekko przekrzywia głowę. Jak spanielka, która czeka na miche.

– Glocka. Jeśli pani premier pozwoli, dokończę. Wyrzucono go sześć kilometrów za Kluchami w kierunku na Grajewo.

– Pistolet?

– Nie. Ochroniarza. Wypchnięto z samochodu. O co chodzi? – Korny obraca sterczący kałdun ku szefowi sztabu, który już wcześniej wiódł cichą rozmowę, a teraz wstał i podaje telefon Pacynie. – Ojciec Dyrektor do pani.

Zebrani czekają, aż Packa uspokoi kapłana. Wszystko się wkrótce wyjaśni i tak dalej. Premierka regularnie gości w studiach Telewizji Trwam, słuchacze i widzowie szczerze ją uwielbiają, mówią o niej na antenie „nasza Patrycja” i „krew z naszej krwi”.

– Serdeczne Bóg zapłać, Ojczy Dyrektorze. My też, naturalnie, będziemy się modlić.

Szefowa generalna kancelarii składa dłonie i wznosi źrenice, ale nic nie mówi. Sama zarządziła, by nagrywać spotkanie. Każde słowo może być ważne, bo karuzela zaczyna wirować i ktoś na pewno z niej zleci. Większość wykorzystuje chwilę, by spojrzeć w komórki, a siedzący tyłem do przyściennych monitorów minister sprawiedliwości Filut – pracoholik o twarzy szpiega z Krainy Deszczowców – jednocześnie stuka w klawisze laptopa i przewija w smartfonie przychodzące wieści.

– Będziemy Ojca Dyrektora na bieżąco informowali. Teraz i zawsze! – Pacyna oddaje aparat posłowi. – Ojciec Dyrektor zwrócił uwagę na coś, co nam być może umknęło. Porwanie w dniu kanonizacji Świętego Jerzego... to nie jest przypadek. Może za tym stoją jacyś postkomuniści? Jakiś esbecki pomiot...

– Esbeckie wdowy.

– Słucham?

– Nie można wykluczyć związku. Tym bardziej, że wtedy porywacze również wyrzucili kogoś z samochodu.

– Ksiądz Jerzy jechał do Torunia i pan prezes także.

– Mogę kontynuować? – Minister Korny, gabinetowa ksywa Mecenas albo Kamienicznik, choć rok w rok tańczy w Toruniu razem z całym

rządem, zdaje się lekceważyć związek między porwaniem kapelana pierwszej „Solidarności” a chwilą obecną. – Więc ochroniarz Prezesa, ten rozbrojony, złożył zeznania, opisał samochód, zapamiętał numer boczny – jot, jak Janina, pięćset – i zapamiętał również twarze porywaczy. Mamy już rysopisy. Od dwudziestu minut porównujemy z bazą „Ulicznicy”. Proszę to pokazać. – Pierwszy Policjant podaje telefon dyrektor generalnej. Za chwilę obrazy są na monitorach. Dwaj mężczyźni, chudy i młody oraz jeszcze chudszy i starszy, do tego atrakcyjna babka, brunetka. Profile i *en face*. Rysownik używał któregoś z tych nowych programów – wizerunki wyglądają lepiej, niż gdyby zrobili porywaczom zdjęcia.

Młodszy jest ostrzyżony po bokach, właściwie wygolony, jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat, na oko siedemdziesiąt kilo. Pełne usta, nos mały, oczy duże, uszy odstające, ale bez przesady. Gdyby mu dorysować długie włosy, wyglądałby na dziewczynę. Autor portretu postawił na policzkach kropki: to chyba piegi lub pryszcze.

Dyrektorka oddaje telefon ministrowi.

Starszy z terrorystów, wychudły jak Żyd z getta, może mieć nawet i czterdzieści lat. Twarz inteligenta, wysokie czoło, a raczej początki łysiny. Wąskie albo tak mocno zaciśnięte wargi, na prostym nosie grube okulary w owalnej, niemodnej oprawie.

Wreszcie kobieta. Właściwie dziewczyna. Jej wizerunek wydaje się sporządzony najdokładniej. Ma w sobie coś niepokojącego. Dolna część twarzy – broda i sercowate usta – jakby przerośnięta. Co wcale nie czyni jej brzydką. O takich się powiada: egzotyczna uroda. Rysownik zaznaczył smukłą szyję. Czarne włosy asymetrycznie przycięte albo tak zaczesane. W nosie okrągły kolczyk. W uchu też jakiś badziew.

– Wszyscy troje w mundurach policyjnych drogówki. – Konrad Korny podpira się tekstem z telefonu. – Ona mniej niż pięćdziesiąt kilogramów

wagi, mężczyźni... raczej wysocy. Ten starszy najwyżej sześćdziesiąt kilo przy wzroście sto dziewięćdziesiąt. Możliwe, że na coś chory. Możliwe, że się jąka. Możliwe, że leworęczny. Okulary korekcyjne z dużą ilością dioptrii. Na razie tyle. Portrety zostały rozesłane do wszystkich jednostek. Sprawdzamy, czy dokądś nas nie doprowadzą oprawki okularów. Postępowanie prowadzi... Felicjan...

Filut odrywa wzrok od laptopa.

– ...na miejscu, w Kluchach, jest Hanna Chwast z regionalnej Białystok.

– Nasza?

– Jest tam, bo miała dyżur, ale w zasadzie taaak. Nasza. Stawiała zarzuty w sprawie pomocników Swata. Prowadzi czynności wraz z negocjatorem z Włochowskiej i jakimś lokalsem. O ile mi wiadomo, dołączyła do niej grupa z CBS. Poza tym mój zastępca, prokurator Łajdus, dotrze w godzinę i piętnaście minut. Śmigłowcem. Właśnie go podjęto z Banacha.

– Będzie idealny – Korny wygiął usta w podkowę i lekko kiwa głową, co ma pewnie podkreślić szczerą wypowiedź. Łukasz Łajdus – właściwy człowiek we właściwym miejscu. Uwierzył w słuszną linię Zwycięskiej Prawicy na tyle późno, że musi być bardziej gorliwy od wszystkich dookoła. Osobiście podpisał instrukcję, by prokuratorzy żądali wyłącznie najwyższych wyroków za dym pod aresztami i na Starym Mieście. A Pierwszy Policjant dodał mu dzisiaj jeszcze tytanową piść. Zaufanego pilota i skoczka, kapitana SOP-u Roberta Rakarza.

– Z rzeczy, o których już większość z was wie... drogi w trójkącie Biała Podlaska–Ostrołęka–Suwałki zamknęliśmy przed szesnastą piętnaście. Wspominałem?

– Nie.

– Więc wszystko jest zamknięte. Pociągów nie wstrzymaliśmy, ale Służba Ochrony kontroluje węzły od Iławy przez Tłuszcz po Sokółkę. Już im ślemy portrety pamięciowe. W obszarze są jeszcze cztery aerokluby i trzy lotniska prywatne. Ekipy zabezpieczają. Granice z Białorusią, Litwą i obwodem w tej chwili obsadzamy dodatkowymi pododdziałami straży i żandarmerii. Samych przejść nie zamkniemy, żeby nie powodować zainteresowania, szczególnie Federacji.

– Zauważą, że się Sejm zjeżdża!

– Nie mogłam zabronić... – Premierka wzrusza ramionami. Wszyscy zebrani wiedzą, że marszałkowi Powolnemu Pacyna może co najwyżej umyć dupę w wannie. On słucha wyłącznie Prezesa. Gdyby porwanemu coś się, nie daj Boże, stało, Powolny jest pierwszy w kolejce, a po nim chyba Korny – Mecenias-Kamienicznik. Dalej minister Filut, również z Jednej Polski. Pacyna, Tajner i reszta konfederatów (jak ich zwą koalicjanci: konfidentów) głęboko w peletonie.

– Jeśli chodzi o media, ukróciliśmy chaos. – Minister spraw wewnętrznych robi gest krupiera. *No more bets.* – Trzymamy się komunikatu, że incydent zaistniał z powodu przeszkód na drodze. Pierwsza w roku śnieżycy, ślisko i te rzeczy... Wolnej Europie i tamtym niczego nie wyjaśniamy, niczego nie prostujemy. Niech spekulują, przeczą jeden drugiemu... zresztą, kto ich tam jeszcze odbiera? Telewizje monitoruje zespół informacyjny posła Cyganiaka. Mam rację?

– Zgadza się. Newsroomy dostały instrukcje. W Sali Chorągwiej czekają na nasz komunikat.

– Dostałem informację. Samochód porywaczy... – Korny zwalnia, bo czyta z komórki: – ...radiowóz marki kia... został dzisiaj skradziony... z garażu w Olsztynie.

Czujny poseł Cyganiak ma niejasne wrażenie, że Konrad Korny czyta tylko wybrane słowa. Że gra tu jakiś spektakl. Dozuje informacje wedle własnego uznania – to jasne. Ale chwilami zapomina udawać przejętego. I wtedy wychodzi zeń szuler, co zna końcowy wynik i wie, że dziś zarobi.

– To oczywiście... nie jest zwykły garaż... warsztat delegatur Biura, Agencji i Inspektoratu. Czasem służy policji. Przeszło dwudziestu pracowników, mechanicy i biuro. Pracują do siedemnastej. Jedziemy natychmiast do wszystkich na adresy. Sprawdzimy, czy któryś nie znikł. Sprawdzimy, czy ktoś był karany. Niestety w związku z naprawą wóz nie miał aktywnego modułu...

– To znaczy?

– ...modułu GPS. Ale posiada nieusuwalny lokalizator pasywny. Mamy śmigłowce w obszarze, tylko, niestety, musimy im dopiero przesłać program detekcyjny, a z tym są problemy.

Aparat w dłoni Kornego gra takty *Wyklętych*.

– Przepraszam... – Przykłada telefon do skroni. Słuchając, podnosi palec wskazujący, co ma przykuć uwagę. Namierzono Prezesa? Pół tuzina par oczu, nie licząc sierżanta, wpatruje się w Kamienicznika.

– Mieliśmy podwójne szczęście. Detekcja coś wykazała. Zaraz będą i obraz, i punkt.

Premier Pacyna klaszcze, dyrektorka wraz z nią, Korny opiera dłoń o tłuście biodro jak szlachcic na rękojeści szabli. Brakuje mu pasa, kapelusza z piórem i złotych klamer na butach. Prywatnie jest najbogatszym członkiem rządu, żadne z jego oświadczeń majątkowych nie było prawdziwe, choć i tak większość zasobów rozpiisał na bliskich. Porwanie Naczelnika, którego winna eskortować policja; kradzież radiowozu, która nie miała prawa się zdarzyć – to wszystko obciąża resort. A mimo to się nie martwi. Co z kolei niepokoi posła Cyganiaka. Konrad Mecenaz Korny ten

niepokój widzi i bardzo go to cieszy. Oczywiście dostrzegł Czesia i Tamira, jak spiskowali w zaroślach. Jeszcze nie wiedzą, łachy, co ich dzisiaj czeka.

9. Rozdział, w którym przesłuchiwany Wojciech Wolant zaczyna zeznawać

Godzina za kwadrans dwudziesta. Hanna Chwast podwija poły płaszcz i kładzie na kolanach notes. Choć posterunkowy Trepki z komendy powiatowej Grajewo nagrywa przesłuchanie i zaraz po zakończeniu wyśle plik tam, gdzie już na niego czekają, ona będzie robiła notatki. Zapisze – zawsze tak robi – spostrzeżenia, które się często przydają w dalszym ciągu śledztwa.

– Imię i nazwisko!

– Wojciech Wolant. – Przesłuchiwany znowu wsunął skute dłoń między uda – niemalże do łokci. Jego broda prawie dotyka mostka. Jest dwadzieścia lat młodszy od prokuratorki, jeszcze ma pryszczki, wszystkie jego ruchy i gesty zdradzają homoseksualizm. Chwast ma córkę w podobnym wieku. Młoda rzuciła studia prawnicze w Gdańsku – półtora roku przed magisterką – i zamieszkała ze starszym o dziewięć lat facetem, dużo brzydszym od Wolanta i już karany z Ustawy o zapobieganiu i zwalczaniu działalności antypolskiej. Klaudyna nie utrzymuje z matką kontaktu od przeszło dwudziestu miesięcy.

– Data i miejsce urodzenia, imię ojca.

– Ósmy maja dziewięćdziesiątego szóstego, Paweł. Nie czuję stopy. Konował mnie źle opatrzył. Wszystko odwołam w sądzie.

- Odwoła pan, że nazywa się Wolant, syn Pawła?
- Łamiecie prawo.
- I to mówi ktoś, kto się dopuścił ataku terrorystycznego. Nie kpij, człowieku! Gdzie jest prezes Kaczyński?!
- Szmer go wywiózł do lasu, przecież widzieliście. Podobno ktoś się pucuje!
- Szmer to jest pseudonim Szymona Sztorma?
- Nie wiem, czy pseudonim. Po prostu nick.
- W jakim celu?
- W jakim celu... nick?
- W jakim celu wywiózł do lasu?
- Może na grzyby. Zimno mi. Jak ona wam daje, po co mnie pytacie?
- Ona wszystkim obciąża pana! Jeżeli ktokolwiek i cokolwiek tu daje, to ja tobie! Szansę.
- Nie wierzę.
- Nie wierzę w co?
- Jakby Mona dawała, byście mnie wieźli do pudła.
- Mona to pseudonim współpracownicy?
- Daje wam czy nie daje?
- Inaczej się przedstawiła. Posłuchaj mnie, młody człowieku... nam wystarczy jedna skruszona osoba. I jedna informacja: gdzie jest prezes Kaczyński. Kto pierwszy do odpowiedzi, ten lepszy! Pozostałych sąd surowo ukarze. Możesz być tego pewien. Ludzie chcą się czuć bezpieczni.
- Ludzie chcą, byście przestali już kłamać. Przynajmniej niektórzy ludzie! – Wolant, dotąd zgarbiony, prostuje się; przedramiona wystawia przed siebie, palcami wskazuje śledczą. – Chcemy, żebyście odwołali swoich faszystów, kasteciarzy, swoje psy ulicy. Żebyście odwołali

niekonstytucyjne ustawy, zlikwidowali inkwizycję, przestali futrować naszymi pieniędzmi katabasów, uwolnili niesłusznie skazanych...

– Idzie pan na niepoczytalność czy jak mam to odbierać?

Przesłuchiwany mówi dalej, nie patrzy na prokuratorkę, tylko w kamerę komórki nadzianej na statyw, który sam tu przywiózł. Fakt, że siedzi teraz w miejscu, w którym posadzili Kaczora, a przesłuchująca rozpiera się na jego niedawnym krześle, jest oczywiście psychologiczną zagrywką ze strony cwanej baby. Odwrócenie ról. Ale on to pierdoli. Nieczajew dziesięć lat nie załamał się w twierdzy, Łukasiński – czterdzieści sześć. Nic z niego nie wyciągną.

– Wyświetliliście fatamorgane, ogłupiliście ludzi telewizją, hodujecie nowego Polaka jak pieczarkę na gnoju, kupiliście wyborców za ich własne pieniądze, posłów za stanowiska, skorumpowaliście...

– Poglądy waszej grupy przestępczej już znamy. Wszyscy znają. Daliście popis dla dwudziestu milionów. Nie musi pan sobie dokładać do wyroku...

– Zawróciliście kraj z drogi oświecenia, bijecie czołem przed bałwanami w czerwonych sukienkach, dwie lewe ręce złożone do modlitwy to jest teraz wzorzec... – Wolant chce mówić dalej, lecz łapie go bezdech, parę razy otwiera usta, starając się zaczerpnąć choć trochę powietrza, w końcu targa nim kaszel. Hanna Chwast kreśli w notesie dwa słowa.

– Czy pan się leczył psychiatrycznie?

– Nie leczyłem się i nie lecę. Ja jestem psychicznie zdrowy, to wasza pajęczyna kadzidłem i chujem wiejąca jest chora!

– O tym opowie pan potem. Dam panu czas. Obiecuję. Teraz chcę usłyszeć, w jakim celu i w jakie miejsce...

– Monę zapytajcie.

– Ja pytam pana i to pański los się tu waży. Wspólniczka da sobie radę. Pańskim kosztem zapewne. Do rzeczy! Czy Szymon Sztorm wziął ze sobą broń?

Wolant ponownie się kuli. Nawet w złym świetle widać, jak blednie. Niezdarnie poprawia bandaż na czerepie, między brwiami i nad górną wargą wystąpił mu pot. Ma gorączkę.

– Wziął pistolet. Przecież to się nagrało.

– Dobrze. Jakim pojazdem tu przyjechaliście?!

– Terenówką Szmera. Znaczący nie wiem, czy jego, może ukradł. Nie wyglądał mi... na kogoś, kto... by miał taki... wóz.

– Taki, czyli jaki?!

– Nissan chyba. Stary... kwadratowy, sprzed dwutysięcznego.

– Kolor?!

– Nijaki. Ubabrany. Szary. Żeśmy się... przesiadali w miejscu, gdzie nas zaryło w takim suchym gównie, czymś sypkim...

– Wiemy, gdzie zmieniliście auto, zostawiliście w radiowozie laskę pana prezesa. Okulary i teczkę. O której godzinie ostatni raz go pan widział?!

– Kaczora?

– O której? Pytam!

– Może pięć minut... przed tym... jak zacząłem... streamować.

– Chyba retransmitować?!

– A co to... ma... za znaczenie? Zacząłem... nadawać. – Przesłuchiwany robi coraz dłuższe pauzy. Znow ma kłopoty z oddechem.

– Czyli o osiemnastej?

– Będę rzygał.

– Przerwa.

Posterunkowy Trepski stopuje nagranie, przesłuchiwany zgina się na taborecie, rozstawia kolana, odsuwa skrzyconą stopę, jak się da najdalej, wymiotuje i charczy. Prokuratorka podchodzi do dziury po oknie. Wyjmuje telefon. Zasięg ledwo, ledwo. Podaje komuś dane samochodu. Terenowy nissan, stary model. Patrol, terrano, navara. Prawdopodobnie szary, na pewno brudny. Kierowca uzbrojony w broń krótką.

Wolant na przemian rzyga i kaszle, jakby miał i starego, i nowego koronawirusa. W przerwach między spazmami słyszy, albo mu się tak zdaje, słowa: „starajcie się nie strzelać”. I jeszcze coś, niby odtworzone z komórki szczekanie wrednego kundla. Takiego beczułkowatego i na cienkich nóżkach. To uzbrojeni gliniarze gadają przez walkie-talkie. Za nimi, w pracującym oplu, czterech kolejnych chamów słucha wiadomości, które od szesnastej lecą na okrągło.

Posłowie przerwali przedwyborcze spotkania i spieszą do Warszawy na wezwanie marszałka Powolnego. Trwa stan podwyższonego pogotowia – pomarańczowy alert antyterrorystyczny. Spontaniczne demonstracje patriotyczne, wywołane prowokacyjnym nagraniem wyemitowanym przez Wolną Europę, odbyły się w Warszawie, Lublinie, Białymstoku i innych miejscowościach. Niepotrzebnym, choć zrozumiałym aktem gniewu nazwał podpalenie auta liderki opozycji marszałek Piotr Powolny...

– Się doigrali, lewacy, pederasci. – Kierowca z prokuratury żuje podwawelską. Drugą dłoń trzyma płasko pod brodą. Obiecał nie naświnić.

– Czego się wezmą, spierdola. – Technik informatyk jest głodny, ale przecież nie poprosi, żeby mu szofer dał gryza. – Tego numeru partia nie daruje. Areszty to chuj był przy tym, co się teraz zacznie. Zobaczycie, przywrócą jeszcze karę śmierci. A wszyscy oni są namierzeni od dawna przez KOMTiZ-ę. Można po prostu jechać na adresy i wyciągać za jaja i pizdy. Ja bym ich wszystkich powiesił.

– Już mówiłeś. – Drugi technik, spec od oględzin i śladów biologicznych, siedzi ze skronią opartą o szybę. Na trzy dni przed przeniesieniem do Szczytna przyszło mu brać udział w śledztwie, jakiego nie wymyśliłby pisarz Mróz. W śledztwie, które przejdzie do historii kryminalistyki. Kiedy miał pięć lat, zabrakło *Teleranka*. Gdy miał trzynaście, upadła komuna. Tak się wydawało, bo kiedy miał czterdzieści, oficjalnie ogłoszono, że upadła dopiero w dwa tysiące piętnastym. Potem dwudziesty piąty października został dniem wolnym od pracy. Może dzień uwolnienia Prezesa z rąk szaleńców – bo to bardziej wariaci niż poważny terror – rząd też ogłosi świętem?

Rzecznik ministra spraw wewnętrznych Konrada Kornego zapewnia, że uwolnienie lidera Zwycięskiej Prawicy jest kwestią najbliższych kwadransów. Grupa zadaniowa Centralnego Biura Śledczego Policji i ABW pracuje na miejscu przestępstwa pod nadzorem prokuratorskim z jednostki w Białymstoku. Mimo to komunikat sztabu kryzysowego nadal nie został wydany. Przed chwilą przesunięto jego ogłoszenie na godzinę dwudziestą pierwszą...

W wychłodzonej hali jest coraz więcej śniegu. Przesłuchiwany Wolant obrzygał kolano, but, stopę w bandażach. Jest trupio blady, sapie jak w ataku astmy. Prokuratorka przygląda się brunatnym rzygowinom bez cienia emocji. Siódmy rok stawia zarzuty i nie jest mimozą. A ten tutaj, histeryk hipochondryk, naczytał się książek i zamiast pić sojową latte w wegańskiej śniadaniowni, postanowił zostać terrorystą, choć jest tylko pryszczatą ciotą, której współosadzeni przewiercą wszystkie otwory na wskroś. Cała ich pieprzona trójka – gang nieudaczników – byłaby jawnie komiczna wraz ze swoim porwaniem, gdyby nie fakt, że są krok do przodu. Jeden z nich. Szymon Sztorm – Szmer. I to jest zastanawiające: jakim cudem kmiot zaszedł tak daleko?

Chwast podnosi notes i siada. Pułkownik Murzyński miał dać znać, gdy wpadną na trop, a ciągle nie dzwoni. Czas płynie. Cyk-cyk-cyk. Dochodzi ósma.

– Część osób, które szukają Prezesa, uważa, że powinnam cię podtopić, żebyś sobie przypomniiał, dokąd pojechał Sztorm. Niestety tu nie ma wody. Nie mamy czasu i garnka, by stopić śnieg. Jeżeli myślałeś, kmiecie, że to są jakieś żarty, że zrobiliście świetne widowisko, że będziesz bohaterem na antypolskich stronach, to cię muszę wyprowadzić z błędu... Wznawiamy!

Posterunkowy Trepki nagrywa, policjanci kończą pogwarki przez motorole.

– Panie Wolant... niech pan się bardzo skupi, bo od odpowiedzi na pytanie, które zaraz zadam, prawdopodobnie zależy reszta pańskiego życia. Jest pan skupiony?

– Zimno mi.

– Za chwilę wróci lekarz, damy coś na wzmocnienie i koc. A teraz skup się! Dokąd Szymon Sztorm mógł zabrać prezesa Kaczyńskiego?

– Nie wiem. Ja tego naprawdę nie wiem! Mam gorączkę. – Przesłuchiwany przykładła krawędzie dłoni do czoła, kajdanki wydają odgłos jak potrząśnięcie kluczami. – Mam bóle pod żebrami i z tyłu. To może być zawał serca.

Bez dwóch zdań – hipochondryk.

– Uwaga: czy Szymon Sztorm kiedykolwiek mówił, wspominał, pisał, wskazywał, sugerował jakieś szczególne miejsce?

Wolant kręci głową.

– Czy mówił o jakimś domu, magazynie, gospodarstwie, miejscu pobytu albo zamieszkania kolegi ze szkoły, dłużnika, wierzyciela, krewnego, znajomego, byłej żony, aktualnej dziewczyny, matki, siostry, starej przyjaciółki?

Gest przeczenia.

– Czy mówił o miejscu, w którym się pierwszy raz zakochał, w którym chciałby postawić namiot, którego najbardziej nienawidzi, za którym tęskni, które uważa za ważne? Daj nam, człowieku, cokolwiek, a dostaniesz lekarza i resztę. Później adwokata.

– Myśmy się na żywo spotkali tylko raz. I drugi raz dzisiaj, w Łomży.

Przesłuchiwany zaczyna przebierać palcami, jakby przeliczał pieniądze. Myśli o ręcznie rysowanej mapie, którą Szmer mu dał. Gdyby picz ją odkryła, pytałaby o rysunek, a nie o jakieś namioty, dłużników i wierzycieli. Co się z tą kartką stało?

– W Łomży o której?

– O trzynastej. I nie gadaliśmy o pierwszych ani ostatnich dziewczynach, tylko o tym, co zrobić, żeby się ludzie ocknęli. – Jedna dłoń słuchanego drapie drugą, zdrowa stopa pod taborettem udeptuje beton.

– Pan zażywa jakieś substancje psychoaktywne?

– Tak, kurwa, palę marihuanę. – Ruch palców staje się szybszy. – Przybijcie mi za to jeszcze dwadzieścia lat!

– Ma pan narkotyk ze sobą? – Prokuratorka próbuje sobie przypomnieć, czy ekipa abwery zdążyła przeszukać pedzia. Daje znać posterunkowemu, żeby nie nagrywał. I to jest słuszna decyzja, bo Wolant odpowiada: – Nie mam nic, wypaliłem do końca, jak puszczałem materiał. Gdzieś tak godzinę temu.

Chwast chwilę się zastanawia. Nawet najnowszy test na hydrokannabinol wymaga godziny. A nie mają czasu ani laboratorium. Policjanci stojący w hali patrzą na wielkiego sierżanta, on na nich. Nikt nie sprawdził farfocla nawet alkomatem, nikt go nie przeszukał. W trakcie kłótni o uprawnienia nikt nie miał do tego głowy. A najmniej Służący, który dostał w ucho od pilota śmigłowca.

– Dobrze... – Prokuratorka notuje w kajecie trzy słowa. Stopień ujarania przesłuchiwanego nie ma większego znaczenia przy stawce, o którą grają. – Zjechaliście się o trzynastej w Łomży. To było drugie spotkanie. A pierwsze?

10. Rozdział, w którym członkowie sztabu kryzysowego poznają Szymona Sztorma

Obszar na skraju biebzańskiego parku, bagno i gęsty las, teren niemożliwy do posadzenia maszyny, szczególnie w takich warunkach, jakie tam panują... zresztą nie chcemy ich spłoszyć, żeby nie zrobili czegoś głupiego... Może to pani pokazać?

Dyrektor generalna ponownie przejmuje komórkę ministra Kornego. Przysłany przed chwilą obraz wyświetla na czterech ekranach jednocześnie. Granatowo-zielona faktura lasu przypomina dywan. Rozprostowane zagięcia to leśne przecinki. Miejsca wytarte, wygryzione przez mole – bagna albo łąki.

– Cyfry w rogu są współrzędnymi GPS. Widzimy rzut satelitarny z godziny szesnastej pięć, potem już było pełne zachmurzenie i śnieg. Miejsce jest tam, gdzie ten podwójny różowy krąg. Z dokładnością do pięćdziesięciu metrów. Karetka na wszelki wypadek zamówiona.

– Za ile mogą tam być?

– Ratownicy? – Korny patrzy na premier Pacynę wzrokiem kogoś, kto zerka do sedesu, podcierając dupę.

– Nie. Ekipa śledcza. – Packa nalewa kawę, dodaje śmietankę. Nikt jej nie służy, wszyscy są zajęci. Dyrektorka – u szczytu stołu

operacyjnego – odbiera rozmowy z pulpitu. Dzwonią już z zagranicy. Trzeba podejmować dziesiątki decyzji. Czy informować prezydenta, który klęczy w Rzymie? Co z sojusznikami? Czy uruchamiać wojsko i w jakim zakresie?

– Hanna Chwast i grupa zadaniowa CBS dotrą w dwadzieścia minut – prokurator generalny Filut odzywa się przed ministrem. Mówi i jednocześnie stuka w klawiaturę. – W grupie jest jeszcze negocjator...

– To już słyszeliśmy.

– I dwaj doświadczeni technicy.

– Bandy ci są uzbrojeni. – Pacyna wstaje, przechadza się z filiżanką wzdłuż foteli, co ma pewnie oznaczać, że przejmuje kontrolę. Że Korny już nie będzie aktorem numer jeden. Posiedzenie się przecież nagrywa. Prezes-wicepremier każe je sobie odtworzyć.

– Realizatorzy są przygotowani do działań w terenie z pełnym wyposażeniem. – Kornemu znów gra telefon, ale go ignoruje. – Mają długą broń. Dowodzi podinspektor Zbigniew Zupak, oficer...

– Mimo wszystko wyobrażałabym sobie raczej ekipę wojskową. Możemy dostarczyć powietrzem zespół uderzeniowy?

Poseł Cyganiak wymienia spojrzenia z generałem Tajnerem. Wypili cysterny gównianej kawy na posiedzeniach prezydium Konfederacji Ojczystej, słuchali dziesiątków wynurzeń Pacyny i żaden z nich nie posądza premierki o zdolność do wyobrażania sobie czegokolwiek. Generał szybko przewraca oczami – cokolwiek to ma znaczyć – po czym odwraca głowę, jakby się bał, że wszędobylskie kamery uchwycą porozumiewawcze zerknięcie. Szef sztabu partii wraca do przeglądania antypolskich witryn. Tych większych zostało niewiele. „Wyborcza”, która teraz nadaje z Görlitz, i kanał obywatelski Radia Wolna Europa, gdzie gadające głowy próbują właśnie „zinterpretować sprzeczne doniesienia z Mazur”. Niczego nie

wiedzą. Nie wiedzą, co się wokoło nich dzieje. Co się dzieje – jak oni kiedyś mawiali – w „tymkraju”. Co się już stało w Polsce, i to niepostrzeżenie. Co nam groziło. Nie wiedzą, że już prawie witali się z gąską. Debile, którzy mają problem z siadaniem na krześle. I *à propos* debili – wciąż ani śladu streamingu. Korny cierpliwie tłumaczy Pacynie, dlaczego nie ma sensu desantować wojska.

– Nie mamy do czynienia z ludźmi, z którymi by realizatorzy mieli jakikolwiek kłopot. To trójka amatorów. Omamione wrogą propagandą błazny.

– A skąd pan to wie?

– Wspomniałem o podwójnym szczęściu i mam potwierdzenie z bazy Ulicznicy. Wyskoczył nam wynik. Więc... tutaj sam puszczam? I ten... tamtym... wciskam?

Dyrektor generalna właśnie skończyła rozmawiać, potwierdza skinieniem głowy:

– Wcisnąć i zbliżyć telefon.

– Mamy pierwszego sprawcę! – Konrad Mecenaz Korny wstaje, jakby ten sukces – identyfikacja – uczynił go znowu aktorem numer jeden. W dodatku udało mu się samodzielnie rzucić obraz z komórki na ekran. Wszyscy prócz Cyganiaka wgapiają się w fotografię. Filut przymknął laptopa.

Tadaaam!

– To klatka z materiału operacyjnego, jest nieostra, ale program wyliczył dziewięćdziesiąt osiem procent prawdopodobieństwa. – Minister wskazuje palcem portrety pamięciowe, a potem świeżo nadesłane zdjęcie łba w okularach. Wychylona do tyłu sylwetka, odciągnięte lewe ramię, tło wskazuje, że to kadr z manifestacji. Narysowany i sfotografowany to ten sam delikwent.

– Szymon Sztorm, urodzony w Warszawie, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, siwiejący szatyn, oczy niebieskie, okulary korekcyjne, z zawodu plastyk. Zatrudniony jako nauczyciel rysunku. Dorabia projektowaniem stron internetowych. Handlowych. Zamieszkały od roku na Pradze, przy Marii Kaczyńskiej. Ostatnio leczony onkologicznie. Opuścił szpital na własne życzenie. Rozwiedziony, żona była urzędniczką sądu rejonowego dla Pragi, teraz pracuje w Ministerstwie Infrastruktury, czyli u Gładkiego.

Każdy w tym pomieszczeniu wie, jak się nazywa minister, ale możliwość wymienienia prominenta Konfederacji Ojczyściej w jednym szeregu z podejrzanym Sztormem to jednak frajda, której Korny nie może sobie odmówić.

– Sabina Sztorm, z domu Sobek, jest dyrektorką zespołu uzgodnień międzyresortowych.

– Może wrócimy do podejrzanego. – Premierka i generał Tajner mówią w tym samym momencie to samo.

Mecenas kontynuuje:

– Więc dalej: kiepska sytuacja majątkowa, zaciągnięty kredyt konsumencki na sześćdziesiąt tysięcy, spóźnia się z ratami. Podpisany pod listą w sprawie Millera, to znacie... Subskrybent „Wyborczej” i tak zwanego kanału obywatelskiego, sami wiecie gdzie. Był na większości awantur ulicznych. Monitorowany od półtora roku. Aktywny w antypolskich kółkach. Siedzą na Dark Side albo na WhatsAppie i nas opluwają. Nazw tych grup hejterskich nawet nie będę wymieniał, bo są obrzydliwe, niektórzy je znacie...

– AntyKaczor?

– ...na przykład. A są jeszcze gorsze. Figurant zamieszczał wpisy dotyczące Millera, Swata, KOMTiZ-y, komitetu wspólnego, ustawy o zapobieganiu i politterrorze. Wyszedł nam tak prędko, bo został

oflagowany przez system. Od października miał zostać objęty inwigilacją fizyczną.

– Dlaczego dopiero teraz?

– Dlaczego oflagowany?

– Sześć dni temu skasował konta na trzech różnych hejtstronach. To znaczy... wydaje mu się, że skasował. Pokażę jego sieciowe kontakty.

Minister przerzuca z telefonu interaktywny slajd: pajęczyna powiązań figuranta, a raczej trójwymiarowa sieć wielu pajęczyn. Teraz nawet Cyganiak schował telefon i patrzy uważnie. Podległa Kornemu KOMTiZA – Krajowy Ośrodek Monitorowania Treści i Zachowań Antypolskich – rzadko takie rzeczy ujawnia. Właściwie nie było przypadku.

– To wszystko ekstremiści? – Pacyna wydaje się zaskoczona. Oblała kroplami kawy swój wściekle żółty żakiet i teraz przeciera to miejsce poślinionym kciukiem.

– Według stanu na wczoraj. Baza Uliczników ma osiem tysięcy rekordów.

Slajd na ekranie żyje, jak się zdaje, własnym życiem. Przybliżają się i oddalają połączone liniami fotografie, niekiedy – gdy zdjęcia brak – jedynie awatary. Przy każdej ikonie sieciowe pseudonimy, czasem imiona, nazwiska rozpoznanych. Są też inne dane. Adresy, wiek, miejsca zatrudnienia, stany kont, informacje o chorobach, orientacji seksualnej, dzieciach i rodzicach, o krewnych... Do tego charakterystyki osobiste sporządzone na podstawie analizy odwiedzanych witryn i śledzonych treści. Gdzieniegdzie sygnatury spraw. Szczególnie liczne u oflagowanych. Sens pomarańczowych bander jest jasny, lecz prócz proporczyków widać inne znaki.

– To wszyscy, z którymi w jakikolwiek sposób korespondował czy miał styczność Sztorm. – Kornemu podoba się wrażenie, jakie zrobiła

prezentacja. Poza Tajnerem nikt z obecnych nawet się do takich danych nie zbliżał. Premierka ma minę, jakby przyszło jej zaraz połączyć hostię z ręki samego Ojca Dyrektora. Reszta się pewnie zastanawia, jak by wyglądały ich własne rejestry w KOMTiZ-ie. Szczególnie Cyganiak może się słusznie obawiać, że mają tam o nim sporo. Dziwki na telefon, także małoletnie, stołeczni dilerzy koksu, spece od odtrucić VIP-owskich, a przede wszystkim – kontakty z Hyclową. – Stałe relacje widzicie na czerwono i podwójną linią, incydentalne to pojedyncza nić, stwierdzone tylko raz – przerywana.

Pierwszy Policjant opisuje detale, które mało Cyganiaka obchodzą. Bardziej pochłania go sama skala kontroli, jaką wdrożyła KOMTiZA. Dopóki zasób znajduje się w rękach Jednej Polski, nikt nie jest bezpieczny. Nikt z Konfederacji Ojczystej. Pacyna pewnie ma tego świadomość, lecz jej najcięższe grzeszki to zakup niklowego wibratora XXXL i ulokowanie rodziny w spółkach Skarbu Państwa. Nie ma się czego, idiotka, obawiać.

– Te gwiazdki przy banderach co znaczą?

– Osoby utrzymujące kontakt sieciowy z figurantem i również oflagowane w tym samym okresie co on. Możemy pogrupować rekordy według zbieżności logowań do sieci, według preferencji lub innych czynników.

– Jakich?

Właśnie minęła szósta. Dwie i pół godziny od napadu na konwój z Prezesem. Tajner i Filut się wiercą, Pacyna jakby zapomniała, że mają podjąć decyzję w sprawie apelu do kidnapców i w kilku innych sprawach. Prezentacja ją wciągnęła, jakby odkryła Pornhub. To chyba nieświadomiony paraliż decyzyjny. A Korny brnie w to celowo. Coś cuchnie.

– Faktory są rozmaite. Chociażby zgodność szerowanych treści z bazą słów kluczowych.

Filut mówi po cichu:

– To nie jest szkolenie z cyberbezpieczeństwa.

Tymczasem Pierwszy Policjant dalej daje popis. Gra, kauzyperda, na czas. Cyganiak znów zerka na Tajnera. Czyżby tu była prowadzona jakaś trzecia gra? Szef sztabu wyborczego jedynie się domyśla, a generał wie, że baza słów kluczowych, Centralny Rejestr Alertów, nie zawiera tylko – jak można by sądzić – nazw zdelegalizowanych organizacji, określeń typu: amunicja, inwigilacja, Wspólny Komitet Kontroli i tak dalej. Na liczącej przeszło dwieście tysięcy pozycji liście alarmowej są też pozornie neutralne zbitki, takie jak program telewizyjny czy klucz dostępu. Jest masa anglicyzmów – pizing, rutkit, temblor – wreszcie wszelkie formy pochodzące od takich rzeczowników: system, dokument, awaria, rozbiór, rozstrój, a nawet – ból.

– Stosując algorytm, który filtruje oflagowanych, uzyskujemy grupę, jaką widać. – Palec ministra nieruchomości na ekranie komórki. Miejsce przestrzennej, zagmatwanej sieci zajęła prosta tabela. U góry Szymon Sztorm, sieciowy nick: Szmer. Dalej Filaretka i Walet – chorągiewki z gwiazdkami; pierwszym awatarem jest Jennifer Lawrence jako Everdeen, drugim – tęczowa pięść. ZłaZmiana – twarz Fridy Kahlo i dwie gwiazdki. Dalej KonsTytucJa26 i Madonna99.

– Więc weźmy osobę o pseudonimie, przepraszam za słowo, Pisssda. Nazywa się Klaudia Kowalska i mieszka w Krynicy, miała dwie sprawy z Ustawy o zapobieganiu. Jest objęta dozorem, a mimo to nadal publikuje w Dark Side antypolskie brednie. Resztę sobie darujmy. Starczy, że to jest grono, z którego się prawdopodobnie wywodzą porywacze. Nie ma tu byłych żołnierzy ani osób związanych ze światem kryminalnym. To raczej

rozhisteryzowane lewactwo, które się zaczytuje w wywrotowych treściach. Oni wszyscy są, pani premier i pani dyrektor wybaczą, miękkimi chujami robieni. Czy w takiej sytuacji warto zrzucić GROM?

Zamiast Pacyny odzywa się Filut:

– Prokurator Chwast będzie z grupą w ciągu pięciu minut.

– Skoro pan prokurator generalny bierze to na siebie... – Packa nie kończy zdania, bo dyrektorka podtyka wyświetlacz kryptona. Pani premier, po bardzo długiej sekundzie, odsuwa twarz od ekranu, lecz wzroku nie odrywa. – To się dzieje naprawdę?!

Przez chwilę nikt nic nie mówi. Trwa cisza jak przy rodzinnym stole, gdy tata – nie mogąc już dłużej udawać trzeźwego – rzyga przez nos do talerza. I naraz dzwonią, piszczą, wibrują wszystkie telefony. Felicjana Filuta, Tamira Tajnera, posła Cyganiaka. Odzywa się również prywatna komórka Pacyny – wygrywa *Abba Ojciec*. Na pulpicie sytuacyjnym błyskają cztery kontrolki pilnych rozmów naraz. Po chwili piąta i ostatnia. Gdyby chciał się teraz dodzwonić prezydent z Watykanu – już by nie zdołał.

Filut otwiera laptopa i klika w link, obraca ekran, by szef MSW i generał wiceprzewodniczący zobaczyli, co się wyprawia w kraju, za którego pilnowanie im płać.

– To, kurwa, jakiś talk-show? – Tajner udaje zaskoczonego.

– Nie wierzę własnym oczom... – Korny także deklamuje tekst bez przekonania, co znowu nie umyka uwadze Cyganiaka. Natomiast dyrektor generalna i sierżant przy ścianie są w autentycznym szoku. Podobnie jak premierka. Ma oczy srającego lemura, bezwiednie drapie się w cyce. Myśli o tym, czy sama ma wystarczającą ochronę, i o tym, co będzie, kiedy ten przekaz pójdzie za granicę. Partia tak długo tłumaczyła sąsiadom, partnerom i sojusznikom, że wszystko jest w porządku... Czy teraz trzeba będzie tłumaczyć, że każdy ma swego Breivika?

– Jak to w ogóle możliwe?

– Wolna Europa ma ten niby Hyde Park... – Minister-prokurator tłumaczy tak szybko, jak może, bo jednocześnie słucha materiału. – Zalogowani mogą zamieszczać wideokomentarze, streamingi i tak dalej.

– Złapiemy po komputerze?

– Musielibyśmy do tego zmusić RWE.

– Ale przecież to zamach na Polskę!

Dyrektorka przerzuca obraz na ekrany. W powiększeniu wygląda mocniej. Pacyna zakrywa usta dłonią. Poseł Cyganiak, zadowolony z efektu, myśli o gniewie gotującym się w milionach wyborców. I wątpliwościach, które ogarniają teraz wrogów Zwycięskiej Prawicy. Generał Tajner myśli o ekipie Murzyna, która wpadnie za najdalej kwadrans. Zawiną debili zgrabnie, byle w obrębie z kadru. I koniecznie jakiś opiekuńczy gest wobec Prezesa. Podanie ręki, okrycie kocem... tak jakoś. Żeby to ładnie wyglądało w wieczornych wiadomościach.

11. Rozdział, w którym przesłuchiwany Wojciech Wolant wspomina, jak muchy wpadały w sieć

Powiększone źrenice, wysokie tętno, a ciśnienie niskie. Mówiłem, że może mieć krwiaka wewnątrzczaszkowego, a to już jest groźne.

– Rzygał.

– Widziałem. Skarży się, że był bity.

– Pan żartuje? Nie bijemy zatrzymanych, nie bijemy nikogo. On się na wszystko skarży, hipochondryk, na pana też. Że mu pan celowo źle stopę opatrzył. A ja nie mam czasu. Dostał coś na wzmocnienie?

– Jestem członkiem partii. Rozumiem zagrożenia...

– Nie bijemy, powtarzam, nikogo. Zażywał marihuanę, może dospidowaną. Godzinę temu. Możliwe, że jeszcze go trzyma?

– Do dwudziestu godzin. A jak doprawiona, to nawet i dłużej. – Doktor Janusz Jucha wionie przypalonym rosołem z domieszką strawionej wody.

– Może symulować objawy?

– Jeżeli ma podstawową wiedzę. Ale to bez sensu. Miał co najmniej wstrząs mózgu, uległ wychłodzeniu, w stopie zerwanie więzadeł z wylewem krwi i płynów. Należy dziś zagipsować. Wygląda, pani prokurator wybaczy, ale jak z chuja zdjęty. Zaraz wam spadnie z taboretu.

Powinienem go wziąć do karety i szpital, i rentgen stopy, i tomograf głowy. Nawet przede wszystkim.

– Jeżeli gdziekolwiek pojedzie, to tylko na oddział w Psitce. Działamy pod rygorem ustawy. Prowadzimy z prokuratorem Łajdusem postępowanie specjalne.

– Znam przecież sytuację.

– Trzeba go wzmocnić fizycznie i jednocześnie zmiękczyć.

– Już pani mówiła, ale jest ewidencja...

– Wiem wszystko. Mamy do czynienia z zamachem na organ państwa. Zagrożone jest życie uprowadzonego, a ten tutaj, kmiot, może wskazać miejsce... Pan jest od tego, by pomóc, doktorze. Pańska współpraca nie będzie niezauważona... No dobrze, ufam panu. Będziemy kontynuować w karetce. Ale po pierwsze, cały czas na miejscu. Po drugie, da mu pan zastrzyk. Epinefrynę, trapanal, mieszanę...

– Są ratownicy... ja ich właściwie nie znam.

– Nie szkodzi. Ustawa obowiązuje wszystkich, nakłada pełną tajność.

Podpisywał pan aneks?

– Oczywiście.

– I oni też.

– Ale nigdy nie było takiej sytuacji.

– Nie było. Teraz jest. Wezwijmy pielęgniarzy!

– Po trapanalu może dostać lęku...

– I tak jest już kupą gówna. Sam pan to powiedział.

– ...albo skurczu głośni i nic wam nie powie.

– Zaryzykujemy. – Hanna Chwast ma uszy czerwone z zimna, a jej cierpliwość się kończy. Woła techników, sama podchodzi do Tomasza Trepskiego z komendy Grajewo.

– Pójdzie pan ze mną. Będziemy utrwać w ambulansie. Statyw zostaje. To dowód w sprawie. Krzesła i ta szmata też. – Wskazuje wysiadającym z wozu transparent na ścianie, składane siedziska i stół. Z kieszeni płaszcz wyciąga folię na dowody, a w niej telefon porywaczy. Oukitel K24, rzadki model. – Zabezpieczcie wszystko.

Ratownicy z noszami już są. Prokuratora rozkuwa Wolanta. Na zewnątrz pada gęsty śnieg, wiatr raz się uspokaja, raz wzmagają. Kiedy wieje mniej – lecą sklezione strzępy. Gdy dmucha – zmarznięte gwiazdy, ostre jak shurikeny. W brzozowym zagajniku, który częściowo pochłonił budynki, spadają zmarznięte liście. Chwast wchodzi do ambulansu ostatnia. Wśród aparatury, stalowych butli i sprzętu ledwo się wszyscy mieszczą: lekarz, sanitariusz, posterunkowy i pacjent. Ułożony na składanej kozecie dostaje zastrzyk pod łokieć, doktor Jucha zostawia igłę w ciele i podpinają zawór. Drugi ratownik zapala silnik w kabinie. Od razu odzywa się radio.

Prawie pięćdziesiąt jednostek żandarmerii, policji, Straży Granicznej, straży pożarnej i służby leśnej z terenu sześciu województw bierze udział w akcji poszukiwawczej. Największą z grup operacyjnych dowodzi inspektor Kajetan Klocek z Ełku. Na miejscu działa również zespół dochodzeniowo-śledczy z udziałem prokuratorów i funkcjonariuszy...

– Proszę to wyłączyć! I jeszcze nie nagrywamy.

– Czekam.

Wolant jest nadal blady, oczy ma podkrążone, jakby ktoś mu je obrysował karminową szminką. Ratownik podaje mu wodę. Nosze tak zablokował, że pacjent pół siedzi, pół leży pod kocem NRC. Chwast rozkłada przyścienne siedzisko. Posterunkowy stoi schylony i wciśnięty w kąt. Bardzo chciał wziąć udział w bezpośrednim pościgu za porywaczem Prezesa, ale psa mu wzięli, a jego zostawili. Nawet nie ośmielił się pisnąć. Tyłu ważnych ludzi co dzisiaj widział dotąd jedynie w telewizji. Prokurator

krajowy we własnej osobie, pułkownik ABW, podinspektor CBS... W Grajewie najstarszy rangą jest komendant powiatowy w stopniu komisarza. W prokuraturze w Białymstoku Tomasz Trepki był dotąd jeden raz, jako konwojent. W Warszawie zresztą też raz – kiedy jednostki z całego Mazowsza i Podlasia obstawiały trudny mecz Legia vs Jagiellonia. Może jak pani prokurator skończy słuchać frędzla, to jeszcze dołączą do akcji. Na razie Hanna Chwast spogląda na zegarek. Dawno minęła ósma. Pięć godzin od porwania – i nic.

– Słuchaj uważnie! Czy przypomniałeś sobie jakieś szczególne miejsce, do którego mógłby zmierzać Sztorm Szymon?

Czknęcie.

– Słyszysz mnie?! Pytam cię o miejsce.

– Nie przyp...! Nie przypomniałem sobie.

Sanitariusz o twarzy ofiary źle przeprowadzonej lobotomii instaluje kroplówkę: łączy wężyk z zaworem. Pacjent przebiega palcami po krawędzi noszy.

– Wojtuś... wypij tę wodę do końca. O tak. Ciepło pod kocem? Dobrze ci? Przeszła czkawka? Już nie boli nóżka? Nie chcesz wrócić na taboret? Nie chcesz znów kuksańca od pana sierżanta?

– Nie chcę.

– To gadaj, człowieku! Od początku. Gdzie poznałeś Sztorma?!

– Mona wam opowie.

– Dużo już powiedziała. Skonfrontujemy wasze wyjaśnienia. Masz mówić prawdę po prostu, nic więcej. Gdzie się poznaliście ze Sztormem?

Sanitariusz odbiera kubek, glukoza płynie do żyły, zastrzyk chyba już działa, bo źrenice pacjenta widocznie się powiększyły.

– Na grupie AntyKaczor. Na Dark Side.

- Utrwalanie!
- Nagrywam.
- Proszę powtórzyć nazwę tej witryny, którą pan wymienił.
- AntyKaczor. AnKar.
- Co Szymon Sztorm tam zamieszczał?
- To samo co wszyscy.
- Czyli?
- Linki do stron ze zdjęciami policyjnych szpicli.
- A jakieś własne treści?

– Pisał, że nie da się tego waszego zaciągu pokonać w normalny sposób, bo wy jesteście silni ludzkimi słabościami, kiepszczą, chujozą. – Ton Wolanta stał się nagle irytująco nosowy. Córka prokuratorki, gdy była nastolatką i zaczynała tak mówić, nazajutrz miała gripę. Ale tym razem to objaw innego procesu. Hanna Chwast już prowadziła śledztwa ze wspomaganiem. Wie, że służówki słuchanego ulegają w tej chwili szybkemu ukrwieniu. Zaraz się fajans otworzy jak podgrzany maż.

– Zmieniście wady w zalety, można pierdzieć przy stole i zbierać oklaski. Można mieć brudno w kroku, byleby zgodnie z linią. Zmieniacie ludzi w świnie, jak Kirke. Im większym jesteś Januszem, tym większy masz powód do chwały. Waszym symbolem nie powinien być orzeł, tylko kiełbasa z grilla.

– Krytykowaliście rzeczywistość społeczno-polityczną. Rozumiem. Panu się nie podoba imię Janusz, nie lubi pan kiełbasy, lubi pan wegańskie burgery i kiełki. Ale nie o tym mówimy. Chcę wiedzieć, jak się narodził plan porwania. Kto pierwszy podał pomysł?

- Najostrzejsze posty wstawiała Madonna99.
- Czyli osoba, o której mówił pan: Mona?

– Ona się wam nie pruje. Uciekła, tak? Robicie mnie w chuja?

– Przeciwnie. O niej nie musi pan mówić. Mnie interesuje, co pisał Szymon Sztorm. Co pisał na przykład o sobie? Wymieniał jakieś miejsca ze swojej przeszłości?

Słuchany otwiera usta, jakby zaraz miał ziewnąć. Odnosi wrażenie, że prokuratorka oddała się od niego razem z całym wnętrzem – z kroplówką, lampą i swymi sztuczkami. Jakby skun, którego wyjarał, był grubo przeżeniony. Zamyka oczy. Wymawia słowa odpowiedzi i trwa to całą wieczność. Rzecz w tym, że Szmer niczego o sobie nie pisał. Z początku słabo się udzielał na AntyKaczorze. Podobnie jak Wolant głównie obserwował. Pewnie siedział na kilku takich grupach. On sam też penetrował równolegle co najmniej trzy fora. W Dark Side przyjął nick Walet, na WhatsAppie miał inny.

Co do AntyKaczora – większość piszących przeklinała inwigilację, propagandę, partię, Straż Chrystusa, policję, komitet kontrolny i ten drugi, kościelno-rządowy, całą dyktaturę ciemniaków. Ludzie zamieszczali memy z wykrzywionymi złością gębami członków partii, wspominali mniej lub bardziej symboliczne rany odniesione pod aresztami i na Krakowskim Przedmieściu, wspominali ostre melanże z pałami, wklejali zdjęcia Szczęsnego, Millera i członków grupy Swata ucharakteryzowanych na partyzantów Che Guevary albo Czerwone Kosy. Sprawiali wrażenie studentów kosmetologii, którzy gubią drogę, nawet gdy jadą windą. Nie odróżnią Żwirki i Wigury od Żwirka i Muchomorka... Tymczasem Wolant, absolwent historii po Uniwersytecie Łódzkim, czytał Bakunina, Proudhona, teoretyków partyzantki miejskiej. Szczególnie lubił czytać o Holokauście w stanie ujarania. Zatrudniony w instytucie meteorologicznym przy przetwarzaniu danych – miał czas. Osiem godzin dziennie wklejał do tabel dane na temat ciśnienia i wiatru, szesnaście godzin spędzał wedle uznania.

Bez stałego partnera, bez oszczędności, do klubów gejowskich nie chodził, bo od kiedy wszystkie mu znane zeszły do podziemia, zrobiło się niebezpiecznie. W zeszłym roku poszedł raz i dwaj naćpani chcieli mu pociąć twarz. Więc już wolał siedzieć w wynajętym pokoju, ze stosami używanych książek, które kupował w sieci, i z osiemdziesięcioletnią emerytką, po której trzeba było wietrzyć ich wspólną łazienkę. Dzielił dobę na pracę, czas spędzony w necie, lektury, incydentalny onanizm, janie, wyciskanie pryszczki, na które nie pomagały żadne leki, i sen. Wysypiał się do syta, nikt do niego nie dzwonił i on nie dzwonił do nikogo prócz swego dilerka.

Po wczesnej śmierci ojca, który dużo pił i rozłożył na łopatki cztery kolejne biznesy, matka – ścigana przez komorników – wyjechała do Anglii pracować w sortowni. Tyle się widzieli. Podobnie jak stary, nigdy nie zaakceptowała orientacji syna. Zerwanie kontaktów chyba jej ulżyło. Wojciech próbował sam siebie przekonać, że jemu ulżyło tak samo – ale to nieprawda. Tęsknił za mamą i tęskni do tej chwili. Często mu się śni i – co ciekawe – przyjmuje postacie różnych kobiet o różnej figurze, różnych kolorach włosów i jeszcze w różnym wieku. Ale to ona. Mama. Gdy Wolant myśli o sobie dobrze, co zdarza się nieczęsto – bo i powodów po temu jest mało – od razu wypływa na wierzch myśl: czy matka by doceniła?

Gdzieś tak w sierpniu, pod koniec, zwrócił uwagę na konto Madonna99. Osoba je prowadząca pisała o demokracji deliberacyjnej, o panelach obywatelskich jako formie władzy, o aktach nieposłuszeństwa, o Czerwonych Wdowach. Chwaliła aktywistów Extinction Rebellion, którzy wywołali katastrofę w niemieckiej kopalni, by ocalić las Hambach. A wszystko to w kontekście miłości Zwycięskiej Prawicy do węgla. Potem – ni stąd, ni zowąd – podlinkowała na AntyKaczorze tekst o porwaniu Hannsa Martina Schleyera przez ludzi z drugiej generacji

Frakcji Czerwonej Armii. Skurwysyn był nazistą, podporucznikiem SS, należał do NSDAP i ani się z tym nie krył, ani nie przeszkadzało mu to w karierze po wojnie. Komando RAF zaczęło się na niego w Kolonii, w willowej dzielnicy Braunsfeld. Podziurawili ochronę, a jego schowali, żeby wymienić potem za kolegów w pierdlach. Tekst o Schleyerze był długi, ilustrowany zdjęciami, gdy Wolant czytał, miał dreszcze.

W całej grupie AnKar – takiego używali skrótów na AntyKaczora – było może pięć osób kojarzących, o co w ogóle chodzi, po co Madonna to linkuje i co RAF ma wspólnego z obecną sytuacją. Poza nim samym do tekstu sensownie się odniosły (o ile to były kobiety) KonsTytucJa26, ZłaZmiana i na koniec, bodajże po dwóch dniach, jakiś Szmer. Napisał, że porwanie miało przynieść wolność trójce żołnierzy Frakcji – Baaderowi, Raspemu i Ensslin. A skończyło się dla nich zbiorowym samobójstwem. „Partia też nikogo z więzienia nie wypuści. A już na pewno nie Swata i jego ekipę. Wszyscy, co dostali wyroki za Krakowskie, za areszty, za przesyłki... odsiedzą swoje do ostatniego dnia albo wyjadą nogami do przodu. Bo partia się nie cofa”.

Wystarczy chyba wspomnieć głodówkę Millera... – pisał dalej. – Pozwolili mu umrzeć, jak Thatcher Bobby’emu Sandsowi – i co? Gównu! Poparcie dla partii nie spadło. „Kiedy delfin po setnym piruecie nie dostaje ryby – wymyśla inną sztukę”.

Madonna zapytała: „Co do sztuki – zgoda. Co do poparcia – skąd wiesz, czy nie spadło, skoro już nie ma uczciwych sondaży?”.

Wolant – jako Walet – dopisał się pod jej postem. Był już upalony i zebrało mu się – jako subskrybentowi kanału obywatelskiego – na nieco naiwne stwierdzenie: „Jebać kłamliwe sondaże, są jeszcze ostatnie media, które by doceniły spektakularny czyn”.

Madonna szybko odpisała. Sens wpisu był taki, że „czyn” jest absolutnie niezbędny. Bo samo publikowanie treści w nadziei, że ludzie się ockną, że młodzi, nowi czy lepsi zakwestionują system – to wszystko totalna ułuda. Młodzi grają w Mutanty z Czarnobylią i póki działa internet, nie ruszą się od klawiatur. A fora, jak AnKar czy A.C.A.B. i te wolne witryny, co jeszcze zostały, to dla dyktatury wygodny listek figowy i powód do ubawu w prawicowej bani. „Proszę, zobaczcie, jak nas krytykują. Schizofrenia, kłamliwa histeria czy obłąd?”

Nie przypadek – pisała – że telewizje pokazują co mocniejsze memy i cytują wpisy. Mogą dzięki temu przekonywać naród, że tacy są wrogowie: hejterzy, co kiszą nienawiść w zakamarkach sieci. Marksistowskie trolle, dzieci saloniarzy na żołdzie lewackich fundacji z centralą w Brukseli. Złośliwi malkontenci, co nie widzą oczywistych osiągnięć narodu. „Mówią o nas, że jesteśmy w stanie tylko wylewać żółć w necie, a my to potwierdzamy, bo tacy się stajemy: niczym stare baby z Komitetu Obrony Demokracji czy innego gówna”.

Ostatnie zdanie Mony zabrzmiało w głowie Wolanta jak sygnał do wsiadanego: „Czas przestać pierdolić i coś wreszcie zrobić”.

Żeby nie było wątpliwości, wkleiła pod tym zdaniem artykuł o zastrzeleniu prokuratora generalnego Bubacka przez dwójkę żołnierzy RAF-u. Przetłumaczony tłumaczem tekst kończył się słowami: „zabójstwo zachwiało wizerunkiem kraju cudu gospodarczego, odsłoniło oblicze PRAWDZIWYCH KONFLIKTÓW, które targały społeczeństwem”.

Szmer wstawił pod spodem dwuzdaniowy komentarz: „Trzeba odsłonić oblicze PRAWDZIWYCH KONFLIKTÓW – zgoda. Po pierwsze: konflikt między kłamstwem a prawdą, po drugie – między wolnością a pragnieniem zemsty”.

ZłaZmiana dopisała: „Wybijmy dziurę w pisance, żeby się ludzie przekonali, jak to wewnątrz cuchnie”.

KonsTytucJa26 spytała: „Kto gotów wybijać?”.

Wolant obracał w głowie jej pytanie przez resztę wieczoru. Dalej jarał zioło i oglądał dokument o porwaniu Moro. Przekleił na AnKar definicję zamachu strategicznego w ujęciu brygadierów – Curcia i Cagol. Oczywiście starał się przekręcać słowa, które wychwyciłby system. Nawet hostowana w rozproszeniu witryna Dark Side – teoretycznie odłamek freenetu – jest czesana przez skanery KOMTiZ-y, a od czasu umowy *Shield* – także przez nowy Echelon. Dlatego nie pisał „zamach”, tylko „ruch”, nie „strategia”, lecz „linia”, nie „atak”, tylko „gest”. Generalnie starał się używać słów maksymalnie nijakich. W efekcie definicja zabrzmiała bełkotliwie, ale Szmer skumał, w czym rzecz. Wkleił nazajutrz fragment starszej odezwy Curcia: jak celnym aktem wywołać antagonizm pomiędzy ludźmi, biznesem a rządem. Od siebie dopisał, że tak samo tam wtedy, jak tutaj i teraz Kościół szczuje przeciw myślącym inaczej, a neofaszyści napierdalają ludzi po ulicach. Różnica taka, że tamci biegali ze swastykami i różgami liktorów, a ci latają ze świaszczycą, celtami, toporłami i wilczymi hakami. Narodowe nabożki łamią kości studentom z Bangladeszu, co jeżdżą na DoorDash, podpalają ukraińskie kwatery, jak ostatnio przy zakładach pod Łomżą. Robią coraz gorsze świństwa, lecz władza ściga wyłącznie wrogów partii. Tak samo wtedy, jak teraz system promuje spermożerców, korumpuje maluczkich, depce nieprawomyślnych, a radio i telewizja kłamią, szczują i kadzą. Dlatego akt lub gest czy ruch jest tak bardzo konieczny.

Madonna99 dopisała wieczorem: „Trzeba się ruszyć jeszcze przed wyborami, bo potem dokręcą śrubę tak, że już się nie połączymy. Kto jest

gotów, musi zmienić miejsce, tu są karaluchy. Nowy adres: piąte i szóste słowo za horyzontem. Szukajcie demokracji”.

12. Rozdział, który wyjaśnia, jak się zawiązała Akcja Demokracja

Wojciech Wolant, pseudonim Walet, w realu znerwicowany singiel z kiepską pensją, w marzeniach rewolucjonista, o którego czynach matka jeszcze się dowie, oczywiście odgadł intencje Madonny. Niezależnie od wstrzykiwanego, gdzie się tylko da, Pegasusa, od KOMTIZ-y i od trzeciej generacji Echelona, również wędkarze – ludzie z krwi i kości – siedzą na AntyKaczorze, na A.C.A.B. i innych tego typu forach ukryci pod antypartyjnymi nickami. Kalambur Mony miał skurwysynów odsiać. Tak samo jak i niekminiących oraz wszelkiej maści przegrywów, co tylko biją pianę. Bo komu chciałoby się zgadywać, czym jest „piąte i szóste”, skoro nawet nie wiadomo, do czego zagadka prowadzi, jaka będzie nagroda i czy w ogóle jest przewidziana?

Myślał o tym przez cały następny dzień, który się zaczął od tego, że gdy wstawał z wyra, była już czternasta. Myślał o tym w pralni przy Krzyżu Smoleńskim, gdzie zaniósł – po trzech miesiącach – poszarzałą, zaplamioną pościel. Myślał podczas wieczornego dyżuru w meteo. Doszedł do wniosku, że „horyzont” oznacza znany mu ze słyszenia EventHorizon, który odgrywa w darknecie tę rolę co Facebook czy Pengyou u lamerów. Ale o co biega z tym „piątym i szóstym słowem”? Próbował odgadnąć myśli zadającej zagadkę. Zastanawiał się, jaką wiedzę, której w mniemaniu

Madonny99 brakuje wędkarzom, mają szczyrzy wrogowie reżimu. Rozważał nawet poproszenie jej o wskazówkę, lecz gdy nad ranem wrócił do pokoju i włączył maszynę, okazało się, że Madonna zniknęła z Dark Side. Pokasowała wpisy. Przeniosła się do miejsca, gdzie nie ma karaluchów. Wraz z nią znikły konta Szmera, ZłejZmiany i KonsTytucJi. Co mogło znaczyć, na przykład, że rozwiązali zadanie. Wolant też – przed zaśnięciem pod wreszcie wypraną pościelą – skasował aktywność Waleta.

Odpowiedź przyszła mu do głowy, a właściwie w niej była, gdy się obudził w południe. Znów śniła mu się mama. Pomagał jej rozwiązać problem. We śnie ten problem był – jak to w snach – niedookreślony, ale rozwiązanie wymagało od niego sprytu, hartu i odwagi. Na koniec matka już miała być z niego dumna, ale pojawiła się ostatnia przeszkoda. By ją pokonać, wędrował po ulicach Łodzi – po Lipowej, Łąkowej, Struga, Żeromskiego – i czegoś tam szukał. Nie znalazł. Zamiast tego odkrył olbrzymie jajo z czekolady, mama mu takie kupowała, kiedy miał trzy lata. A w jajku – niespodzianka: proste rozwiązanie zagadki „piątego i szóstego”. To było bodajże dwa i pół roku temu, gdy istniały jeszcze jakieś niezależne od rządu telewizje, była ostatnia gazeta. Kaczor dyktator odpowiadał w studiu na pytania słuchaczy online. Dodzwonił się młody chłopak, nigdy go nie namierzyli. Zaczął grzecznie, jak wcześniejsi słuchacze: „Mam tylko jedno pytanie do pana doktora premiera Prezesa: kiedy wreszcie zdechniesz, pierdolony dziadzie, ramolu...”. Na tym go odcięli. Ale „sześć słów do szefa PiS” zrobiło krótką karierę w kilku sieciowych bańkach. Pojawiły się nawet na murach – przynajmniej na Bałutach, ale też na Widzewie – mazane w pośpiechu napisy: „KIEDY WRESZCIE?” albo „K.W.Z.P.D.R.?”. Pały ganiały malarzy, sądy ich często puszczały, bo to było jeszcze w czasach chaosu prawnego, jeszcze przed ustawą o politerrorze.

Piąty wyraz: „dziad”. Szósty wyraz: „ramol”. Reszta poszła gładko. Profil na Horyzoncie nazywał się właśnie w ten sposób: Dziad Ramol. Madonna99 zrobiła to tak, że nie wzbudziłyby zainteresowania polskiego wędkarza, nawet gdyby go znalazł. Na wallu, z wierzchu, wszystko po angielsku: jakieś farmazony, złote myśli, życzenia, stockowe zdjęcia z Tajlandii. Pod nimi masa dingbadów, serduszek, kotków, głupich odzywek, pierdołów. Walet otwierał wyrywkowo odpowiedzi, riposty i odpowiedzi na nie, aż otworzył sezam pod hasłem Akcja Demokracja. Przeczucie go nie myliło: Szmer, KonsTytucJa26 i oczywiście Madonna99 już tu dawno byli. Poczul się kurewsko dumny, że dotarł. Poczul, że znalazł zgubę, której szukał we śnie na Lipowej, Łąkowej i Struga. Poczul się wybrany i gotów do działania. Opanowało go coś w rodzaju manii, która trwała do dziś – do momentu, gdy Szmer powiedział o Monie: „ona nie jest już z nami”. Od tej chwili zaczął się czegoś bać. Ten strach w nim teraz fermentuje. Ma pewnie coś wspólnego ze środkiem, który mu wstrzyknęły przekurwy, jednak najgłębszym źródłem jest niepewność tego, co się już zdarzyło. Chemia to tylko katalizator paniki.

– W sierpniu mieliśmy czteroosobowe forum na Horizonie... – Odgłos własnych słów wydaje mu się obcy, to pewnie przez zapchany śluzem nos i przytkane uszy.

Prokuratorka pyta, kim była ta czwarta osoba.

– Nie wiem. KonsTytucJa to tylko nick. Mogła być każdym. Facetem albo i Ruskiem. Na Dark Side i na Horyzoncie każdy post idzie przez program maskujący. Żaden problem ustawić język konwersacji.

– Ale coś przecież ta osoba pisała. Z jakiego była miasta? – Głos Hanny Chwast brzmi jak dworcowy komunikat o czterogodzinnym spóźnieniu pociągu. Nie wiadomo skąd właściwie dochodzi.

– Pisała albo pisał. Miasta nie znam.

– O czym pisaliście?

– Wpierw mieliśmy zajawkę na Czerwone Brygady, na Akcję Bezpośrednią, na IRA, na Basków i polskie grupy walczące w dwudziestym wieku. Florian Kruszyk, bracia Kowalczykowie, Jaros...

– Kto?

– Próbował wysadzić Gomułkę z Chruszczowem.

– Planowaliście zamach bombowy?

– Po prostu analizowaliśmy akcje i później efekty. Jaki gest byłby dla reżimu najbardziej bolesny.

– Co pisał Szymon Sztorm?

– Że akt fizyczny... jest raczej bez sensu. Szczęśny się podpalił, Miller się zagłodził, a Swat okaleczył przypadkowych ludzi. Zła droga. „Trzeba wyjść z komunikatem, a nie z dy-lala-mitem”. Tak pisał. Też tak uważałem.

Już wówczas zaczął sobie wyobrażać Szmera. Zgadł od razu, że to ktoś starszy od niego. Inteligentny – szło poznać po wpisach. Zaczął fantazjować o dwóch partyzantach. Walet i Szmer; Szmer i Walet. No i jeszcze dziewczyny – Madonna99 i KonsTytucJa26 jako ich towarzyszki. Zwiadowczynie. A oni dwaj – każdy jak Likwidator z komiksów, na których się wychował – rozpierdalają kruchcianą tyranie, reżim prawoskrętnych kutasów i śliskich katabasów. Achilles i Patroklos, Batman i Robin, Han Solo i Chewbacca, Frodo i Samwise, Chudy i Buzz.

– Czy w tekstach Sztorma pojawiały się jakieś nazwy miejscowości?

– Już mnie pytaliście.

– Pojawiały czy nie pojawiały?

– Belfast, Bilbao...

– Z polskich!

– Lubawa.

– Dlaczego?

– Tam złapaliście Swata. Szmer pisał, że jego wpadka powinna być dla nas nauką. Żadnych komórek. I jeszcze, że Horizon też nie jest całkiem bezpieczny. Mona zaproponowała, żebyśmy się w takim razie spotkali w realu. Bo my przecież dotąd tylko swoje nicki znaleźliśmy i każdy mógł być każdym. Trollem albo Pigmejem. Mówiłem.

– Czy poza Lubawą w całej korespondencji od Szymona Sztorma padła jakaś inna nazwa miejscowości w Polsce?

– Łomża. A potem, już dzisiaj, rozmawialiśmy jeszcze o różnych miejscowościach. Ale bez związku z Prezesem. Wymienialiśmy uwagi na temat historii.

13. Rozdział, podczas którego sztab kryzysowy ogląda transmisję z komórki porywaczy

Po drugie: odebraliście ludziom wolność. Zadusiliście niezależne organizacje...

– Nadają na żywo? – Premier Patrycja Pacyna trzyma się za złoty krzyż na szyi. Jest szczerze przerażona, tak jakby ktoś jej kazał obciągnąć bezdomnemu.

Minister Korny odpowiada cicho:

– Wydaje się, że na żywo.

Amatorski film na ścianie sali sytuacyjnej jest o ćwierć sekundy opóźniony w stosunku do projekcji z ekranu laptopa prokuratora generalnego Filuta. Obraz niesamowity, niewiarygodny, absurdalny – scena jak z wiadomości CNN. Sąd kapturowy, trybunał rewolucyjny, akcja terrorystyczna ze Strefy Gazy... różne można mieć skojarzenia. Ministrowi przypomina się ścięcie Daniela Pearlą przez Szejka Mohammada. Fakt, że to się dzieje naprawdę, tu i dzisiaj – w Polsce – ma w sobie zarazem jakąś niedorzeczność i mroczną doniosłość. Porwali Prezesa i teraz go sądzą. To głupie, szczeniackie, absurdalne, ale się zdarzyło. Zaplanowali porwanie, przygotowali sobie salę i transmitują ten antypolski teatr. Jakkolwiek się dzień nie zakończy (a Korny żywi nadzieję, że jako jeden z nielicznych zna

finał), wszyscy troje zostaną zapamiętani na długo. Ryszard Cyba i Paweł Wilmont byli palantami, którym telewizje namieszały w głowach. Seweryn Swat chyba też nie do końca rozumiał, co czyni, chociaż biegli orzekli pełną poczytalność i dostał dożywocie. Tu mamy akt terroru z wyższego poziomu. Rozpoznanie, przygotowanie, organizacja, współdziałanie. Musieli się odnaleźć, zebrać, zaplanować kolejne ruchy – i nikt im nie przeszkodził.

Patrycja Pacyna zwana Packą wie, że ministrowie jej własnego rządu mają ją za kretynkę, ale sama się za takową nie uważa. Jest po prostu zwykłą, może poza tym, że wysoka i ogólnie duża, choć jeszcze nie roztyta. Ma prawie pięćdziesiątkę, lubi polskie kabarety, żółty kolor i ciasto z rodzynkami. Było jej w życiu ciężko, samotnie wychowała niepełnosprawną córkę, jednocześnie zrobiła technikum gastronomiczne, dalsze szczeble edukacji przeskoczyła już jako konfederatka, ale gdyby nie przypadkowe spotkanie z Prezesem, skończyłaby karierę na stanowisku wiceprezeski Ochotniczej Straży Pożarnej w gminie Siekieluki. Wpadli na siebie z Naczelnikiem podczas radomskiej konwencji Zwycięskiej Prawicy, on ją pocałował w rękę, ona opowiedziała, jakim drogowskazem był dla niej, jak go uwielbiała jeszcze przed przejęciem władzy i jak nadal uwielbia. Dostała ósme – niebiorące – miejsce na liście do Sejmu, ale z poparciem Ojca Dyrektora – którego też ubóstwia – zdobyła najpierw mandat, potem nominację. Jest jasne, że Prezes chciał przez jej osobę zrównoważyć wpływy fałszywców z Jednej Polski, potrzebował też kogoś, kto się będzie słuchał i nie zawaha donieść. A ona mogłaby sobie nad biurkiem zawiesić hasło *Meine Ehre heißt Treue*, gdyby nie to, że o nim nie słyszała. Jednak nawet krytycy, którzy powiadają, że dla Kaczafiego zeżarłaby czorsty z cygańskiego knuta, muszą Pacce oddać, że jest pracowita; przychodzi do kancelarii przed siódmą, pracuje do dziewiątej

wieczór, a często i dłużej, w teczce do podpisu nie piętrzą się zaległości, z przywilejów korzysta, ale bez przesady. Jak dotąd, dzięki Bogu i Najświętszej Pannie, los oszczędził jej gabinetowi eksplozji wulkanów. Po wypadkach na Krakowskim Przedmieściu, zwycięstwie nad sądami, po śmierci Millera i skazaniu Swata wrogowie Zwycięskiej Prawicy jakby stracili impet. Hyclowa i jej grupki umościli się w dupie (to cytata z marszałka Piotra) i gdyby nie gospodarka, wszystko byłoby dobrze. Aż do ostatnich miesięcy, gdy pojawiły się plotki, że coś nie tak z sondażami. Ale to były pogłoski, a teraz jest armagedon, siły zła atakują. Jak wróżył Ojciec Dyrektor, gdy mówił, że Szatan się wziął na Polskę i tylko szuka miejsca, w które by uderzyć. Uderzyli wprost w serce narodu. Sporządzili jakiś niedorzeczny niby-akt oskarżenia i teraz czytają.

Zestaw bredni dzielony na podpunkty.

Prokurator generalny Filut myśli w tej chwili o tym samym co Packa. Porwali Prezesa pomimo KOMTiZ-y, rejestru alertów, Echelona, tysięcy etatów w policji politycznej. Mimo ustawy o politerrorze, której powstanie można teraz przedstawić jako profetyczne. Partia miała rację i ma rację. Ten bezprzykładowy akt bandytyzmu jest najlepszym dowodem. Wolne wybory – owszem, ale tym ludziom nie można oddać władzy. Cały ten antypolski blok z Hyclową na czele uległ degeneracji i tu już nawet nie chodzi o poglądy. To są po prostu źli ludzie. Ojciec Dyrektor słusznie diagnozuje, że diabeł ich opętał. Wystarczy posłuchać:

Zastraszacie ostatnie niezależne organy, niszczyicie tkankę społeczną wszelkimi sposobami, pompujecie pieniądze w pseudopatriotyczne szczujnie, ochraniacie łobuzów, którzy bezkarnie linczują ludzi, a tłumy przyklaskują, bo już odczłowieczyliście grupy mniejszościowe, obrońców wolności i wszystkich, co się ośmielają...

Jakość transmisji jest średnia, ale zdania można zrozumieć. Streamują zapewne z telefonu, kadr obejmuje trzy zamaskowane postacie i ich podsądny w pustym pomieszczeniu bez cech charakterystycznych. Obdrapane ściany, raczej wysokie, bo stropu nie widać. To nie jest mieszkanie, dom czy piwnica. Prędzej nieczynny magazyn, opuszczona stajnia. A już na pewno nie jest to miejsce w lesie, do którego dojeżdża grupa realizacyjna prokurator Chwast. Tam nie ma przecież żadnego budynku; zdjęcie satelitarne jasno pokazało – tylko drzewa i łąka lub bagno.

Po trzecie: stworzyliście państwo prywatne, gdzie nie ma granicy między partią i aparatem przymusu. Najpierw była ustawa o wirusie, a potem poszło z góry. Ustawa o prokuraturze, ustawa o policji, ustawa o zapobieganiu, o politycznym terrorze, KOMTIZ-a, inwigilacja w Orwellowskim stylu. Pobór do wojska stał się metodą represji, jak w Czarnej Afryce. Policja i inne służby na usługach Kościoła i władzy, swoi kontrolują swoich i swoich wspierają. Kumoterstwo nikogo już nie dziwi, nepotyzm jest normą, ojciec w ministerstwie, syn w spółce państwowej, synowa w funduszu, kochanka w urzędzie wojewódzkim albo marszałkowskim...

Prezes siedzi w płaszczu na składanym taborecie *vis-à-vis* przestępców. Sterroryzowany, przykuty za nogę, jak pierwszy lepszy zbój. Tamci troje – w policyjnych mundurach i czarnych kominiarkach – ciasno za stolikiem, takim przenośnym pulpitem. Maski kobiety, której płęć zdradza tylko drobna budowa ciała i głos, jest halloweenowym gadżetem z wizerunkiem śmierci. Tyle że z otworów w trupiej czaszce patrzą żywe oczy.

Poziom korupcji doszedł do pułapu jak z państwa upadłego. Afera srebrnych wież, afera w Ka-en-efie, afera w Czerwonym Krzyżu, afera samolotowa, afera z działkami premiera, afera hejterska, afera Fundacji

Narodowej, afera inwigilacyjna, afera Banasia, afera Misiewicza, afera w żandarmerii, afera Pegasusa, afera agenta Tomka, afera wyborów kopertowych, afera z maseczkami i respiratorami, afera partyjnych majciarzy... można tak wymieniać. Partiokracja, perspektywy wyłącznie dla posłusznych, nierówność wobec prawa, upolitycznienie prokuratury, która nie bada afer, tylko umarza śledztwa, za to aktywnie zwalcza wszelką nieprawomyślność.

Po czwarte: zapędziliście kobiety do kuchni, rozrodu i kruchty. W imię pronatalistycznego nacjonalizmu upaństwowiliście nam brzuchy. Odwróciliście sto lat rozwoju społecznego i cofacie dalej...

– Czy możemy przerwać?

– Wolna Europa podlega prawu niemieckiemu.

– Prawo niemieckie, ale transmisja z Polski.

– Chyba że przejechali na przykład na Litwę, nim wszczęliśmy kontrole. Z Kluchów do Druskiennik, jak pojedziesz tak ze sto pięćdziesiąt, jest godzina jazdy, dwie może...

Po piąte: niszcycie planetę, wycinacie drzewa, popieracie kopalnie i węgiel, przedstawiacie ekologię jako sprzeczną z Biblią, żeby mieszać w głowach. Wasz błazen z Torunia mówi, że obrońca przyrody to folksdojcz, a zarazem wyłudza dotacje na ekociepłownię, w której pali gazem za nasze pieniądze...

– Pytam, czy możemy zatrzymać to gówno! – Pacyna nigdy wcześniej nie krzyczała na prokuratora, tym bardziej na szefa policji. Ale obrażanie Ojca Dyrektora to już szczyt wszystkiego. – Możemy czy nie możemy?! Jesteście, do jasnej anielki, prawnicy.

Generał Tajner i poseł Cyganiak mieliby niezły ubaw, ale coś go psuje. Policja dała dupy w błocie na kolanach i szef MSW nie powinien mieć tak

pewnej mordy, lecz ten stoi prosto, brzuch wypiął, ręce założył z tyłu, jakby miał wszystko pod sobą. Jak to logicznie wyjaśnić?

– Pytałam was o coś! – Z podnieconej Pacyny wychodzi przekupa, którą w istocie jest. Po tym, gdy Prezes postanowił nią zrównać wpływy Powolnego, Filuta i reszty, ministrowie najpierw się cieszyli. Za plecami kretyнки łatwiej kręcić lody – i to się, faktycznie, sprawdziło. Homeostazę w stadzie utrzymywali z jednej strony Mecenas-Kamienicznik a z drugiej Tamir Tajner jako wiceszef komitetu wspólnego. Pierwszy Policjant zbierał haki na konfederatów, czyli konfidentów. Generał – na jednopolaków. Korny zebrał tych haków więcej, lecz Tajner znalazł lepsze.

– Przede wszystkim: nie chcemy tego zatrzymywać. – Zwraca się do Pacyny. – Prezes jest cały i zdrowy...

– Ale ja widzę pistolet.

Faktycznie: na blacie przed porywaczami leży glock siedemnastka.

– Zgadzam się z generałem, żeby nie przerywać. Prokurator Chwast z grupą będą za dwie minuty... – Filut od oglądania dostał wypieków na szyi. Przy swojej zawrotnej karierze partyjnej co rano pyta siebie: czy aby nie sen? Czy naprawdę jestem ministrem prokuratorem? Czy ten świat, w którym mam służbowego lexusa, kartę z niebotycznym limitem i dwustumetrowe mieszkanie – to na pewno real? Czerwony od grdyki po uszy odebrał telefon i podnosi rękę, jakby zamawiał sushi. – Zaraz zatrzymanie!

Konrad Mecenas Korny lekko kręci głową. Gównno zobaczysz, chuju. Nadzieja błysnięcia w historycznej chwili kompletnie cię zamroczyła. Myślisz sobie, kundlu: *veni, vidi, vici*. A cała reszta zebranych widzi, że w różowym okręgu nie ma żadnego miejsca, gdzie mógłby się odbywać ten absurdalny sąd. Tylko nikt nie chce wyprowadzić cię z błędu. Każdy chętnie obejrzy za moment twoją zdziwioną jaźwę. Nawet koledzy z partii.

– Po koronawirusie ogłosiliście, że wasz rząd cieszy się poparciem Boga, a kto się z nim nie zgadza – ten od złego pochodzi, jak mówi wasz idol z Torunia. Wspólnie ogłosiliście, że kto jest wrogiem władzy, ten jest wrogiem Polski. Odhumanizowaliście przeciwników, mniejszości, skłóćacie nas z sąsiadami. Wyłącznie z powodu waszej polityki Polska traci miliardy i straci jeszcze więcej...

Wyższy i chudszy z dwóch zamaskowanych łbów to zapewne ów Sztorm, który patrzy na zebranych z portretu pamięciowego i zdjęcia. Okulary odznaczają się pod kominiarką, lewa ręka dotyka rękojeści glocka. Policyjny mundur wisi na nim jak na ofierze eksperymentów, dłoń dostrzegalnie drży. Niższy, też zdenerwowany, przebiega palcami po krawędzi stołu, wierci się, jakby miał w dupie owsiki. Nic dziwnego, że się skurwysyny trzęsą. Jak można tak kłamać? Boże, widzisz i nie grzmisz... Ciekawe: czy to gównem wypocili wspólnie, czy ktoś im napisał? Kobieta w środku czyta:

– Po szóste: doprowadziliście ludzi do aktów desperacji, w wyniku których tracą i zdrowie, i życie. Wywołaliście sztuczną panikę w kwestii bezpieczeństwa, żeby założyć kaganiec na kolejne grupy. Chiński wirus wam pomógł. Przepchnęliście butem najbardziej represyjne ustawy w Europie, a teraz zatrzymujecie ludzi za poglądy, konfiskujecie majątki pod pozorem przestępstw, partia pilnuje dyspozycyjnej policji, a policja ochrania partię...

– Przecież oni pieprzą w kółko o tym samym! – Premierka patrzy na posła, który uchodzi wśród konfederatów za specja od przekazu. – Ktoś to w ogóle oprócz nas ogląda?

– Na dole jest liczba wyświetleń online.

– Dziewięćset trzydzieści osiem osób?

– Podają w tysiącach. Już dziewięćset czterdzieści...

– I nie chcemy przerwać?

– Zgadzam się z generałem i z prokuratorem. – Cyganiak posyła Filutowi fałszywy półukłon. – Niech ludzie posłuchają tego psiego bełkotu. Co to znaczy, że partia konfiskuje mienie? Komu skonfiskowano?! Wyłącznie gangsterom! Kogo aresztowano za poglądy?! To są kosmiczne brednie, majaki półgłówków. Sami się kompromitują, imbecyle... Powinniśmy puszczać ten ich knajacki teatr, co ja mówię: teatr... ten cyrk pojechańców... we wszystkich programach. Od razu! Nie czekać na *Wiadomości*. Niech ludzie czym prędzej zobaczą hałastę, polityczną żulię...

Pacyna zaczyna rozumieć. Oby nie za wiele. Palce wciąż na krzyżyku. Teraz przemawia niższy bandzior, ten bębniący po stole. Nie czyta z kartki. Ulewa mu się wprost z pustej czachy:

– *Czujemy się od lat jak zwierzyzna. W parku Helenów naziolę spalili chłopaka. Nie dalej jak w lipcu, może pan prezes słyszał? Jego krew was obciąża, tak jak śmierć Szczęsnego, Millera, jak napady faszystów na Tolerolę i na Pozytywkę, jak ofiary policji z Konina, Zawiercia... Dlaczego dziewczyna ze Słupska rzuciła się przez okno, kiedy po nią przyszli? Bo wasza metoda to wsadzić do celi, z której wyjdiesz kaleką, jeśli w ogóle wyjdiesz, i ludzie to wiedzą...*

Liczba odsłon przebija milion i rośnie. Mniej więcej tysiąc wejść na sekundę. Nie trzeba nawet dzwonić do prezesa TV; jak tak dalej pójdzie, wkrótce cały naród będzie oglądał szopkę. Tajner i Cyganiak patrzą na Kornego. Ten odszedł do kąta, zasłonił usta dłonią i briefuje telefonicznie Łukasza Łajdusa. Podaje mu dwa nazwiska: ministra Gładkiego i właśnie Cyganiaka. Po rozmowie omiata posła wzrokiem, którym entomolodzy patrzą na insekty. Cygan jak przyszpilony. Trudno mu znieść to spojrzenie, odciąga więc uwagę Kornego, wskazując na Filuta, który – także z komórką

przy uchu – zaczyna się właśnie zapadać wewnątrz garnituru. Wcześniej czerwony z emocji, teraz zrobił się blady, pocięty zmarszczkami, jakby go poddawano postarzaniu FaceApp.

– Tam jest pu-sty ra-dio-wóz – sylabizuje i chyba nie do końca rozumie, co mówi. – W środku laska Prezesa i aktówka, chyba też jego. I okulary. Ale bandytów nie ma. Zła lokalizacja.

– Lokalizacja dobra... – Pierwszy Policjant ma ochotę dodać: „...tylko tyś jest durniem”. – Oddaj mi telefon!

Gest nie pozostawia miejsca na opory. Filut podaje komórkę.

– Rozmawiam z panią prokurator Chwast? Konrad Korny z tej strony. Proszę nam zrelacjonować, co tam zastaliście...

Tamir Tajner korzysta z okazji, wychodzi. Sierżant Majdan zamyka za nim drzwi.

14. Rozdział, w którym już wiadomo, że akcja nie idzie zgodnie z planem

W pustej ubikacji generał wyjmuje z kieszeni zakłócacz niewiele większy od pendrive'a i nawet trochę podobny. Włącza urządzenie. Potem wybiera numer Murzyńskiego. Ze słuchawką przy uchu patrzy na zegarek – dwadzieścia cztery po szóstej.

– Jestem! – Pułkownik odbiera natychmiast.

– To wjedź w nich, bo dosyć się napopisywali.

– Gdzie mam wjeżdżać?

– Czy wy, do chuja farmazona, śpicie? – Ton Tamira Tajnera jest pozornie spokojny, ale wszystko w nim kipi. – Zaczął się streaming, wreszcie!

– Gdzie?

– W dupie! Na Wolnej Europie. A gdzie?

– Tu nie ma dobrego zasięgu... nawet teraz przerywa... i nie przyjechali! – Pułkownik wysiada z dodge'a, zaczyna wchodzić na to samo porośnięte starymi sosnami wzniesienie, z którego dzwonił sierżant, gdy pomylił numer.

– Jak to, kurwa, nie przyjechali?! Przecież streamują od piętnastu minut!

– Ale nie stąd. Krótka wróciła z Kluchów. I nigdzie ich nie ma. Ani w lesie, ani na szosie...

Generał, stojąc przed lustrem, patrzy sobie w oczy. To mu się zwykle pomagało skupić. W dwa tysiące szesnastym założył z dwoma wspólnikami szkołę dla Ukraińców. Wyższą. Studenci wpłacali czesne, dostawali zezwolenia na pobyt, reszta była nieważna. Maszyna się kręciła. Był z tego potężny sos. A potrzeby rosły. Dwie córki na drogich koledżach w Ameryce, willa na Mokotowie, ekskluzywny kochanek artysta, inwestycje w akcje i unikatowe zegary (które zawsze go fascynowały) – to miało swoją cenę. Niestety wspólnicy okazali się zwykłymi chujami do szczania. Pięć lat po otwarciu szkoły saldo interesu wyniosło minus pięć. W milionach. Tymczasem starsza córka zaczęła karierę aktorską, przez co dopłacał do niej taczkami dolarów. Próbował na różne sposoby utrzymać się na powierzchni i odwlec, co nieuchronne, ale nie było to łatwe. Szczęściem nominacja na szefa abwery, a potem współprzewodniczenie komitetowi kontroli (i co za tym idzie, stały dostęp do ucha Patrycji Pacyny) stworzyły mu przestrzeń manewru. Zaczął robić machloje. Musiał, bo po pierwsze, większość jego długu kupili bardzo źli ludzie, którzy narzucili mordercze odsetki. Po drugie, za sprawą Kornego, z którym jeszcze nie uregulował rachunków, żona się dowiedziała, że Tamir ma faceta. Musiał więc oddać willę. Potrzebował drugiej.

A tymczasem Mecenas-Kamienicznik i jego najbliższy wafel, czyli szef CBA, puścili za nim psy. W pałacu i kancelarii już szeptano, że zaraz po wyborach generał pójdzie pod wodę. I wtedy przyszedł Cyganiak ze swoim kłopotem i ze swoim planem. Planem, który się właśnie pierdoli. Murzyński skamle, jakby brał w odbytu metrową końską knagę.

– Nigdzie ich nie ma, nigdzie! Jakby nadawali, toby w radiu było, wciąż słucham.

– Zaraz, kurwa, będzie i w radiu. – Gdyby Tajner miał teraz pułkownika przed sobą, zgniótłby tę jego tępą jaźwę jak papier po smalcu. – Sprawdziłeś budynek od środka?

– Nie spuszczam oka z drogi! A innej nie ma. Tunelem nie przeleźli. – Murzyński rzeczywiście wpatruje się w drogę i młyn. Ledwo go już widać, wszystko jest sinoszare, śnieg pada, dzień miesza się z nocą, ściana rozkołysanego lasu ze ścianą budynku, niskie chmury z wierzchołkami drzew.

– Nadają, mówię ci, od kwadransa nadają, milion ludzi ogląda... – Generał próbuje nie podnosić głosu, chwilami któreś słowo przechodzi w syknięcie. – Zostawili w lesie radiowóz, przesiedli się i są gdzieś indziej.

– Z innego miejsca nadają?

– A co ja do ciebie mówię?

– Ale Krótka i szosę, i dojazd sprawdziła... Wszędzie, kurwa, pusto! Znaczący pełno wszystkiego zbrojnego, tylko ich nigdzie nie ma...

– Czy ty mnie słuchasz, Murzyn?!

– Słucham, ale przerywa. Nie ma ich nigdzie, powtarzam. Na tysiąc jebanych procent! Czy ja bym cię, Tamir, ruchał? Czy kiedykolwiek cokolwiek?

– Przyjmijmy, że ci wierzę... To zrobimy inaczej. – Ton generała się zmienia. – Rzeczywiście trzeba się było zasadzić na nich w Kluchach. Wpisz sobie koordynaty. Pięćdziesiąt trzy i trzydzieści sześć, dwadzieścia dwa i czterdzieści trzy. Ekipa już tam jest. Znaleźli laskę Prezesa, aktówkę i okulary. Będą szukali śladów. Zaraz musisz tam być.

– Czekaj, wpisuję... chwila... Pięćdziesiąt trzy... ile?

– Trzydzieści sześć. A wschodniej dwadzieścia dwa, cztery trzy.

– Widziałeś, co nadawali?

– Dokładnie, co mieli nadać. Lewackie sranie po ścianie. Ciągłe jeszcze leci. Punkt przesiadkowy masz?

– Ona jest z nimi?

– Punkt czy masz, pytam.

– Nadają to prosto z lasu?

– Z budynku. Jakiegoś dużego. Punkt masz?

– Tak. Już patrzę drogę, wolno się otwiera... – Murzyński wraca do dodge'a, łapczywie krańcując fajkę. – To nie w naszym lesie.

– Nie wkurwiał mnie... Wiem, gdzie punkt wypada. Widziałem satelitę.

– ...po drugiej stronie szosy. Przerywa mi coś... jest z nimi?

– Wiem, że po drugiej. Będziesz tak ze mną gadał czy...?

– Nie, no... już jedziemy. – Pułkownik kaszle, splota, macha na Służącego i Krótką, wsiada, odpala dodge'a. – Dojedziemy cweli.

– Ile ci wychodzi?

– Dwadzieścia minut gównami, ale zetnę skrótem. – Oficer przecina wzniesienie z ryzykownym przechyłem. W odwrotną stronę szło łatwiej, bo nie było śniegu. Generał o coś pyta, lecz łącze paskudnie rwie. Czekać i pałac szlugi, Murzyński przyjrzał się mapie uważniej niż dotąd. Jest ścieżka ekologiczna, wchodzi centralnie w połąć leśną i prawie idealnie w zadane współrzędne po drugiej stronie szosy Augustów–Grajewo. Przegapił tę nitkę wcześniej i na pewno inni też. W burdelu, który się rozpętał po czwartej, nikt logicznie nie myśli, za to każdy działa. Sprawdzają po dziesięć razy te same szosy i dukty. Marnują paliwo. Jeden drugiego ściga. Już zaczyna rozumieć, co zgniłki kombinują. Zostawili radiowóz, bo trefny, przesiedli się w środku lasu, pewnie mieli coś schowane pod drzewem, żeby ich nie szło namierzyć. Czy ona nie wiedziała? Czy Tajner mógł nie wiedzieć, że młyn nieaktualny? Jeszcze śnieg terrorystom pomaga. To, że ktoś jest pedałem, lewakiem i wrogiem

Polski, że się dał podprowadzić nawet... jeszcze nie oznacza, że nie może mieć szczęścia. Skreślili młyn i te Pupy. Uznali, że najciemniej będzie pod latarnią. Setki jednostek zamykają drogi w czterech województwach, pan inspektor Klocek i reszta wypruwają żyły, a oni się cofnęli bliżej Podśmiardowa i spokojnie nadają transmisję z obesranej budy. Generał ciągle gada:

– ...ekipą w punkcie kieruje bladź jakaś pancerna, Filut wysłał człowieka śmigłowcem. Musisz wjechać przed nimi i wycofać naszą.

– Coś konkretnego w tej tam budzie widać?

– Nic. Ściana zaszciana i przenośne meble. Może to być wszędzie. Leśniczówka, rudera każda, murowana stodoła... cały czas nadają. Wracam oglądać, to się przyjrzę.

– Nie moja wina, że zmienili plan.

– Dobra, już... nie płacz. Wjedziesz na nich, uwolnisz Prezesa, zostaniesz bohaterem. Postawią ci pomnik, Pacyna albo jej córka zakonna ojebie ci pałę razem z rodzinami, dostaniesz, co zechcesz. Tylko musisz być teraz sprytniejszy i szybszy od wszystkich.

– Ja chyba rozkminiłem, co oni kombinują. Wcale nie chcą uciekać.

Gdyby pułkownik Murzyński wyznał generałowi, że sfalsyfikował hipotezę Riemanna, nie zaskoczyłby go bardziej niż teraz.

– Myślę, że chcą go zajebać. Prezesa. Że to samobójcy. Pedalskie kamikadze.

Tajner czuje pod czaszką i w piersiach nagły wzrost ciśnienia. Murzyn może mieć rację. Od tygodnia wypadki toczyły się szybko, nie mieli kiedy przeanalizować wszystkich możliwych wariantów. Ale jest faktem, że mogli wsiąść na skurwysynów w Kluchach, mogli zwinąć ich wcześniej, tak jak było z Kwietniem. Jemu by wystarczyło, ale Cyganiak, ten brudny

piżdzi kłak, chciał mieć wielkie show. Żebyśmy się obaj najedli – tak mówił...

Generał siada na najbliższym sedesie i mówi do Murzyńskiego najspokojniej, jak umie:

– Po prostu się, Marian, pospiesz!

15. Rozdział, w którym Prezes i jego porywacz dyskutują o Polsce i sukcesach rządu

Kawaleria przybywa, coraz lepiej widoczne światła zwiastują jej mechaniczny cwał. Szymon Sztorm, ze względu na różny stopień wady wzroku obu gałek ocznych, nauczył się szacować odległość od jadących z przeciwka w ten sposób, że patrzy w reflektory raz tylko prawym, a raz tylko lewym okiem. Im większa różnica w stopniu rozmazania błyszczącego kleksa, tym bliżej do celu.

Ci nadciągający duktem, kiedy ich zauważył, byli już niedaleko. Może ze dwieście metrów. Gdyby nie śnieg, mgła i mrok – dostrzegłby ich prędzej. Jeżeli jadą szybko, a na to wygląda, zostało mu dwadzieścia, może tylko kilkanaście sekund (zdolność do stereoskopowego widzenia oraz instynktowna ocena czasu i odległości pojawiła się u drapieżników, potem u małp i u gatunków *homo*. Ceną za możliwość szybkiego szacowania szansy na pościg-ucieczkę jest mniejszy kąt widzenia. Ptaki, dzięki oczom umieszczonym z boku, widzą praktycznie wszystko. Lamparty, szympansy i ludzie ogarniają maksymalnie sto stopni w poziomie).

Nie da rady wykręcić – trakt jest wąski, po obu stronach pnie brzóz, a za nimi wierzby i wysokie olchy. Sztorm gasi światła, wrywa spod pazuchy kominiarkę i chwyta latarkę. Wyskakuje z samochodu, zapala

żarówkę, po czym ciska ją w las, na jeszcze niezaśnieżone listowie. Niech tam błyszczy. Potem robi coś, co przykutemu z tyłu auta mogłoby się skojarzyć z atakiem płasawicy, gdyby nie fakt, że pasażer myśli co najmniej tak samo szybko jak jego porywacz. I rozumie, że tamten zdeptuje – pozornie chaotycznie – pas dziewiczego śniegu pomiędzy brzozi. Światła z przeciwka zbliżają się jakby szybciej. Prezes żałuje, że nie jest dość sprawny, by sięgnąć klaksonu. Chyba wyhamują, nie walną centralnie w nieoświetlone auto kidnapera? Mógłby (może) dotknąć kierownicy nogą, lecz to gimnastyka ponad jego siły. Poza tym nie ma już takiej potrzeby. *Causa finita*. Koniec absurdu jest kwestią paru sekund. Przyciska plecy do fotela. Czoło kolumny policyjnych wozów wygląda jak nocny kombajn. Dwa szperacze omiatają czerń lasu, światła przeciwmgielne penetrują pobocze, przednie lampy zaraz wydobędą z mroku to, czego szukają. Sztorm przeorał podeszwami dwumetrową ścieżkę, rzuca kominiarkę na drogę, zasapany i bliski omdlenia wskakuje za kierownicę, kaszląc, wciska wsteczny, samochód, wciąż z otwartymi drzwiami, rusza w momencie, gdy światła odsieczy padają na czapkę. Pierwszy z nadjeżdżających wozów gwałtownie hamuje, wzbijając śnieżny pył. Błyska awaryjnymi. Gdyby gliniarz za kółkiem zignorował przynętę i przejechał jeszcze dwa lub cztery metry, zobaczyłby pośród śniegu obłą maskę zapiaszczonego nissana, zostałby bohaterem resortu, ghostwriter napisałby za niego książkę *Jak uratowałem Prezesa*, potem nakręciliby z tego film dla telewizji. Albo nawet serial.

On jednak zahamował.

Reszta też musi stanąć. Uzbrojeni mężczyźni wypadają z pojazdów. Latarki na kaskach, pompy w rękach, dwóch trzyma psy na smyczy. Porywacz zamyka drzwi w biegu, cofa wóz w mgłę i ciemność. Dłonie i usta mu drżą, serce bije jak zepsuta młockarnia, rwą kichy – drut kolczasty

przesuwa się we wnętrzu z góry na dół, a potem z powrotem i znowu (... udręka ma w języku polskim więcej synonimów niż radość, a to sporo mówi o historii kraju. Męczarnia, katusza, boleść, gehenna, mordęga, tortura, katorga, krzyż, kaźń i tak dalej... Nie na darmo najdłuższym wyrazem złożonym tylko z polskich liter jest żółć). Skulony z bólu próbuje jednocześnie cofać wóz równo po śladach i napić się uśmierzacza. Emulsję przyrządził sam. Słodzony do oporu roztwór oksykodonu plus morfina, MDMA i coś jeszcze. Jedyne, co żołądek przyjmuje. W szpitalu dawali mu kartofle, ogórki i jakąś niedookreśloną padlinę. Choć głodu nie czuł, próbował coś czasem przełknąć, ale organizm odrzucał wszystko bez wyjątku poza słodzoną herbatą, ewentualnie z cytryną. Wpierw – jeszcze wiosną, zanim go zdiagnozowali – odeszła mu ochota na picie, palenie i żarcie. Stracił brzuch, który przyplątał mu się jakoś po trzydziestce. Potem wyszły na wierzch żebra z przodu, a na plecach – kręgi. Palce rąk nabrały zaskakujących kształtów – najgrubsze były w stawach. To samo stało się z nogami. W sierpniu miał już żylaste stopy umęczonego Chrystusa i patykowate, spiczaste ramiona. Gdy poszedł do szpitala, zważyli go na wejściu. Sześćdziesiąt cztery kilo. Pół roku wcześniej było dziewięćdziesiąt. Mniej więcej miesiąc temu zaczął tracić włosy. Od frontu i na jajach.

Samochód brzęczy, silnik na wstecznym daje z siebie wszystko, Prezes patrzy przez przednią szybę – zakończenie farsy niespodziewanie odpływa. Policja chwyciła przynętę jak kruk kawałek sera. Światła wielu lamp przez kilka sekund koncentrują się na poboczu, potem dwa jasne punkty oderwane od innych znikają wśród drzew. Za nimi następne. Jeszcze chwila cofania i padający śnieg skrywa wszystko prócz ciemnych ścian olszyny i jaśniejszych brzóz.

– Masz ich za idiotów, prawda? Myślisz, że co sobie pomyślą?

Kierujący nie odpowiada. Zakręca i odrzuca bidon, skupia się na tłumieniu kaszlu, odzyskaniu oddechu i precyzyjnej jeździe. Dwie minuty przed tym, gdy zobaczyli światła, a dokładnie w momencie, kiedy Prezes wspomniał, że potrzebuje lekarstw, minęli poprzeczną przecinkę. Właściwie szerszą ścieżkę porośniętą czymś ciemnym i gęstym po bokach.

– ...pomyślą, sądzisz, że ślad się urywa, bo wzlecieliśmy w niebo razem z samochodem? I przestaną szukać? Wy generalnie macie ludzi za głupszych od siebie i to jest wasz problem. Jeden z wielu problemów...

Zauważył tę dróżkę kątem oka i zapamiętał, że nie jest zaśnieżona. Dwie minuty przy ich nędznej prędkości to jakieś osiemset metrów. A czas się właśnie rozciąga razem z odległością – eliksir działa bez zwłoki, przenika do krwi, wędruje do mózgu, robi swoje. Zdejmuje z ciała włosienicę, przegania małe zębate potwory, co się wykluły ze spleśniałych błędów, odległych złych wyborów. Straszliwie się pomylił, gdy chodzi o Sabinę.

– Was wykańcza nerwowo z jednej strony skrajna ojkofofia, typowa dla konsumentów sushi i ośmiorniczek, a z drugiej dysonans poznawczy, bo jakże? Jesteście elitarni i tacy świetni, a stale przegrywacie. – Słowa Prezesa fruwały po aucie, obijają się o szyby jak ćmy. Gdyby Szymon nie musiał skupiać uwagi na jeździe po śladach i odpędzaniu myśli, dałby radę je wszystkie wyłapać, zamknąć w schowku pod łokciem, niech się tam, kurwa, poduszają.

– Dlaczego wasze pomysły zawsze obracają się wniwecz? Dlaczego ci niby źli ludzie, czyli rzekomo my, mają takie sukcesy? To jest logicznie nie do pojęcia, prawda? Musicie się coraz bardziej starać, by plusy nie przesłoniły minusów. Tylko że wszystko wokoło nie zgadza się z waszym mniemaniem. Więc trzeba się starać mocniej.

Szymon miał kiedyś stałą dziewczynę, która go kochała. Kasia lubiła programy o gotowaniu, odpowiadał jej seks w każdej pozycji, miała ciasną cipkę i tyle lat co on. Pracowała na niskim stanowisku w urzędzie inspektora od danych, kończyła zaoczne studia, już niemal planowali przyszłość, gdy pojawiła się Saba. Spotkał ją na domówce, a właściwie dachówce u wspólnego znajomego, malarza z Ursusa. Starsza sześć lat, rozwiedziona dyrektorka w Bankowym Funduszu Gwarancyjnym, dorywczo wykładała na uniwersytecie jakieś trudne kwestie i napisała swą pierwszą książkę z dziedziny *personal training*. Była błyskawicą, wulkanem i wodospadem. Wszystko rozumiała, zanim skończył zdanie. Do tego wyglądała jak Penélope Cruz. On wcześniej nawet się do kogoś takiego nie zbliżył. Jego koledzy i mniej liczne koleżanki z plastyka lubili różnąć z Brazolami w Tibię i z Niemcami w Gothic (albo w jeszcze bardziej oldskulowe gierki pokroju Wolfensteina). Słuchali The Waterboys (starsi) lub 2Paca (młodszy), na imprezach pili tequilę bez cytryny i jarali trawę wyhodowaną pod lampami LED z AliExpress. Sabina kolekcjonowała ręcznie robione mapy, skończyła kurs fakirów w Oslo, rozumiała współczesny teatr, znała się z Mają Kleczewską i kochała Nepal.

– ...dlatego musicie zacieśniać rewolucyjną czujność, tropić zdrajców w szeregach. Agentów kaczyzmu-faszyzmu. Aż w końcu dochodzicie do ściany. Nie daje się już bardziej wzmóc, a nie sposób pogodzić przekonań z realiami, nie łamiąc sobie głowy. Tym gorzej dla realiów. I wtedy wysyłacie paczki z ładunkami. Ale nie wyślecie ich do czterdziestu milionów Polaków. Więc pomyśleliście, że jak mnie zwiążecie i upokorzycie... choćby tylko we własnym mniemaniu, to może tchniecie ducha w zwłoki tej pseudoopozycji, w resztki tych oczadzonych, co plują na Polskę, na groby bohaterów, na nasze świętości. Że porwiecie to towarzystwo arcyokraczne do boju ich ostatniego...

Na dachu u koleżanki siedzieli w podkoszulkach, pili piwo, trwał miejski, śmierdzący spalinami, lepki, upalny dzień. Zainteresowały go symetryczne nakłucia na prawym bicepsie Sabiny. Tydzień później zabrała go gdzieś za Siemiatycze – tam szaman użył igły, a potem wtarł obojgu jad żaby. Sztorm najpierw o mało nie zmarł z bólu, potem – kiedy Saba zrzuciła przy nim ciuchy – po prostu się rozpłakał. Po serii dzikich aktów – prawdziwy seks tysiąclecia – był już (i nadal jest?) zakochany. Kasia została żoną jednego z tych mankieciarzy, co lubią koszule-Vistule, porządek i pełne szkło. Odeszła z pracy, skończyła studia, zaczęła rodzić dzieci. Przez ostatnie naście lat nawet kilka razy porozmawiali, ale tylko do czasu, kiedy się rypnęło z Sabiną i zdrowiem. Z jakiegoś nie do końca uświadomionego powodu nie chciał wnieść w ułożone, czyste i chyba szczęśliwe życie swej dawnej dziewczyny mnożących się własnych kłopotów, z których każdy następny był gorszy. Dosyć nasyfił siedemnaście lat temu.

– Ci nasi polityczni, pozał się Boże, przeciwnicy to degeneraci, to chlew... Przez lata zarabiania na opluwaniu Polski się zdegenerowali. Do niczego się już nie nadają. Muszą unikać luster, bo widzą w nich świńskie ryje. I dwie lewe ręce, zawsze takie mieli. Nie można oddać im władzy, państwo to zbyt skomplikowany mechanizm jak na nich. Przez lata odcięcia od żłoba cała ta animalna zgraja zaczęła się psuć. Fermentować. Stoczyli się do parteru, nawet niżej. Dno i pięć metrów mułu. Ustąpić teraz przed nimi to dać małpie brzytwę i puścić ją w tłum.

Czy Prezes rzeczywiście mówi coś o małpie? Nie myśl o słoniu różowym... nie myśl o czarnych aniołach. Czy jesteś, Szymon, gwoździem, że wszędzie słyszysz tylko pracujące młotki?

– Gdyby im oddać Polskę, nie wiedzieliby już, co zrobić. Ćwierć wieku kradli, kłamali, tańczyli chocholi taniec, ciągnęli za sobą ogłupionych, jak

te dzieci z Hameln. Nie masz przecież piętnastu lat, synu, musisz to pamiętać. Przed nosem machali błyskotkami, a nogi już całe w bagnie. W ostatniej chwili przejęliśmy władzę, bo wszystko by poszło w ruinę...

Jest wreszcie! Odchodząca w bok tryba, zarośnięta, niezaśnieżona. Sztorm hamuje, skręca, wjeżdża między gałęzie. Wysiada, chwilę z tymi gałęziami walczy, wraca na główny dukt. Łamie wierzbowy badyl i pochylony zaciera krzywe ślady opon. Wraca do samochodu, znów się musi mocować z zaroślami. Wjeżdża w las głębiej. Krzaki drapią lakier jak kocie pazury. Wyłącza silnik, gasi lampkę nad głową.

– W dzieciństwie czytałem książki o Indianach – mówi. – Najlepsi w za-zacieraniu śniegu byli Kanadyjczycy. Jak byśmy dziś powiedzieli. Irokezi, Huroni... Orontony i Żuraw. To wy doprowadziliście wartościowych ludzi do granicy o-ob-błądu. Swat... dobra, wysłał ładunki, lecz nie jest terrorystą. Jest waszą ofiarą. Jak Mariusz Miller i Szczęsny. Jak m-mi-miliony naiwnych, których robicie w chuja. Ty, jak Humpty Dumpty, zmuszasz słowa, by znaczyły, czego tylko żądasz. Najpierw straszycie potworną przestępczością, której może się przeciwstawić tylko prawdziwy szeryf, twój brat...

– Nie przywołuj jego imienia nadaremno.

– ...potem straszycie pustą lodówką, pamiętam taki spot, jak znika jedzenie, bo je liberałowie kradną.

– Ludzie nazywali ich aferalami.

– Dalej straszycie układem, szarą siecią. Ty jesteś mistrzem grozy, prezesie. Obżeniliście mgłę i wybuchy, inwazję islamskich gwałcicieli, później tęczową zarazę i gender-Godzilla, sędziów-złodziei z diablami rogami, ekoterrorystów, a teraz grzejecie sabotaż, bo już się wam wyczerpał przepis na gospodarkę...

– Gospodarkę uczyniliśmy wielką, ale przyszedł wirus, jakbyś nie pamiętał. Czy ty masz jakiś plan, synu?

– ...a jeszcze nam zarzucacie, że g-ga-gardzimy ludźmi. To wy nimi gardzicie, po prostu ich używacie. Jednemu dacie miseczkę, d-dru-drugiemu na łyżeczkę, trzeciemu, bo prosił, czwartemu, bo wodę nosił. A piątemu łeb urywacie i jest uciecha dla...

Sztorm kaszle.

– Chciałeś powiedzieć: uciecha dla gawiedzi, ale się w język ugryzłeś. Sam widzisz. Macie to wdrukowane. Żeby się tego pozbyć, musielibyście oddać mózgi do wyprania...

– W święconej wodzie.

– Nie słuchasz. Nie rozumiesz. Ta wasza historyczna niezgoda na otwarcie oczu, arcychorobliwa zapiekłość... Całe twe środowisko wypije kielich goryczy do końca. Zobaczysz.

– Nie zobaczę.

– Nie masz żadnego planu, co?

W tunelu głównej przecinki pojawia się snop światła. Najpierw rozbłyśka klawiatura refleksów na brzożach i za chwilę już widać uroczą leśną scenę: zwarzone mrozem korony, białe obłóci kory, pofałdowana powierzchnia drogi, sterczące ze śniegu korzenie, ciemne koleiny, girlandy płasających płatków. Przejeżdża – na maksymalnym możliwym w tych warunkach gwizdku – policyjny furgon. Za nim dwa radiowozy. Nawet nie zwolnili przy poprzecznej ścieżce. Porzucona latarka i czapka okazały się śladami wiodącymi donikąd. Kawaleria pędzi dalej, by ratować wielkiego człowieka, męża opatrnościowego, geniusza i dziada ramola. A on jest tak blisko... Dźwięk motorów cichnie szybciej, niż urósł, i znowu niczego nie widać.

– Mam plan. Taki, że na razie tutaj p-po-poczekamy. Chyba że gdzieś ci się spieszy... – Sztorm chwilę maca podłogę, znowu podnosi bidon i pije. Minał tydzień, odkąd się wyniósł na własną prośbę z bródnowskiego szpitala – po ledwo trzech i pół doby. Wyszedł na chodnik przy Kondratowicza w jedynych swoich dżinsach i w klapkach, z plecakiem pełnym kupionych od pielęgniarza ampułek i pigułek. Siąpił deszcz, a on miał przed sobą spotkanie pod mostem Siekierkowskim.

– Moglibyśmy p-posłuchać radia, żeby się nie nudzić, ale tutaj tylko Maryja odbiera. Wiem, bo już po tym lesie jeździłem. Pewnie się modlą za ciebie, skoro nie dojechałeś do studia.

Zakręca silikonową flaszkę, opiera skroń o zagłówek. Oddech się wyrównuje, ból spływa wzdłuż kości do stóp. Już się w głowie nie kręci.

– Słuchałem cię kiedyś w Maryi. Opowiadałeś o sza-a-atańskich hordach i o włochatej łapie, która sięga po naszą duszę anielską. O swołoczy pierwszego tłoczenia, barbarzyńcach-dewiantach, co chcą zniszczyć rodzinę, a potem każdego człowieka z osobna i wreszcie cały świat z Polską na p-p-pierwszym miejscu. Żeby zapanował nihilistyczny chaos, który w końcu pochłonie gatunek *homo sapiens* i wreszcie zapanują nad planetą delfiny i pszczoły. Cytuję z pamięci, ale chy-chyba dobrze, co?

– Źle. Słuchasz, ale nie słyszysz. Myślisz, a nie rozumiesz. Obawiam się, że twój umysł jest nieodwracalnie skrzywiony. Zatruty czymś, co nie pozwala ci dostrzec, że dobro jest dobrem, a zło to po prostu zło. Przyznaję, że to był dla nas od początku arcytrudny problem. Spuścizna po dekadach kłamstw. Niektórzy mnie namawiali, żeby nie usiłować... nie szukać kontaktu z tymi... z tymi już straconymi. Jak można przemówić do kogoś, kto się naśmiewa z krzyża? Ja uważałem, choć to czasami trudne, że tworzymy naród. Że każdy jest Polakiem, nawet takie zwierzę, co sika na znicze. Że wspólna konstytucja...

– Nie powinienes nawet wymawiać tego słowa. W domu powieszzonego nie gada się o sznurze.

– Wspólnota etniczna, wspólnota historii, polski *genius loci*... że to jednak zadziała, może się kiedyś ockną i przejrzą. Wyciągną nosy z tego szamba, co sami stworzyli, żeby w nim fermentować, zobaczą rzeczywistość, zobaczą, co robimy. Ujrzą prawdę i piękno, usłyszą śmiech najedzonych...

– Jakbym słuchał o wy-wyższości socrealizmu nad sztuką degeneratów. Ty wierzysz w to, co mówisz? Że p-p-po-porwaliśmy cię, by stworzyć lepszy świat dla bobrów i delfinów? Żeby zniszczyć wspólnotę? To wyście ją rozjebali. Za to, co zrobiliście, w następnych wcieleniach zostanieie muchami plujkami. Albo owsikami. A Korny tasiemcem, będzie mógł żreć do woli.

– Porwaliście mnie, bo zostaliście sprowokowani, użyci. Jak poznałeś współników?

– Na AntyKaczorze, taka stronka dla niekochających władzy.

– Nic nie wzbudziło twego podejrzenia?

– Owszem, prawdę mówiąc, sądziłem, a dzisiaj po południu już byłem tego pewien, że chcą nas powinąć z młyna, z hukiem i w światłach kamer.

– Z jakiego młyna?

– Mieliśmy cię tam zawieźć. Ale przygotowałem miejscówkę rezerwową. Wiesz... tartak. Tylko nie przypuszczałem, że Mmo-mona będzie chciała...

– No właśnie. I jak tu wierzyć ludziom? Ja się ciągle z tym zmagam. A mimo to dalej stawiam na Polskę i na Polaków. Wielopolski się mylił.

– Że z nami nic nie można?

– No popatrz! Mówisz: „z nami”. Czyli się jednak poczuwasz. Jak słyszę, nawet czytałeś coś w życiu oprócz „Gazety Wyborczej”. To zawsze

jakaś pociecha, skoro już muszę tu siedzieć i jeszcze przykuty. Ile w ogóle masz lat?

– Za miesiąc czterdzieści jeden.

– Czytałeś Mickiewicza, Słowackiego, Norwida? Czy tylko Olgę Tokarczuk i tych, co dostają Nike?

– Czytałem sporo rzeczy.

– Mickiewicz i Słowacki pisali o Polsce prawdę. O Chrystusie Narodów, żebyś wiedział, też. Widzieli wspaniałą przyszłość. I my ją przybliżamy. A wy ciągniecie nas w błoto.

– Błoto, powiadasz, dziadku... – Sztorm wpatruje się intensywnie w powietrze. Ma kolor spleśniałego chleba i coś się tam delikatnie przemieszcza. – Bezpieka nas podprowadzała, żebyśmy cię porwali. Tak działa twoje państwo szczęśliwie najedzonych, rząd wyśniony przez wieszczów...

– Powinieneś przeczytać Mickiewicza raz jeszcze, bo znów nie zrozumiałeś. Nie chodzi o taktykę, strategię, władzę, bezpieczeństwo. Ludzie są tylko ludźmi, w rządzie tak samo jak wszędzie. Tu chodzi o nasze dusze. Nasz krzyż ma długie, na całą Europę, ramiona.

– Ja pierdołę, ty minąłeś się z czasem... Za późno u-urodzony. Jak twoja Pacyna. Ostatnia z wdów Grottgerowskich. Posąg z krzyżem na piersi, a córka zakonnica. Tym cię pewnie ujęła.

– Nie słuchasz, co mówię, synu.

– Wbrew pozorom cię słucham. Polski ksiądz Piotra nie ma i n-nigdy nie było. Czterdzieści cztery to rym do „bohaterzy”. Równie dobrze mogło się zrymować sto sześćdziesiąt sześć. A krzyż i jego ramiona... weź przestań. To czy-czy-czysty szamanizm. Twoja parówa z Torunia najlepiej te kity niedojdom obżenia...

– I znowu ta pogarda. Wychodzi jak słoma z butów.

– Ty też już nie przesadzaj. Że to naród aniołów... Tutaj nie ma złodziei, tylko ludzie kradną. I kochają Zenka, waszego Mozarta.

– W Polsce każdy jest ze wsi, z chałupy albo z dworu, tylko na szczęście nie każdy chce udawać, że nie jest. Nie każdy się wysferza. Nie musisz słuchać Zenka, ja też wolę Chopina. Lubię Michała Lorenca. Ale krzyż to ratunek Europy i on wyrasta dziś w Polsce. Takie zrządzenie historii, przyjmij jako fakt.

– My o jedno tylko szlemy modły k' niebu z naszej chaty: by nam buty mogły śmierdzieć, jak śmierdziały przed stu laty.

– Myślisz, że jak cytujesz Tetmajera, to już nie bluźnisz?

– Krzyż, z krzyżem, na krzyżu, w krzyżu... dobra. Ale co z Matką Wolnością u nóg zapłakaną? Tego zapomniałeś, wielki językoznawco, bo wo-wolność to nie jest jednak twoja faworyta. Wolisz dumę. Wolicie. Bo wolność to n-n-niebezpieczeństwo wyboru. Na przykład między rozsądkiem a waszą tromtadracją. Dlatego najpierw wzięliście za ryj sądy, potem newsroomy, a w końcu uczelnie. Ponieważ to są miejsca, gdzie się odsiewa prawdę od nieprawdy. Wy chcecie, by mit wchłonał, uformował real. Nasz krzyż nad Europą... Potem połowa narodu wierzy, że Jezus był Polakiem, a jego prawdziwe imię brzmi Janusz.

– Nie mogę tego słuchać. Mógłbyś mi odpiąć kajdanki, przecież nie wyskoczę.

– Na diabła się oszukiwać? Budować Ligę Kolonialną, nie mając kolonii. Polska to Bydgoszcz Europy. Niby duża, tylko co z tego? Każdy coś o niej słyszał, ale już nie pamięta. Mesjanizm dwa tysiące lat po Mesjaszu... niedługo wynajdziecie koło. Powolny, Korny i Packa ze swoim ujemnym IQ dorobią się przeciwstawnych kciuków. Powiedz mi coś, czego nie wiem!

– Niczego nie wiesz, synu. – Pasażer przyjął pozycję pólężącą. Miał męczący dzień. – Tylko ci się zdaje, że wiele rozumiesz... jesteś przemądrzały. Brak pokory, rzecz typowa dla durniów. Weź ten wasz bezwładny nihilizm. Imposybilizm. Gadulstwo. Hyclowa, kiedy idzie po schodach, nie wiadomo: czy wchodzi, czy schodzi.

– Żart o Geremku, pamiętam. Muszę cię jednak zmartwić. To dotyczy każdego. Kiedy ruszysz przed siebie i nie będziesz skręcał, wrócisz do punktu wyjścia. I podobnie jest z czasem. Gdy będziesz stał w miejscu, czekając – doczekasz początku czekania. Bo czas również jest sferą. Różnica między przodem a tyłem, stroną prawą i lewą, przeszłością i przyszłością... wszystko tylko złudzenia, chociaż dość uporczywe.

– Gadasz już sam do siebie. Ty nie pij tego więcej, bo zaczynasz bredzić. Co to jest? Morfina? Poluzuj mi lepiej kajdanki.

– Mógłbyś b-by-być trochę bardziej wdzięczny za to, że jeszcze żyjesz. Beze mnie byś le-leżał z obolem ojczyzny pod głazem języka. By cię lisy, nieostygłego, zeżarły. Jeszcze trochę w bransoletach wytrzymasz.

Za szybą z przodu wyboista ścieżka najpewniej się zwęży. Nawet jeśliby przejechali dalej, może się okazać ślepa. Zakończona dzikim wysypiskiem śmieci albo czymś w tym rodzaju. Droga bez wyjścia – ilustracja sprawy. Alegoria z lugerem na pierwszym planie. Pistolet jest w tym równaniu najlepszy. To konkret. Gwarancja alternatywnego rozwiązania. Nikt nie wymyślił niczego lepszego od czasu lancy ognistej z bambusa. Iskra, pocisk, skutek.

Gdyby Szymon miał broń miesiąc temu, kiedy się dowiedział, dlaczego brzuch go boli – byłby już trupem, sto procent. Ale jej nie miał, więc rozważał złożenie łba na torach. Wybrał nawet spokojne i dostępne miejsce między Warszawą Zachodnią a tunelem Dworca Centralnego. Było tam tyle śmieci i – ogólnie – tak brzydko, że sam spacer w to miejsce zachęcał do

suicide'u. Brodząc wzdłuż nasypu w zgniłych odpadkach, śmierdzących strzępach szmat i w plastikowym szajsie, rozkminiał konsekwencje oddania ciała w dwóch sztukach. Sabina by się pewnie na pokrojone mięcho wypięła, więc kłopot spadłby na jego matkę – wdowę i pensjonariuszkę hospicjum dla neurologicznie chorych, która się z trudem orientuje, czy chce siku, czy kupę. Odpuścił sobie tory. Wszystkie samobójcze myśli przypomniały mu się – już w innym kontekście, nastroju i sensie – gdy zaczął kombinować na AntyKaczorze z Moną i Waletem. Jeżeli miałyby zginąć – to lepiej jako najbardziej poszukiwany człowiek na wschód od Zgorzelca niż jako szpitalny leżak. Spójrz, Sabino: oto twój odrzucony facet. Ma higieniczne narzędzie z czternastoma pestkami, ma Prezesa i zawsze jakiś wybór, choć ograniczony. Ten wybór przejdzie do skromnej historii, a raczej historyjki, polskiego politerroru. Wybuch w Cytadeli, Narutowicz, Pieracki, grupa Rysia, dożynki w Lublinie...

– Twoje kpiny z życia i śmierci, wasze kpiny z tradycji i z Boga, z kobiety i mężczyzny... drwinami ze wszystkiego przykrywacie tę pustkę, która was wypełnia. Zjeść, wypić i ulżyć sobie, porechotać, pobiegać po mieście ze strusim piórem w tyłku. Ściągnąć do własnego, tragicznie niskiego poziomu półgłówka... skąd ty w ogóle znasz prace Grottgera? Waszym artystą jest ten od bohomazów, jak mu tam?

– Andrzej Rysuje albo Raczkowski. I to nie bohomazy, a bardzo dowcipne...

– Ty nie chcesz mnie zabić...

– Nie chciałem, by Mona cię zabiła. Jest pewna różnica.

– Ale wciąż nie masz planu. Może po prostu mnie rozkuj i sobie pójde. Jakoś dam radę bez laski. Mówiłem, że potrzebuję lekarstw. Powinienem je już zażyć.

– Mogę cię poczęstować syropem własnego wyrobu. Pomaga na wszystko.

– Na co jesteś chory? Bo że jesteś, widzę.

– Nie twoje, kurwa, zmartwienie. Masz własne.

Duktem przejeżdżają dwa kolejne wozy. W tym samym kierunku. Przez moment w aucie jest jaśniej i Sztorm widzi oczy rozmówcy, a Prezes – oczy Sztorma.

– Byliście od początku przez nią prowadzeni. Tę Monę. Ty i drugi pajac. Cokolwiek zrobisz, nie zapamiętają cię jako Herostratesa, tylko kogoś, kto dał się wykorzystać. Albo nie zapamiętają wcale.

– A ciebie?

– Jako kogoś... – Prezes nie kończy od razu – ...kto zwrócił godność milionom.

– Znam tę litanię. Redystrybucja prestiżu, karmienie polskiej duszy, akcja godnościowa, dawanie Niemcom po nosie, gonienie kota elitom, Polska wwy-wyrzutem sumienia Europy, wasz rewolucyjny romantyzm i wszystkie te ornamenty... ideowa protekcja, sklepienie nad narodem. Wiedziałeś, że b-b-będziesz porwany?

– Nie. Nie wiedziałem.

– Czyli że to jednak jest b-ba-bardziej skomplikowane. I kto tu jest naiwniakiem? Ja mam broń, a ty k-ka-kajdanki na rękach. Tylko to się liczy.

– Ten pistolet to dowód twojej bezradności. Waszej. *Argumentum ad baculum...*

Prezes coś jeszcze mówi, lecz Sztorm już go nie słucha. Pochyla brodę nad kierownicą. Jednak mu się nie zdawało...

– Widzisz?

– Nie wiecie nawet, co się naprawdę dzieje. Już byliście blisko. Gdybyście wiedzieli, jak niewiele... a teraz pogrzebaliście wszystkie swoje szanse. Polacy nie akceptują królobójstwa. Chociaż Rymkiewicz nad tym akurat ubolewał... ja mam inne zdanie.

– Widzisz?!

– Tak czy owak zrobiliście całej waszej stronie niedźwiedzią przysługę. Ludzie będą was chcieli rozszarpać i to ja będę musiał cię bronić. Przekonasz się.

– Czy widzisz, pytam!

– Co?

– Z przodu. Nie mów, że nie w-w-widzisz.

– Mróz wchodzi na szybę.

– To się rusza i zbliża.

– Za dużo wypiełeś swojego napoju. Co to jest? Jakiś nowy narkotyk?

– Jeżeli zobaczysz małpę, konkretnie orangutana, tutaj się pożegnamy.

(Swoją drogą ciekawe, że wiele niekontaktujących się ze sobą kultur i narodów nadało małpie i śmierci podobne imiona na literę M. Monkey, mono, maimuna, macaco, maymun, Mana Genita, Marzanna, maman, mojra, mors, manat, Maman Brigitte, moria, Mamiori u Kełderaszy i tym podobne. Może szalony Stanisław Szukalski „Stach z Warty” miał rację, że kiedyś wszyscy ludzie mówili tym samym językiem?).

– Powiedziałeś: „małpę”? Masz jakieś halucynacje? Ja widzę tylko...

Stary nie kończy, ponieważ też to dostrzega.

16. Rozdział, w którym przesłuchiwany wspomina, jak narodził się plan uprowadzenia Prezesa

Pytanie prokurator Hanny Chwast:

– Gdzie się odbyło spotkanie?

Odpowiedź przesłuchiwanego:

– W Warszawie.

– Gdzie konkretnie?

– Za kościołem, pod mostem Siekierkowskim, tam, gdzie się łączą dwie ulice. Chyba Gwintowa i jakaś druga. Nie wiem, jestem z Łodzi.

– Data spotkania?

– Ostatni poniedziałek. Właściwie prawie wtorek, bo się umówiliśmy na dwudziestą trzecią.

– Kto przyjechał pierwszy?

– Mona. Już tam była. Szmer przyszedł krótko po mnie. KonsTytucJa nie przyjechała wcale. Albo nie przyjechał, jeżeli to facet. Pewnie zmiękkła jej rura, albo jemu, jak przyszło do konkretów.

– Niech pan opisz spotkanie.

– Mona siedziała na motorze, w cieniu za latarniami, ale i tak zauważyłem ją jeszcze z autobusu. Jechałem z dworca sto dziewiętnaście.

Po wszystkim odpaliła ten motor, ale nie w stronę miasta, tylko w przeciwnym kierunku, w te ciemne krzaki, gdzie jest elektrociepłownia chyba.

– Niech pan nie wybiega w przód. Po kolei. Niech pan mówi o Sztormie.

– Wyobrażałem go sobie inaczej. Wyglądał jak śmierć. Bardzo chudy, wolne ruchy, takie jakby zmęczone, okulary jak denka od butelek i jeszcze się jąkał. Przyszedł pieszo od strony kościoła. Miał wojskową kurtkę, stary plecak flak, na nogach klapki... Wyglądał jak kloszard.

W rzeczywistości Wojciech Wolant był widokiem Szmera podekscytowany. Madonna99, w czarnej bomberce i butach do górskich wędrówek, którymi – siedząc na motorze – ledwo sięgała ziemi, wydała mu się laską, jakich wokoło tysiące. Miała kolczyk w przegrodzie nosa, tunel w lewym uchu, krótko obcięte paznokcie i tatuaż na wierzchu nadgarstka – jakiś symbol z Rivendell. Włosy krucze, farbowane, postrzępione, celowo wykrzywiona krótka grzywka. Widywał podobne dziewczyny na marszach wolnościowych, szczególnie kiedy były legalne. Nie golą się pod pachami i nie biorą reklamówek w Lidlu. Kogoś takiego jak Szmer nie widział jeszcze nigdy. W blasku latarni, żółtym niczym stygnące szczyny, ogniki jego oczu były żyłkami. Gdyby miał sobie wyobrazić Nieczajewa albo Waryńskiego w ostatnich latach w twierdzy – i gdyby był uzdolniony plastycznie – tak by ich narysował. Wysokie czoło, ciemne, posiwiałe pasmami włosy przeczesane w tył ręką, zapadnięte policzki, ciasno opięta na szczęce skóra porośnięta brunatną szczeciną. I to spojrzenie – podobne mają ci, co biorą spidy z opiatami naraz. Szmer nie był jednak narkusem. Raczej kimś zdesperowanym. Rozsiewał aurę gościa, który przeszedł nieprzekraczalną granicę i bardzo chce iść dalej bez względu na koszty. Wojciech chciał pójść razem z nim do pierdolonego końca – do celu,

jakikolwiek by był; do zniszczenia, gdy będzie konieczne; do śmierci Matki Ziemi. Natychmiast poczuł dumę, że będą działać wspólnie. A Szmer, jak przystało na rewolucjonistę i konspiratora, darował sobie mieszczańskie zabobony, witanie się, przedstawianie sytuacji i inne srutu-tutu. Pierwsze zdanie brzmiało: „Dajcie mi swoje komórki”.

To nie znaczyło: „Ja tu rządę”. Raczej: „Jestem najstarszy i będę wszystkiego pilnował”.

Madonna99 wyjęła z kurtki telefon dla seniorów. Bez dotykowego ekranu i bez internetu. Szmer zdjął plecak, wydobył z niego metalowe pudło po jakiejś lepszej herbacie, a może po ciastkach. Odbierając aparat od Mony, wymruczał: „Taki też cię zdradzi, ja nie mam żadnego”. Potem odebrał smartfon od Wolanta. Kiedy ich palce się zetknęły, przeskoczył silny prąd.

Komórki wylądowały w blaszanym pojemniku, pojemnik z powrotem w plecaku i Szmer zadał pierwsze pytanie:

– Po co tu jesteśmy?

Madonna zaczęła od autoreklamy. Przedstawiała się jako Monika, feministka i anarchistka walcząca z Gileadem. Miała już dwie sprawy sądowe, ostatni raz została zatrzymana po Marszu Miliona Kobiet. Czyli raptem siedem miesięcy temu i pod rygorem ustawy. Trzymali ją całą wiosnę bez zarzutów w celi z dwójką sadystek. Klasyka.

– Pocięłam się, żeby wyjść do szpitala. – Pokazała Szmerowi blizny na nadgarstku. Po wewnętrznej stronie przedramienia miała jeszcze (celowo?) nieudolnie wydziernaną fioletowo-czarną gwiazdę anarchofeministek i krzyż zakończony pięścią. Szymon pomyślał, że gdyby chciał ucharakteryzować jakąkolwiek dziewczynę na skrajną lewaczkę, to właśnie tak by wyglądała. Z tą krzywą fryzurą, dziarami w stylu Amy Winehouse i przekłutym nosem. To go zaniepokoiło, na razie lekko. A ona mówiła

dalej: – Na oddziale zamkniętym wyruchał mnie sanitariusz. Wypuścili, kiedy się okazało, że jestem, kurwa, w ciąży. Od czasu skrobanki w Niemczech się przygotowuję. Mieszkałam w Berlinie na squacie Liegenheist. Słyszeliście o nim?

Wolant, owszem, słyszał. Ekstremalna brygada Extinction Rebellion z Kreuzbergu. Tak zwani interwencjoniści, czyściciele biosfery. Napierdalają się z naziolami, rozwalają banksterskie konferencje, napadli w zeszłym roku na siedzibę General Farmako za to, że tamci robią eksperymenty na małpach; wyrzucili z okna jakiegoś dyrektora, teraz dzban jeździ na wózku inwalidzkim i dobrze, chuj mu w jedzenie i w serce.

– Mam kontakty i mogę załatwić nam dostęp do broni albo różnych rzeczy. Nienamierzalne SIM-y, neoplanty, takie tam.

Wyrzuciła z siebie ofertę szybko, jakby miała przygotowane przemówienie albo jakby się obawiała, że Szmer jej podziękuję i odeśle do domu czy skąd tam przyjechała. On nie przerywał, ale znać było po oczach, że zapamiętuje szczegóły, bo na koniec spytał:

– Gdzie był ten oddział za-zamknięty?

– W Rasztowie, jak się jedzie na Wyszaków.

Wolant nie mógł się pochwalić ani bliznami, ani odsiadką, ani dostępem do broni. Poza tym, gdy Szmer na niego spojrział, gdy go przewiercił niebieskim spojrzeniem, poczuł, że jest mu winien prawdę i tylko prawdę. O mało nie przyznał, że tak najbardziej na świecie chce zyskać uwagę matki. Wybrał łatwiejszą i również prawdziwą wersję:

– Jestem gejem i nienawidzę partii. Nienawidzę kruchcianej tyranii katabasów. Nienawidzę tej jebanej dewotki, Pacyny, nienawidzę Kaczora dyktatora i jego podpiczników. Nienawidzę Ojca Dyrektora, któremu chuj z gardła sterczy, nienawidzę inkwizytorów ze Wspólnego Komitetu Kontroli. Nienawidzę tego, że wszyscy są gnuśni, że pozwalają się

terroryzować tym lujom karmazynowym, sodomitom i dzieciobjebcom. Nienawidzę tego, jak oni przekręcają znaczenia, a naród to łyka...

Mówił tak jeszcze z pół minuty, aż w końcu Szmer mu przerwał:

– Co chciałbyś zrobić najbardziej?

– Zgadzam się z tym, co pisałeś, że trzeba z komunikatem... Tylko że z dynamitem też. Bez dynamitu nikt nie zwróci uwagi na słowa. Nie trzeba nikogo zabijać, ale akcja musi być zajebista i spektakularna. Moglibyśmy podpalić tężnie papieskie w Toruniu. W nocy nikogo tam nie ma. Albo podłożyć ładunek w siedzibie telewizji.

Madonnie pomysł się nie spodobał.

– Taki ruch tylko by partię ucieszył. – Już weszły im trojgu w krew te określenia: ruch, gest, projekt, krok. – Weź popatrz, co zrobili ze Swatem. Myśleliście o tym, dlaczego na Protest Zimowy przyszło raptem sto osób, a marsz kobiet i przeciw ustawie tak wyszedł? Bo zakaz aborcji, sfingowane procesy, areszty... każdy to rozumie. Jeżeli coś podpalimy, będziemy terrorystami. Jeszcze przed wyborami damy... zgubiłam, kurwa, słowo... damy uzasadnienie. Poza tym... gdzie komunikat? Nawet „Wyborcza” nie da przekazu od podpalaczy. Facebook, YouTube, każdy nas zbanuje natychmiast, choćby z powodu *Shield*. Partia robi z nas drugą Al-Kaidę. Podpalanie i wysadzanie odpada. Możemy zrobić obywatelskie zatrzymanie którejś z najgorszych gnid i osądzić. I nagrać.

Wolant pomyślał w tym momencie, że jednak nie docenił dziewczyny. Mona opowiadała dalej o uprowadzeniu Moro w siedemdziesiątym ósmym. O trybunale ludowym. I w końcu padły te słowa:

– A gdyby samego Kaczora? Zrobić nad nim trybunał i puścić na żywo? Wszyscy się rzucą zobaczyć.

Dla Wolanta to był właśnie TEN moment. Moment, w którym Aleksander dostrzega lukę w perskim centrum i wali z hetajrami na rydwan

Dariusza. Moment, w którym Paul Baran pisze wstęp do pracy *O rozproszonej łączności* i wymyśla internet. Z początku przez wielkie I.

Szmer był jednak sceptyczny:

- Też mogą nas zbanować. Porwanie to t-t-taki sam terror.
- Na kanale obywatelskim nie banują.
- Do pewnej granicy, jak sądzę.
- Jesteś pesymistą.
- To się nazywa realizm.
- Grzecznie go doprowadzimy, bez żadnej chamówki. Damy mu się wypowiedzieć.
- Natychmiast nam przerwą transmisję. Tu, nasi.
- Będą ją chcieli namierzyć, nie przerwać. Przecież zaczną szukać, jak go powinniemy. Zresztą Wolna Europa nie podlega naszym...
- Mnie to się podoba – Walet wsparł Madonnę, jak umiał.
- Sami jeszcze poproszą, żeby nie przerywać. Daję wam sto procent. Zanim się połapią, że to w ogóle leci, minie dziesięć minut. Potem się zaczną naciski, żeby nadawca im zdradził, kto zapodaje streaming. A ja załatwię z Niemiec podwodną kartę SIM. Mogę ją mieć za pięć dni. Zanim wszystko ogarną, skończymy transmitować. Zanim skończymy, będzie dwadzieścia milionów wyświetleń. Jeżeli ludzie mają się ocknąć, to teraz, przed wyborami.
- Sąd, nawet kapturowy, zazwyczaj oznacza wydanie wyroku. – Szmer wcale nie zabrzmiał ironicznie. Po prostu podążył za Moną i wskazywał rąfy. Poza tym wyglądało na to, że stanie w miejscu go męczy.
- Przygotujemy akt oskarżenia, krótki i treściwy. Zamach na sprawiedliwość, na media, skok na publiczną kasę...
- Cenzura, inwigilacja, przemoc policyjna...

– ...i sprawa Millera, bo to było po prostu zabójstwo człowieka.

– A na końcu zwyczajnie kopniemy dziada ramola w srakę. – Mona patrzyła Szmerowi prosto w oczy. Gotowość w niej bulgotała. Walet też prawie składał ręce do modlitwy: „Wielki Szmerze, zgódź się, prosimy! Chcemy to zrobić! Chcemy poczuć się silni i lepsi! My! Trójka, która Wzięła Sprawy w Swoje Ręce”.

Szymon zaproponował:

– Przejdźmy się kawałek.

Mona zablokowała stacyjkę motoru, ruszyli ścieżką rowerową, pomiędzy wysokimi chwastami o zeschniętych żółtych kwiatach. Lekko w dół i do Wisły. Latarnie się skończyły i jedyne światło rzucała na nich brudna łuna miasta. Oczy Szmera błyskały zza grubych szkielek. Wojciech czuł doń coraz silniejszy pociąg, lecz od początku wiedział, że nigdy nie poważy się na najmniejszą zaczepkę. Zgadywał, że chudy facet w zniszczonym ubraniu jest mieczem wyjętym z pochwy, jest ukrytym ostrzem z *Assassin's Creed*, orkanem Percy'ego Jacksona, żądłem bożym. Madonna99 też to wyczuwała. Schwytowała rybę większą od niej samej – jak Santiago – i do tego drapieżną. Szmer miał niski, pozornie łagodny głos, stopy zakurzone, a ręce jak patyki. Ale miał wewnątrz moc, miał masę midichlorianów.

– Jak sobie wy-o-obrażasz to kopnięcie w srakę? – zapytał Madonnę. – Przecież to my będziemy musieli uciekać.

Postawił akcent na „my”.

Mona się nie poddała:

– Zamkniemy go w jakimś kiblu, zadzwonimy później i podamy, gdzie jest. Albo to rozwiążemy jeszcze jakoś inaczej. Tym bym się teraz nie martwiła. Naszym celem jest przekaz. Dwadzieścia milionów widzów. Trzeba napisać w punktach, co skurwiele zrobili ze wszystkim dookoła. I odczytać to ludziom sponad kaczego łba.

Szmer wyjął z plecaka bidon z jakimś mętnym płynem, nikogo nie poczęstował i długo nic nie mówił. Wojciech przestraszył się nagle, że każe im po prostu odejść. Bez efektu. Że sceptycyzm przeważy. A tak bardzo chciał zrobić coś zajebiście wielkiego i ze Szmerem w parze. No dobrze... jeszcze ona. Odetchnął, gdy Szymon powiedział:

– Spróbujmy to sobie wyobrazić jakoś od początku.

Rozmawiali godzinę i czterdzieści pięć minut. Szmer włókł się wolno, Madonna co rusz przystawała. Od słowa do słowa uzgodnili szczegóły. To było niesamowite. Troje nieznaną się dotąd ludzi tworzyło w ciemnościach Wielkie Coś z niczego. Mostem od czasu do czasu przejeżdżał rozpędzony samochód; ekrany dźwiękowe za każdym razem klekotały. W suchych zaroślach hałasowały cykady, było ze dwadzieścia stopni, bez wiatru. Sztorm momentami w ogóle się nie jąkał, tylko szedł coraz wolniej. W pewnym momencie poprosił, żeby zawrócili, a w połowie drogi powrotnej zarządził, by siedli na glebie. Znów golnął z bidonu. Wojciech miał przy sobie pół grama, lecz uznał, że chwila jest zbyt poważna na bucha. I bez zioła ziemia pod pośladkami zdawała mu się gorąca, dosłownie czuł, jak się pod nim kręci. Był podekscytowany. Podzielili zadania. Najwięcej wzięła na siebie Madonna. Kiedy zdjęła kurtkę, by podłożyć ją pod pupę, Sztorm dostrzegł jej sterczące piersi, Wolant tego nie zauważył. Był już natomiast pewny, że źle ją w pierwszej chwili ocenił. Przygotowała się dobrze. Znała na pamięć fragmenty grafiku Prezesa w najbliższym tygodniu. Konwencja w domu partii w Lublinie; wykład dla studentów Uniwersytetu Jasnogórskiego; uroczystości w Podśmiardowie koło Augustowa i tego samego dnia jeszcze odwiedziny w Republice Maryjnej, czyli u Rydzyka.

– Mogę załatwić radiowóz na chodzie i autentyczne mundury.

– Masz wtyki w policji?

– Ma je mój znajomy.

– Kto sądzi, że ma wtyki w policji, zazwyczaj sam jest wtyką. Nawet gdy tego nie wie. – Szmer mówił takie rzeczy i to wcale nie było napastliwe. Po prostu zachowywał czujność. A Madonna, czyli jak ją już obaj z Waletem nazywali – Mona – była zbyt idealna. Zdesperowana, przygotowana, silna.

– Mam kogoś w Olsztynie, w warsztacie, gdzie robią zepsute radiowozy.

– Kogo?

– Byłego chłopaka, Marcina. Wybierze dla mnie egzemplarz, najlepiej taki, gdzie wysiadła łączność.

– Czyli zrobi dla ciebie w-w-wszystko?

Madonna ni to się uśmiechnęła, ni to skrzywiła. Przez moment w jej twarzy błysnęło coś bardzo brzydkiego.

– Chyba mnie jeszcze kocha.

Sztorm natychmiast pomyślał o Sabie.

Zaczęli kombinować z ewentualną kontrolą drogową, ale uznali, że to się nie uda.

– Za kierownicą siedzi ochroniarz i tylko jego mo-można zawinąć do suki. Pasażer nie wysiądzie, a jak każemy mu wysiąść, połapią się, że coś nie gra. Poza tym Kaczor zawsze jeździ w dwa auta. Przejdzie do drugiego i możemy mu skoczyć.

Jeszcze przez parę minut rozważali warianty, aż wreszcie Szmer zdecydował:

– Zrobimy to jako p-p-policja, ale trochę inaczej.

I zaczął opowiadać, jak to wszystko widzi. Potem, kiedy Madonna99 wsiadła na motocykl i odjechała w kierunku Siekierok, odprowadził Waleta

na przystanek. Powiedział mu, że zdolność Mony do zdobycia wozu, w którym nawalił układ łącznościowy, trochę go niepokoi. A jej blizny na rękach to skaryfikacje. Dlatego trzeba będzie przygotować plan B. On go przygotuje. Gdyby w ciągu najbliższych dni coś Wojciecha zaniepokoiło, ma wejść w zakładkę Nauka na portalu „Wyborczej” i odnaleźć artykuł z piętnastego września o typach fraktali. Tam wpisać co trzeba w komentarzu – pod nickiem Barbapapa. A Szmer się do niego odezwie taką samą drogą jako Barbamama.

W krzakach ciągnących się do elektrowni przez ponad dwie godziny siedział Stefan Służący. Miał aparat noktowizyjny z lunetą i zamierzał zrobić fotografie wystarczająco wyraźne, by dało się zidentyfikować i Waleta, i Szmera. Murzyński na to naciskał, lecz sierżant spartolił zadanie. Nie włączył funkcji „auto”, prześwietlił ujęcia spod latarni, kolejne zaś wyszły za ciemne. Program do identyfikacji twarzy wyrzucił czterysta pięćdziesiąt tysięcy rekordów. Pułkownik, gdy się o tym dowiedział, stwierdził tylko, że powinien był wysłać Krótką, a nie troglodytę.

17. Rozdział, w którym prokurator Chwast tropi sprawców, a dziennikarz Łapserdak traci część ubrania

I co tak śmierdziało?

– Technik mówi, że rozsypali odstraszcza na dziki. – Negocjator z Biura Operacji Antyterrorystycznych Gustaw Gamajda, dla przyjaciół Gustek, nie ma nic do roboty, więc staje przy prokuratorce i razem patrzą w jej ekran. Hanna Chwast wdrapała się w poszukiwaniu zasięgu i świeżego powietrza na szczyt ściany jaru, w którym rozgrywa się całe zamieszanie. W szarości zamarzającego popołudnia, między wysokimi brzoźami o pniach prostych jak maszty zatopionych żaglowców, błyski bezdźwięcznie pulsujących migalek barwią na fioletowo spadający śnieg. Poszycie lasu jest jeszcze całkiem ciepłe, więc opad się topi na suchych paprociach i mchu. A szkoda – bo byłyby ślady.

W parku Helenów naziolę podpalili chłopaka! Nie dalej jak w lipcu, może pan prezes nie słyszał?! Jego krew was obciąża tak samo jak śmierć Szczęsnego, Millera, jak napady faszystów na Tolerolę i na Pozytywkę, jak ofiary policji z Konina, Zawiercia... Dlaczego dziewczyna ze Słupska rzuciła się przez okno, kiedy po nią przyszli? Bo wasza metoda to wsadzić do celi, z której wyjdiesz kaleką, jeśli w ogóle się uda.

Porzucony przez porywaczy radiowóz z wymontowaną radiostacją stoi w dole z otwartymi drzwiami i kufrem. Dwaj technicy, którzy przy nim pracują, mają maski na twarzach, na głowach – foliowe czepki, na butach – owijacze. Dalej parkują fiat doblo z Grajewa i niepotrzebna jak dotąd karetka – ratownicy z trudem w to miejsce wjechali.

Obciążają was zatrzymania, które się kończą tak, że z aresztów wychodzą kalecy. Załatwiacie porachunki rękami kryminalistów-zbirów...

Policjant z wilczurem wspina się na przeciwległe wzniesienie – mija opła cebosiów, którzy wbili na skarpe, by nie blokować drogi i nie stać w najgorszym smrodzie. Zaparkowali tak, że wóz o mało nie dachował, otworzyli bagażnik, stanęli w kółku, palą papierosy, jeden – ze śladami po dawnych poparzeniach na szyi – żuje gumę, ruszając szczęką tak intensywnie, jakby przegryzał sznur. Głaszczą swoją broń i oglądają to samo co Chwast. Streaming terrorystów.

Sami się już pogubiliście w tych nocą uchwalanych prawach. Wszystko, czym się zajmowaliście, działa gorzej niż wcześniej. Ale my nie stawiamy oskarżonemu zarzutu nieudolności. Stawiamy zarzut celowej destrukcji państwa w imię prywatnej zemsty za dawne porażki waszych polityków. Za brak talentu waszych protegowanych. Za to, że musieliście patrzeć, jak innym się udaje. Za to, że historia nie dość was doceniała. Stawiamy zarzut gloryfikacji ciasnoty umysłowej, promocji obskurantyzmu...

W płaszczu prokuratorce dzwoni druga komórka. To technik. Nie chce mu się wdrapywać. Macha z dołu ręką.

– Zmierzyliśmy temperaturę oleju. Ponad dwie godziny. Czyli szesnasta. Wysiedli o szesnastej. Zaraz się tu porzygamy. Nawet pies zwariował.

– Niekoniecznie. – Chwast widzi ze wzniesienia, że owczarek ciągnie przewodnika po wschodnim zboczu jaru, jakby coś jednak poczuł. Gdzieś

całkiem blisko przelatuje śmigłowiec. Latają tak od czwartej i tylko marnują paliwo.

Długo jeszcze będziecie bredzić? Nie jestem oskarżony, a wy nie jesteście sądem. Sami jesteście zbirami i kryminalistami, którzy się dopuścili serii przestępstw, jak rozbój, uprowadzenie, narażenie życia, pozbawienie wolności i mógłbym tak dodawać...

Prezes przerywa porywaczom i gestykuje. Wyraźnie stracił cierpliwość. Pewnie również zmarł. To, że musi tam siedzieć przykuty do zydła, to straszna kompromitacja policji i wszystkich służb razem wziętych.

Przez kilka godzin każdy z was wypełnił znamiona czynów zabronionych z kilku najpoważniejszych paragrafów i odpowiecie za to...

Prokuratorka nie oglądała streamingu od początku, lecz, jak się zdaje, porwany zabrał głos po raz pierwszy. Kamera kidnaperów filmuje go w trzech czwartych od tyłu. Nie widać twarzy, ale głos ma mocny. Nie brzmi, jakby się bał. Ciekawe, czy wie, że oglądają ten spektakl już trzy miliony osób. Widoczna na ekranie liczba śledzących transmisję zmienia się tak szybko, że oko ledwo nadąża za migotaniem cyfr. Ludzie w całym kraju dzwonią do siebie, pytają: „Oglądasz?”. Wysyłają linki i się zastanawiają, czy to aby nie nowy reality show? Sobowtór Prezesa? Fotomontaż? *Fake story?*

Jedno się gnojom udało na pewno: rzesze Polaków dowiedzą się dzisiaj, że istnieje coś takiego jak strona Wolnej Europy. I że państwo nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa nawet swemu pierwszemu obywatelowi.

Ostatnie, co możecie zrobić sensownego, to skończyć komedię, odczepić mnie od tego mebla, zadzwonić na policję i się nareszcie poddać. Poznacie, jak działa prawdziwy sąd. Na zbyt wiele wam pozwalaliśmy...

Transmisja przerwana, przekaz się buforuje.

– Jeszcze sobie przejrzymy. – Prokuratorka dotyka ekranu i ukrywa streaming pod mapami Google’a. – Jeżeli opuścili to miejsce po szesnastej, to zależnie od tego, gdzie mieli ukryty drugi wóz...

– Musieli mieć blisko. – Negocjator też spogląda w mapę. Wczoraj przyjechał z Warszawy do Białegostoku, by łaskawie dać parę wykładów dla miejscowych glin. Teraz błogosławi dzień, w którym się na to zgodził. Dziś oboje z Hanną Chwast zapiszą nowy rozdział w historii służby śledczej. – Nie wjeżdżaliby w te ostępy, żeby gdziekolwiek iść pieszo. I jeszcze z Prezesem. Musieliby go nieść chyba. A laska została... Spróbujmy to powiększyć.

Negocjator dotyka ekranu i rozciąga obraz.

– Ta droga.

– To chyba nawet nie droga.

– Ja bym tam zaparkował. Bo nie da się przejechać stąd... tutaj... chyba że po skarpie. Jeżeli my jesteśmy w tym miejscu... szukałbym koło tych jodeł.

Wskazuje palcem ciemniejszy punkt za wzniesieniem. Wieczór wylęga się właśnie tam – pomiędzy gęsto zbitymi czarnymi miotłami gałęzi. Policjant z psem poszedł dokładnie we wskazanym kierunku. Już go ledwo widać przez śnieg.

– A ci tutaj skąd?

Światła samochodu od strony Kluch. Jakieś małe auto zatrzymuje się za karetką. Realizatorzy już idą w tamtą stronę. Czarne uniformy otaczają wóz, dwóch celuje z broni, jeden podchodzi od strony kierowcy. Wyciągają kogoś na zewnątrz. Kobietę albo drobnego leszcza.

Chwast schodzi w dół zbocza, negocjator za nią. Smród odstraszcza zaległ jak osad na dnie gara w Caritas. Fetor bezdomnego zmieszany ze

swędzącym odorem niepranych męskich skarpet. Odkłada się w ustach i pod paznokciami.

Tym wyciągniętym z brudnego golfa jest młody mężczyzna. Trapery, kurtka flek, modnie przycięta broda. Niski, szczupły, metroseksualny. Na pewno nie zbłąkany grzybiarz. Raczej mieszkaniec Ulicy Sezamkowej – z tych, co golą się na kolbie i pod pachami oraz kochają psy. Jeden z warszawskich policjantów przegląda mu papiery.

– Dziennikarz. – Wręcza Hannie Chwast plastik z logotypem, który oboje znają. – Korespondent. Gorzej trafić nie mogłeś, gościu. Szukasz chuja do dupy po lesie?

Reszta realizatorów się śmieje. To ten rodzaj śmiechu, który poprzedza uderzenie w nos.

Na legitymacji jest zdjęcie, numer, imię i nazwisko. William Łapserdak.

– Jak pan znalazł to miejsce?! – Prokuratorka ignoruje dzwonięcie własnego telefonu.

– Jechałem za karetką, ale się zakopałem. Chciałem zapytać, czy...

– Zostanie pan zatrzymany za utrudnianie śledztwa.

– ...przecież ja tylko pracuję. Dałem tym panom kartę.

– A certyfikat?!

– Moja redakcja certyfikatów nie dostała.

– Więc nie jest pan żadnym dziennikarzem, tylko osobą utrudniającą czynności.

Chwast odbiera wreszcie połączenie. Technik. Na wzniesieniu pies o służbowym imieniu Arab znalazł miejsce, są nawet ślady kół. Samochód terenowy lub niewielki dostawczak. Stał tu przynajmniej dobę. Sprawcy, bo któż by inny, mieli trudności z wyjazdem, podkładali pod koła złamane gałęzie. Ruszyli mniej więcej dwie godziny temu.

– Zaraz idziemy. – Śledcza rozłącza rozmowę. Wskazuje identyfikatorem kolegę z Warszawy. – Miałeś rację... – Ruch głowy w kierunku wschodniej ściany jaru. – Musimy znaleźć przejazd, żeby się tam dostać.

Ostatnie zdanie skierowane jest do wszystkich naraz. A przywołujący ruch palców – do szefa grupy pod bronią. Ruszają z prokuratorką oboje, negocjator Gamajda za nimi.

– Nie możemy kmiota zatrzymać, będzie nam przy dalszych czynnościach zawadzał i jeszcze coś zobaczy.

– Mam na niego pomysł. – Podinspektor Zupak jedną ręką trzyma remingtona w taki sposób, jakby niósł niemowlę, drugą odbiera legitymację Łapserdaka. Zawraca do samochodu. Prokuratorka i negocjator wspinają się po skarpie, on jej trochę pomaga. Czarne jodły wyłazą wolno zza spierzchniętych paproci. Miejsce na przesiadkę wybrali gnoje sprytnie. Dwie leśne drogi biegną po dwóch stronach wysokiego na trzy metry wału. Po lewej – jar. Po prawej – najeżona kikutami martwych olch i wierzb niecka, chyba częściowo wyschnięte bagno, teraz białe od śniegu. Tu jeszcze trwa jasny dzień – nad zmrożonym szuwarem gonią się stada ptaków. Wzniesienie, na które weszli, mogło być kiedyś groblą, bo szczyt jest równo ścięty. Albo tak się to ułożyło samo. Droga idąca dnem jaru odbija na południowy zachód. Ta, która okala bagno – ścieżka ekologiczna – na południowy wschód. Jeżeli wierzyć mapie, stoją w jedynym miejscu, gdzie nitki się prawie stykają. Wszędzie indziej odgradza je las. Jedyne odnotowane na mapie połączenie duktów – pięć kilometrów na północ. Trzeba by wycofać całą karawanę i wracać, co zajmie kwadrans.

– Grupa pościgowa powinna być mniejsza. – Gamajda wyraźnie myśli o tym samym.

– Karetkę musimy mieć. Ze względu na Prezesa.

– Ale nie twoją limuzynę. I wóz techniczny. Po co? Nie na takie drogi. Wystarczy nam opel Zupaka i jego chłopaki.

Prokuratorka spogląda pod jodły. Przewodnik psa rozmawia z kimś przez motorolę, technicy postawili walizę i oglądają zasypane igłami klepisko – może ze trzy na trzy metry. Wygląda, jakby je dziki przeryły.

– Torf i kurzawka, ale tu jest wyraźny ślad. I tu drugi. Co oni robią z Prezesem? Bo u mnie się transfer zacina.

– Czytali akt oskarżenia własnego pomysłu. Skandaliczna parodia... Naoglądały się, kmioty, filmów nie dla dzieci.

– Mogą coś Prezesowi zrobić? – Przewodnik Araba jest szczerze przejęty. Wygląda na kogoś oderwanego granatem od telewizora, popiera partię z całego serca i z pewnością ma wąsy na dupie. Chwast nie pamięta, jak się nazywa (a nazywa się Trepski). Kiedy przyjechała do Kluch, czy też Kluchów, już tam na nią czekał, pokazał szmatę jednostki powiatowej z Grajewa. Chwalił się, że zna teren, miał wysoko zawieszoną fiata doblo i psa, więc go wzięli.

– Nie zdążą niczego Prezesowi zrobić, bo ich zatrzymamy. Dokąd ta droga idzie?

– Właściwie donikąd. Kiedyś ją zrobili za pieniądze z Unii. Chuj wkleśły wie, przepraszam, po kiego. Nawet jagód tu nie ma. Za jakieś cztery kilometry się rozwidła. I w lewo będzie na Biały Kał.

– Biały co?

– Kał. Tam jeszcze mieszkają emeryci leśnictwa w czworaku, ale dojazd mają od innej strony, w tym sensie mówię, że nie ma nawet pewności, czy to jest stąd w ogóle przejezdne.

– Bandyci przejechali. A w prawo?

– Do szosy. Wpada tam, gdzie odbitka na stary młyn w Pupach. Pani prokurator sama powie, że takiego czegoś jeszcze w Polsce nie było. Takiego zbydlęcenia. Żeby tak łatwo jakieś luje wędzone porywały osobę numer jeden.

– To rozwidlenie, o którym...?

– ...mówiłem? Na Biały Kał. A stamtąd żwirówką do E sześćdziesiąt siedem.

– Jeżeli jest rozwidlenie, to i druga droga. – Hanna Chwast sprawdza mapę. Biały Kał rzeczywiście jest. Ścieżka ekologiczna – tylko w maksymalnym powiększeniu. Kiedy oddała obszar, by objąć sytuację – nitka od razu znika. Lepszy byłby do tego tablet.

– Droga to dużo powiedziane, pani prokurator. Szlak raczej taki do pieszych wędrówek. Po drodze będzie dawna żwirownia, tylko dół z niej został.

– Budynku żadnego tam nie ma?

– Nie. Jest betonowa taka jakby rampa, to wszystko. Resztę dzikusy do gołej ziemi rozkradły. Szyny tam były wąskotorowe, też zajebali.

– A dalej?

– Dalej to podobno jakiś biznesmen z Mrągowa chciał tę żwirownię zalać i zrobić ośrodek, ale jest park narodowy i nie dostał zgody.

Prokuratorka ma ochotę palnąć Trepskiego w dynię. Z jakiegoś powodu kmiot ją denerwuje. Może przez tę próbę fraternizacji i gadulstwo zmieszane z wyrysowaną na mordzie tępotą – już mądrzej wygląda jego wilczur. Patrzy uważnie wiedźmińskimi ślepiami, w których odbija się gasnący dzień.

– Jest coś jeszcze za żwirownią?

– Tartak w Kończydrodze.

– Na mapie nie widać.

– Ze trzydzieści lat albo lepiej zamknięty.

– To nasze miejsce! – Podobnie jak dzieci, które strzelają do siebie z wyimaginowanych pistoletów, Hanna Chwast wskazuje dwoma palcami najpierw obu techników, a potem kolegę z Warszawy. Pach-pach!

– Nadają stamtąd! – Złość natychmiast minęła. Teraz jest podniecenie. – Z tego tartaku streamują. Ile to kilometrów?

– Mniej niż dwadzieścia.

– Czyli z Kluchów niecałe pięćdziesiąt. Zgadza się. Muszę mieć tutaj samochód! Wywołaj Zupaka!

Telefon dzwoni. To minister Filut. Ten zawsze wie, kiedy jest szansa na darmowy obiad. Ale nie tym razem. Chwast kończy połączenie i od razu dyktuje SMS: „Nie ma zasięgu na rozmowę, ale wiem, gdzie jest Prezes, i będę tam pierwsza”.

Wyślij.

Minister-prokurator znów telefonuje. Niech spada. Zgłasza się Zupak. Przewodnik psa podaje motorolę.

– Dwójka na odbiorze.

– Musicie przejechać ten wał w moją stronę! Słyszycie?! Za wszelką cenę! Muszę mieć tutaj samochód! Natychmiast!

Podinspektor i jego koledzy przed chwilą się ubawili. Rozebrali dziennikarza do majtek i podkoszulka, to znaczy sam się chłopina rozebrał, nie miał wyjścia. Kurtka, bluza, spodnie, telefon, legitymacja, portfel i kluczyki od golfa – zajęte do depozytu. Na poczet postępowania w sprawie utrudniania śledztwa. Kazali mu się cieszyć, że go wypuszczają. Śmiesznie wyglądał, świecąc bladymi girami, gdy truchtał w las jak skarcony jamnik.

– Słyszycie mnie?!

– Musi pani prokurator przycisnąć. Bo z tej pozycji tylko odbiór, z tej będą słyszeli... – Posterunkowy Trepski chce być pożyteczny. Chwast znów ma ochotę chwycić go za ciuchy. Pies to chyba wyczuwa, bo wydaje z siebie bulgot subwoofera. Tysiące ludzi szukają Prezesa, helikoptery krążą, a ona jest pierwsza, jest najbliżej, jest na właściwej drodze... i brakuje do szczęścia pieprzonego auta. Jakiegokolwiek pojazdu.

– Sam ich pan zawezwij!

Nowy SMS od Filuta. Pełen błędów, pisany w pośpiechu: „Prokurotar Łajdus dolatuje. Czyonnści prow. pod jego kierowcnitw. Proszę natychaimst wskazać miejsce Prezesa”.

Na gotowe to możesz pojechać, fajo, do burdelu.

Zza skarpy słysząc ryk pracującego na najwyższych obrotach silnika. Zupak i jego ludzie wreszcie się ruszyli, próbują przejechać. Strażnicy leśni mają quady. Istnieją motocykle do jazdy po bezdrożach. W Singapurze uruchomiono powietrzne taksówki. A ona nie ma zasranego wozu, żeby pokonać dwadzieścia kilometrów lasu. Przecież nie pobiegnie.

Jeszcze jeden SMS z Warszawy. Filut już się pieni. To nie ma teraz znaczenia. Jeżeli będzie pierwsza w tartaku, którego nie ma na mapie, oboje z Pacyną przyniosą jej na atlasowej poduszce ciekawą nominację i klucze do mieszkania w Warszawie.

– Śmigłowiec tu można posadzić? – pyta.

Przewodnik psa przykładła palec do nosa i smarka.

– Ja bym nie ryzykował. To jednak bagno jest, chociaż niby wyschło. Te pniaki jak dzidy... Ale pani decyduje, czy wezwać. Dyżurny kryzysowy...

– Wzywamy!

– Nie trzeba. Przejechali! – Jeden z techników bije dłonią w dłoń, jakby mordował komara.

Nie, to nie Zupak przejechał. Grupa realizacyjna nadal bezskutecznie walczy z pochyłością. Przez śnieg przebijają się za to światła dwóch wielkich samochodów prujących po ścieżce, przy której nie ma jagód.

– Proszę dać mi broń!

Hanna Chwast, w kozakach i w płaszczu, staje z pistoletem na środku przecinki. Dać jej ciemne okulary i nie wyglądałaby gorzej niż Trinity z pierwszego *Matrixa*. Negocjator, technicy i przewodnik psa stają za nią gęsiego. Nadjeżdżające czarne vany na pewno nie wiozą leśnych emerytów z Białego Kału po zakupach w Dino. Pachnie trzyliterową instytucją. Pierwsze auto hamuje. Jest wpół do siódmej wieczór.

CZĘŚĆ II

OrZEczENIE



18. Rozdział, w którym wicepremier zdradza, kogo podejrzewa

W ciemności coś ewidentnie drga i nie jest to mroczna towarzyszka Sztorma. To coś z bliższego wymiaru. Być może Szymon nie docenił pogoni. Jeździli za jego plecami, świecąc i hałasując, a po cichu obeszl go lasem. Być może mają noktowizory, przenośną termowizję albo inne kurewstwo. Być może jest otoczony, jak to przewidział Prezes. Być może snajper trzyma go na muszce. Być może łatwo się o tym przekonać. Bierze glocka.

Nic się nie dzieje. Nikt nie strzela mu w głowę.

Przekręca gałkę, zapala światła mijania. W pierwszym ułamku sekundy widzi tylko prószący śnieg, a w drugim – dwóch ludzi z bronią. To nie są policjanci. Myśliwi? Kłusownicy? Ochotnicy w nagonce? Każdy ze sztucерem.

– Nie ruszaj się i nie rób głupot. – Kierowca bez oglądania się na pasażera wysiada, stęka, odgarniając gałęzie, staje przed maską, między reflektorami, chociaż w ten sposób próbuje zasłonić wnętrze auta.

Uzbrojone łby sprawiają wrażenie bliźniaków. Jednakowego wzrostu, raczej grubi niż atletyczni, zarośnięci lub brudni. Krótkie szyje, oczy – guziki przy rozporku. Balerony korpusów obwieszane łowieckimi gratami: pasy, sprzączki, zasobniki, lornetki, manierki. Stanęli dziesięć metrów od

wozu, para, którą wypuszczają przez płaskie nosy, skrapla się wokół głów. Jeden ma karabin przewieszony przez ramię, drugi trzyma broń w rękach. Jeszcze niczego nie widzą, bo oślepiają ich lampy.

– Da-dalej nie możecie. Jest prowadzona po-policyjna akcja poszukiwawcza.

Jeden przykładą do czoła dłoń w rękawicy bez palców. Próbuje odsiać nadmiar światła, zobaczyć twarz mówiącego. Drugi patrzy raz na kompana czy brata, a raz na swoją strzelbę z lunetą wielkości kiełbasy. Jeżeli są bliźniakami, to urodził się drugi. Coś im tu nie pasuje. Policjant, lecz bez czapki, za to w okularach, i jeszcze się jąka. Sztorm wyciąga prawicę, opiera na niej lewy nadgarstek i glocka. Teraz światła auta padają od spodu na broń.

– Akcja poszukiwania kogo? – Ten w rękawicach ma cienki głos. Mistrz podchwytliwych pytań.

– Uprowadzono prezesa Ka-kaczyńskiego. Telefonów nie macie?

– W tym lesie ginie zasięg. – Łak odzywa się po namyśle, który skutkuje silnym ściągnięciem brwi. I obaj potrzęsają głowami. Jakby się nabawili wspólnego tiknięcia jeszcze w łonie matki.

– Kto jest w samochodzie?

– Osoba zatrzymana. Nie możecie iść dalej, bo za-zadepczecie ślady. Idźcie lasem w prawo, w wasze prawo, za dwieście metrów spotkacie fu-fu-funkcjonariuszy. Może się przydadcie przy poszukiwaniach. Na pewno.

Frędzel powoli zdejmuje z ręki browninga (najpopularniejszy model, repetier, kaliber zero trzy cala, wedle miar europejskich – siedem i sześć milimetra. Energia kinetyczna pocisku na dystansie stu metrów starczy do rozerwania klatki piersiowej dzika, jelenia albo młodego łosia. Z dziesięciu metrów przebije głowę na wylot). Sztorm przez mgnienie wyobraża sobie swój mózg zmieszany ze szkłem okularów na przedniej szybie nissana.

Może przykuty Prezes myśli o tym samym. Nie słyhać, by coś kombinował. Czeka na rozwój wypadków.

Śnieg w świetle lamp ledwo prószy, większość opadu zatrzymują w tym miejscu wysokie korony wierzb. Myśliwy, kłusownik czy kto on tam jest, unosi lufę na tyle, że celuje w żołądek lipnego policjanta, który celuje w niego. Ziom czy też brat robi to samo dokładnie w taki sam sposób. Kozacy. Nie przestraszyli się pistoletu. Już strzelali z biodra, lubią strzelać, poza strzelaniem zbyt wielu rozrywek nie mają: gniotą swoje baby i patrzą na skoki narciarskie. Ten wcześniej urodzony otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast słów wydaje z siebie jedynie beknięcie. Przeciera usta rękawem zatłuszczonej kurtki.

– Panowie pili alkohol? – Najbardziej absurdalny sposób zmiany tematu może się okazać najbardziej wydajny. (Zakazuje się przenoszenia broni przez osoby znajdujące się w stanie nietrzeźwości – artykuł dwudziesty pierwszy, punkt siódmy Ustawy o broni i amunicji z 2016 roku). Lufy sztucerów opadają niczym więdnące fiuty, łeb w rękawicach zarzuca flintę z powrotem na bark, odwraca się do brata – albo sąsiada spłodzonego przez tego samego inkasenta – zaczyna gestykulować. To chyba język migowy. A zatem: drugi grubas nie słyszy, pewnie też nie mówi. W trwającej chwilę ciszy Sztormowi udaje się złowić bliskie burczenie diesla. Wystarczają mu trzy sekundy, by wsunąć gnata za pas, wskoczyć do kabiny, raniąc policzek o gałąź – i wyłączyć światła. Przez tylne szyby widzi, że duktem jadą co najmniej dwa wozy, chyba te same co wcześniej. Wracają. Już błyskają szperacze. Już rozjaśnia się tunel przecinki. Pulsuje migałka. Po co ktoś włączył koguta w pustym lesie? Prezes na swoim siedzeniu również patrzy w tył. Wąska tryba, okalające ją zarośla, korony wierzb i olch wyżej – wszystko to miga w dzikim stroboskopie. Jeżeli teraz któryś z dzbanów wypali z browninga – chociażby w powietrze – to cała kawalkada stanie

i będzie po ptakach. Sztorm wysiada, by zagrać komedię do końca. Blask szperacza przez mgnienie oświetla go tak dobrze, jakby stał na arenie, zapowiadając występ baby z brodą lub czegoś takiego. Niemożliwe, by jadący nie zauważyli i jego, i nissana. A jednak przejeżdżają obok. Głuchoniemy i jego brat w zbożnym dziele strzeleckim zniknęli. Pewnie pędzą przez las, by dogonić pały, za chwilę wypadną na drogę, machając strzelbami. Ten, który umie mówić, krzyknie, że widzieli fałszywego gliniarza jąkałę. Ma kogoś w samochodzie! Schował się tam, za krzakami! I jest uzbrojony!

Kiedy Sztorm wraca na siedzenie, ból znów atakuje. Rozorany gałęzią policzek krwawi, puchnie i szyja, i dziąsła. I coś jeszcze kurwiejszego drze w środku, bo trudno mu złapać powietrze.

– Poddaj się teraz, synu. Widzę, że ledwo dyszysz.

– Już to mówiłeś d-dwa razy. Chciałbyś mieć syna, co? Zamiast międlić kota.

Włącza silnik, lamp nie zapala, rusza. Jedyńka, dwójka, boczne lusterka klekocą obijane gałęziami krzewów, we wstecznym widać coraz słabsze odbłaski migalki, dźwięki silników już ścichły, znowu są sami w lesie.

Kiedy poprzednim razem – raptem półtora dnia temu – jeździł i chodził po tej okolicy, było na tyle ciepło, że się rozebrał do pasa. Niósł ciuchy w plecaku. Od samochodu, który zostawił pod jodłą, do szosy na Łomżę musiał przejść – według własnego rysunku – dziewięć kilometrów. Kilka razy stawał, kładł się na paprociach, patrzył w niebieskie niebo i obserwował samoloty, jak zostawiają za sobą białe smugi – chemtraile. (Ci, którzy wierzą w leki homeopatyczne, żyły wodne i irydologię, dowodzą, że z samolotów zrzuca się różne świństwa, by kontrolować klimat, populację i umysły Ziemi. Skutkiem tego typu oprysków jest wymieranie pszczół, nowotwory i choroby psychiczne na czele z chorobą

Morgellonów, która objawia się wyrastaniem na skórze elektropodzespołów widocznych w powiększeniu. Doktor Jerzy Jaśkowski, mason i Rycerz Maltański, który wygląda jak Sołżenicyn przed śmiercią, napisał o tym dwie książki).

Szymon leżał, myślał o planie porwania Prezesa, miał bóle, umiarkowane zawroty głowy i resztę dolegliwości – lecz małpy nie widział. Nie czuł jej obecności. A teraz chwytła nie tylko jej ciężkie spojrzenie, ale i zapach futra. Prezes z tyłu się wierci.

– Nawet jeżeli chciałbym mieć syna, to nie takiego jak ty. Myślisz, że długo jeszcze pograsz w ciuciubabkę? Do czego w ogóle zmierzasz? Do własnej katastrofy. Przecież stąd nie ma już wyjścia. Co tak hałasuje?

– Dojadę do końca. Zmierzamy do puenty, stary. Wiesz, że dwa razy w życiu już się spotkaliśmy? Na o-od-odsłonięciu pomnika twego brata. Minister Gładki był tam z moją żoną. Już wtedy była. A ja przyszedłem na nich po-popatrzeć. Czy ładnie razem wyglądają.

Im dłużej Sabina pracowała w ministerstwie, im dłużej trwał jej związek z Gładkim, tym częściej Szymon chodził na antyrządowe manify, demonstracje, marsze. Raz poszedł w obronie sędziów, lecz tamto towarzystwo mu nie pasowało. Panie po sześćdziesiątce, które postawiły swe wycacane samochody kilka przecznic dalej, smętna woń palącej się stearyny, jednym słowem – cmentarz. Wolał zadymy feministek, homosiów, anarchistów. Ostry swąd gazu pieprzowego, palenie kukły Kaczora dyktatora, ganiecie się z pałami i falangistami. Traktował te występy jako ćwiczenia fizyczne plus prezent dla Sabiny. Poznał fajnego gościa o pseudonimie Banan, byłego marynarza, zdążyli wystąpić w parze na dwóch mniejszych ruchawach i pójść w Marszu Miliona, który się okazał marszem piętnastu tysięcy. Potem Banana zamknęli z ustawy

o politterorze, a Szymon rzucał w jego obronie petardy podczas obydwu rozpiarduch – tej na Białoleńcu i tej na Służewcu.

– Drugi raz widziałem cię z bliska w czasie z-za-zadymy na Krakowskim, jak mochy strzelały farbami. Stałem w tej ekipie, co paliła kukłę. Co ją polali sikawą i dziecko splukało. Na pewno mnie wcześniej sfotografowali. Twój ochroniarz, pan dymisjonowany podkomisarz Mylny, pewnie opisał moją chudą dupę rysownikom i sądzę, że ci panowie, co jeżdżą po lesie i płoszą chore dziki, mają moje n-na-nazwisko, adres, mają numer brandzla... a jednak nie mogą nas złapać...

– Złapią.

– Też, jak widzisz, nie za bardzo przed nimi uciekam. Ciągłe im daję szanse, a nie korzystają. Ale masz rację, że w końcu nas dorwą. Na d-drogę już nie da się wrócić. Chyba żadną. Opony mamy przebite. Dlatego tak hałasuje. Tylko że mi to koło chuja lata. Bo mam ostatnie stadium hiperzłościwego raka i kiedy sko-skończy się płyn w tej butelce... po prostu zabije mnie ból. Czaisz?

Prezes odpowiada milczeniem. To też jest odpowiedź.

– Trochę się teraz przestraszyłeś, nie? – W mroku bliskim ciemności absolutnej Szmer uśmiecha się wyjątkowo nieładnie, lecz pasażer nie może go widzieć. Po co więc stroić miny? Jeżeli nikt nie odbiera przekazu – czy ten w ogóle istnieje? (Czy księżyc świeci dlatego, że patrzy na niego mysz? Czy upadające drzewo wydaje dźwięk, jeżeli nie ma słuchacza? Większość świata nauki odpowiedziała przecząco. Istnienie jest funkcją poznania, choć jeszcze niedawno sądzono, że całkiem odwrotnie. Przekaz pojawia się dopiero wtedy, gdy ktoś go odbiera. W przeciwnym wypadku efektem zderzenia drzewa z gruntem jest tylko zaburzenie gęstości powietrza, które to zaburzenie rozchodzi się falą, by na koniec zniknąć. Jak wszystko. Bądź co bądź ostatecznie garnitury ministra Gładkiego, przekop Mierzei

Wiślanej, transatlantyki, kontynenty i układy planetarne zamienią się w szary, zimny, rozrzedzony pył. Nie odwrócisz strzałki entropii. Nie wrócisz zza bramy).

Sztorm prowadzi auto wyłącznie na słuch. Póki odgłosy drących je badyli dochodzą z obu stron równo, są na kursie i ścieżce. Coraz bardziej dziurawej. Niektóre wyrwy muszą mieć ze ćwierć metra, koła całkiem wpadają, amortyzatory płaczą, podwozie trze o wertepy.

– To się na-nazywa nieoczekiwana zmienna. Ja nie żyję, natomiast, co do ciebie, bogowie rzucają m-mo-monetą.

– Jest jeden Bóg i wkrótce się z nim spotkasz, jeśli mówisz prawdę...

(To właśnie problem upadającego drzewa pozwolił Berkeleyowi stworzyć naczelny argument za istnieniem Boga. Świat jest, bo ktoś go dogląda. Jeżeli Wszechmogący się znudzi, znikniemy lub przejdziemy w stan superpozycji – będziemy wszystkim i niczym. Co na jedno wychodzi).

– Jeszcze nie popełniłeś tego najgorszego. Ale wiesz, jak to jest ze strzelbą, co wisi na ścianie... Ty nie jesteś zły człowiek, tylko zagubiony. Jak cała wasza strona, bo formacja... to by było za wiele. Zakłada jakąś formę, a wy jesteście chaosem. Bałaganem zwyczajnym. Odrzuciliście Boga, tradycję i honor, nie daliście nic w zamian. Nawet sobie samym.

Ścieżka skręca w prawo. I chyba się poszerza, bo gałęzie, które obdzierały auto z resztek karoserii, teraz ledwo łaskoczą.

– Gdy wyższe uczucia uległy atrofii, zostały wam lęk i pogarda. To jedyne motory, jakie was napędzają. Pogarda i lęk, i tak w kółko. Jedni z was bardziej się boją, a inni bardziej gardzą. Czy ty w ogóle w coś wierzysz? W coś większego od siebie?

– W śmierć wierzę. Jest większa ode mnie, cięższa o jakieś sto kilo i żeruje w tym lesie. Rusty Cole mówił w *Detektywie*, że poza naszym

wsze-ech-światem rozciąga się przestrzeń, gdzie czas nie istnieje. W wieczności nic nie rośnie. Nic się nie rozwija. Nic nie zmienia. Dlatego śmierć stworzyła czas. Żeby rzeczy, które ma zabić, mogły wpierw urosnąć. W pełni się z tym zgadzam. Jedyne, czego nie wiem, to czy śmierć jest jedna, czy ka-ka-każdy ma swoją. Bo ja własną już widzę, twojej jakoś nie.

– Ach, więc to jest ta mała... co ty pijesz? Morfinę?

– Już pytałeś, stary. Morfina tam też jest. Dużo różnych dobroci. Zmów pacierz, by się moja mała nie pomyliła i nie zabrała przez pomyłkę ciebie. Zmów do A-a-aniola Stróża albo do Ojca Dyrektora. Albo do swego patrona. Jest święty Jarosław?

– Jest. Był księciem muromskim. To w Rosji. A w twojej sytuacji, jeżeli nie kłamiesz, kpiny są nie na miejscu. Widzisz... my mamy przynajmniej tych świętych chociażby, jakieś dogmaty, na których się buduje...

– Dogmat to nic innego jak zakaz myślenia.

– Mamy aksjologiczne oparcie, które pomaga człowiekowi w krytycznych sytuacjach. Wy macie tylko trendy, szyderstwo, tandetne persyflaże, tych głabów, co parodiują nasze uroczystości... czyli nie macie nic. Winienieś zmienić strony.

– O tak, wasze aksjomaty są znane. Kasa i władza. Kościół, propaganda i socjal. Wolałbym lizać poręcz w metrze w czasie koronawirusa, niż do was dołączyć.

– To zostań z neobolszewią. Ze spadkobiercami Marksa i Stalina. Tylko już nie ten wymiar, bo żeście skarleli. Sieroty po marksizmie. – Prezes sucho kaszle, jakby się zakaził. Przed maską majaczy słaby biały ślad. Nieroztopiony śnieg. Dukt się wyraźnie rozszerzył. Dziury przeszły w duże, głębokie doliny, samochód raz się zapada, raz wjeżdża na wypukłości.

– Dzielicie nie swoją kasę, mydlicie ludziom oczy, okadzacie dawno martwego Boga, by nie czuć woni trupa. Ale już sami w niego nie wierzycie. Zwróć uwagę: gdy twoi oprycznicy zakazują pedziom paradowania w miastach, nie twierdzą, że ci ranią bóstwo. Tylko że ranią uczucia. Uczucia waszego elektoratu, uczucia jakichś abstrakcyjnych wiernych. Uczucia tego wariata, co stale donosi do prokuratury. Przecież gdybyście wierzyli, jak wierzą wahabici, tobyście mówili jak oni: Bóg chce, Bóg zabrania, a nie że ktoś komuś przykrość sprawia, że rani... wy już nie wierzycie.

– Ostrze twej krytyki mnie bawi. – Porwany chyba się kwaśno uśmiechnął, w każdym razie stwierdzenie zabrzmiało szyderczo. – Weź może łaskawie pod lupę drugą stronę. Tę dewastację natury człowieka, dewastację naszej tożsamości w wymiarze narodowym i antropologicznym. Co oni oferują w zamian?

– Nic, tu akurat masz rację. Liberalizm, humanizm przestały być opowieścią. Były nią w czasach *Emila*, ale od dawna nie są. I mnie to akurat martwi, lecz kryzys jest faktem. Dlatego wyrastają takie kwiatki jak wy i wasza partia.

– Pohamuj łzy, synu, nie ma nad czym płakać. Tolerancja, otwartość, równouprawnienie... Nie słyszysz, że to jeden łańcuch tautologii? Ty mówisz: liberalizm, ja mówię: permissywizm. Mówisz o humanizmie, ja o ateizmie. Nie ma czego żałować. To całe zachłyśnięcie się... Papugowanie narodów. Nie dowierzaj wozom wiozącym chleb dla ludzkości, bo bez moralnej podstawy mogą wywozić do łagrów. Zresztą, już pomijając meritum, wystarczy poczucie smaku, żeby odrzucić Hyclową i tę jej czeredę. Ale, niestety, jest w polityce takie coś jak sezon. Nikt nigdy nie rządził wiecznie. I my też nie będziemy. Z tym że ja tamtych do maszyn łatwo nie dopuszczę.

– Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei?

– Żebyś wiedział. Złodzieje, patologiczni kłamcy podatni na szantaże i najzwyczajniej głupi. Przecież nawet nie wiedzą, czego sami chcą, ich napędza jedynie... mówiłem... pogarda.

– Mówiłeś, tak. Moja siostra.

– Już przynajmniej Herbertem mordy nie wycieraj. – Prezes chyba się zdenerwował.

– Pierwszy zacząłeś z tym poczuciem smaku.

– Opuść sobie. Macie własnych poetów. Ach, nie... przepraszam, nie macie. Wiesz czemu? Bo żeby tworzyć poezję, potrzebna jest metafizyczna składowa. Rozumiesz?

– Składowa czego?

– Paradygmatu, aby nie był poznawczo bezpłodny. Gdyby nie Kościół po prostu, że już abstrahuję od wymiaru wiary, dawno by nas nie było. Was też. Wszystkie systemy urzędowo negujące Boga skończyły się ludożerstwem. Dwadzieścia milionów ofiar tylko według Conquesta. Według Samotnika z Vermont sześćdziesiąt. Nie wspomnę o Chinach.

– Znam tę historię. Niczego nie wy-wy-wyjaśnia. Jest poznawczo bezpłodna, jak to ładnie ująłeś. Masz Syrię i Holandię. W Syrii są sami wierzący.

Drogę widać już dobrze nawet i bez świateł. Biały, pofałdowany dywan prowadzi, o ile Sztorm nie zmylił kierunków, na południe i wschód. Z tą prędkością, na pierwszym biegu, bez opon, za godzinę dojadą do Biebrzy.

– ...jeżeli nie Bóg, to przynajmniej kategorie moralne. Inaczej zostaje świat zwierząt. Walka każdego z każdym. Do tego doprowadzicie, jeżeli weźmiecie władzę. Gdy nie ma Absolutu, wszystko jest dozwolone. Temu trzeba zapobiec.

– To też już mówiłeś. Ty masz alzheimera?

– Prawdy nigdy dość.

– Prawda jest dokładnie prze-przeciwna. Nie ma takiego uczynku, na który się nie poważą twoi pretorianie. Tacy jak Filut, jak Korny, jak Tajner. Siedzą ci w dupie tak głęboko, że mogliby żuć twe posiłki. A poza tym cel uświęca środki z przewagą uświęcenia. W imię zwycięstwa dobra udupiliście ludzi, żeby nie zagrażali wam swoim wo-wolnomyślicielstwem. W imię zwycięstwa dobra awansowaliście pętaków, bo tacy są na-na-najbardziej posłuszni. Macie selekcję negatywną. Wasz mędrzec z Torunia, ale nie Rydzyk, tylko ten, co skrzeczy, powiedział o was samych: „nadmiernie podejrzliwi z niechęcią do pracy nad sobą”. Podpisuję się pod tym. Główna cecha twojego obozu to ta podejrzliwość.

– Trudno nie podejrzewać, jak się zostało sto razy oszukanym. Polacy zostali oszukani w roku osiemdziesiątym dziewiątym i byli oszukiwani przez trzydzieści lat z krótką przerwą...

– Wiem, na wasze rządy. Jak to kiedyś ująłeś, „tragicznie zbyt krótkie”. Teraz już nie oddacie władzy. „Gdzie Bóg stanie, tam m-m-miejsce Boże!”. A „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”. Wasz patron to Gomułka, a nie Dostojewski.

– Czytałeś i nie zrozumiałeś...

– G-go-gomułki? – Sztorm czuje swędzenie szyi, dotyka i oblizuje palce. Słodko i słono naraz. Krew z rozerwanej skóry na policzku utorowała sobie ścieżkę pod brodą i dalej.

– „Gdzie Bóg stanie, tam już miejsce...”, rzekł diabeł do Iwana. To odautorska kpina. Tym diablím bogiem jest właśnie nowy człowiek. „Zwycięży bezgranicznie przyrodę wolą i nauką”. „Śmiertelny bez zmartwychwstania... dumny i spokojny”. W tę stronę chcecie wędrować? A idźcie sobie wraz z diabłem, którego macie za ojca, tylko zostawcie Polskę!

Naprawdę się stary wkurzył... Śnieży już coraz słabiej, ledwo co pada na szybę, zaraz paruje i znika. Niebo jest raczej szare niż czarne; daleko z przodu widać jasne rozdarcie na krepie. Albo to pierwsze haluny.

– Złóścisz mnie. Nie zrozumiesz, bo nie chcesz. – Prezes przysunął się blisko i mówi wprost w ucho Sztorma: – A mógłbyś zrozumieć, gdybyś tylko odrzucił wasze zabobony. Ten relatywizm, a tak naprawdę uległość wobec obcych, wasze kapitulantwo, defetyzm...

– N-na-nasze zabobony? Weź przestań! To wy macie pojęcie o świecie je-e-eszcze średniowieczne. Tańczysz z Powolnym i resztą w Toruniu, śpiewacie „Abba, Ojciec”, a mówisz o zabobonach...

– Gadasz głosem Hyclowej, jej skrzekiem. Kraj, niby, do średniowiecza cofamy... przestanę cię szanować. Ona się musi cofnąć. Do szkoły. Tam ją nauczą, że średniowiecze to była złota era. Że do dzisiaj żyjemy w miastach wówczas założonych. Kazimierz Wielki, wiślany szlak zbożowy, Kopernik... No ale dla opozycji bohaterem jest psychicznie chory. Ten, który się podpalił. Zapomniałem nazwiska. I ten, co głodował. I ten wasz Unabomber z Lubawy.

Białe pęknięcie na niebie wygląda, jakby się rozdarły w kroku watowane spodnie. Złudzenie – lub anomalia meteo – wydaje się przesuwac wbrew prawom optyki. To chyba ma coś wspólnego z chmurami i księżycem.

– My chcemy was przekonać, bo wierzymy w rozum. Rozum i wiara się uzupełniają. Istnienia świata nie można wytłumaczyć bez części mistycznej. Poczytaj Wittgensteina... Mam nadzieję, że cię wyleczą i będziesz miał czas. Nie życzę ci śmierci.

– Już mówiłeś. Bez prze-e-erwy powtarzasz kwestie. To bankowy alzheimer.

– Mam swoje lata i muszę wziąć lekarstwa. Mógłbyś mnie chociaż rozpiąć. Przecież nie wyskoczę.

– Pomyślę o tym. Na razie możesz mówić. Tylko już nie wciąż to samo. Powiedz mi coś o Hyclowej. To prawda, że ich opłacacie?

– Ja nie wiem. Ale skoro są plotki, to chyba jakoś, no... o czymś świadczy. O całej ich beznadziei. Jeżeli myślisz, jeżeli rozumujesz, nie możesz trzymać z takimi...

– Takimi kanalami?! Hołotą chamską?

– Za mało powiedziane. Nie potrafię przeklinać jak ty i dzisiejsza młodzież...

– Wychowałeś się w trochę lepszych... jak to było? Miejscach? Towarzystwach? Nie h-ha-haratałeś w gałę, jak tamten rudy kłamca.

– ...i słów mi czasem brakuje. Hyclowa, ta cała hałastrą... Najgorszy autorament szumowin, obszczymury takie. Ty powinieneś być z nami.

– Masz już syndrom sztokholmski i znowu się powtarzasz. Zaraz mi zaproponujesz jakieś ministerstwo. Wiesz, czemu nie jestem z wami?! Bo powiedziałaś, że d-do-dorośle koty nie pijają mleka.

– Ja tak powiedziałem?

– W styczniu dwa siedemnastego w Szczecinie. Wychowałem się w mieszkaniu z kotami. Mama by-była kociarą, zanim nie odleciała. Koty kochają mleko, piją przez całe życie. Jak oszukujesz nawet w sprawie kotów, jak mam ci uwierzyć...

– Chyba cię przecenilem! – Pasażer wraca głęboko na swoje oparcie. Snop światła księżycy gwałtownie nabiera jasności. Ożeż kurwa! To nie jest złudzenie, pęknięcie w obłoku czy w kroku, to jebany śmigłowiec z halogenem w dół. Jeszcze nie słyhać warkotu, lecz zbliża się jak torpeda. Przeczesuje trybę. Sztorm próbuje zjechać najpierw pod drzewa z prawej, potem pod te z lewej. Pnie stoją zbyt gęsto. Świetlny obelisk rośnie, teraz

słysząc też wirnik. A Prezes monologuje. On się chyba, skurwysyn, coraz lepiej bawi.

– Zatrzymaj się, skończymy ten wieczór. Już pokazałeś, że z ciebie partyzant. Załatwię, że cię wezmą prosto do szpitala. Do centrum onkologii na przykład. Znam. Świetni fachowcy.

Jest większa luka pomiędzy drzewami, kierowca ostro skręca, wjeżdża pod zbite korony. Nawiało tu trochę śniegu. Śmigłowiec hałasuje, w kręgu jupitera pilot obserwator dostrzeże ślady kół – nie mogą być ślepi i aż tak głupi. Chyba już coś dostrzegli, maszyna zawisa nad ścieżką. Zapewne wzywają odsiecz, podają współrzędne, cała ta kawaleria, której udało się uniknąć dwadzieścia minut temu, teraz skręca, zawraca i pędzi. W jednym z furgonów siedzą dwa ogry z browningami i kupą nabojów na grubego zwierza. Bardzo chcą się przydać. Znają przecież ten las. A Sztorm go przestudiował – na mapie i w realu – tylko powierzchownie. Prezes z tyłu coś mówi, śmigłowiec go zagłusza, reflektor omiata drogę w tę i we w tę. Już się tam u góry cieszą, zostaną nagrodzeni. Zaraz puszczą z głośników cwał Walkirii i wywalą napalm. Od kiedy spotkali się z Madonną i Waletem pod mostem na Siekierkach, kilka razy miał wrażenie nierealności różnych sytuacji. Wcześniej też się zdarzało, ale nie codziennie. Na przykład wówczas, gdy po zamknięciu wydawnictwa poszedł się zatrudnić w prywatnej szkole rysunku i na pytanie, co robił wcześniej, odparł zgodnie z prawdą, że był kierownikiem artystycznym w trzech miesięcznikach naraz. Dialog był niezamierzenie komiczny, lecz pracę mu dali. Przyjmowali każdego, kto mówił po polsku, miał jakieś zęby z przodu i kwit magistra sztuk.

Inny przykład: karczemna i, jak się potem okazało, brzemienna w skutki kłótnia, która wybuchła po tym, gdy Sabina oświadczyła, że przechodzi z urzędu do Ministerstwa Infrastruktury i będzie pracować – uwaga! – dla

rządu. Dla tego rządu. Dla rządu, o którym rozmawiali wcześniej chyba tysiąc razy. Że to skurwysyny. Ale kariera ważniejsza.

Jeszcze parę takich momentów oderwania się od rzeczywistości mógłby w życiu wskazać, lecz odkąd zaczęli z Waletem i Moną realizować projekt (szczególnie Walet, podniecony konspirą, nadużywał tego korpookreślenia), wrażenie nierealności wracało kilka razy na dzień. I teraz też je ma. Czego się zresztą spodziewać po mózgu zalanym oksykodonem i metyleno-coś-tam-aminą. Powinien się cieszyć, że jeszcze nie postrzega siebie jako wielkiej muchy z głową papieża Polaka.

No więc, wracając do wątku, Prezes jest mniej realny niż ciemnooka, włochata znajoma. Uciekają ze starym po lesie w taki sposób, jak się w snach brodzi w bagnie, spada z wysokości albo szuka zguby. Może dość oprzytomnieć i będzie znowu w szpitalu z konającym złotnikiem-koniobójcą. Nie! Wcześniej. Z Sabiną w domu. Nie, do chuja, wcześniej! Będzie jeszcze z Kaśką.

– Stań, przecież nie przejedziesz!

Huk helikoptera mniejszy, łomoty z podwozia – większe. Samochód masakruje coraz gęstsze krzewy.

– Coś śmierdzi, chyba silnik się pali!

Faktycznie: wali zjaranym karbidem, tłącym się włosiem z dupy, skondensowanym syfem na dziki, mięchem z robakami, wszystkimi smrodami naraz.

– Czy ty naprawdę chcesz zginąć?!

Sto razy już o to pytał, otepieniec jeden.

Spotkanie pod mostem skończyło się postanowieniem, że uprowadzą Kaczora za równe sześć dni. Madonna parła na termin, Walet zgodziłby się, nawet gdyby mu postawili warunek, że ma oddać nerkę. Ustalili wygodny sposób komunikacji. Jedna skrzynka mailowa na popularnym serwerze

i każdy zna do niej hasło. Wchodzisz, wpisujesz wiadomość, ale jej nie wysyłasz. Druga osoba wchodzi, otwiera folder z niewysłanymi, czyta, dopisuje swoje, niczego nie wysyła, wychodzi. Nawet nowy Echelon skanuje tylko krążące maile, nie czyta niewysłanych. Chyba. W efekcie Sztorm miał ustawione dwie drogi komunikacji. Przez skrzynkę z Moną i Waletem oraz przez komentarze na „Wyborczej” – już tylko z nim. Najlepiej rokującym ze wszystkich przejazdów Prezesa okazał się kurs Podśmiardowo–Toruń. Z grafiku jasno wynikało, że będzie im się spieszyć. Nabożeństwo u Marii Panny Po Trzykroć Przedziwnej miało się zacząć o czternastej, a *Rozmowy niedokończone* w Toruniu – o osiemnastej piętnaście. Jakąkolwiek trasą by Naczelnika nie wieźli, musieli albo objechać ciągnące się przez trzydzieści sześć kilometrów jeziora Brzydkie i Płytkie plus cały biebrzański park, albo przejechać przez Kluchy Mazurskie. Tyle mniej więcej Szmer napisał w którejś z wiadomości. Madonna dopisała poniżej, że radiowóz już ugadany i będzie na czas. Wyłączony z użycia po awarii radia, nikt go nie zacznie szukać, można nim śmigać po Polsce zupełnie bezkarnie. Będą legitne mundury. I podwodna karta. Waletowi została organizacja miejsca w promieniu trzydziestu, czterdziestu kilometrów od Kluch. Czy tam Kluchów. Szymon zaś poszedł do Games & Internet Café na Ochocie, wszedł na Dark Side i przejrzał przez cztery godziny masę tak zwanych antypolskich stron: A.C.A.B., Sok z Buraka, KATOTaliban i jeszcze raz AnKar. Dostrzegł coś, co wcześniej przegapił – z tym że teraz już wiedział, czego poszukuje.

Otóż między dwudziestym a trzydziestym sierpnia na wszystkich stronach pojawiły się statusy i komentarze pochodzące z siedmiu nowych kont o podobnie skonstruowanych nazwach. CiemnoGóra, ZłaZmiana, Eva Duarte, KonsTytucJa26, Maria Mendelson, Lewy Prosty i Madonna99. Wcześniej po forach i między wątkami hulały różne Konstytucje,

KonsTytucje i inne oboczności. Była też Ewa Duarte pisana z polskim W. Ale KonsTytucja z numerem 26 zalogowała się na A.C.A.B. dwudziestego sierpnia o dziewiątej rano, na AntyKaczorze pół godziny później. CiemnoGóra na KATOTalibanie dwudziestego pierwszego o szesnastej, kwadrans potem – na Soku z Buraka... i tak dalej. Było coś jeszcze. Zarówno CiemnoGóra, jak i Eva Duarte, Lewy Prosty oraz Maria Mendelson rozpowszechniały informacje o wyczynach Czerwonych Brygad, RAF-u, IRA i dalej w ten deseń. Ktoś skryty za tymi kontami zachęcał użytkowników Dark Side do działania teraz! Do antyrządowej akcji wzorowanej na wyczynach lewaków i separatystów z ubiegłego wieku. Do akcji bezpośredniej. *Action Directe*. Na początku września CiemnoGóra korespondowała na KATOTalibanie z kimś o nicku Doug Souza. Szymon rozwinął dyskusję. Doug Souza pisał, że jest fizykiem, pracuje na Polibudzie w Poznaniu, nie cierpi katofaszystów i chciałby uczcić z przytupem rocznicę śmierci Millera. „Myślę o powtórce z obalenia pomnika prałata Jankowskiego, tylko w innym miejscu”.

I co mu odpowiedziała osoba skryta za nickiem CiemnoGóra?

„Trzeba się ruszyć jeszcze przed wyborami, bo potem dokręcą śrubę tak, że już się nie połączymy. Musimy zmienić miejsce, tu są karaluchy. Nowy adres: piąte i szóste słowo za horyzontem. Szukaj urodzin Sylwestra”.

To było na swój sposób przewrotne. Konieczność rozwiązania rebusu po drodze wywołuje w rozwiązującym przecucie, że ktoś mu tę drogę utrudnia. Przeszkoda wywołuje podejrzenie, że jest się prowadzonym. A tymczasem zagadka jest prosta jak działanie cepa. Jeżeli ktoś potrafi się zalogować we freencie, rozkmini, o jakie słowa chodzi. O „dziada” i o „ramola”.

Po wyjściu z Dark Side Szymon Sztorm zalogował się na „Wyborczej”, odnalazł artykuł o fraktalach i ostrzegł Waleta, by się miał na baczności, bo mogą być już śledzeni. Więc żadnej aktywności w sieci poza ustaloną, żadnych antyrządowych gestów i oczy wokół głowy. Gdyby Madonna99 skontaktowała się z nim w inny sposób niż przez wspólną skrzynkę, ma natychmiast donieść. To jest najważniejsze.

Przed wyjściem z Games & Internet odnalazł jeszcze na wallu Dziada Ramola „Urodziny Sylwestra”. Był tylko ślad po wątku. Coś tam skasowano.

– Czy ty naprawdę chcesz zginąć?!

To pytanie już padło. Co to jest? Pętla czasu? Nie słychać helikoptera. Za to Prezesa świetnie. To już poczwórna przestrzeń? Tunel nieświadomości? Elik sir w końcu zwyciężył? Myśli same się myślą, słowa same się mówią, i to bez zająknięcia, samo się jedzie, grzmi samo, samo się dymi spod maski, samo się zwariowało?

– Podprowadziła nas, stary, agentka bezpieczeństwa, której zadaniem było pierdolnąć ci w łeb. To wiemy obaj. Ale o co tej piździe chodziło strategicznie? Znaczący... jej mocodawcom.

– O destabilizację. To jest czyjaś zaplanowana robota inspirowana z zewnątrz. Czy ty naprawdę chcesz zginąć?

– Pytasz mnie wciąż o to samo, czy obaj już nie żyjemy i to tylko echo?

– Jeżeli nas tu zabijesz, wszystko im się upiecze. – Porwany zaczyna mówić szybko, jakby za chwilę mieli go wzięć i powiesić. – W kraju wybuchną zamieszki, krew się poleje, im tylko o to chodzi, taka jest teraz stawka.

„Bo im tylko o to chodzi, żebyś sam sobie szkodził, żebyś sam nie mógł myśleć, żebyś sam nie mógł chodzić...”

– Dlaczego słyszę muzykę?

– Hamuuu...uj!!

19. Rozdział, w którym dowiadujemy się sporo na temat przeszłości Wolanta i Sztorma

Wojciech Walet Wolant wchodził do wspólnej skrzynki mailowej Akcji Demokracja kilka razy. Madonna zleciła mu między innymi kupienie lekkiego statywu, możliwie najwygodniejszych do transportu turystycznych mebli i takie tam. Pod artykułem o fraktalach Sztorm jako Barbamama wciąż pytał, czy ktoś aby za nim nie chodzi. Kazał mu wygooglować sobie, co to jest trasa sprawdzeniowa, jak się ją robi – i zrobić. Dopiero potem ruszać na Podlasie. Objazd wykonać rowerem. Użył terminu „wykonać”, co bardzo się Wolantowi spodobało. Byli już żołnierzami.

Wojciech wziął urlop na żądanie – od razu cztery dni, kupił bilet autobusowy do Ełku, zapłacił w kasie gotówką. Przed pójściem na dworzec wstał o piątej rano, przejechał się tramwajem, a potem autobusem. Dotarł na Retkinię, z Retkini na Górną, pochodził piechotą i jeszcze raz wbił do tramwaju. Uznał, że nikt go nie śledzi. Z autokaru wysiadł w Grajewie, poszedł do serwisu rowerowego przy ulicy Elewatorskiej, wypożyczył na resztę dnia, za gotówkę plus kaucja, górą z amortyzatorem, pompką i licznikiem kilometrów. W pięć godzin objechał miejsca, które obejrzał wcześniej na stronach dla turystów – miłośników doliny Biebrzy i ostatnich

dzikich mokradeł Europy, aktualnie wysychających, jak wszystko. Wybrał stary młyn w Pupach, częściowo wypalony. W okolicy – nikogo, a zasięg jeszcze jest. Jedna jedyna droga dojazdowa – jak zalecał Szmer.

Zrobił zdjęcia, ale ich nie wysłał, tylko przerzucił – już w mieszkaniu – na laptopa po kabelku i wkleił do skrzynki mailowej jako załączniki ostatniej wiadomości złożonej z dwóch zdań. „Miejsce znalazłem. Pół godziny od Kluchów”.

Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny przed akcją nosiło go po mieszkaniu. Do czegokolwiek by się wziął – wszystko było nudne, banalne, bez sensu. Myślał o tym, czyby nie wysłać do matki tradycyjnego listu. Dostałaby go już po operacji. Ale nie miał jej aktualnego adresu. Postanowił więc odmalować transparent. Porywacze Moro zrobili mu zdjęcie pod płachtą „Brigate Rosse”. Porywacze Hooleya sądzili go na tle szahady. Ci ze Świetlistego Szlaku sadzali ofiary na tle sierpa, młota i hasła *La guerra popular*. Wojciech zapytał Szmera, jakiego użyć hasła. Barbamama odpisał: „ZABRANIA SIĘ ZABRANIAĆ”. Walet pamiętał jeszcze, że to zawołanie propagował niejaki Włóczykij, mieszkaniec Doliny Muminków. On bardzo go sobie cenił, gdy jako dwunastolatek zaczął czytać Tove Jansson. Odpowiadał mu nastrojowy anarchizm jej świata bez wyraźnych granic. Świata, po którym można się było przemieszczać pływającym teatrem. Potem urósł i po trzynastych urodzinach zaczął się identyfikować raczej z czarownikiem Gadem. Mniej więcej w tym samym czasie poczuł, że woli chłopaków. Na szkolnej wycieczce, po ćwiartce wódki i skunie, strzepał gruchę koledze, a ten w zamian zgodził się poprzytulać. Kolejne przygody były równie kiepskie. Jako czternastolatek był już kłębkim nerwów. Do tego stopnia, że zaczął popiskiwać. Taki tik nerwowy. Gdy wydał z siebie coś w rodzaju jęku czy miauknięcia kota, na chwilę mu puszczało. W szkole się z niego śmiali, w mieszkaniu totalna

siara, bo ojciec położył biznes ostatniej nadziei i wciąż się z mamą kłócili. Przestała wpuszczać starego do domu, ten próbował, pijany, wpieprzać się na siłę; były wrzaski, sąsiedzi i wstyd. Nie płacili już czynszu. Powiedzieć, że dostał pryszczki, to nic nie powiedzieć. Miał na twarzy surową karkówkę. Zaczęły mu latać zęby, a mama: „gryź drugą stroną”. Raz go ni stąd, ni zowąd spytała, czy nie jest aby pedałem. Wykrzyczał, że owszem – że jest. Od zepsutego trzonowca zrobiła mu się przetoka, dostał gorączki, jakiegoś zakażenia, zabrali go do szpitala i tam dopiero odpoczął. Dermatolog powiedział, że jego fatalna cera może wynikać ze stresów. Reakcja organizmu. Inny doktor zapisał mu coś na nerwicę. Gdy Wojciech wrócił do domu, był styczeń, ojciec siedział bez ruchu, przypalał kiepa od kiepa, akurat chwilowo nie pił, postanowił przemówić synowi do rozsądku, by rzucił pedalstwo. „Czy tak cię wychowałem?” Jakies pół roku później walnął go samochód. Mama postanowiła wyjechać do Anglii. Jeszcze przed osiemnastką Wojtek został sam w zadłużonym mieszkaniu z pustą, zresztą zepsutą lodówką. Ostatnie trzy pięćset plusy mama uczciwie mu odesłała, choć sama była w potrzebie, potem poszedł do pracy, do Biedry. Robił tam głównie wieczorem, wykładał towar na półki. I zaczął się wygrzebywać. Mieszkanie zajęli, więc wynajął pokój, z rocznym poślizgiem napisał maturę, zaczął studiować historię. Wiedział, że pieniędzy od tego nie przybędzie, ale zawsze ją lubił. W Biedrze zasuwał w weekendy, płacili podwójnie, wreszcie mógł kupić sobie książki, było go na nie stać. Wyleczył wszystkie zęby, z cerą szło bardziej opornie, bo jednak ciągle zmagął się ze stresem. W dwudzieste czwarte urodziny pierwszy raz poszedł do klubu w podwórzu. Poznał dziesięć lat starszego Artura, trochę mieszkał u niego, skończyło się po roku. Artur wpierw znalazł Wojciechowi pracę – lepszą niż w Biedronce, przy tabelach meteo – a potem znalazł sobie młodszego partnera. Po Arturze był inny wynajęty pokój, był Michał,

dalej Maciej, faje większe i mniejsze, tyłki ciasne i luźne – uczuć raczej zero. Jakoś tak pod koniec dwa tysiące dwudziestego, już po szczycie koronawirusa, poznał najstarszego z dotychczasowych partnerów. Znów o imieniu Artur. Ten wciągnął go w politykę. Chodzili razem na demonstracje w obronie tego i śmego, przeciwko przejmowaniu sądów przez dojną zmianę, przeciwko ustawom specjalnym, przeciwko KOMTiZ-ie... Składali podpisy pod listą w sprawie Mariusza Millera, wspierali feministki, które chciały przerobić Rondo Dmowskiego na Rondo Legalnej Aborcji, było zajebiście. Owocny intelektualnie romans z Arturem Drugim skończył się po dwóch latach, ten także znalazł młodszego, lecz Wojciech połąkł politycznego bakcyła. Zinternalizował. Odtąd zaczął czytać „Wyborczą” i profil Amnesty, słuchać Wolnej Europy, ślęczał nocami niczym Neo Anderson, zasypiał przy klawiaturze i przy włączonym ekranie. Śledził informacje o wszelkich antyrządowych (jak oni mówią, „antypolskich”) wyskokach, protestach, akcjach samotnych wilków i tych, którym udało się zorganizować jakieś grupki, jak Seweryn Swat. Udzielał się na AntyKaczorze, Soku z Buraka, na A.C.A.B. i w innych miejscach. Aż znalazł swojego Morfeusza, podążył za białym królikiem i poznał Szymona Sztorma. Poznał bojownika. Sam został bojownikiem.

Wracając do transparentu – wymalował po prostu hasło „DEMOKRACJA”. Ich trójka sądząca Kaczafiego to będzie Władza Ludu.

Dwa dni wcześniej, kiedy już oddał w Grajewie górala z amortyzatorem, pompką i licznikiem, gdy wracał przez Łomżę do Łodzi, Szymon Sztorm właśnie jechał w przeciwnym kierunku i podobną drogą, by organizować plan B. Właściwie nie tyle jechał, ile snuł się zgodnie z przepisami – pięćdziesiątką po wioskach, czterdziestką przez miasteczka: Wołomin, Wyszaków, Ostrów Mazowiecką. Podróż zajęła mu w sumie prawie cztery godziny. Kupiony w baraku na Połczyńskiej terenowy

japoniec z przebiegiem przeszło sześćset tysięcy miał jeszcze w sobie magnetofon z zakleszczoną na amen kasetą. Kolędy Arki Noego.

Wcześniej, w Warszawie, sporządził odręczny szkic na skserowanej mapie, która obejmowała teren w kwadracie Kluchy – Kał – Goniądz – Wroceń. Potem oglądał gałęzie chorych kasztanowców wzdłuż szosy Augustów–Grajewo. Kupował brzeszczot do metalu w śmierdzącym rybami sklepie spożywczo-przemysłowym w Kluchach. Piłował kłódkę od leśnego szlabanu. Jeździł po olsach, wertepach i piachach, nanosił poprawki w rysunku i je zapamiętywał. Zastanawiał się, po pierwsze, którędy pójdzie pościg, a po drugie, czy wszedł w ten – używając słów Waleta – projekt, żeby udowodnić coś swej byłej żonie Sabinie. I doszedł do wniosku, że owszem. Że to jest co najmniej druga, jeżeli nawet nie pierwsza jego motywacja. A teraz, kiedy Saba kończy ekscytujący dzień pracy, kiedy esemesuje z ministrem Grzegorzem Gładkim w sprawie kolacji lub wyjścia do teatru, kiedy się dowiaduje od niego, że ktoś porwał Prezesa, kiedy wchodzi ostrożnie na zakazany portal Radia Wolna Europa, jej były mąż robi rajd przez las, jakby uciekał przed bandą szturmowców na księżycu Endor. Kręci coraz bardziej luźną kierownicą, wóz na pierwszym biegu zrywa ściółkę i resztki własnych opon, coś w silniku buzuje i śmierdzi, Prezes się nie odzywa. Nie zginął od kuli w tartaku, może jeszcze spłonąć w rozbitym samochodzie razem z porywaczem.

Helikoptera nie widać już ani nie słyhać, zresztą za duży hałas; wśród pni rosną jakieś jałowce czy inne iglaste gówno, niektóre wyższe od człowieka, dwutonowy nissan zgniata je wszystkie bez trudu. Jazda tym się głównie różni od grania w Trackmanię, że nie będzie drugiego i trzeciego życia. Pierwsze się też zresztą kończy. Pasek zdrowia już wyczerpany, miga na czerwono.

Sabina w ministerstwie została szefową departamentu i sekretarzem stanu, czyli prawą ręką Grzegorza Gładkiego, który ma rekordowe IQ, wysyła sto czterdzieści maili na dobę, potrafi zadzwonić do pracownika w niedzielę o wpół do szóstej rano i pewnie przyjmuje doodbytniczo mefedron. Z tygodnia na tydzień Szymon – ze swoimi banalnymi kłopotami w wydawnictwie – zrobił się mały jak one. Żona i jej nowi znajomi z rządu zmieniali Polskę, byli stale zajęci, stale zaaferowani, stale w kontakcie. Po czterech miesiącach intensywnej pracy dla narodu Saba była już zakochaną w ministrze członkinią trzech rad nadzorczych spółek notowanych na giełdzie. To, czy skonsumowali relację z Gładkim przy świecach, czy też minister jedynie podawał jej w windzie, właściwie mało Sztorma obchodziło. Gdy powiedział do Saby: „Może się wyprowadzę?”, sądził naiwnie, że inicjuje oczyszczającą rozmowę, lecz usłyszał (od kobiety, którą kochał ponad piętnaście lat), że to dobry pomysł. I było pozamiatane. Dalej działało już głównie jego poczucie godności. Poza tym nie mógł się opędzić od bolesnej refleksji, że żona mu zrobiła to, co on wcześniej Kaśce. Gdy o tym myślał, brzuch napierdalał go podwójnie.

Teraz też nawala, choć przez ostatnie siedemnaście godzin wypił tyle ambrozji co przez minione trzy dni. Od wyjścia ze szpitala ciągle zwiększa dawkę, jego wykres zużycia morfiny to krzywa hokejowa. Powinien lewitować, świecić, zamienić się w koczkodana. Tymczasem ledwo tłumi ból. Wszystkie jego formy: od doskwierającego swędzenia po smażenie się trzewi – czyhają w zakamarkach ciała, żeby go wpierdolić żywcem, rozszarpać, gdy padnie chemiczna zasłona. (Nocyceptory, czyli nerwy odpowiadające za uczucie bólu, otaczają nie tylko tkanki wierzchnie, takie jak rogówka, skóra, lecz także jelita, wątrobę i inne narządy wewnętrzne. Człowiek chorujący na raka – przynajmniej takiego, jaki zżera jego – przekonuje się nagle, że boleć może wszystko. Cały ten wór nieczystości,

na który narzekał Odon, ta zbieranina podrobów, którą nosimy w środku, wszystko to może się wypełnić watą szklaną, pokruszonym kamieniem, gwoździami. Nic tylko chwycić miecz tantō, rozciąć tę jamę i wypierdolić jej brudną, piekącą zawartość na śnieg. Być choć przez chwilę czystym, a potem niech mu Prezes obetnie zbędny łeb tak, aby zawisł na skórze).

To w trakcie – i efekcie – sprawy rozwodowej stracił mieszkanie, pracę i na koniec zdrowie – usłyszał od lekarza, że rak się wykluł i zaczął rozsiewać wtedy, gdy chodził do sądu i szukał po mieście roboty. A on, głupi, myślał, że brzuch go najzwyczajniej szarpie ze stresu i smutku. Że wrzody czy coś w tym stylu. Tak czy srak, udział w projekcie, jak go nazywał Walet, miał być i jest – przyznaj to, Szymon, przed sobą – ostatnim rozpaczliwym komunikatem wywrzeszczanym w kierunku Sabiny. Nie mogliśmy mieć dzieci i może nie kochaliśmy się wystarczająco. Niedowidzący czterdziestolatek, który rysował makiety niszowych miesięczników, musiał mieć mniejszego chuja niż Grzegorz Co Ma Szansę Zostać Premierem. Grzegorz, który spędza urlopy na Karaibach, ale chętnie poleci również do Nepalu. Który jada kolacje z tuzami Zwycięskiej Prawicy. Który jednym telefonem może załatwić tak wiele, który był w Białym Domu i ma własny jacht w Saint George's na Grenadzie. Ale teraz ten Szymon, Który Po Prostu Cię Kochał (i może, kurwa mać, kocha nadal), schwycił tego, co wydaje polecenia tym, co wydają polecenia Gładkiemu Grzesiowi. I oto twój Szymek ma i wielkiego chuja, i spluwę. A Grzegorz będzie się musiał tłumaczyć, co go połączyło z ekszoną kidnapera. I pewnie te tłumaczenia nie starczą. Nikt z partii nie poda mu pomocnej dłoni. Zostanie trędowatym. Dołączy do grupy bezrobotnych i nadkompetentnych. Po roku przejadania zapasów dojdzie do wniosku, że praca kuriera od przesyłek jednak go nie zhańbi. I choćby z tego powodu warto było porwać tego starego dziada.

W środku lasu Sztorm jechał, jechali, nawet całkiem szybko, bo drzewa rosły rzadko, więcej sterczało krzaków i bukowych siewek o jeszcze żywych liściach. Ale teraz dojeżdżają, jak się zdaje, do skraju możliwości. Fragmenty szarego nieba wyłazą zza czarnych koron, pnie stoją gęściej, w dodatku trzeba objechać wywróconą olchę najeżoną kolcami gałęzi. Teren schodzi, jak się zdaje, do jakiegoś strumienia, jeziora czy bagna. Prezes z tyłu coś gada, Szymon słucha muzyki z własnej głowy, raz śpiewa Kazik, a raz Jasmin Lewi, momentami wydaje mu się, że obok siedzi Kaśka, spuchnięta szyja pulsuje w rytm urojonych melodii. Nasuwa się głupie pytanie (choć przecież nie ma głupich pytań, są tylko głupie odpowiedzi): – Dlaczego słyszę muzykę?

– Hamuuu...uj!! – Prezes krzyczy, kierowca hamuje, hankle koszmarnie zgrzytają, lecą iskry, smród spalenizny narasta. Dwie wierzby, między które chciał wjechać, stoją nazbyt blisko. Nie ma jednak czasu, żeby wychodzić, mierzyć, pierdolić się w drobne. We wstecznym błyska białe światło, odbija się w plackach śniegu i znika wchłonięte przez mrok. Pościg wjechał w las na motorach? Na quadach? Zapierdalają pieszą tyralierą? *Game over?*

– To będzie nasza próba żelaza, stary. – Sztorm cofa wóz o pięć metrów, aż kufer uderza w pień, trzaska tylna szyba, coś tam jeszcze pęka. Pierwszy bieg, pedał gazu najpierw do połowy, a potem do końca. Obręcze zrywają ziemię do gołych korzeni, silnik wyje, auto wbija się między żywe bele, chrupie urwane lustro, chrzęst wcześniej już uszkodzonych burt przypomina rumor walącej się ściany. Lecą w pizdu boczne okna, gną się spawane blachy, skruszone szkło wpada do wnętrza wraz ze strzępami kory, drzazgami i innym ścierwem.

Chyba przejechali.

20. Rozdział, podczas którego prokurator Łajdus wpada na trop spisku

Zakładałam konta na różnych komunikatorach, portalach i forach. Używałam cudzych fotografii albo jakichś rysunków. Na AntyKaczorze pisałam jako KonsTytucJa26, ZłaZmiana i Madonna99. Na KATOTalibanie: CiemnoGóra, Lewy Prosty i też KonsTytucJa...

– Wystarczy. Kiedy zlecono pani wymienioną aktywność?

– Po połowie sierpnia. Może dziewiętnastego.

Zatrzymana się trzęsie. We wnętrzu śmigłowca, mimo pracy generatora, jest zimno, a ona jest kurewsko głodna, do tego przemarzła już wcześniej – w hali traków i w tej śmierdzącej szczynami komórce, w której ją zamknęli konspiratorzy od siedmiu boleści. To było wkurwiające, lecz na serio drzeć zaczęła dopiero, kiedy ją obmacywał pilot zwyrodnialec.

– Czy Marek z Konsulatu pokazał jakiś dokument?

– Nie. Ale dał do zrozumienia, że ma coś wspólnego z KOMTiZ-ą. Pytał o rozeznanie w darknecie. O Horyzont, o HiddenChan, Insidera. Muszę do toalety.

– Tu nie ma toalety.

– Gdziekolwiek, za potrzebą.

Dlaczego prorok nie pyta o użycie broni? Dlaczego zachowuje się, jakby go to kompletnie nie interesowało?

– Jeszcze pięć minut i plutonowa zaprowadzi w krzaki. Na razie słucham. O Marku.

– Powiedział, że w imieniu swoim i Fagasa powierza mi operację. Akcję prewencyjną. Musiałam zdać blachę, wejściówkę i token, dostałam doładowanie na nadzwyczajne wydatki i nową kartę SIM.

– Co miała pani robić?

– Wyławiać takich, którzy się rwą do działania przeciwko... Pan przecież wie, o co chodzi.

Przesłuchujący odsłania białe zęby.

– Ja jak Sokrates. Nic nie wiem. Pani ma wytłumaczyć. Wyławianiem antypolskich treści zajmują się inne struktury. Więc po co wezwano panią?

– Już naprawdę nie mogę. Zaraz się tutaj poszczam.

– Jeszcze cztery minuty.

– Niech się pan Fagalskiego zapyta, dlaczego mnie wysłał do Marka. Robiłam, co kazali. Zrobiłam sobie lewackie dziary z symbolem anarchofeministek, lewacką fryzurę. Wymyśliłam legendę. Zrobiłam skaryfikację na nadgarstku. By być wiarygodna, jeśli do czegoś dojdzie. Zarzucałam tematy na forach i stronach, miałam aktywnie zachęcać do czynu. Chodziło o to, jak mówił...

– Kto?

– Marek. Żeby nie tylko wyłować potencjalnie groźnych, ale pozwolić im działać. Częściowo inspirować. Żeby nie trzeba było w sądzie dowodzić zamiarów. Żeby mieć dowody na tacy.

– Nie rozumiem.

– Na pewno pan rozumie. Nawet lepiej ode mnie. Już, kurwa, nie mogę.

– Najpierw chcę coś usłyszeć!

– No... jak ktoś chce wysadzić, przyjmijmy, pomnik Lecha i Marii... Jest zatrzymany, ma w piwnicy heksogen, ale mówi, że chciał zrobić film akcji z wybuchami. Trzeba mu teraz udowodniać, że zamiar był inny. Lepiej, kiedy się frędzla zatrzyma pod pomnikiem, z walizką materiałów i zapalnikiem w ręku. Dlaczego ja muszę opowiadać oczywiste rzeczy?

– Bo to się musi nagrać.

– Specjalnie mnie tu męczycie... sadyści. Pilot mi groził śmiercią...

Prorok nie pyta o użycie broni, bo sam też jest w spisku. Dokończy przesłuchanie, potem ją wypierdola z maszyny i zgłoszą wypadek.

– Więc pani miała podprowadzać figurantów jak najbliżej przestępstwa? Im szybciej usłyszę wyjaśnienie, tym prędzej...

– Tak, miałam ich prowokować, do końca. Zadowolony?!

– Jakiego rodzaju zachęty były stosowane?

– Marek mówił, że to zależy, kto się przylepi do sieci.

– I kto się przylepił?

– Zrobię siku i powiem.

– Dwie minuty. Konkrety!

– Wpierw najlepiej rokował pokurwieniec o nicku Doug Souza. Pisał, że jest fizykiem z poznańskiej polibudy. I chciał właśnie PLiM rozpierdolić w rocznicę śmierci Millera. Tylko się szybko wycofał. Mniej więcej wtedy nawinęli się ci dwaj: Szmer i Walet. Szczególnie drugi się rwał. Nakierowałam ich na Czerwone Brygady, RAF, trybunały ludowe, porwania, żądania i tak dalej. Resztę już przecież wiecie! Odepnij mnie pan wreszcie!

Nagrywająca przesłuchanie plutonowa Krótka, która kojarzy doskonale, kim są Fagalski i rzekomy Marek (wie zresztą o wiele więcej), spogląda na

prokuratora i chrząka, a właściwie kaszle. Zmarzła nie mniej od zatrzymanej; chce, żeby Łajdus pozwolił się wreszcie dziewczynie wysikać. Cham jest jednak uparty.

– Jeszcze drobiazg. Kiedy spotykała się pani z tym Markiem na mieście... Zawsze przychodził sam?

Przesłuchanie skręca w niewłaściwą stronę. Ale Krótka nie może go przerwać, może jedynie zepsuć tworzone nagranie. Z tym że krycie Murzyna nie jest ani jej obowiązkiem, ani – tym bardziej – celem. Ma za to inny pomysł.

Przesłuchiwana zaciska uda, drży i ogólnie – wygląda jak ofiara ataku sarinem.

– Raz tylko był z jakimś eleganckim typem, takim opalonym, ale tamten fus odszedł, kiedy tylko mnie Marek zobaczył.

– Ile mógł mieć lat? Ten elegancki.

– Ze czterdzieści.

– Włosy?

– Raczej ciemne.

– Nie nagrywamy.

– Przerwane.

– Ministrów konstytucyjnych i ważniejszych posłów pani z twarzy zna?

– Co za pytanie durne? Chcecie mnie głębiej wrobić? Dwie minuty minęły.

– Ostatnie pytanie i robimy przerwę... – Prokurator krajowy idzie za błyskiem intuicji, odbiera iPhone'a od Krótkiej, błyskawicznie znajduje z pomocą googla zdjęcia ministra Gładkiego i szefa kampanii partii zwanego potocznie Cyganem. Podtyka ekran. Pierwsza fota, druga... okręt zatopiony! Cyganiak. *Is fecit, cui prodest.*

- Kiwanie głową mi tu nie wystarczy. Chcę usłyszeć zdanie.
- Widziałam Marka w towarzystwie tego tutaj... mężczyzny.
- Czesława Cyganiaka.
- Jeżeli pan tak mówi...
- Jeszcze raz pełnym zdaniem.

– Widziałam Marka z Konsulatu w kawiarni na Mokotowie w towarzystwie posła nazwiskiem Cyganiak. Poseł był elegancko ubrany i brązowy, jakby wrócił z dymania na Tajlandii. Teraz dobrze?

- Doskonale, brawo!

O tym, że opalony flet kręci z towarzyszem Tajnerem jakieś grubsze lody, mówił już wcześniej Korny. Jednak to, że kutasy mogą być zamieszane w aktualny spisek, i fakt, że ma na potwierdzenie tej tezy zeznanie – to samo w sobie jest bombą! Że doszedł do tego raptem po półtoragodzinnych czynnościach – to już mistrzostwo świata. Od razu ma erekcję. Jesteś, Łukaszku, geniuszem. W Warszawie należy ci się samara kolumbiany i wizyta ekstra w salonie Iwanki Groźnej, królowej prolapsu.

– Skoro zadaniem było prowadzić czynności przestępcze, to kiedy miała nastąpić interwencja Marka?

- Ostatnie pytanie już było.
- Nie wkurwiał mnie!

Zatrzymana kuli się w sobie. Jej broda widocznie dygoce.

– Mieliśmy zawieźć Prezesa do młyna w Starych Pupach czy jakoś... Walet znalazł miejscówkę. W tym lesie, tylko że na zachód od sześćdziesiąt jeden. Mieliśmy zacząć streaming i miał wkroczyć Marek, ale oficjalnie. Z ekipą i z kamerami. Oswobodzenie Prezesa z rąk bandy terrorystów. To było mu chyba potrzebne do kariery. Czy tam... jego szefom.

– No i ładnie się dogadaliśmy. Fajnie. Teraz już możesz iść siusiu. – Przesłuchujący odbiera od Krótkiej swojego iPhone’a, pozwala odpiąć pas Moniki Męki. Plutonowa otwiera też jej bransoletę. Łączy nadgarstek z własnym.

– Proszę mi dać swój telefon. – Łajdus wyciąga rękę.

– Boi się pan, że zadzwonię?

– Niczego się nie boję. – Zabiera huaweia i uchyla klapę. Wraz z wiatrem i śniegiem wpada ostry mróz. Już chyba minus pięć stopni. Plutonowa i zatrzymana zeskakują w śnieg. Śledczy zamyka właz, wkłada do ust papierosa, lecz go nie zapala. A zatem: nieznanemu mu aż do dzisiaj pułkownik ABW Murzyński, prawdopodobnie na zlecenie lub w porozumieniu z posłem i szefem kampanii, za pośrednictwem ogniwa nielegalnego w postaci chorążej, sprowokował dwóch stulejarzy, by porwali Prezesa. Cyganiakowi – potencjalnemu beneficjentowi ogólnokrajowej paniki moralnej po akcie terroru albo, jak kto woli, profitentowi decyzji o odwołaniu wyborów, których wynik być może nie jest tak pewny, jak głosi propaganda – no więc Cyganiakowi brak formalnych możliwości, by cokolwiek mógł zlecić temu Murzyńskiemu. Nawet nie powinien go znać. Więc ktoś jeszcze pomiędzy. Pytanie: kto ich spiknął i po co? W dwa dwunastym, kiedy rząd chciał odebrać Agencji niektóre uprawnienia, generał Bondaryk wyciągnął z rękawa niejakiego Kwietnia, co miał Sejm wysadzać. Bat był ukrecony tylko i wyłącznie z gówna, ów Kwiecień był podobnym kozłem jak pedał, którego Chwast słucha teraz w ambulansie. Dał się wkręcić, potem w pierdłu odwiedził go seryjny samobójca – na wypadek gdyby dostał przepustkę i zechciał powiedzieć dziennikarzom, jak było naprawdę. Wówczas były jeszcze jakieś tam gazety.

Teraz nikt nie planuje zamachu na prerogatywy Agencji. Przeciwnie. A jednak ktoś się boi o wynik wyborów, a ktoś inny o dupę i obaj

potrzebowali szybkiego, ponadplanowego sukcesu w światłach kamer.

Sukcesem na miarę ujarznienia koronawirusa byłoby odbicie Prezesa z rąk trójki porywaczy. Jeszcze większym – akcja w trakcie bandyckiej transmisji na żywo. Ale wszystko się ułożyło inaczej. Zmienną jest brakujący kidnaper – ten cały Szymon Sztorm. Czterdziestolatek, którego żona – wedle informacji od Kamienicznika – pracuje w ministerstwie Gładkiego i zna go osobiście. Jeżeli Murzyński – pan Marek – dopadnie terrorystę pierwszy, zabije łąba na sto procent. Nie będzie ryzykował. Pedał z karetki też pewnie pożyje tylko do momentu, gdy zostanie sam na sam z sierżantem. Pułkownik celowo tu zostawił i jego, i plutonową Krótką...

Ożeż kurrr...wa! Obraz funkcjonariuszki ABW duszącej w krzakach zatrzymaną wyświeśla się Łajdusowi ostro jak na plazmie. Wypada z helikoptera. Śladów na śniegu jest wiele – jedne już prawie zasypane, inne bardziej wyraźne. Część wiedzie do tartaku i zaparkowanych wozów, gdzie grzeją się gliniarze. Jedno auto właśnie wyjeżdża przez bramę.

Niektóre odciski są jego własnymi. Większość ginie w ciemności. Najbliższe krzaki? Wszędzie, kurwa, wszędzie. Tu są same chaszczce, brzozy i jakaś kolczasta chujozza. Próbuje odkryć w tym bajzlu ślad złożony z dwóch tropów – agentka i zatrzymana były wszak przypięte. Widzi coś: rozmiar odcisków – na oko – dawna damska siódemka. Trop nie prowadzi w krzaki, tylko do samochodów. Odciski się oddalają. Ożeż ty kurwa jego...! Nie jesteś, Łukasz, aż takim geniuszem. Przesłuchiwana Męka Monika, funkcjonariuszka w roli ogniwa nielegalnego, właśnie ci spierdoliła policyjnym autem wraz z koleżanką ze służby w stopniu plutonowej. Gliniarz, który przed chwilą wybiegł z tartaku i natychmiast się schował, ma pewnie coś wspólnego ze zwiniętym wozem. Właśnie wyskoczył po raz drugi, teraz w towarzystwie sierżanta wielkoluda, którego kapitan Rakarz musiał niedawno skarcić. Latają, jeden z latarką, a drugi

z bronią, jak podpalone koty. Naradzają się, biegną z dwóch stron na tył budy. Coraz większy chaos. Łajdus patrzy w telefon. Dochodzi dziewiąta wieczór. Wszystkie portale rozgrzane do czerwoności. Pusze co kilka sekund. Piszą o poszukiwaniach. O demonstracjach. O starciach łobuzów z policją. O nocnym otwarciu kościołów, w których biją dzwony.

Po czterech i pół godziny od uprowadzenia nikt nie wie, gdzie jest Prezes, a z trojga porywaczy – ta wiadomość byłaby gratką dla antypolskich mediów – dwójka aktualnie spieprza w nieznanym kierunku. W rękach sprawiedliwości został tylko jeden, najmniej istotny, pionek. Prokurator wyobraża sobie przez moment konferencję prasową: „Czynności wstępne wykazały, że bezprzykładowy akt terroru wymierzony w państwo, partię i władzę mógł być prowokacją”.

Cyganiaka? Pacyny? Zarządu Konfederacji Ojczyściej?

To się bardzo źle skończy dla wielu. Łajdus wybiera numer ministra Filuta. Wsiada do maszyny.

– Wracamy... – Gdy informuje pilota, po drugiej stronie słuchawki słyszy, że „rozmówca prowadzi rozmowę”.

Poczekaj na linii...

Łopaty wirują.

...poczekaj na linii...

– Taaa...ak? – Minister sprawiedliwości odzywa się lekko rozkojarzonym półgłosem, jakby był właśnie zajęty wycinaniem odcisków na piętach. – Lepiej, by to było ważne.

– Jest ważne. Mieliśmy od początku ustawkę abwery. Koordynował niejaki Murzyński, pułkownik, nie wiem jeszcze, kto nad nim. Prawdopodobnie siedzi w tym poseł Cyganiak. Co do ministra Gładkiego...

– Wiem.

– Tak czy owak, wszystko obciąża...

– Konfidentów.

– Pan to powiedział, ministrze. Lecę z powrotem, będę się dowiadywał po drodze.

Felicjan Filut, słuchając podwładnego, uśmiecha się do szefa sztabu wyborczego partii, który stoi po drugiej stronie pulpitu sytuacyjnego. Sierżant Majdan właśnie przyniósł sandwicze i kawę. Cyganiak ma pełne usta. Filut pyta Łajdusa bardzo cicho:

– Czy wymieniony oficer ściga podejrzanego?

– Tak. To może skończyć się trupem. Ten Sztorm chyba przejrzał całą prowokację.

– Czekam na dalsze wiadomości. Możesz wracać, kolego. Dobra robota. W kontakcie.

Minister rozłącza się pierwszy i jeszcze raz obdarza fałszywie szczerym uśmiechem przeżuwającego kanapkę Czesława. A potem znów wybiera numer prokurator Chwast.

21. Rozdział, w którym przesłuchiwany płacze i opowiada, jak się zaczęło ostatnie popołudnie

Wznoszący się śmigłowiec hałasuje tak, że przesłuchanie Wojciecha Wolanta w karetce pogotowia trzeba chwilowo przerwać. Pierwsza myśl, która przychodzi prokuratorce do głowy (i jej, o dziwo, nie cieszy), brzmi: „znaleźli Prezesa”. A Zupak po raz trzeci od niej nie odebrał.

Są myśli przelatujące przez umysł w postaci obrazów, impresji, niekiedy nawet sam proces myślenia jest niezauważalny – w głowie pojawia się wniosek, poszukiwana liczba, miejsce, obraz. Są także myśli, co się konkretnie i jednoznacznie – nazwijmy to tak z braku laku – werbalizują. Upraszczając, można powiedzieć, że pod czaszką wyświetla się napis w języku, w którym osoba myśli. Na przykład: „Znaleźli Prezesa i nie zadzwonili”. Łajdus przerwał przesłuchanie i leci na miejsce. Do niego podinspektor zadzwonił. Albo zadzwonił Murzyński. Jej nie poinformowali. Telefonuje za to pan minister Filut, co tylko potwierdza przypuszczenia.

Ryk helikoptera już cichnie.

Nie powinna gadać z ministrem w karetce, czyli, jak ją zwie Jucha – karecie. Nie powinna rozmawiać przy lekarzu, przy sanitariuszach, przy

posterunkowym z Grajewa, a przede wszystkim – przy przesłuchiwanym. Ale jest jej zimno, czuje głód, marzy o kubku herbaty z cytryną (albo lepiej – o grzanej winie) i nie chce wychodzić na zewnątrz. Wojciech Wolant, nick Walet, przestał się już opierać, lecz po chemii – lub po tym, co wcześniej wypalił – ma krótkotrwałe odloty. Marmoli nie na temat, śmieje się do siebie, trzeba go przywoływać do tutaj i do teraz. Powtarzać pytania trzy razy. W tej chwili znów jest odpięty. Hanna Chwast zasłania usta dłonią, odbiera połączenie.

– Jestem w trakcie czynności.

– Bardzo dobrze. – Filut też brzmi, jakby rozmawiał ukradkiem z jakiegoś kąta na superważnym zebraniu. W tle słychać męskie głosy. – Najważniejsza jest dla nas geneza. I kolejność zdarzeń. Rozumie mnie pani?

– Rozumiem. Czyli Prezes już znaleziony?

– Nie, jeszcze nie.

– Pytam, bo prokurator Łajdus...

– Wiem, wraca do Warszawy. Odtąd pani kieruje dochodzeniem na miejscu. Proszę mnie informować. Umawiamy się za godzinę na raport ustny, zgoda?

– Tak. Ale co z Prezesem?

– Prawdopodobnie jeszcze w pojeździe z porywaczem. Namierzeni i otoczeni. To kwestia minut. Może właśnie w tej chwili...

– Gdzie ich namierzono?

– Niedaleko pani. Sytuacja jest dynamiczna, mówiłem. Tym bardziej ważny będzie materiał wstępny. Proszę się skupić na czynnościach. Wszyscy na panią liczymy.

– Chciałam pana poprosić, żeby ktoś dał mi znać, kiedy tylko... Jestem teraz najbliżej.

– Nikt pani nie pominie. Słyszemy się za godzinę najpóźniej.

Koniec połączenia. Zdanie „wszyscy na panią liczymy” było tanią zagrywką – niedbale rzuconym ciasteczkiem ulepionym z sacharyny i tego, co się zmiecie z podłogi. A jednak poczuła się lepiej.

Ktoś wali w drzwi ambulansu.

Stoi ich trzech na śniegu. Wielki sierżant z pompą, policjant z berylem i Gustek – negocjator z BOA, który jak na razie przydał się tylko do łagodzenia konfliktów wewnętrznych. Dają jej znaki, by wyszła. Wychodzi.

– Szybko, bo nie mam czasu.

– Podejrzana uciekła. – Podoficer abwery sprawia wrażenie, jakby nie mógł zrozumieć, co się wydarzyło. Cała jego postawa mówi: „Ja tylko wykonywałem rozkazy, niczego już nie rozumiem, zeznam całą prawdę”. Ale prokuratorka jego prawdy nie chce.

– Jak to uciekła? Związała z helikoptera?

– Razem z plutonową. Zajębały waszego fiata. – Łeb wskazuje Trepskiego. „Waszego” ma chyba znaczyć: komendy z Grajewa. Posterunkowy jedynie wzrusza ramionami. Najpierw zabrali mu Araba, teraz samochód służbowy. On chce wrócić do domu, otworzyć flaszkę ojczystej, obejrzeć gangbang z Czeszkami albo z shemale’ami. Wyjechał do Kluchów, jak komendant kazał, czyli o wpół do czwartej. O tym, że się po drodze zatrzymał przy radiowozie kia numer boczny jot pięćset – nikomu nie powiedział. I teraz też się nie będzie odzywał. *Tisze jediesz, dalsze budiesz, chuj.*

– Wydaje mi się, że ucieczka podejrzanej to problem waszych służb. – Prokuratorka spogląda na sierżanta i realizatora. – Stoi tu trochę samochodów. Bierzcie któryś, tylko nie moją toyotę, ścigajcie, ale już!

Wraca do ambulansu. Lekarz coś pacjentowi wstrzykuje. Gdy się do niej odwraca, Chwast widzi rozbiegane oczy. Gołnął sobie przed chwilą?

– Wznawiamy utrwalanie. – Pochyliła się nad Wolantem. – Nie odlatuj mi, Wojtku. Dojechałeś do Łomży... i co było dalej?

– Nie czuję nóg. Jestem beznogim robakiem. Co tutaj szeleści?

– Nie odlatuj, Wolant! Skupienie! Nabyłeś meble i statyw...

– Co? Nie... aaaa... tak. Ja statyw zabrałem z Łodzi. Razem z transparentem. Jestem robakiem demokracji. Księdzem Robakiem jestem... nie... księdzem nie chcę. Księża na księżyc. Jebać ich w ucho na sucho... – Przesłuchiwany głupawo się śmieje, zaczyna coś nucić. Chwast zerka z wyrzutem na lekarza, który miał kmiota zmiękczyć i zarazem wzmocnić. A nie czynić z niego półprzytomnego wesołka.

– Niechże pan coś z tym zrobi!

Jucha sięga do szafki pod samym sufitem. Między lekarstwami ma wódkę – nawet niespecjalnie ukrytą. Otwiera ampułkę z karbaminianem, teraz wacik pod nos. Wolant nie chce się sztachnąć. Podśpiewuje. Zdesperowany lekarz zasłania mu usta dłonią. Pacjent nareszcie zaciąga. No!

– Skup się, Wojtuś! Gdzie kupowałeś meble? Płaciłeś gotówką?

– Gotówką. W markecie przy Legionów. – Preparat chyba zadziałał, bo spojrzenie Wolanta robi się trochę trzeźwiejsze. – Stoi obok tej kamienicy, że „Łomża zawsze wierna”. Takie wielkie graffiti z husarzem i Celtem. Kosztowały dwieście czterdzieści... te meble. Końcówki nie pamiętam. Szmer powtarzał, żebym miał czapkę na głowie i nie podnosił wzroku. Czapka gdzieś mi zginęła, twarz też. Nie czuję niczego. Będę rzygał do środka. Boli mnie nie ta noga, która mnie boleć powinna...

– Do rzeczy, panie Wolant!

– „Do Rzeczy” to jest tygodnik. Dobra, powiem wam prawdę. Mam pieprzyk w połowie kutasa.

– Co było dalej w Łomży?!

– Łomża to takie piwo... już mówię, dobra, mówię... czekałem, aż Mona przyjechała po mnie do marketu. W czapce było mi ciepło, za ciepło. Może wtedy zdjąłem. Wolałbym nosić beret, ale nie ma daszka. Kamery są teraz wszędzie. Tutaj też nagrywacie. Tylko jak mnie chuj pobił, tego nie nagraliście. Pobił, a teraz nie czuję nogi, za to boli druga. I głowy też nie czuję.

– Wspólniczka poruszała się w opisywanym momencie radiowozem, tak? Była w mundurze policji?

– Miała własną czapkę i pałkę z uchwytem. I białe rękawiczki. I czarne okulary. Wyglądała dziwnie. Mogłaby mi dać mandat. Za unikanie kamer. Albo za złe zamiary. Za zamiar obalenia ustroju. Za to, że jestem element antypolski. Dlaczego nie czuję nogi?

Doktor Jucha wyjmuje z szafy kolejną ampułę. Wbija strzykawkę w wieczko i zasysa płyn. Wyraźnie chce coś powiedzieć, lecz się powstrzymuje. Nafaszerował pacjenta już tyloma środkami, że działania koktajlu nikt nie może przewidzieć. Gdyby przesłuchiwany teraz zszedł śmiertelnie, trzeba by go zakopać, bo ustawa ustawą, lecz sekcja wszystkich pogrzeży.

Chwast patrzy na zastrzyk i tylko kiwa głową. Powinni natychmiast jechać do najbliższego szpitala. To Jucha chce powiedzieć. I w końcu się decyduje:

– Dziesięć minut, nie więcej, bo może być kłopot.

Prokuratorka zerka na komórkę. Dziesiąta. Każdy tu gra na siebie, Łajdus się ulotnił, wyczuł gdzie indziej słodsze konfitury. Dowiedział się od swojej zatrzymanej czegoś, o czym ten pedzio nie wie. Albo nie chce powiedzieć.

– Spotkaliście się pod marketem w Łomży. Dobrze. Co robiliście następnie? Skoncentruj się, człowieku!

– Czego ode mnie chcecie? – Przesłuchiwany płacze. Za mocno rozmiękczoney.

– Chcę usłyszeć, dokąd pojechaliście dalej, spod sklepu z meblami.

– Na dworzec autobusowy, gdzie miał czekać Szmer. I czekał. – Łzy żłobią brud na polikach Wolanta, które niedawno wylizywał policyjny pies.

– On miał coś ze sobą?

– Plecak. To samo ubranie co za pierwszym razem. Tylko już nie był w klapkach, ale w wysokich butach. Do górskich wycieczek. Ciepło, ludzie w T-shirtach chodzili, on w wojskowej katanie, z kapturem na głowie. Jak Ibn La-Ahad.

– Kto?

– Zabójca z *Assassin's Creed*.

– Dobrze, mniejsza. Szymon Sztorm czekał na dworcu, ponieważ przyjechał autobusem z Warszawy, tak?

– Raczej.

– Ale nie widział go pan, jak wysiadł z pojazdu?

– Nie widziałem. Cały ten dworzec w Łomży to trochę większa wiata. Czekał na rogu. Z plecakiem i z tym... no... z taką lepszą flaszką.

– W butelce miał alkohol?

– Nie. Nie wiem. Bidon... to słowo mi uciekło. Może jakaś odżywka?

– Dokąd pojechaliście?

– Szosą na Szczuczyn, Grajewo. Szmer rozmontował po drodze policyjne radio. Tylko zwykłe zostawił. On ma obsesję na punkcie urządzeń. – Przesłuchiwany chyba nie czuje, że płacze. Z nosa cieknie mu śluz. – Za wioską jakąś skręciliśmy w pole założyć mundury. Mona już była przebrana...

– Czy Sztorm Szymon się podczas przejazdu jakkolwiek wypowiadał?

– Rozmawialiśmy o akcji. Głównie. Że zrobimy przeszkodę...

– Głównie, czyli nie tylko o akcji Sztorm z panem rozmawiał.

– Mówił jeszcze, że tutaj, Szczuczyn, Grajewo, Radziłów... polskie centrum pogromów. Ja trochę wcześniej czytałem, lubię... Jestem robak czytelnik. Słuchaliśmy w Maryi transmisji z Podśmiardowa. Grali muzyczkę, jak z reklam margaryny, śpiewali o Jezusie. Mogę zaraz zanucić...

– Nie trzeba. Co było dalej?

– Dalej Kaczafi opowiadał w radiu o bohaterskim ministrze, co walczył z kornikiem, ale go ekoterrorysty wpędzili do grobu i teraz w Polsce pełno jest dewiantów i Dzender-Godzilla zjada małe dzieci.

– Nie pytam, co było w radiu, tylko co robiliście!

– Kaczor przypominał, jak dzielny Morawiecki zwalczał koronoświrusa...

– Starczy już o tym! Mówiłam... Skręciliście w las, a następnie...?

– Za siedem minut ruszamy. – Jucha stuka w inteligentny zegarek, ratownik mu przytakuje. Przesłuchiwany co prawda zeznaje jakby trochę sprawniej, lecz usta ma sine, obsunął się bezwładnie na noszach i wciąż roni łzy. Jego ton już nie jest nosowy, jak wcześniej. Jest bulgocący, przepełniony śliną, gilami, jest denerwujący. Trepski z telefonem, brzydki sanitariusz i lekarz – wszyscy mają poczucie udziału w czymś mocno wątpliwym. Chwast ma to głęboko.

– Przebraliście się w lesie. I co było dalej?!

Wolant w odpowiedzi jedynie bulgoce. Od chwili, gdy założyli mundury, minęło osiem godzin. A wydaje się, jakby to było w innym, kurwa, życiu. Teraz jest zima, wychłodził się na wylot, gdy leżał nieprzytomny, konował źle mu złożył rozwaloną nogę, która chyba odpadła, bo jej wcale nie czuć. Jebany w szyję Mengele wstrzyknął mu

wszystkie świństwa, jakie miał w karetce, przez co chwilami Wojciech bywa Szej-huludem, a innym razem jest przekonany, że bierze udział w pranku, że zaraz ściany karetki opadną i ujrzy klaszczącą widownię. To jest po prostu nie do wiary, że osiem godzin temu świeciło słońce, a on miał wzrok sokoła, nerwy z platyny, zdrową cerę, siedmiomilowe buty i ogień za nim kroczył, jak cień wielkiej góry. Był smoczym tatuażem, którego nic nie zmaże. Mógł pić benzynę i strzelać z dupy żarem, gdyby tylko chciał. Szukował się do akcji ze Szmerem i Moną, byli wspaniałą trójką. Byli jak Baader, Ensslin i Proll. Jak Zośka, Anoda i Bolec. Jak Batman, Wonder Woman i Robin. Mogli wszystko. Mogli zatrzymać Słońce. Szli zgasić oko Saurona.

W rzeczywistości nie było tak różowo. Po tym, kiedy założyli spodnie z lampasami i kurtki; kiedy przypięli do białych pasów kajdanki, paralizatory, niedziałające krótkofalówki i kabury bez broni; kiedy zajechali radiowozem bez radia do Kluchów albo Kluch; kiedy zaparkowali na skraju kasztanowej alei oznaczonej tablicą, że to pomnik przyrody; kiedy włożyli na mundury żółte bezrękawniki i poszli w tych kamizelach pod drzewo o suchych liściach – wtedy bał się najbardziej. Po pierwsze, spotkania prawdziwych gliniarzy. Po drugie, że w takim wypadku sam się jakoś wygłupi albo – co gorzej – zawiedzie. Jakiś szczegół go zdradzi, coś zdradzi ich wszystkich. Zostaną tu otoczeni. Zastrzeleni na miejscu jako terroryści. Miał wielką ochotę przytulić się do Szmera. A Szmer był zupełnie spokojny. Wielki Szmer. Jego mundur – nie tyle za duży, co luźny – zdobiły trzy gwiazdki starszego aspiranta. Mona była sierżantką, on – Walet – posterunkowym. Oczywiście sam by nie wiedział, co znaczy goły pagon, Madonna mu wyjaśniła, kiedy pokazywała, jak się otwiera i zatrzaskuje kajdanki. Gdyby nie obserwował wciąż Szmera, nie czepiał się go spojrzeniem, może by zdołał dostrzec, że była jakaś zmieniona. Nie, nie

zdenerwowana – nerwy w tej sytuacji... wiadomo... ona nie była jednak oślepią słońcem, na które się porywali z pustymi kaburami. Ona była przybita. Ruszała się jak automat. Od samej godziny trzynastej, od momentu, kiedy się zatrzymała pod „Łomzą zawsze wierną”. Już nie była Katniss z kołczanem na plecach. Miała raczej twarz agenta Smitha. Opuszczone kąciki ust i ściągnięte brwi. Sztorm, który również to dostrzegł, poczuł satysfakcję, że jednak przygotował plan B. Jeszcze kiedy się przebierali w lesie za Kobylinem, kiedy odbierał od Mony kartę SIM i kiedy ona uczyła Waleta użycia bransoletek, popatrzył w jej piwne oczy i spytał, czy wszystko w porządku. Zbyt dużo energii włożyła w zapewnienie, że owszem.

22. Rozdział, w którym dowiadujemy się, po co podinspektor Zupak pojechał na Mazury i na Podlasie

Odbierając kartę SIM, Szymon mógł się domyślić, że Madonna jest wtyką, ale nigdy by nie wpadł na to, że dwadzieścia minut przed jedenastą, czyli cztery godziny wcześniej, jadąca do Łomży agentka ABW pod przykryciem została zatrzymana przez czteroosobową grupę realizacyjną Zbigniewa Zupaka. Ona prowadziła skradziony radiowóz kia, udając funkcjonariuszkę wydziału ruchu drogowego, on i jego ludzie nawet się nie silili na odgrywanie zwykłego patrolu. Czekali z grubsza w połowie odcinka z Olsztyna do Szczytna. Mieli na sobie czarne uniformy i długą broń – nie strzelby gładkolufowe, tylko sprzęt jak na wojnę. Jakby opierdolili NATO-wski magazyn w Orzyszu. Brakowało im ergierur. Zamiast tego ustawili przy poboczu opla z silnikiem dwa osiem na wzmocnionym podwoziu i niedbale rzucili kolczatkę. Wiedzieli, o której godzinie się pojawi. Wiedzieli o wiele więcej. Jeden machnął ręką, każąc jej zjechać do wyźwirowanej zatoki, która się okazała wylotem leśnej tryby. Drugi – wysoki szatyn – miał brzydkie ślady po dawnych poparzeniach, pewnie się na nim w dzieciństwie sweterek zapalił. Żuł gumę jak krowa pokrzywy. Obmacał ją obleśnie, wyjął jej telefon, cisnął z powrotem na siedzenie kradzionego wozu, tak samo paralizator. Pusta kabura go

uspokoila, od razu rzucił krótki, świński żart, coś o pochwie. Cała czwórka tubalnie zarechotała, udawali cholernie stołecznych i wyluzowanych. Ten, co dowodził, łąk z GROM-owskim remingtonem SWS na plecach, zaproponował jej spacer i była to propozycja nie do odrzucenia. Wznoszące się słońce ogrzewało leśny dukt, każda roślina niemal słyszalnie błagała o wodę, nie padało przecież od marca. Szli po ciepłym piachu i suchych kłęczach jeżyn, ona odezwała się pierwsza:

– Jesteście od Marka?

Taką miała nadzieję. Że to jest właśnie powiększona z jakiegoś powodu ekipa, która wbije do młyna w uzgodnionym momencie. Że Marek ich tutaj przysłał, by dogadać jakieś ostatnie szczegóły.

– Od Marka? Nie... wręcz przeciwnie – odpowiedział jej Zupak, który się nie przedstawił. – Przejdę od razu do rzeczy. Spójrz tutaj.

Podstawił pod oczy komórkę, na ekranie – zdjęcie. Na zdjęciu – nagrobek. Mały, przykryty zwiędłymi kwiatami. Drewniany krzyż, na nim metalowa tabliczka w kształcie herbu, na tym napis: „Dżesika Durda, żyła lat sześć. Jaki skarb kryje ten grób / wie tylko Mama, Tata i Bóg”. Czarne litery z zawijasami na białym tle. Pod „Mamą i Tatą” odmalowana palmowa gałązka. Albo liść paproci. Pod nim daty urodzin i śmierci.

Chorąza Monika Męka musiała stanąć, bo nagle zabrakło jej powietrza. W ciągu czterech sekund jej głowa zrobiła się gorąca. Mózg wypełniły warzące się bąble. Jakby go wsadziła do mikrofalówki. Włożyła całą energię w to, by się nie przewrócić i jednocześnie wypchnąć językiem możliwie najkrótsze pytanie:

– Nie od Marka, to od kogo?

Podjęła grę, chociaż pawian w czarnym uniformie wiedział, że ona wie. W zasadzie było już pozamiatane.

– Nieważne od kogo. Ważna jest słodka Dżesika. Piękny, rudowłosy aniołek. Oczko w głowie rodziców. Potracona przez motocyklistkę dwudziestego ósmego lutego o godzinie dwudziestej czterdzieści na ulicy Puławskiej, przed zjazdem w Dolną. Przy kościele. Nie zatrzymałaś się.

– Kto was do mnie przysłał?

– Nie zatrzymałaś się.

– Moim szefem jest major Franciszek Fagalski. Z nim możecie gadać. Mam teraz mało czasu. Spieszę się. Prowadzę czynności operacyjne.

– Jedziesz do Łomży, wiemy. Będziesz porywać Prezesa z dwoma figurantami. I pięknie. Rozumiem, że się spieszysz. Mała Dżesika spieszyłaby się dzisiaj do szkoły, gdybyś jej nie zabiła.

– Nie zabiłam jej.

– Nie zatrzymałaś się.

– Zatrzymałam! – Teraz, kiedy najbardziej przerażające przecucia się spełniły, chorąża czuje przypływ wściekłości i siły. Oczywiście, że myślała o tamtej dziewczynce. Przez ostatnie pół roku myślała o niej codziennie. Chciała się nawet wywieźć w mokotowskiej drogówce, czy mieli zgłoszenie, ale ostatecznie tego nie zrobiła. Każde sprawdzenie zostawia ślad w systemie. Musiała samą siebie przekonać, że nic się małej nie stało, i prawie do tego przekonania doszła. Odkąd zaczęła operować na zlecenie Marka, była tak zajebiście zajęta, że obraz zimowej przewrotki zaczął się zamazywać.

– Sama też się wywaliłam, był szron, było ślisko. Ona wyskoczyła nagle zza barierki, a potem uciekła. Szukałam jej, dzwoniłam domofonem tej kamienicy przy skwerze, z numerem dziewięćdziesiąt dziewięć. Nie jechałam szybko.

– Nie zgłosiłaś zdarzenia. Dżesika uciekła w szoku. Wcześniej uderzyła głową o krawężnik. Widziałaś to.

– Nie widziałam! Próbowałam ją wyminąć, hamować. Mnie samą rzuciło ze dwadzieścia pięć metrów, aż za przejście. Jak wstałam, małej nie było.

– Ty miałaś kask, ona nie. Zmarła następnego dnia rano.

– Ja pierdolę... Gadajcie z Fagasem. Nie mam nic do powiedzenia.

Przecinka przechodzi w niewielką polanę. Wszędzie leżą śmieci. Gruz, graty, szmaty, zużyte kondomy, postawione w kucki gówna, a między nimi rozwalony sedes.

– Brzydko tu. Ludzie są gorsi niż bydło. Brudzą. Kłamią. Podli są ogólnie... – Podinspektor Zupak wypluwa gumę i od razu zaczyna żuć nową. – Będzie tak: najpierw pojawi się w sieci wiadomość o funkcjonariuszce abwery, która zabiła dziecko. Fagalski wyjebie cię ze służby i pójdziesz do aresztu. Odpowiedni ludzie już się zatroszczą, by współosadzone wiedziały, że jesteś resortowa. Im szybciej zamilkiesz, tym lepiej dla wszystkich. Dwie stukilowe lesby wyrwą ci kolczyk razem z nosem, potną oczy żyłkami, sprawdzą, czy masz pojemny odbyt, a potem odkroją ci jęzor.

– Jest druga możliwość, co?

– Zgadłaś. Skoro się już dogadaliśmy, to możemy wracać. Podobno nie masz czasu.

– A się dogadaliśmy?

– Owszem. – Policjant odwraca się pierwszy. Chorąża, chcąc nie chcąc, wraca za nim, jakby była na smyczy. Bo już na niej jest. Ma kolczastą obrozę i stalowy kaganiec. Mimo to jeszcze próbuje zaszczekać.

– A jeżeli po prostu wrócę do Warszawy? Pierdolnę o pukiel Łomzę, Prezesa, was wszystkich?

– Mogą cię jeszcze znaleźć na tej tam polanie z łbem rozjebanym o kibel czy kant czegośkolwiek. – Zupak nawet nie patrzy. – Chyba

rozumiesz, lalka, że jeżeli tu jestem z ekipą, to sprawy zaszły tak daleko, że nie ma odwrotu. Ty jesteś od wykonania poleceń jak dziura od srania. Rozumiesz?

Monika Męka szybko kiwa głową. Już widzi opła ekipy Zupaka. Kolczatka sprzątnięta, ich nie ma. Może poszli się wyszczać w las po drugiej stronie.

– Ochroniarze Prezesa są zawsze uzbrojeni. Jeden z wami wsiądzie na piątego.

– Takie jest założenie.

– I dobrze. Rozbroicie gościa. A potem odstrzelisz dziada ramola z tej broni.

Dziad Ramol. Ale była naiwna. Trzylatek, gdy zesra się w majty, wkłada głowę do pudła po lego i sądzi, że mama nie widzi. Przykrycie konta Akcji Demokracja zdjęciami z plaż Tajlandii i złotymi myślami dla downów na tyle właśnie się zdało. Podobnie jak hasła ruch, gest, projekt oraz martwa skrzynka. KOMTiZ-a i skanery Centralnego Rejestru Alertów sobie poradziły. Skurwysyny są z CBS, może z samego departamentu zwalczania aktów terroru, oczka w głowie ministra spraw wewnętrznych Konrada Kamienicznika Kornego. Powinni się przemianować na Departament Organizowania Terroru w Celu Udowodnienia Własnej Przydatności.

– Jesteście od Mecenasa. – Męka już widzi pozostałą trójkę. Stanęli po drugiej stronie szosy, jarają szluga w cieniu wielkiego świerka, przyglądają się beznamiętnie kierowcom, którzy zwalniają na widok karabinów. – Jeżelilibym zrobiła, co chcecie, mogę od razu strzelić siebie samą. Bo na jedno wyjdzie.

– Mylisz się. Zabójcą Prezesa jest twój nowy przyjaciel, Sztorm pseudonim Szmer. – Zbigniew Zupak wypluwa gumę na coraz cieplejszy

asfalt. Może już uznać sprawę za klepniętą. W ponad dwudziestoletniej karierze oficera operacyjnego odbył dziesiątki osobistych spotkań z agentami, informatorami i figurantami. Jest mistrzem rozmów sondażowych, instruktażowych, inspiracyjnych, manipulacyjnych, dezinformacyjnych, dezintegrujących... jakich chcesz. Użył wobec chorążej tej samej dźwigni, której minister Konrad Korny użył wobec niego. Szantaż jest wydajniejszy od przekupstwa. Przekupionemu ktoś zawsze może zaoferować więcej. Różnica taka, że Zupak rzeczywiście wystawił na odstrzał kolegę, a potem jeszcze przemawiał na jego pogrzebie i przytulał żonę. Nie miał wówczas wyjścia, ale to inna historia. Minister Mecenaz-Kamienicznik położył przed nim teczkę umorzonych spraw i wszystko było jasne. Natomiast Monika Męka, choć potrafiła dziecko... nikt nie wie, co było dalej. Dżesika Durda, co żyła lat sześć, jest tylko i wyłącznie wsadem do nagrobka, który podinspektor odnalazł na Cmentarzu Wolskim. Zmarła pewnie z powodu choroby, a on przerobił datę jej śmierci flamastrem i markerem, a potem nawet mu się nie chciało tych poprawek ścierać.

– Mamy już gotowy komunikat – mówi. – Do zabójstwa Prezesa doszło dzisiaj o siedemnastej trzydzieści, czyli za sześć godzin. Sprawca działał z pobudek politycznych. My będziemy we młynie zaraz po Murzyńskim. Ci panowie to ekipa sprzątająca... – Ruch głowy w kierunku trzech czarnych postaci. – Sprawa nigdy nie trafi do sądu. Jeden terrorysta powiesi się w celi, drugiego, niestety, dojadą współwięźniowie, jak dojechali Swata. Czyli nic nowego. Wiesz chyba, że ten twój kolega, jak mu tam... ten Walet to flet? Że obciąża kutasy na metry?

– Wiem.

– Więc nie szkoda gnidy. Major Franciszek Fagalski osobiście poprzecina nici, już to zaczął robić. Bo przez ciebie by doszli do niego, do

twojego Marka, i wyżej.

– Zamordowanie Prezesa to nie jest jakieś tam... będzie komisja śledcza.

– Nie strzelaj mi z pizdy! Po prostu zrobisz swoje. Po wszystkim przyjdiesz do nas, a my cię ustawimy. – Szantażysta pochyla się nad Moniką, kiedy nie zuje gumy, wali mu z włazu padliną. – Dzisiaj dużo się zmieni w Warszawie, w państwie polskim i w twoim posranym życiu. A Kaczor i tak już jest stary. W Holandii w tym wieku poszedłby do eutanazji, ze szpiku by zrobili jakieś kremy do wybielania odbytu pedałom, a reszta ciała na kompost. Możesz jechać dalej.

23. Rozdział, z którego dowiadujemy się, jak Prezes wszedł dobrowolnie do auta porywaczy

Jest piętnasta dziesiątka, słońce grzeje coraz słabiej, wiejący od północnego wschodu wiatr zrywa brązowe liście z chorych kasztanowców. Nad horyzontem zbierają się bardzo dziwne chmury. Spęczniałe, sine knedle, a nad nimi jakieś granatowe twory, niby spłaszczone grzyby atomowe. Burza tak nie wygląda. To raczej chmury śniegowe, a przecież jest plus dziesiątka albo więcej; kierowcy, którzy śmigają szosą, pootwierali okna.

Trójka fałszywych policjantów, jeden ze zgniłozielonym plecakiem, zatrzymuje radiowóz przed upatrzonym drzewem. Zakładają czapki. Nabożeństwo w odległym o niecałe czterdzieści kilometrów Podśmiardowie właśnie się kończy. Wicepremier na pewno już jedzie – musieli go wyprowadzić bokiem, by się nie tłoczył z elektoratem w wyjściu. Sztorm wyobrażał sobie kolejność zdarzeń kilkadziesiąt razy. Przeprowadzają go do samochodów podczas czytania ogłoszeń parafialnych, włączają koguty, ruszają z kopyta szosą ostatniej kategorii odśnieżania wzdłuż linii kolejowej Sokółka–Suwałki. Przed centrum Augustowa skręcają w sześćdziesiąt jeden. Policja pilnuje skrzyżowania przy stacji sanepidu i ronda przy Orlenie. Dalej jest węzeł w polu –

przecięcie drogi z krajową ósemką, potem długa prosta na Bargłów Kościelny i dalej – na Kluchy. Jeżeli jadą szybko – a na pewno tak jadą – będą za dwadzieścia minut.

– Wyszukaj cięższy badyl – mówi do Wojciecha i dobywa z plecaka granatową linę. Wolant szuka, on obserwuje okolicę spod daszka na czole. Po prawej, patrząc w kierunku Bargłowa, wyschnięty ugór przecinają ukośne transzeje. Jakby ktoś kiedyś kopał rowy pod wielki fundament, ale się rozmyślił. Po lewej, sponad łąnu przeschłej kukurydzy, nad którym krążą ptaki, wystają ceglane szczyty ostatnich gospodarstw Kluch. Sztorm przekrzywia okulary, co trochę poprawia mu ostrość. Na rudo-burych ścianach widać w skośnym słońcu wyżłobione daty: 1870, 1915... Kiedy był pięciolatkiem, na kółku plastycznym malowali świat w roku dwa tysiące dwudziestym. Piękni ludzie mieli już latać poduszkowcami albo jet packami i mieszkać w wielkich przeszklonych talerzach na stalowych słupach. Tymczasem padają ofiarami otyłości i biedy, mają upodobanie do bajek i wkładają ostatnie grosze do wiklinowego koszyka w kościele, a mieszkają w domach po Niemcach zbudowanych jeszcze za cesarskie kredyty. I srają w sławojkach. (Fryderyk Wilhelm III, który polecił wypłacać pieniądze mieszkańcom dawnych ziem polskich, gdyby powstał z grobu i poszedł przez Kremmen, dziś Kluchy, specjalnie by się nawet nie zdziwił. Brukowana ulica, zwyczajne pruskie domy, pola też takie same. Może tylko towary w sklepie spożywczo-przemysłowym by go zaskoczyły. No i mógłby zobaczyć szosę, a na niej samochody). Wszyscy przejeżdżający zwalniają – w cieniu pod kasztanowcami widzą białe czapki i odblaskowe serdaki. Ale te pały są dziwne: zostawiły radiowóz z otwartymi drzwiami, kobieta macha dłonią, żeby jechać dalej, powinna machać lizakiem. Dwa typy – chudy i chudszy – majstrują przy czymś plecami do drogi. Sztorm przywiązuje do końcówki sznura znaleziony kij.

Teraz trzeba poczekać momentu, gdy nikt nie będzie jechał. Nie jedzie. Zarzuca linę na uschniętą gałąź cztery metry nad głową. Badył się oplata. Wolant wyraża uznanie, Mona wciąż unika wzroku ich obu. Między dziesiątą rano i dwunastą czterdzieści, kiedy wreszcie powiedziała Markowi, że dojeżdża do Łomży, ten dzwonił niemal co kwadrans. Raz on, a raz z tego samego numeru dziewczyna, która się przedstawiała po prostu jako „plutonowa”. Chcieli znać wszystkie szczegóły odbioru radiowozu, jej trasę i te rzeczy. Nie powiedziała o spotkaniu z facetami w czerni. Teraz nakłada ciemne okulary, poprawia włosy pod czapką, by nie wystawały. Zapomniała wyjąć biżuterii z nosa, ale Szmer machnął na to ręką. Właśnie napina linę. Są gotowi. Dookoła wciąż pusto – szosa czysta, jak okiem sięgnąć. Zaczyna wiać zimny wiatr. Podrywa z pól szary pył, suche liście i co lżejsze śmieci.

– To oni!

Z bardzo daleka widać ciemny punkt i wyraźniejsze od niego niebiesko-czerwone rozbłyski. Siedemnaście po trzeciej. Szybciej, niż Szymon sądził. Ciągnie linę zdecydowanie. Nic. Podkurcza nogi, wieszka się na niej, huśta. Gównno! Gałąź trzeszczy, jednak nie pęka. Sypią się z niej miedziane liście, suche łupiny po niewyrośniętych kasztanach i drobne patyki. Ale się, kurwa, trzyma.

– Wieś się tu ze mną!

Walet doskakuje, chwyta oburącz linę, też zgina kolana, teraz dyndają obaj jak kołyszący dzwonem. Ktoś, kto by w tej chwili nadjeżdżał od wioski, mógłby się zagapić na dwóch pojechańców w mundurach drogówki, na łobuzów, którzy niszczą aleję prawem chronioną. Zagapić się i rozpieprzyć na drzewie. Trzy kasztanowce dalej sterczy stalowy krzyż, więc byłby obok drugi. Gałąź ugina się o dobre trzydzieści stopni, trzeszczy coraz mocniej, pędzące na sygnałach auta wjeżdżają w tunel alei. Zostało

im koło sześciuset metrów, pierdolony konar nie puszcza, dwaj lipni policjanci szarpia liną, pomaga im koleżanka, nareszcie rosocha wydaje ostateczny trzask. Walet ze Szmerem uskakują w lewo, Madonna – w prawo. Ciężki kloc z przeżartego chorobą drewna leci w dół, a gdy uderza o asfalt, łamie się na trzy części. Dziesiątki drobniejszych gałęzi lecą we wszystkich kierunkach. Mona dostaje odłamkiem w biodro, duża drzazga uderza w radiowóz tak silnie, że pęka reflektor. Szymon szuka czapki, która mu gdzieś spadła, liście jeszcze wirują na wietrze, kasztany wielkości czereśni toczą się po asfalcie. Kierowca pierwszego audi z kogutem na grillu dostrzega przeszkodę, już widzi gliniarskie odblaski i zaczyna zwalniać. Wolant pospiesznie odplątuje linę, zwija ją, rzuca do rowu. Sztorm podnosi z asfaltu i nakłada czapkę. Walet staje przy Monie na baczność, poprawia sobie bluzę od munduru, jakby miał zaraz wygłosić wiersz ku czci wyklętych. Madonna podnosi rękę w białej rękawiczce. Powinna mieć lizak. Ale jadący i tak muszą stanąć. Przeszło dwustukilogramowy konar, gruby jak świńskie udo, upadł idealnie. Trzy nastroszone gałęziami fragmenty blokują szosę od skraju do skraju. Mógłby między nimi przejechać motocykl, ale nie samochód.

Limuzyny hamują; widać ni to zdziwioną, ni to rozłoszczoną maskę pierwszego szofera; koguty wyłączone, już stają jeden za drugim. Od strony Kluch jedzie traktor. Z bliższej audicy wysiada ochroniarz. Podręcznikowy okaz. Niski, żylasty, były glina lub były wojskowy, jakieś pięćdziesiąt pięć lat, morda Hannibala Lectera, brakuje tylko kagańca, w ręce – motorola. Podchodzi do Madonny, lecz patrzy na Wolanta. Traktorzysta stanął, jego maszyna pyrka, a cebulak się gapi z papierosem w zębach. Goryl poprawia krawat.

– Wiecie, kogo wieziemy?

– Wiemy. Dostaliśmy zgłoszenie o przeszkodzie, przyjechaliśmy pomóc.

– Miała być zmiana eskorty od Bargłowa...

– Ale widzicie, że spadło...

– Będziecie usuwać?

– Nie da rady. Aleja chroniona, musi przyjechać konserwator przyrody z Białego. Oględziny, przyczyny... – Mona sobie radzi. – Możecie wrócić do Augustowa, tam skręcić do Ełku i dalej na Orzysz, Pisz. Tylko że też było zdarzenie i jest ruch wahadłowy. Czterokilometrowy zator. Jeszcze zostaje wam droga przez Mońki, Tykocin.

Ochroniarz milczy. Patrzy na policjantkę, na przełamany konar, jeszcze raz na Madonnę. Po pierwsze, kolczyk w nosie i tunel w lewym uchu. Po drugie, gałąź chyba spadła przed chwilą, bo nie ma jeszcze korka, stoją tylko radiowóz i traktor. Po trzecie, wieje już jak skurwysyn, zimowe chmury zasnuły trzecią część nieba, lecz ciekawe, że nigdzie nie spadła nawet mała gałązka, a tu – taki konar. Po czwarte, w gorszym miejscu i czasie się to drzewo spierdolić nie mogło.

– Starszy aspirant Kołek, komenda powiatowa Grajewo. – Sztorm przechodzi między gałęziami, staje pół kroku przed Madonną. – A pan... kto?

– Ochrona prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Mieczysław Mylny. Podkomisarz.

Szymon myśli, że cham nie dodał „emerytowany” i że jako były glina z pewnością właśnie analizuje szczegóły. Fakapy, o których oni troje nie mają pojęcia. Jeszcze dostrzeże linę na poboczu i coś pokojarzy. Trzeba się pospieszyć.

– Miałem telefon, że Prezes przejeżdża, należy udroźnić przejazd. Bo idzie załamanie i śnieg może spaść. Straż już wezwaliśmy, ale jak

koleżanka mówiła, było wcześniejsze zdarzenie, wszyscy są za Ełkiem. Zapraszamy do wozu, podwieziemy na bombie i pana, i Prezesa. Zdążymy, gdzie mamy zdążyć.

Sztorm robi półobrót, zachęca do przejścia. Traktorzysta przypala papierosa od kiepa, patrzy, nic nie mówi. Za jego Zetorem z doczepioną bronią czy inną cholera staje czterokolorowy polonez. Kto jeszcze jeździ polonezami? Kierowca z przerzedzoną zaczeską i siedząca obok foka z potrójnym podbródkiem przyglądają się rozpieprzonej gałęzi. Jak dobrze pójdzie, zaraz zobaczą Obywatela Numer Jeden, będą mieli przeżycie.

Emerytowany podkomisarz waha się strasznie długo. Każda taka sekunda przesuwają sytuację w niepożądanym kierunku. Dzban drapie się po szyi, wiatr targa połami jego marynary, rozrzuca po szosie liście i nagle – Alleluja! – obrywa gałąź z kasztanowca po drugiej stronie szosy. Suchy pęd uderza o asfalt półtora metra od pierdzącego Zetora. Przypadek jeden na tysiąc. Łap, Szymon, swoją szansę.

– Zjeżdżajmy, zanim nas te kasztany zasypią, pan woła kolegów, panie podkomisarzu.

Panie podkomisarzu... okazanie szacunku to jest coś, co kochają służby mundurowe od Ziemi Ognistej po Morze Beringa. Mieczysław Mylny unosi do ust motorolę i łączy się z resztą ochrony. Mają swoje instrukcje – wysiadają z dwóch stron, rozglądają się, potem jeden pomaga Prezesowi wysiąść. Naczelnik Państwa najpierw wystawia nogę, po niej łaskę. Gdy się zbliża, Sztorm widzi, że wygląda starzej niż na zdjęciach w sieci. Pewnie przez brak pudru. Czarny garnitur, niemodny krawat, okulary na łańcuszku – pewnie coś w drodze czytał. Wiatr rozwiewa mu resztki siwej czupryny, poliki wiszą jak chomikowi, który niedługo zdechnie. Idący za nim trzydziestoletni z wyglądu ochroniarz niesie ciemny prochowiec i teczkę. Fałszywy starszy aspirant Kołek przedstawia się jeszcze raz. Ten,

co podjechał traktorem, podbiega w podskokach, żeby uścisnąć rękę wielkiego człowieka; powiedzieć, że razem z całą rodziną od dawna głośuje na partię i ogląda wyłącznie Telewizję Polską. Para z poloneza tak samo. Zwycięska Prawica odmieniła im życie na lepsze; kochają rząd, naszą drogą Patrycję i każdego ministra z osobna, a szczególnie Filuta, który bohatersko wojuje z krnąbrnymi sądami. Nienawidzą zdradzieckiej Hyclowej, targowiczian, zbrojeńców, ekoterrorystów i sabotażystów. Emerytowany podkomisarz Mylny i rzekomy aspirant Kołek odsuwają ich delikatnie, po czym muszą się zająć kolejną dwójką wyborców, młodymi chłopakami, co przed chwilą wysiedli z hondy bez kołpaków. Po obu stronach rozpiżdzonego konaru powoli tworzą się korki. Od strony Augustowa hamują następne dwa auta, za nimi jeszcze furgon, a na końcu – tir. Wolant sprawia wrażenie zagubionego, na szczęście się nie odzywa, za to goryl z teczką i płaszczem mówi, że musi usiąść w radiowozie razem z Mylnym i z panem prezesem. Sztorm tłumaczy mu ścisłą instrukcję swego komendanta, a właściwie rozkazy z Warszawy. Koleżanka i posterunkowy muszą jechać z nim. Takie warunki eskorty. Prócz pana prezesa wejdzie piąta osoba. I koniec. Reszcie przyjdzie objeżdżać blokadę przez Pisz lub Tykocin.

Kaczor rozwiązuje sprawę, zawsze preferował politykę faktów. Całuje Madonnę w rękę, mówi, że będzie wdzięczny za podwiezienie do studia w Toruniu, człapie do radiowozu pierwszy, z pomocą laski całkiem sprawnie przestępuje skruszone gałęzie. Szmer dostrzega, że ma starte buty. Mona, schowana za ciemnymi szklami, idzie przy Naczelniku. Wolant wciąż stoi w miejscu. Stupor? Młodszy goryl daje teczkę i jesionkę Mylnemu, Prezes i emerytowany podkomisarz wsiadają do auta. Sztorm się szybko rozgląda – żadna z osób w pobliżu na niego nie patrzy. Uderza Waleta w twarz.

– Weź się, kurwa, obudź.

Przed nimi trudniejsza część akcji.

24. Rozdział, podczas którego dziennikarz ma wrażenie, że ktoś lub coś się za nim skrada

Snieg pada. William Łapserdak, zwany przez znajomych Łylim, biegnie w majtach i krótkim rękawku. Dobrze, że nie boso. Ekstrawaganckie imię zawdzięcza mamie, tłumaczce przysięgłej, która się platonicznie kochała w księciu Cambridge, kiedy ten jeszcze miał włosy. Miłość wybuchła, bo książę podał jej rękę podczas wizyty jakichś polskich ważniaków w Buckingham. Łyli pamięta, że zdjęcie mamy ze śmieszną fryzurą, jak się wita z Windsorem, wisiało w pokoju stołowym i drugie – podobne – w sypialni rodziców. Mama bardzo kochała swego jedynaka (i kocha nadal), pilnowała, by nie jadł śmieciowego żarcia oraz uczęszczał na zajęcia sportowe. Od kiedy skończył sześć lat, jeździł na nartach, potem, już jako pełnoletni, grał amatorsko w piłkę. Trochę wcześniej na osiedlu Dziesięciny wybudowali orlik. Od półtora roku wspina się amatorsko na skałkach – to jego najnowsze hobby. Dlatego ma kondycję i może długo biec. Musi. Po pierwsze, by nie zamarznąć, po drugie, by dokądkolwiek dotrzeć: do szosy, jakiejś leśniczówki, byle czego.

Niewidoczne słońce zachodzi za niewidoczny horyzont. Pod rozkołysanymi olchami robi się z wolna czarno. Kiedy uzbrojone oprychy zabrały mu klucze do golfa, ubranie, dokumenty, plastik „PRESS”, telefon

i pieniądze, kiedy go pogonili, kiedy wybiegł z jaru, próbował wpierw obiec wzgórze i wrócić na trasę wcześniej zrobioną autem. Coś jednak pomylił. Znalazł ścieżkę, wydeptaną chyba przez zwierzęta, wydawało mu się, że gdy skręci w lewo, to nią dotrze do drogi. Po dziesięciu minutach już mu się tak nie zdawało. Zaczął biec z powrotem, lecz w zapadającej ciemności nie odnalazł miejsca, w którym wbiegł wcześniej na przeddept. Tu i ówdzie śnieg leżał tak grubo, że widział własne, wcześniejsze ślady, ale były też miejsca, gdzie się wszystko topiło, korony drzew zatrzymywały opad, chuj zresztą wie czemu, ale było czarno. Do jaru też nie zdołał wrócić. Wtedy sobie umyślił, że obierze kierunek południowy zachód i będzie biegł prosto. Prędzej czy później dobiegnie do jakiegoś czegoś. Na przykład szosy z Grajewa do Moniek.

Drzewa być powinny – jak kiedyś gdzieś przeczytał – omszałe od północnej strony i to się z grubsza zgadzało. Zasuwał tak, żeby mieć ten kurewski mech zawsze po lewej ręce – od czasu do czasu stawał, aby go namacać. Przez pierwsze cztery kilometry nie miał z biegiem problemu, oczy przyzwyczały się do ciemności, ciało się rozgrzało, nawet nie było mu zimno. Teraz – po półgodzinie – ma dreszcze pełzające po karku i piecze go poniżej krtani. Oraz, co zaskakujące, bolą go ramiona. Nie nogi. Nogi działają osobno. Wiedzą, że jeżeli przestaną pracować, przyjdzie mu tu zdechnąć. Skurwysyny, kutasy, spermożercy... A tak ich z początku ładnie podszedł. Gdy Nasze Podlasie podało, że zaszedł „incydent drogowy z udziałem samochodu Prezesa”, wracał z Podśmiardowa z wideorelacją, którą chciał szybko zmontować i sprzedać. Staął naprzeciw kościoła w Suchowoli, wydzwonił swoje najlepsze źródło, kumpla z drużyny piłkarskiej, co robi na sto dwanaście i przez to ma podgląd Zintegrowanego Systemu Ratownictwa, czyli zeteseru. Już nieraz dzięki niemu był na miejscu pierwszy, przed strażą i policją. Obsługuje „Wyborczą” (dawne

miejsce pracy, nim został freelancerem), do tego parę miejskich serwisów od Olsztyna po Biały, kilka tak zwanych antypolskich witryn, portal Amnesty International, własny kanał YouTube sprzężony z RWE, krótko mówiąc – pracuje dużo. Jest drobny – ledwo sześćdziesiąt pięć kilo, ale młody i silny. Dlatego dyszy i biegnie jak Forrest Gump, z tym że tamten nie musiał popierdalać w śniegu.

Fumfel z drużyny powiedział mu o szesnastej dziesiątce, że pały oszalały. Wariaci, którzy prawdopodobnie coś Prezesowi zrobili, użyli radiowozu. Czy nim staranowali limuzynę Kaczora, czy odwalili coś jeszcze innego – nikt tego nie wiedział. Tym mocniej się gotowało na łączach, bo ktoś strasznie dał dupy. Kaczyński miał mieć w drodze asystę policyjną – i miał ją, z komendy w Augustowie, lecz tylko do Bargłowa. Tam winny go przejmować już mochy grajewskie, tyle że zamiast pałkarzy – na razie tak wygląda – wjechali ci terroryści, zabójcy, zielone ludziki Moskwy, kosmici, ktoś. Jakaś prywatna osoba dzwoniła z informacją o zablokowanej szosie, ktoś inny informował, że wyrzucono mężczyznę z radiowozu, były też telefony od ludzi, którzy widzieli Prezesa idącego polem. A może chodzącego po wodzie w biało-czerwonej aureoli i z odkrytym sercem.

Straż Graniczna, Żandarmeria Wojskowa i trzyliterowe instytucje dysponujące grupami operacyjnymi rzuciły się, by zatrzymać suki w promieniu stu kilometrów. Helikoptery zleciały się jak muchy do krowiej sraki. Policja ścigała się nawzajem, eter wrzał, dzwoniący wyrażali dosadne opinie na temat matek rozmówców i *vice versa*. W całym tym burdelu przyszło bardzo ciekawe zlecenie z prokuratury *via zeteser*, żeby podesłać do Kluch, Kluchów, Sruchów karetkę pogotowia. I żadnych informacji o rannych, poszkodowanych, zabitych, wałęsających się po pustkowiach, chodzących po falach – niczego o Prezesie ani o wyrzuconym z radiowozu typie. Wysłać karetkę natychmiast, o nic nie pytać – i tyle.

Łapserdak chwilę się zastanawiał, czy nie ukręcić z tego szybkiej wiadomości – redakcja z Görlitz już dzwoniła, pytali, czy jest blisko, czy mógłby im dać cokolwiek. Postanowił jednak zadziałać według starej szkoły. Wrzucił wszystkim swym edytorom i wydawcom serwisów taką samą wiadomość: „Jadę do Kluch Mazurskich, będę tam za kwadrans, przyślę większy materiał, kiedy zgromadzę mięcho”. Czyli jakieś konkrety.

Wszyscy odpisali tak szybko, że się ich powiadomienia musiały zderzać w locie. Każdy chciał dostać jakikolwiek materiał bardzo, bardzo, najlepiej na wyłączność i za potrójną stawkę. Dziewczyny z Wyborczej.pl nawet przelały przedpłatę, by o nich nie zapomniał, od razu z banku pisnęło. Zadzwoił znowu do zioma, ten miał niestety zajęte, ale czekał na linii twardo i w końcu się doczekał. Karetka wyjechała z Augustowa siedem minut temu.

Z Suchowoli do Kluchów Łyli miał więcej niż kwadrans. Z grubsza tyle co pogotowie, tyle że polem, lasem. A właśnie zaczęło śnieżyć. Mimo to wygrzał na przełaj. I kiedy tak zapieprzał już ponad pół godziny po niedozwolonych trasach przez środek narodowego – od Kopytkowa do Białego Kału, gdzie kompletnie już nie miał zasięgu i mapa się wyłączyła – zobaczył w lesie karawanę, tę właśnie, o którą chodziło. Spadła mu gwiazdka z nieba. Dwadzieścia metrów przed maską golfa, w poprzek przecinki łączącej Biały Kał i Kluchy, po przyprószonej już bielą gównianej drożynie zapierdalała kolumna jak za braćmi Blues. Stuningowany opel wypełniony chamami w czarnych uniformach, za nim toyota-limuzyna, dalej srebrno-niebieski fiat doblo, potem coś jeszcze i wreszcie na końcu karetka, pewnie ta z Augustowa. Odczekał chwilę i ruszył z kopyta za nimi. Mniej więcej wtedy pojawił się zasięg i telefon zgłupiał. Wpadło mu ze czterdzieści informacji naraz, musiał przyhamować, jechał, czytał i był coraz bardziej spocony pod pachami. Kolejne redakcje, dla których

incydentalnie pracował, i drugie tyle obcych prosiły go o materiał, kij wie, skąd wszyscy się dowiedzieli, że właśnie on jest najbliżej. Lecz to nie było najlepsze. Najlepsze były pusze. Same czerwone i z wykrzyknikami. Zamaskowani terroryści nadają żywcem relację z własnego sądu nad Kaczką. Na stronie RWE. Dopóki miał zasięg, kierował, oglądał i próbował jednocześnie nie przypierdolić w drzewo. Wierzył, że zaraz wpadnie w miejsce, gdzie uwalniają Prezesa. Nagra aresztowanie porywaczy, dorobi do tego gorący komentarz, stworzy po angielsku podcast, który kupią od niego wydawcy od CNN przez „Guardiana” po „Bild”. Pełne story da na YouTube, specjalną wersję dla Wolnej Europy i Wyborczej.pl. Trzeba wspierać, za przeproszeniem, demokrację.

Nie jestem oskarżony, a wy nie jesteście sądem. Sami jesteście zbirami i kryminalistami, którzy się dopuścili serii przestępstw, jak rozbój, uprowadzenie, narażenie życia, pozbawienie wolności i mógłbym tak dodawać...

Buforuje się, ścierwo.

Każdy z was wypełnił znamiona czynów zabronionych z kilku najpoważniejszych paragrafów i odpowiecie za to. Odpowiedzą za to również wasi mocodawcy, ci, którzy od lat prowadzą kampanię nienawiści przeciw demokratycznie wybranym władzom i organom państwa. Ci zwolennicy anarchii, dla których im lepiej, tym gorzej, ci, którzy życzą Polsce jak najgorzej, ponieważ swoją przyszłość widzą w związkach z zagranicznymi ośrodkami decyzji, nie z własnym narodem, bo dla nich słowa takie jak: naród, patriotyzm, wiara... to dla nich jest podejrzone. Natomiast godne najwyższej pochwały są nihilizm, permissywizm i ekoterroryzm. Jesteście degeneratami...

Materiał kilka razy się buforował, zasięg stopniał najpierw do jednej kreski, potem do zera, żeby znowu wrócić. Jadąc i oglądając, Łapserdak

zgubił karawanę. Wjechał w błędną przecinkę; zrozumiał to, gdy ujrzał przed sobą spłacheć śniegu bez najmniejszego śladu po jakichkolwiek kołach. Dopiero teraz na dobre się spocił – aż mu zwilgotniał rów. Wykręcił z trudem na wąskim, wrócił dobry kilometr, odnalazł trop. Śnieg nie zdążył go zasypać. Wjechał w las, w którym drzewa nie rosły tak jak zwykle, czyli równo i prosto, tylko rzadziej i krzywo, pnie zdawały się tańczyć. Na śniegu czerwieniały kolonie muchomorów. Gdyby współpracował z pismem przyrodniczym, mógłby im wysłać zdjęcie jako ilustrację wariactwa klimatu. Zasięg ponownie się posrał, ostatnie słowa Kaczora, jakie zdołał zrozumieć, brzmiały: „skończyć komedię, odczepić mnie od tego, zadzwonić na policję i się nareszcie poddać”.

Minutę potem wjechał w długi jar i ujrzał... no, kurde, nie do końca to, czego się spodziewał. Nie było opuszczonego budynku z sądzonym Kaczorem w środku. Kawalkada dojechała do miejsca, gdzie terroryści, porywacze, szaleńcy zostawili radiowóz. Bankowo ten skradziony. Ale poza tym – nic. Tylko drzewa, ptaki oraz wszelkie odmiany policji i służb: niebrzydka kobieta w płaszczu, ogóry w czarnych uniformach i z wielkimi spluwami, jakiś fuzel z wilczurem, techniczni w śmiesznych foliach... wszyscy sprawiali wrażenie, jakby zgubili trop. Czyli że miejsce sądenia Naczelnika nadal niewiadome. Może to nawet lepiej. Będzie relacjonował akcję na bieżąco. Będzie im towarzyszył w dalszych poszukiwaniach. Tyle mniej więcej postanowił, kiedy go wyciągnęli za wszarz. A potem wszystko się potoczyło zajebiście szybko.

Kobieta w płaszczu okazała się najważniejsza – pewnie prokuratorka, która wezwała karetkę. Mochy w czarnych mundurach – uzbrojone, jakby miały najeżdzać jakieś średnie państwo – zrobiły sobie uciechę. Z kilku plakiet, które miał po kieszeniach, pokazał im kartę korespondenta „Wyborczej”, bo wiedział z doświadczenia, że plastik RWE, a tym bardziej

Amnesty, byłby płachtą na byka. „Wyborcza” też nie pomogła. Osiem minut później biegł już bez ubrania i biegnie dalej, choć bolą go ramiona i szyja i chce mu się pić. Kiedy jechał na północ, mijał leśne strumienie, jakieś zbutwiałe drewniane mostki, przepusty, objeżdżał nawet niewielkie jezioro i utyłął wóz w szlamie. A teraz – na złość – niczego mokrego prócz śniegu.

Zapieprza już ponad godzinę, a mrok i niskie gałęzie biegu nie ułatwiają. Pod drzewami leży mnóstwo skotłowanego syfu, gdzieniegdzie sterczą spróchniałe pnie, a na nich jakieś szczapy i szpice, kilka razy już się solidnie nadział. Są miejsca, gdzie tak gęsto od pędów i pnączy, że musi się przedzierać jak John Rambo w dżungli, odgarniać to gówno łokciami, chronić twarz i szyję. Dwie godziny temu miał kontakt z całym światem, siedział we własnym samochodzie, był na wspaniałym tropie, widział już swoje korespondencje w europejskich i amerykańskich mediach, mógł podliczać zyski. A teraz walczy dosłownie o życie. Przecież jeżeli tu stanie, padnie, to za dwie godziny umrze z wychłodzenia. Wpierdolą go jenoty i kuny. Albo wilki. Raz już miał wrażenie, że słyszy za sobą zwierzę. Nie stanął, by nasłuchiwać, tylko jeszcze przyspieszył.

Źle zrobił, że dał się przegnać pałom z jaru. Trzeba było się zaprzeć. W najgorszym wypadku skuliby go i wrzucili do któregoś z aut. Siedziałby w suchym i w ciepłym. Mógłby obserwować, co robią. Miałby z tego *story*. Zatrzymany ma prawo do jednego telefonu. Podyktowałby tekst. A tak – jeżeli nawet dotrze do cywilizacji – co sprzeda wydawcom? Opowieść o bieganiu w lesie? Historię o przemocy wobec dziennikarzy? Nie ma w tej chwili bardziej ogarniętego tematu – no, chyba że sądy.

Dochodzi wpół do ósmej, to jedyne, czego jest pewien – zegarek mu zostawili. Zegarki mają wbudowane kompas, nadajniki GPS, bajery takie i inne, ale jego tani egzemplarz kupiony w Galerii Jurowieckiej nie ma

żadnych upgrade'ów. Gdyby znał swoją średnią prędkość, mógłby sobie choć z grubsza wyobrazić, kiedy wybiegnie z lasu. Lecz przy tych przeszkodach, kłodach, wykrotach, przy darciu się przez gąszcze – nie ma się co łudzić żadnymi obliczeniami. Jesteś, Łyli, pieprzonym przegrywem. Byłeś rozkojarzony, podekscytowany filmem terrorystów, dałeś dupy; zabrakło ci planu; nie dość pracowałeś głową, więc teraz musisz biec.

Znowu słyszy jakieś odgłosy kilka metrów z tyłu. Przebijają się przez jego własne sapanie, przez łomot serca, przez świst wiatru w olchach. Może zbudzone ze snu ptaki? Już nie daje rady przyspieszyć, jak wcześniej. Już nie tyle biegnie, ile idzie.

25. Dłuższy rozdział, w którym Prezes daje odpór zarzutom, a pościg dojeżdża na miejsce

Dwa vany ABW nurzają się w zieloności i jak łódki brodzą. Zaimprovizowana grupa uderzeniowo-śledcza pruje do opuszczonego tartaku w Kończydrodze. Pierwszym terenowcem kieruje osobiście pułkownik Marian Murzyński, lat pięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt pięć kilo wagi, alkoholik na głodzie. Jest jednocześnie wkurwiony i zdezorientowany, boli go kolano, ale jeszcze bardziej doskwiera myśl, że być może przez niego terroryści nie zjawili się w Pupach. Po trzynastej miał już nie dzwonić do chorążej Męki, ale Służący, którego głowa różni się od wiadra gówna tylko i wyłącznie wiadrem, zadzwonił, bo źle spisał numer. Z drugiej jednak strony – gdyby telefon ją zdekonspirował, nie byłoby teraz sądu nad Prezesem. Nie byłoby trójki porywaczy, lecz najwyżej dwójka. Tymczasem streaming jest taki, jaki jest. Banda Trojga siedzi za plastikowym blatem, a Monika Męka odczytuje pseudozarzuty, które wcześniej przysłała do sprawdzenia, a których on nie przeczytał dokładnie, bo z trudem czyta teksty dłuższe niż pół kartki, a poza tym nie ma cierpliwości do tego świńskiego kwiku, co się wylewa z antypolskich mediów. Wystarczy, że było tam coś o dzieleniu Polaków, coś o zawłaszczaniu przez partię sądów, coś o kaczynizacji prawa,

bo oni tak mówią, dalej coś o uczelniach i kneblowaniu mediów. Czyli cała melodia, którą mieli wyśpiewać we młynie, zanim ich zatrzymają.

Obok pułkownika siedzi Hanna Chwast, z tyłu – dwaj technicy. Każdy się czegoś trzyma, żeby nie rozbić głowy na wybojach. Kiedy prokuratorka ze świtą stanęli na drodze Murzyna i jego ekipy, agenci nie mieli wyjścia, musieli ich zabrać ze sobą. Murzyński postanowił, że będzie jakoś kombinował, by być przy Prezesie pierwszy. Na razie stara się nie urwać kół na wykrotach i nie rozwalić miski oleju o kamień. Pokonywaną linię trudno nazwać drogą czy chociażby duktem. Nie ma żadnej widocznej nawierzchni – zginęła pod zielskami, powojem i jakimś suchoroślem – a wszystko to sięga okien, czasem nawet wyżej. Sprzed maski co chwila zrywają się ptaki, niektóre całkiem duże, już dobre na talerz. Ktoś wcześniej tędy przejechał – też musiał mieć wysokie zawieszenie, lecz tropy zostały. Niektóre rośliny, zwłaszcza o grubszych łodygach, leżą skotłowane i to się układa w regularny wzór. Do tego dochodzą dyndające tu i ówdzie złamane gałęzie karłowatych brzoź. Dzięki temu siedzący w pierwszym wozie pułkownik i prokuratorka nie mają wątpliwości, kiedy widzą częściowo zniszczoną tablicę informującą, że w lewo na Biały Kał, a w prawo „Do tartaku”. Ktokolwiek się tędy przedzierał dwie godziny temu, wybrał prawą trybę.

W drugim wozie za kółkiem siedzi Kamila Krótka, obok dłubiący sobie w uchu sierżant, na tylnej kanapie negocjator i gliniarz z Arabem, czteroletnim owczarkiem alzackim, własnością policji z Grajewa. Wszyscy z wyjątkiem obojga kierujących i psa oglądają streaming, a właściwie próbują oglądać, bo transfer się rwie. Przekaz ma ponad dziesięć milionów widzów, lecz kłopoty z odbiorem transmisji raczej nie wynikają z przeciążenia serwera Radia Wolna Europa. Po prostu w lesie pierniczy się zasięg. Porywacze skończyli odczytywać swe pseudozarzuty i dali

oskarżonemu coś jak ostatnie słowo, możliwość obrony. Pan prezes, który im wcześniej wyjaśniał, że nie są żadnym sądem, tylko bandą zbirów, postanowił, jak widać, skorzystać z okazji. Choć na pewno by wolał plunąć w zamaskowane mordy. Zdradzieckie i chamskie. To jednak mądry człowiek, przewidujący, ma świadomość, że jakkolwiek się wszystko zakończy, a zakończy się zaraz, nagranie będzie oglądane jeszcze miesiącami. Że popaprańcy mimowolnie dali forum, z którego może przemówić też do tych, co nie popierają. Którzy jeszcze nie kochają Ojczyzny tak mocno, jak należy.

Do reszty zarzutów nie będę się odnosił, gdyż są absurdalne. Większość z nich, i to co do joty, można postawić naszym przeciwnikom – ale nigdy nam. My podjęliśmy trud naprawy Polski, która po trzech dekadach postkomunistycznej pseudotransformacji stała się państwem folwarcznym, gdzie uprzywilejowana kasta wyzyskiwała większość, wmawiając jednocześnie tej rzeszy, że są gorszymi ludźmi, że skoro nie odnieśli sukcesu finansowego i prestiżowego, to sami są sobie winni.

Buforowanie.

Ta kompradorska kasta właścicieli, ci wszyscy konsumenci ośmiorniczek, potomkowie funkcjonariuszy komuny i bezpieki, ci uprzywilejowani na starcie, nie liczący się z niczym i nikim spoza własnych środowisk, ci ludzie sprzedali nasz kraj, jakby był ich własnością, w co zapewne wierzyli, tak jak i ich rodzice. Sprzedali nas zagranicznym potęgom, sprzedali nasz rynek pracy i rynek zbytu w zamian za pozycję nadzorców arcychorego układu, który nas niszczył, blokował, który nie pozwalał na rozwój, tłamsił aspiracje, zmuszał do emigracji...

Znowu buforowanie. W drugim wozie sierżant odwraca się do siedzących z tyłu, niestety u nich też kicha. Nie... jednak złapało i leci!

Zgodzili się na to, żebyśmy zajęli z definicji poślednią pozycję na europejskiej scenie, żebyśmy, mówiąc krótko, służyli obcym kapitałom, żebyśmy się stali Bangladeszem Europy, bo im się to opłacało...

Buforowanie. Kawalek przekazu wcięło.

...utrzymywaniem narodu w ryzach zajęły się wielkie media, które miały przekonać Polaków, że nie są jeszcze gotowi, aby być równymi Francuzom czy Niemcom, że są zanadto katolicy, nazbyt ksenofobiczni, niepotrzebnie przywiązani do narodowych wartości, że te wartości należy odrzucić jako zbędny balast. Że musimy, mówiąc krótko, przewyciężyć w sobie polskość, by dorównać mądrzejszym, nowocześniejszym, bo polskość to nienormalność. Otóż my to wszystko w roku dwa tysiące piętnastym odrzuciliśmy! W efekcie zostaliśmy ofiarami ataków nie tylko ze strony kliki tych oderwanych od żłobu, ale także ze strony środowisk, które po prostu się przestraszyły rządów sprawiedliwości. Bo Prawo i Sprawiedliwość to wyrównanie szans, odebranie niezastuzenie zdobytych czy mówiąc wprost: ukradzionych...

Przykuty za goleń do taboretu Prezes odwraca się do obiektywu. Płaszcz ma zapięty na ostatni guzik, kołnierz postawiony, musi mu być zimno. Ale trzyma się dzielnie. Już nie mówi do trójki kanałii w kominiarkach, mówi do Polaków i Polek.

Już w pierwszej kadencji naszych rządów udało się uwolnić społeczną energię, która zaowocowała wzrostem gospodarczym, spadkiem bezrobocia, wyrównaniem szans młodych ludzi wchodzących w dorosłość. Epidemia koronawirusa pokrzyżowała nam plany dalszego rozwoju, lecz i tak poradziliśmy sobie lepiej niż inne kraje Europy. A jak zareagowała na to totalna opozycja? Napaścią na ministra zdrowia w samym środku pandemii! A potem się przestraszyli wyborów, bo wygrać nie potrafili.

W momentach, gdy zasięg jest dobry, negocjator Gamajda skacze po portalach. Rządowe media przerwały popołudniowe audycje, pokazują kadry z nagrania terrorystów i ujęcia ze spontanicznych zgromadzeń zwolenników władzy. Pierwszy program telewizji retransmituje mowę obrońcą Prezesa, pokazując jednocześnie migawki z Podlasia. Zablokowane drogi, zacinający śnieg, policyjne blokady, sznury aut, patrole z psami, helikoptery nisko nad ciemniejącym pejzażem. Do tego rysunkowe portrety porywaczy – ktokolwiek poznaje, ktokolwiek wie.

Przywróciliśmy gospodarce do życia po niezawinionej zapaści. Przywróciliśmy elementarną sprawiedliwość między dawnymi ofiarami i katami, odebraliśmy władzę postkomunistycznym klikom i mafiom gospodarczym, zlikwidowaliśmy skandaliczny problem niedożywionych dzieci, powstrzymaliśmy emigrację Polaków, a nawet spowodowaliśmy powroty. Skończyliśmy z polityką wieszania się u europejskich klamek, zaoferowaliśmy Polakom i Polkom dumę, bezpieczeństwo...

Pod pomnikami Lecha i Marii Kaczyńskich od Krakowa przez Warszawę po Sopot manifestanci zerkają w komórki, machają flagami, śpiewają zbożne pieśni. W kilkudziesięciu kościołach, nie tylko w Toruniu, zorganizowano modły w intencji Prezesa. Większość posłów dotarła na Wiejską albo są właśnie w drodze, chociaż mało który wie po co. Wzmocnione antyterrorem patrole stoją i krążą od Pałacu przez całe Ujazdowskie po Szucha i Belweder. Suki i budy wzdłuż parku Śmigłego i na Agrykoli. Sztab kryzysowy bez przerwy obraduje.

Premier Pacyna i jej dyrektorka naciskają na desant ekipy z Włochowskiej lub użycie wojska, lecz przedstawiciele skłóconych na co dzień frakcji – z jednej strony Filut i minister Korny, z drugiej poseł Cyganiak i generał Tajner – zdecydowanie odradzają, choć każdy z innego powodu. Filut wreszcie połączył się z prokuratorką, Hanna odebrała, bo

nikt jej już zatrzymania sprawców nie skradnie. Podaje miejsce sądenia Prezesa wraz ze współrzędnymi – nieczynny tartak, nieobecny na mapach punkt określany przez tutejszych jako Kończydroga. Zapewnia, że wjedzie tam w ciągu ośmiu minut. Dyrektor generalna natychmiast rzuca na ekrany nowy slajd w zbliżeniu. Jest faktycznie w lesie opuszczona hala. Nikt jej nie zauważył, bo nawet nie ma tam drogi. Rudera obrosła drzewami, poszarpane wyrwy w zarośniętym brzoziakiem placu przy budynku. Nareszcie wszystko się zgadza – nadchodzi wielki finał!

SMS o minutach do celu dostał też szef ABW. Przekierował go na drugą stronę zawałonego raportami stołu – do posła Cyganiaka. Pułkownikowi Murzyńskiemu odpisał skrótowo: „1 wycofaj ją natychmiast, bo wjeżdża prokuratura, 2 zabezpiecz broń, 3 zajmijcie się Prezesem tak, by się sfilmowało”.

Punkt ostatni właściwie mógł sobie darować. Obgadywali go kilka razy. Pokazowa akcja miała nastąpić dwie godziny wcześniej... no i w innym miejscu. Ale nastąpi – to jest najważniejsze. Skurczybyk Cyganiak na to nie zasłużył, lecz happy end będzie i jego sukcesem. Prezes niechybnie doceni, dopieści, nagrodzi wybawców. Korny się ukorzy, a potem przyjdzie czas na to, żeby mu łeb oderwać i nasrać do szyi.

Sukcesy w kolejnej, jeszcze trudniejszej, kadencji wywołały histerię tych wszystkich kast, tych wszystkich nieciekawych grup, których głównym zadaniem stało się teraz wmawianie społeczeństwu, że rząd nasz jest nielegalny, że uchwały Sejmu nie mają mocy prawnej, że pan prezydent nie ma mocy nominacji, że nie polski Trybunał Konstytucyjny, ale trybunały unijne wprowadzą u nas ład. Że to Bruksela jest gwarantem sprawiedliwości w Polsce. Pomijając już oczywiste skojarzenia z niesławnymi latami, w których obce mocarstwa miały gwarantować ustrój Rzeczypospolitej, pytam się: kto to mówi? Członkowie dawno

skompromitowanych, aferalnych partii, których nazw nawet nie będę wymieniał...

Jeden z porywaczy, ten mniej wychudzony, przerywa Prezesowi.

Żadna partia nie miała tylu afer co Prawo i Sprawiedliwość! Mam jeszcze raz powtórzyć? Afera hejterska, afera tej fundacji, inwigilacyjna, Banasia, samolotowa, kilometrówkowa, afera Pegasusa, Misiewiczza, respiratorowa, afera z maseczkami...

Naczelnik robi ruch ręką, jakby strzepywał ze ścierki okruchy.

Jak chcecie o aferach, to proszę was bardzo. Afera sopocka, afera hazardowa, zegarki Nowaka, koperty Grodzkiego, afera orlenowska, afera z zakupem gazu, afera vatowska, afera paliwowa, afera reprivatyzacyjna w Warszawie i Łodzi, afera w krakowskim sądzie, afera burmistrza Włochów... Wystarczy czy mam dalej? Rozumiem, że dosyć, więc wróćmy do meritum... Otóż nasi przeciwnicy, którzy nie mają niczego do zaproponowania, chwycili się najbardziej podłej metody walki z nami, czyli po prostu z narodem – zaczęli sabotaż. I to w czasie, gdy kraj się w bólach podnosi po pandemii. Najpierw popsuli nam opinię w Europie, co uderzyło w miliony Polaków i Polek, a teraz robią wszystko, by blokować środki, które się należą, dzięki którym powstają szpitale i drogi...

Cyganiak, gdy przeczytał, co pisze Murzyński, skupia się przede wszystkim na tym, by Korny niczego nie poznał. Gnida niepokoi go z różnych powodów. Po pierwsze, wyraźnie obserwuje jego i Tajnera. Po drugie, najmocniej przekonuje Pacynę, by nie zrzucić desantu na tartak. Sprawia wrażenie kogoś, komu zależy, by sąd kapturowy dociągnął do końca. A przecież nie powinien mieć, kutas, żadnego w tym biznesu. Na stole przed Bandą Trojga leży (raczej) nabity pistolet, a Pierwszy Policjant odpowiada bądź co bądź za bezpieczeństwo państwa ze szczególnym uwzględnieniem Pierwszego Obywatela. I zamiast spuszczać komando, ten

robi minę sfinksa, pogrywa na czas. Tajner też to dostrzega. Tylko Filut, lamus, niczego nie widzi. Jest znowu zajęty swoim kawałkiem podłogi. Najpierw naprowadzał prokuratora Łajdusa na tartak, a teraz liczy sekundy, które go dzielą od megasukcesu: równoczesnego wjazdu dwójki prokuratorów na miejsce przestępstwa. Od wielkiego uwolnienia Prezesa rękami jego ludzi.

Pacyna patrzy na ekran jak w tabernakulum. Słucha Pierwszych Ust:

Państwo zostało rozregulowane wyłącznie z waszej winy, straciliśmy miliardy euro z funduszy spójności i tracimy kolejne, co wobec spowolnienia jest po prostu zbrodnią. Lecz nasi przeciwnicy za nic mają Polaków, dla nich im gorzej, tym lepiej – tak, jak już mówiłem...

Prezes sobie radzi – Cyganiak to przewidział. Te z antypolskich portali, które nie transmitują samego streamingu, żeby – jak ogłosili fałszywi świętoszkowie – nie promować przemocy, zamieszczają krótkie oświadczenie przewodniczącej von Hycel, która zapewnia w imieniu opozycji, że żadna z jej składowych nie ma niczego wspólnego z aktem barbarzyństwa. Teraz się babsku pod pizdą zapaliło. Latami robili wszystko, oni i ich media, by wyhodować takich jak te błazny w maskach. A teraz o „barbarzyństwie”. Za późno, szmato, za późno. Dziś przegrywacie wybory. Oto oczekiwany gejmczendźer. To łzy posłanki Sawickiej, mercedes posła Pęczaka i dziadek z Wehrmachtu w jednym. To nawet o wiele lepsze. Napadnięty, porwany, przykuty do krzesła Prezes zwycięża argumentami. A zaraz zwycięży Państwo. Państwo przez wielkie P. Czy wpadną tam ludzie Tajnera, czy ludzie Filuta, z punktu widzenia kampanii wyborczej to nie ma znaczenia. Trzy czwarte Polaków, a może i więcej – to się jeszcze zbada – zapewne kibicuje ofierze terrorystów. Są nawet tego zwiastuny. Portal Patriotów donosi, że kukła Hyclowej już płonie wesoło na placu Zamkowym. Uczestnicy Marszu Solidarności z Prezesem (początek

o dziewiętnastej, czyli równo za kwadrans) przynieśli na miejsce zbiórki partyjne proporce z orłami, chorągwie Zwycięskiej Prawicy i emblematy wiary. Jest ich już dziesięć tysięcy, a mimo zamknięcia Traktu wciąż napływają nowi. Na Facebooku leci konkurencyjny streaming: ktoś krzyczy, że Banda Trojga, co męczy Prezesa, to wierzchołek spisku i naród się domaga, by wyrwać tę zarazę razem z korzeniami. Naród chce aresztowań! Naród zaakceptuje nawet stan wojenny. Albo wyjątkowy.

Pod Zamkiem Królewskim zgromadzili się także kontrmanifestanci. Przyszło ich kilka setek i policja od razu się nimi zajęła. Mimo to jakiemuś szaleńcowi udało się wykrzyknąć, że „porwanie Kaczora to prowokacja władzy”. Został szybko zdjęty przez nabojkę z celtami, zrzucili go po skośnym murze z wiaduktu u stóp Świętej Anny i ostatecznie rozjechał typa grzejący dwupasmówką „Solidarności” furgon żandarmerii.

Telefony z pulpitu dzwonią, lecz nikt ich nie odbiera. Korny wsparty pod boki, gęba nieprzenikniona; prokurator generalny zaczyna odliczanie: „dwie i pół minuty...”; Pacyna pięści krzyżyk wpatrzona w Prezesa. A ten tak daje radę, że powinni go porywać chociaż raz w miesiącu.

Rozproszone ośrodki wrogiej propagandy próbują wmawiać ludziom, że z powodu rządu nadciąga nad Polskę klęska, bo oni tej klęski czekają. I kiedy nie z naszej winy nadszedł czas obiektywnie trudny, powiem wręcz: arcytrudny, nasi nieprzyjaciele zaczęli diabelski taniec...

Lepiej tego powiedzieć nie można. Premierka ma łzy w oczach. Już czternaście milionów Polaków i Polek patrzy na Naczelnika... Nie mogą tego nie widzieć, nie mogą nie docenić prawego człowieka, który samotnie staje przeciw przemocy w maskach, który z oskarżonego robi się oskarżycielem, który po prostu rośnie, który hipnotyzuje, który jest tytanem. Dyrektorka wyciąga z drukarki i daje zebrany – począwszy od Kornego – najnowszy jednostronicowy raport sytuacyjny. Źródło:

sekretariat Wspólnego Komitetu Kontroli. Wydanie: trzecie z kolei. Od półtorej godziny raporty wychodzą co trzydzieści minut. Dla Kancelarii Prezydenta, dla marszałka Sejmu, dla episkopatu. Leży ich pełno na stole.

Policja odnotowała liczne akty spontanicznej agresji społecznej wobec elementów antypolskich i opozycyjnych...

Poza trupem pod Zamkiem dwa większe podpalenia, ataki na samochody, niegroźne pikiety pod ambasadami. Demonstranci domagali się wyłączenia sygnału dywersyjnej stacji, odkąd jednak zaczął przemawiać Prezes, już tego nie żądają. Skandują naprzemiennie „Ja-ro-sław!” i śpiewają hymn.

Cyganiak może uznać kampanię za wygraną. Już nieco odważniej krzyżuje spojrzenia z Tajnerem, puszcza do niego oko. Stan wyjątkowy nie będzie konieczny.

Filut odlicza dalej:

– Niecała minuta!

SMS od Murzyńskiego do szefa abwery: „Wjeżdżam”.

Jest osiemnasta czterdzieści cztery i trzydzieści sekund, po zachodzie słońca niebo nad Warszawą zrobiło się purpurowe, zaczyna dąć wschodni wiatr, nawet z okien sali widać, jak drzewa się gną. Generał Tajner wysyła wiadomość: „Oglądamy wszyscy”. Niech się Murzyn poczuje.

26. Rozdział, w którym Szmer zmienia plan, a Walet traci kontakt z rzeczywistością

Prokurator Chwast ma dylemat. Rozmawiała przed chwilą z Łajdusem, który wciąż jeszcze leci do Warszawy, i z Filutem, który kazał jej przedyktować do pliku skrót zeznań zatrzymanego Wojciecha Wolanta i natychmiast przesłać. Niestety przesłuchiwany zaczyna finalnie odlatywać i albo trzeba go słuchać w drodze do więziennej lecznicy, albo przerwać czynności. Potem dołączyć do Zupaka i do Murzyńskiego – o ile to będzie możliwe. Raport można podyktować z drogi.

Nafaszerowany chemią raz usiłuje odpowiadać na pytania, raz bredzi, raz czka, raz się śmieje, a raz niezbornie śpiewa, jak Salvatore palony przez Bernarda Gui. Jego zeznania powoli robią się zresztą tyle samo warte co tamtego głupka. Jest wpół do dziesiątej, od porwania Prezesa minęło sześć godzin. Doktor Jucha daje do zrozumienia, że zrobił, co mógł. Więcej nic chłopakowi nie wstrzyknie, bo będzie miał zwłoki.

– Dobrze, zatem... ostatnia próba. – Prokuratorka mruczy trochę do lekarza i sanitariusza brzydala, trochę do gliny z Grajewa, a trochę do siebie. – Utrwalamy. Panie Wolant, uwaga! Co zaszło w radiowozie po tym, gdy wsiadł Prezes?!

– Najpierw zaszło słońce. Za chmury... eeps! *Winter has come*. Pan prezes chciał przeszkodzić, bo ma magiczne moce. Odebraliśmy mu czarodziejską laskę, w której miał zdradziecką igłę bułgarską i zdradziecką mordę wyrytą, i przeklęte runy. *Ehwaz, uruz, wunjo...* wszystkie bardzo niedobre. Musieliś... eeeeps! musieliśmy odczynić czary, żeby nam nie przesakał... chciałem powiedzieć: nie przeszkadzał w naszym wielkim projekcie.

W rzeczywistości laska Prezesa – bez żadnej igły wewnątrz i bez żadnych run – leżała spokojnie na półce za tylnym siedzeniem i nie stanowiła problemu, podobnie jak jej właściciel, który od razu po usadowieniu się w kradzionym radiowozie nałożył okulary, wyjął z teczki książkę – *Homo economicus* Uskalięgo Mäkiego – i wziął się do czytania. Chyba jednak nie zdążył przeczytać nawet jednej strony, ponieważ co rusz ktoś doń dzwonił. Naczelnik, nie podnosząc głosu, wydawał dyspozycje, Szmer podsłuchiwał i odniósł wrażenie, że staruch wybiera właśnie szefa jakiejś instytucji, mowa była o składzie zarządu i o tym, że ktoś „ma normalnie zarabiać”.

Siedzieli w samochodzie tak, jak Sztorm zaplanował: emerytowany podkomisarz Mylny z przodu, przy kierującej Madonnie. Szymon za nim, Wolant z tyłu pośrodku, Prezes – za kierującą. Gdy wreszcie przejechali Kluchy i kolejną wieś – Rajgród – a dokładnie w momencie, gdy mijali plastikowy żagiel (reklamę agroturystyki z dostępem do wody), Szmer spokojnie odpiął od pasa paralizator i uniósł, jakby chciał współpasażerom pokazać, że ładny. Bez nerwów przyłożył sprzęt do grubej szyi ochroniarza i poczęstował ogóra ładunkiem pięćdziesięciu tysięcy woltów. Potem jeszcze raz, dla pewności. Były gliniarz się napiął, a za chwilę sflaczał. Po drugiej porcji prądu szarpnął się, by na koniec zacisnąć ciało w pięść. Wojciech, zgodnie z ustaleniami, wyjął natychmiast kajdanki, obrócił się do

Prezesa i drżącymi rękoma zaczął go zakuwać. Kaczyński nie oponował. Był totalnie zaskoczony. Jeśli coś przeszkadzało Wolantowi w robocie, to tylko własne nerwy. Bransolety najpierw nie chciały się w jego rękach odemknąć, a gdy wreszcie się to udało – nie umiał zatrzasnąć kółka na ramie pod fotelem. Szmer musiał mu pomóc – uwinął się w kilka sekund, przy okazji odebrał komórkę Prezesa – myPhone’a z dużymi przyciskami. Wyłączył, wsadził do metalowego pudła, a pudło schował do plecaka. Madonna tymczasem zatrzymała auto. Oboje ze Sztormem wypłatali półprzytomnego ochroniarza z pasa bezpieczeństwa, po czym go ściągnęli – jak wór z burakami – na szary piach pobocza i zmarniałą trawę. Szymon migiem wyjął jego kopyto, przełożył do własnej kabury, którą z trudem dopiął, bo spluwa była spora. Potem poturlał bezwładne cielsko w rów, jakby rozwijał dywan. Turlanie trochę trwało, bo podkomisarz ważył, Wojciech pomyślał, że to zbędny trud i strata cennych sekund, ale Szmer wiedział, co robi. Gdy tylko wsiadł na miejsce po gorylu i gdy mieli ruszać, zza zakrętu, z przeciwka, wyjechało auto. Policyjny fiat dobło. Walet, jak było wspomniane, tego się właśnie obawiał: spotkania prawdziwych glin.

– Silnika nie gaś! – Sztorm tyle zdążył powiedzieć i wyskoczył z wozu. Madonna zakomenderowała: – Skurwiela na dół!

Wojciech objął wciąż milczącego Prezesa, ułożył go jak do snu i nie mógł się nadziwić, że ten nie stawia oporu. Kiedy sobie wcześniej wyobrażał tę akcję, widział Kaczora szarpiącego więzy, ciskającego gromy, obelgi, toczącego ślinę. I siebie samego, jak mężnie się z dyktatorem rozprawia. A tutaj – nic podobnego. Pokorne ciele, trusia. Leży bokiem na siedzeniu i ledwo oddycha.

Wolant – dla pewności – jeszcze się na nim oparł.

Szymon był już na zewnątrz, nałożył gliniarską czapkę, stanął przy tylnych drzwiach, wypiął pierś, ręce pod boki – byle być jak najszerszym,

byle zasłonić widok. Fiat właśnie przy nim hamował. Wewnątrz tylko jeden policjant, z wyglądu typowy opał, kapuściany łeb; za jego plecami paka odgrodzona krata, a na pace – wilczur.

– Starszy posterunkowy Tomasz Trepki, Komenda Powiatowa Grajewo do eskorty Prezesa. – Krawężnik najpierw uchylił szybę, potem włożył swoją czapkę, zasalutował do daszka i już chciał wysiadać, lecz Sztorm zatrzymał go gestem.

– Dlaczego jest pan spóźniony? – zapytał.

– Byliśmy z psem na czynnościach – zameldował tamten. – Zaginęła kobieta.

– Dobra już, jedź pan szybko, bo się kawał drzewa na szosę za Kluchami obalił. I wezwij strażaków. Nam radio nawaliło. No, jazda!

Już w chwili, gdy padło słowo „eskorta”, Szmer zrozumiał, że choć analizował całą sytuację na wszelkie – jak mu się wydawało – możliwe sposoby, to jednak coś przegapił. Lecz, jak się zdaje, szczęście go nie opuszcza. Albo to Prezes ma pecha. W każdym razie posterunkowy Tomasz Trepki nie wnika w kwestię: co to za policjanci i dlaczego obca drogówka stoi na poboczu, na skraju lasu, z niedziałającym radiem. Nie zauważa nie tylko Prezesa, ale także goryla, który po drugiej stronie skradzionego auta gramoli się z dołu. Po prostu odjeżdża, razem ze swoim psem, w kierunku plastikowego żagla, Rajgrodu i dalej – Kluch. Kluchów. A oni w przeciwną stronę. We wstecznym Madonna widzi jeszcze emerytowanego podkomisarza Mylnego, jak chwiejnie wyłazi na szosę z uniesioną ręką.

Prezes – już uwolniony spod nacisku Waleta, lecz nadal w kajdankach – ciągle nie mówi ani słowa. Minę ma niewyraźną, tylko oczy mu chodzą we wszystkich kierunkach. Droga wiedzie prosto przez las, po lewej stronie ścieżka rowerowa, ruch niewielki i wyłącznie z przeciwka. Do skrętu na Pupy Młyn trochę ponad osiem. Mijają leśny parking i budę Smakosz,

temperatura spada, wierzchem ciągną chmury; gdy przejeżdżają obok przystanku Pekaesu z błękitnej blachy falistej, w kieszeni munduru Mony zaczyna wibrować telefon. Szymon odwraca się do niej i cicho rozkazuje:

– Zjedź na bok.

W jego głosie jest jakaś smutna desperacja. Jakby się spodziewał, jakby czekał na moment, który teraz nastąpi. Madonna posłusznie wrzuca kierunkowskaz i zjeżdża między słupki. Gliniarskie opony chrzęszczą na żwirze pobocza. Kaczor obserwuje ich uważnie, Wolant patrzy to na Szymona, to na Madonnę jak dzieciak w trakcie kłótni rodziców o kasę. Pobocze jest zaśmiecone, kilka metrów przed nimi zielona tabliczka – skręt do nadleśnictwa. Walet już penetrował to miejsce na pożyczonym rowerze, Sztorm także był tutaj w tym tygodniu. Jeszcze podczas narady pod mostem Siekierkowskim ustalili, że nie zabierają na akcję żadnych telefonów. Tylko ten jeden, który posłuży do nadania filmu. „Komórki natychmiast was zdradzą” – powtarzał obojgu Szmer. – „Władza wstrzykuje do każdej Pegasusa, jeszcze zanim ją kupisz”. Madonna miała załatwić podwodną, czyli nienamierzalną kartę – i ją załatwiła. Sztorm kupił na wietnamskim bazarze fabrycznie nowy smartfon – skradziony gdzieś w porcie oukitel. Sprawdził go w trybie offline i odtąd trzymał w pudle. Od wyjazdu z Warszawy i Łodzi mieli nie dotykać niczego, co nadaje sygnał.

Mona wyłącza silnik, zdejmuje ciemne okulary, spogląda w oczy Sztorma, chciałaby coś z nich wyczytać; ten tylko wyciąga rękę, odbiera od niej samsunga. Blokowany odciskiem.

– Dotknij.

Madonna przykłada kciuk. Ręka jej się trzęsie. Szymon przegląda rozmowy. Dziewięć razy dzwono do niej między dziesiątą rano i dwunastą czterdzieści. Ostatnie nieodebrane sprzed chwili: szesnasta cztery, opisane MAR. Tak jak wszystkie poprzednie.

– Kto to jest MAR?

– Mój chłopak. Były chłopak. Ten Marcin, co mówiłam. Chce do mnie wrócić, odkąd go poprosiłam o pomoc z radiowozem. Podrzucił mi tę komórkę w Olsztynie, w warsztacie. Zadręczał mnie całą drogę do Łomży i skamlał.

– Czemu nie wyrzuciłaś? – Szmer wchodzi w ustawienia, coś jeszcze sprawdza. Samsung jest nowy. Pierwszy raz zalogował się do sieci wczoraj o siedemnastej.

– Miałam wyrzucić do kubła na stacji przed Łomżą. I w końcu zapomniałam. A Marcin już nie zadzwonił...

– Poczekaj i bądź cicho.

Sztorm oddzwania na numer. Jeden długi sygnał, potem ktoś odbiera. Musiał trzymać telefon w gotowości. Czekał.

Chwila ciszy.

– Z kim rozmawiam? – Szymon stara się zabrzmieć łagodnie. Ale osoba na linii petuje połączenie. Więc dotyka zielonej słuchawki raz jeszcze.

– Marcin? Dzwonię w imieniu...

Ponownie rozłączone. Istnieje program, który pozwala podejrzeć – przez kamerę smartfona – osobę odbierającą rozmowę. Nawet bez jej wiedzy. On wybiera jednak prostsze rozwiązanie. Uchyła drzwi radiowozu, wkłada samsunga między zawiasy, cofa dłoń i zamyka. Telefon chrupie jak ślimak pod butem.

– Zmiana planu, nie jedziemy do młyna. – Nagle jest zupełnie luźny, nawet zadowolony. Coś, co go wcześniej martwiło, już martwić przestało. Uśmiecha się do Prezesa. – Zaprosiliśmy cię, bo chcemy zrobić program. Coś w stylu *Sędzi Anny Marii Wesołowskiej*.

– Nie znam...

– ...ja też tylko ze słyszenia.

– ...i nie jesteśmy na ty.

– Już jesteśmy. Mów mi Szmer, Jarek, dzięki. Brudzia, niestety, nie będzie. To jest Madonna, a to Walet. Takie mamy ksywki. Pseudonimy operacyjne. Zrobimy razem podcast. My odegramy role sędziów, a ty oskarżonego. Tematem będzie Polska, sytuacja bieżąca i wasza polityka. Zwycięskiej Prawicy. Miałeś jechać do studia w Toruniu, a pojedziemy do studia... powiedzmy leśnego. Będzie dużo ciekawiej niż u Dyrektora. Nie rób głupstw, to nic złego ci się nie zdarzy.

Prezes odwraca twarz do szyby. Sztorm każe Madonnie jechać. Półtora kilometra przed skrętem w prawo, na Pupy, mijają straż pożarną. Kiedy jej sygnał cichnie, skręcają w lewo: w las i brunatny dukt. Biało-zielony szlaban.

– Idź, otwórz. – Szymon wysyła Monę. – Kłódka przepiłowana.

Gdy ona podnosi żuraw, Wolant pyta cicho:

– Wierzysz w historię z chłopakiem?

Prezes nadstawia ucha. W małżowinie ma aparat słuchowy.

– To nie ma znaczenia. Mona nie jest już z nami. Przynajmniej nie do końca. Ale swoje zrobimy. Kłamie czy mówi prawdę, algorytm doprowadzi nas w to samo miejsce.

Walet nie do końca rozumie, choć przecież powinien, bo to nie jest trudne. Żyje sobie dwóch braci. Jeden zawsze kłamie, drugi mówi prawdę. Spotykasz ich na rozstaju dróg i chcesz się dowiedzieć, którą do miasta. Możesz zadać tylko jedno pytanie, więc pytasz dowolnego, jaką drogę wskazałby brat. I wybierasz przeciwną. Właśnie ją wybrali. Nie skręcają na Pupy, tylko do Kończydrogi. Do miejsca, którego nie ma na mapach poza tą jedną jedyną, którą Sztorm ma przy sobie.

Mona wraca za kółko.

– Co teraz? – pyta.

– Jak myślisz?

Ruszają, hamują, Wolant wychodzi, żeby zamknąć szlaban. Sztorm daje mu nową kłódkę. Co jeszcze ma w tym plecaku?

– Mam wszystko co trzeba – odpowiada na niezadane pytanie, jakby czytał w myślach. – Załóż i zatrzaśnij.

Walec wraca, siada na miejscu, nie patrząc na Prezesa. Droga za barierą jest wąska, z początku tylko porośnięta gdzieniegdzie chwastami, lecz im dalej, tym roślin więcej, a piachu i kamieni – mniej. W końcu dukt zupełnie ginie pod szaro-zielonym, przesuszonym futrem. Badyłe wkręcają się w osie, co rusz jakaś kępa wylatuje w powietrze, raz nawet – zdaje się – razem z częścią nadkola. Jadą w tunelu pomiędzy drzewami, jakby kosili zboże. Szymon już robił tę trasę, lecz zielsko się podniosło. Każda jeżyna, każdy skrzyp chce żyć. On sam, choć niby pogodzony z losem, chętnie by śmierci umknął. Żeby te zgniłe flaki w środku jakimś magicznym sposobem same się naprawiły. (W końcu takie pragnienia towarzyszyły ludziom od tysiący lat. Rozwiązaniem mogła być ambrozja albo żywa woda – taka, jaką posiadał Kościej Nieśmiertelny. Metodą był również pakt z diabłem. Już Izajasz pisał o antagonistach, że zawarli „przymierze ze śmiercią i z Szeolem układ”. Według znawcy tematu Maximiliana Rudwina szatan nie gwarantuje jednak żywota bez końca. Zwyczajowy cyrograf piekielny, spisywany krwią, daje dwadzieścia cztery lata, dużo rzadziej – czterdzieści. Na co byłbyś gotów, Szymonie, za tyle lat ekstra? To podstępne pytanie, Królu Karmazynowy. Lepiej tego nie drążyć).

– Dla kogo pracujecie? Skąd macie te stroje? – Kaczyński odłożył okulary na siedzenie, przygląda się z bliska mundurowi Waleta, zaraz go chyba uszczypnie, by sprawdzić, czy autentyczny.

– Z wypożyczalni strojów sylwestrowych. – Sztorm przesunął się na siedzisku, patrzy na porwanego przez górne lustro. – O czym miała być

dzisiaj audycja w Toruniu?

– O sabotażu gospodarczym. Kto jest waszym szefem?

– Doskonałe pytanie. – Szmer zerka wymownie na Madonnę, ale ona milczy, trzyma kierownicę oburącz, patrzy prosto w gąszcz. Jadą wolno, bo droga nie dość, że zarosła, to jeszcze wyboista. Mocno wieje, idzie zapowiadany niż o pięknym imieniu Karina, temperatura spada w niebywałym tempie (największą błyskawiczną różnicę w historii zapisków odnotowano w Spearfish, w Dakocie Południowej, w 1943 roku. W ciągu dwóch minut termometr przeskoczył dwadzieścia siedem kresiek. Albo ktoś się rąbnął).

Szymon sprawdził dokładnie prognozę pogody. Nocą ma przyjść przymrozek, możliwe opady śniegu od Suwałk po Iławę. Na Wybrzeżu deszcz.

– Jeżeli nie ma pomyłki co do koleżanki, bo w sumie znamy się słabo, to jesteśmy tu wszyscy samotnymi wilkami. To nasza pierwsza akcja. Coś jakby chrzest bojowy. Jak się nam uda z tobą, porwiemy Pacynę albo Powolnego.

– Chcecie wziąć za mnie okup?

– Nie zrozumiałeś mnie, stary. Nam nie chodzi o kasę. To nie jest czyn kryminalny. My chcemy ciebie osądzić.

– A sądem będzie kto?

– Chcieliśmy tych od *Mam talent!*, ale są za drodzy. Musimy wystarczyć my troje.

– Jesteście prawnikami? Nie? Tak myślałem. Ja jestem. I to jest, owszem, czyn czysto kryminalny. Z artykułu sto osiemdziesiąt dziewięć, pozbawienie wolności. I z kilku jeszcze innych...

– Doceniam poczucie humoru, doktorze praw. To będzie jednak akcja raczej polityczna. Sam się przekonasz. Coś jakby sąd ludowy, krótka ława

przysięgłych. Przedstawiciele ludu. Koleżanka reprezentuje kolektyw feministyczny, kolega – mniejszości seksualne, a ja – tych najbardziej wkurwionych. Tych, którym się nie podobają newsy w telewizji. Mordy Kornego, Filuta, Packi, Cyganiaka... Plan mamy taki, że Madonna odczyta oskarżenie, wybaczysz jakoś, żeśmy się nie oparli, niestety, na paragrafach, raczej swoimi słowami powiemy, co nas najbardziej boli. Potem oddamy ci głos. Zrobimy sobie kulturalną wymianę argumentów. *Colloquium charitativum*. Widzisz... niestety media, mówię o tych antypolskich, jak je nazywacie, od lat już niczego nie robią. Przekonują wyłącznie przekonanych, co siedzą przy laptopach i płaczą ze wzruszenia, czytając stare teksty Michnika albo Lisa. My chcemy dotrzeć do całego ludu. I do smoleńskiego, i antypisowskiego. Ogarnąć waszą dekadę, całość, jak mawiasz, osiągnąć. Tu zwolnij...

W poprzek zarośniętego szlaku idzie wąski dukt.

– ...skręć w lewo.

Madonna skręca. Tryba jest zasypana uschniętymi liśćmi, rosną muchomory, rozłożyste wierzby nad nimi mają pnie poskręcane, jakby cierpiały męki. Zaczyna padać śnieg. Płatki stapiają się na szybie, zmieniają w odrobiny wilgoci, która natychmiast paruje.

– W prawo daj.

Wyświetlacz wskazuje pięć stopni na plusie. Godzinę temu było babie lato. Po tym, gdy Sztorm powiedział „Mona nie jest już z nami”, Waleta zżerają nerwy. Skoro nie jadą do młyna, czy jemu Szmer też nie ufa? Co teraz zrobią? Przed maską teren opada, kia z urwanym nadkolem kilka razy podskakuje na wielkich korzeniach, zjeżdżają szybko w szeroki wąwóz. O szybę rozbija się ostatni letni motyl, zostaje po nim kleks jak gęsty smark.

– Zjedź na sam dół i zatrzymaj. – Szymon wypina się z pasa, podnosi plecak, Madonna hamuje, wychodzą we troje, Prezes siedzi bez ruchu. Sztorm wyjmuję z plecaka samochodowe klucze.

– Załóż staremu płaszcz, weź go pod pachę i prowadź tam, w górę. Jak te jodły powinien stać nissan. – Wręcza kluczyki Monie. – A ty poprzenoś graty, ile tylko weźmiesz.

Gdy Walet opróżnia bagażnik, Szmer wyjmuję puszkę, lecz nie tę, w której ma zwyczaj chować telefony. W mniejszym pojemniku trzyma hermetyczną strunówkę. Ostrożnie ją otwiera i wyciąga ze środka szklaną ampulę-fiolkę. Zaczyna rozlewać stężony odstraszacz na dziki i wilki. Jest dwadzieścia po czwartej, mimo chmur jeszcze jasno, śnieg pada coraz mocniej. Zaraz chwyci mróz. Madonna z Prezesem są już w połowie wzniesienia. Wojciech z krzesłami pod pachą pyta Szymona cicho:

– Może ją zostawimy?

– Z tym Marcinem może być prawda. Gdyby nas wystawiła, już byśmy byli w saku. Chyba że...

– Ale cuchnie. Chyba że co?

– Że są debilami i czają się w Pupach. To stężony pot ludzki.

– Zaraz się porzygam. Jak się to gówno robi? Mieli się bezdomnych? Co, jeżeli w Pupach?

– Robi się z kwasu masłowego. Trójmetylowego. Jak w Pupach, to już bez znaczenia. Tu też dotrą na pewno, tylko kwestia czasu. Dlatego zmienimy coś jeszcze.

27. Rozdział, w którym bohaterowie ustalają, kto poniesie winę za dzisiejszą katastrofę

Później mówiono, że Łukasz Łajdus przyleciał helikopterem na Wiejską z gotowym planem zaatakowania koalicjantów z Konfederacji Ojczyściej, czyli konfidentów. I że w ten sposób zaczęła się polska noc długich noży, może nie tak dramatyczna jak *Nacht der langen Messer*, ale dużo gorętsza od zapomnianej już dawno nocy tek SB. Faktycznie prokurator krajowy nie wylądował pod Sejmem, bo to niemożliwe. Przed dziesiątą wieczór śmigłowiec osiadł na skwerze przy Myśliwieckiej, skąd pasażera zabrała natychmiast limuzyna marszałka. W trakcie krótkiego dochodzenia na Podlasiu i w drodze do Warszawy, wykonując kilkanaście rozmów, w tym z prokuratorem Chwast, Łajdus ustalił, że po pierwsze, grupa terrorystyczna ochrzczona już Bandą Trojga została zainspirowana przez niskiej rangi agentkę ABW Monikę Mękę, znaną dwóm pozostałym sprawcom jedynie pod sieciowym pseudonimem *Madonna99*; po drugie, Męka działała na bezpośrednie zlecenie pułkownika ABW Mariana Murzyńskiego zwanego Murzynem, a jej własny szef, major Franciszek Fagalski, prawdopodobnie nie wiedział o sprawie, choć będzie to trzeba wyjaśnić. Po trzecie, Murzyński to outsider z kupą gówna w papierach, nabroił w armii i został posunięty, powinien zgnić

w archiwum, ale z nieznanymi przyczynami generał Tamir Tajner podał mu – i to całkiem niedawno – pomocną dłoń. Szef abwery osobiście stworzył dla Murzyna nowe stanowisko: oficera łącznikowego do spraw kontrwywiadowczego zabezpieczenia wybranych resortów. Tak się składa, że zabezpieczał wyłącznie kancelarię Pacyny i ministerstwa reszty nominatów Konfederacji Ojczyściej – dziedzictwo narodowe, infrastrukturę narodową, zdrowie i narodową energetykę.

Prokurator Łajdus najwięcej musiał się nadzwonić, żeby ustalić, co może łączyć Murzyna i Tajnera z posłem Cyganiakiem. W końcu pomógł telefon do Kornego. Każdy wie, że Mecenas nienawidzi Tamira. Plotek na temat przyczyn tej wojny jest wiele i można je zebrać w pęczki: poszło o nieoddanie kasy, poszło o stanowisko, poszło o zniesławienie w uszach Naczelnika. W tej sytuacji Łajdus mógł liczyć na to, że mimo piekła w sztabie kryzysowym minister spraw wewnętrznych znajdzie chwilę, by pomóc – i faktycznie znalazł. Odetkał jakąś rurę i po kwadransie zadzwonił asystent marszałka Powolnego, wiernie noszący za nim teczkę i znany Łajdusowi jedynie z widzenia milkliwy facet – niejaki Patryk Przeżytek. Powiedział rzeczy ciekawe. Dymisja i zatrzymanie Tajnera są już przesądzone, Prezes i Powolny skierowali w dół kciuki, zgoda Pacyny będzie nieunikniona. Podobno – ale to może być plotka – premierka, minister energii Kołtun i właśnie Cyganiak wspólnie błagali Kaczora, by Tamir mógł dociągnąć choćby do wyborów. Dlaczego konfidenci opóźniają nieuchronną agonię generała? Tutaj, jak zastrzegł Przeżytek, wchodzimy w sferę półsłówek, półcieni i – być może – półprawd.

Te jednak – prokurator Łajdus zaczął ich słuchać nad Ostrowią, skończył nad Wyszkowem – były najciekawsze. Tajner jest zadłużony, część jego długu kupiła żółta mafia. By związać koniec z końcem i mieć na raty dla żółtków, zaczął robić większe niż wcześniej przewały. Fikcyjne

firmy zarejestrowane na informatorów abwery, ogniwa nielegalne i różne inne łby realizują fikcyjne zlecenia za prawdziwe pieniądze dla prawdziwych resortów. Kultura oraz dziedzictwo, infrastruktura narodowa, zdrowie i przede wszystkim energetyka. Ministerstwo, z którego stary radomski znajomy Pacyny i były wójt jakiegoś Piździewa, kolega Karol Kołtun, zrobił prywatny folwark. Kurierem generała wiceprzewodniczącego, jego wysłannikiem do Gładkiego i innych resortów jest od niedawna Murzyn. A Czesław Cyganiak pilnuje w parlamencie, by jakiś miłośnik czystych rąk nie złożył interpelacji, na przykład: po co ministrowi energii usługi firmy iks za sześćset tysięcy, skoro rynkowa cena to ledwo sto pięćdziesiąt? Dlaczego Ministerstwo Kultury, kupując młodą sztukę, nie wysłał urzędnika na aukcję, tylko płaci za pośrednictwo firmie igrek i ostro przepłaca? Tu czterdzieści tysięcy, tam stówka – robią się z tego miliony. Szef sztabu wyborczego Zwycięskiej Prawicy dzieli skołowaną kasę także w obozie Hyclowej, w zamian za co część z tamtych opuszcza głosowania, kiedy Zwycięska Prawica nie może przyjść w komplecie. Najgrubiej, oczywiście, smarują się konfidenci.

Pozostaje pytanie: dlaczego tonący Tamir nie rozwiązał problemów w jakiś prostszy sposób? Na przykład prosząc o ambasadę w Caracas lub Astanie? Dlaczego zainspirował atak na Prezesa? Przecież to czysty obłąd. Coś jak użycie amfibii, by wcisnąć pinezkę.

Cyganiak. Ten opalony parobek w szytych na miarę garniturach i pantoflach Kielman. Całą tę żenującą hucpę wydumał Cyganiak. Pomysłodawca polowań na ekoterrorystów i sabotażystów. Miłośnik niestandardowych rozwiązań. Maksymalista, który uważa się za myśliciela. Widocznie jest, karaluch, na musie. Czyżby coś nie tak z kampanią?

Mercedes wjeżdża przed Sejm. Do Warszawy śnieg jeszcze nie dotarł, ale przyszło zimno. Kierowca wiozący Łajdusa gada od dłuższej chwili.

– ...las dwadzieścia pięć kilometrów na trzydzieści, a ci nie mogą go złapać, niedorajdy! O wpół do dziesiątej była informacja, że już ich zatrzymali, ale faktycznie policja złapała straż leśną w podobnym samochodzie. Piętnaście minut temu znowu... Jest Prezes! Cały i zdrowy, szedł pieszo. Helikopter medyczny wylądował na łące. Jakiegoś menela znaleźli. To nie jest państwo z tektury, tylko państwo z łajna. Jak nam kacapy wejdą, zanim się połapiemy, będą na Białolece.

Pod szpicą Armii Krajowej stoi w świetle latarni bojowy wóz żandarmerii. Pododdziały z pompami zajmują całą przestrzeń od Pięknej do ulubionego przez posłów monopolowego. Szofer otwiera okna i kufer, patrzą mu nawet pod maskę. W ruch idą halogeny, lustra do podwozia, owczarek niemiecki obwąchuje koła. Prokurator ma łaskawie zaczekać, aż dowódca zmiany czy jego zastępca (albo obaj naraz) przyjdą osobiście. Straż marszałkowska zna, naturalnie, samochód Powolnego, lecz nie znają Łajdusa, a dokumenty nie są wiele warte. Pierwszego Człowieka w Państwie uprowadzili fałszywi policjanci, nikt nikomu nie ufa. Kierowca znowu coś głądzi, Łajdus próbuje nie słuchać jego narzekania, przegląda witryny i tweety.

Nadal czekamy na komunikat sztabu kryzysowego powołanego przy prezes rady ministrów...

Marsz Solidarności z Prezesem dotarł bez zakłóceń pod pomnik Nienarodzonych...

Zakończyły się uroczystości kanonizacyjne w Rzymie. Ojciec Święty podjął uroczystą kolację...

Lewacy piszą o frędzlu, który ujawnił w sieci czy też ogłosił na wiecu – relacje się różnią – podejrzewa co do autentyczności bandytów porywaczy. Podobno wykrzyczał, że to prowokacja bezpieczeństwa, i było to ostatnie zdanie w jego życiu. Ktoś wrzucił na Twittera zdjęcie leżącego ciała, ktoś napisał,

że faceta zabiła abwera. Ktoś inny twierdzi, że ogór sam się położył, licząc na *publicity*. Według portali przychylnych rządowi luj zwyczajnie wpadł pod samochód, był przy tym pijany i znany policji jako drobny złodziej. Wedle lewaków udzielał się na Krakowskim i pod aresztami. Był, owszem, karany, lecz za politykę. Do listy Szczęsnego, Adamowicza, Millera i Swata przybył kolejny męczennik. Pierwsza ofiara śmiertelna dzisiejszego wieczoru. Zaraz go poniosą na drzwiach w stronę Nowogrodzkiej.

Policja zatrzymała sprawców napaści i zniszczenia auta zmierzającej na nadzwyczajną sesję Sejmu Henryki von Hycel. Liderka opozycji na zaimprovizowanej konferencji ogłosiła...

Do samosądu doszło także w Wałbrzychu...

Jest wreszcie strażnik w stopniu inspektora. Przy lewym boku ma szablę, przy prawym – kaburę. Bazookę ma pewnie na plecach.

– Pan prokurator krajowy Łukasz Łajdus?

– To ja.

– Marszałek czeka. Oficer wsiądzie z panami, zaprowadzi.

Do limuzyny włązi młody byk w mundurze, naszywka z tarczą w herbie i więcej kieszeni niż włosów na jajach. Pod pachą dynda mu heckler. Jadą na dziedziniec, wysiadają, drab wiedzie na pokoje.

Powolny – sześćdziesięciolatek o twarzy kastrata – nie czeka na Łajdusa w swoim gabinecie, lecz w bibliotece sejmowej – i to nie w czytelni, ale między półkami. To chyba jakiś kącik do pracy archiwisty: małe biurko, lampka, dwa obrotowe krzesła z podłokietnikami. Na blacie laptop, komórki, które na zmianę wibrują i piszczą, termos, filiżanki, rogale. Za plecami marszałka jego cień, Przeżytek. Szary garnitur, szara twarz, szare oczy. Ton głosu też bez barwy, gdy mówi „dobry wieczór”.

– Czyli... to Tajner? – Powolny nie wstaje, nie podaje ręki. Wskazuje drugie siedzisko. Zna prokuratora słabo, ale w końcu są towarzyszami

z partii, więc mogą się tykać.

– Znaleźli Prezesa? – Łajdus wkłada do buzi rogała. – Nie jadłem od ośmiu godzin. Tak, Tajner. Z niejakim pułkownikiem Murzyńskim, armijnym podrzutkiem w abwerze.

– Znam buca, często tu przyłazi. Roznosi koperty, Patryk ci mówił... – Marszałek wskazuje swego asystenta, który zajmuje się teraz obsługą komórek. Pisze coś na dwóch jednocześnie. – Prezesa nie znaleźli, ale to kwestia chwil... Obławę mamy augustowską. Pięćset kilometrów kwadratowych cheszą. Teraz mniej, bo już go widzieli, terrorystę Sztorma. Nazostawiał śladów, spierdalała po dzikim lesie, i to samochodem. Mistrz kierownicy ucieka. Tam rzeczywiście śnieżycą?

– Ale drogi przejezdne. – Prokurator przełyka i mlaszcze. – To siódma godzina przecież, zakrawa na sabotaż. Już nawet twój kierowca się pulta, co dopiero ludzie.

– Spokojnie, prokuratorze. Pokażemy winnych, nakarmimy gniew. Za chwilę. Po to tutaj jesteś. – Powolny zaczytuje komunikaty z komórek, które wskazuje Przeżytek. Ma doskonale podzielną uwagę: czytając, nie zrywa wątku. – Czyli co... mamy zdradę stanu? Zbrodnię pierwszego stopnia.

– Prezes jest tylko posłem.

– ...lecz biorąc pod uwagę, co się wszędzie wyprawia... ofiary, podpalenia, rozruchy... To konfidencki spisek. Tak rzecz należy przedstawić. Tajner by sam nie wymóździł. Patryk przyniesie kanapkę, chcesz jaką?

– Dwie proszę. Z szynką albo łososiem. I popielniczkę. Stawiam na pomysł Cyganiaka. – Łajdus ociera chustką opuszki palców, częstuje się kawą, zapala. – Tajner pokazywał mu na mieście agentkę, którą sobie wybrał. Męka Monika, chorąża z cyberbezpieczeństwa...

– Czyli ta w masce śmierci?

– Dokładnie. Rozpoznała przy mnie Cygana na zdjęciu. Namówiła tych gnojów. A zlecił Murzyński...

– Nie dmuchaj dymem na mnie. Masz ją tu ze sobą?

– Musiałem oddać abwerze, żeby tutaj wrócić.

– Błąd! – Powolny rozgania pulchną dłonią tytoniowy obłok, zakłada nogę na nogę, poprawia pozycję. Opona z tłuszczu przelewa mu się pod kraciatą marynarą marki Gieves & Hawkes.

– Może i błąd... ale mamy ważniejsze chyba sprawy.

– Wszystkie szczegóły są ważne. Na Cyganiaka szczególnie mocne musisz mieć zeznania, bo on teraz potrzebny. W czasie przeprawy koni się nie zmienia, a obserwatorzy już w Polsce.

– Słyszałem. Tylko po co mu to?

Marszałek nie odpowiada. Przegląda wiadomości na dwóch wyświetlaczach. Wystroił się przed posiedzeniem jak na zlot pedryli: ozdobił potrójne podgardle muchą w srebrne grochy.

– Chce odwołać wybory? – Łajdus, który tak sprytnie zvekslował temat utraty zatrzymanej, utwierdza się właśnie w przekonaniu o własnej przenikliwości, bo na dźwięk słowa „wybory” marszałek przestaje czytać, patrzy jak obudzony. Jak ktoś, kto pierwszy wyszedł z rozbitego auta, które jeszcze dymi.

– Tego to ja ci, prokuratorze drogi, mimo szczyrych chęci... powiedzieć nie mogę.

– Czyli jak bardzo źle jest?

– Bardzo źle będzie, jeżeli nam się nie uda do powrotu Prezesa porobić porządków. To jest najważniejsze. Musimy postawić Naczelnika przed zestawem faktów. Rozwiązać nabrzmiały problem. Generał Tajner, Cyganiak, kogo jeszcze weźmiemy... – Serdelki palców marszałka wędrują kolejno wzwyż. Na serdecznym ma sygnet z szafirem.

– Na pewno Gładki, bo się szczęśliwie wiąże przez żonę porywacza, jest jej formalnym szefem, to mi Filut mówił.

– Kto dalej?

– Można by i Kołtuna. Miał kontakty z Murzyńskim. Wyciągnie się rejestr wejść.

– A Patrycja?

– Nie wiem. Za mały jestem na to.

– Dzisiaj zaczynasz rosnać. Popierała Tajnera w Komitecie wspólnym. Pożyczała mu kasę, wiem to od Patryka. I co oni robią oboje? Po chuj nam cały komitet, kiedy para szmaciarzy może porwać Osobę Numer Jeden w biały dzień z ulicy? Jej sztab kryzysowy cały dzień bez sukcesów. Może to już obstrukcja? Kombinuj. Posiedzenie plenarne za dwadzieścia minut. Zostaniesz wezwany.

– Dokąd?

– Na mównicę, a gdzie?! Złożysz wyjaśnienie przed wysoką izbą. Jako najlepszy fachowiec ściągnięty wprost z akcji. Powinieneś być jeszcze rozczochrany, umazany błotem... Będziesz cytował tę cipę, którą przesłuchałeś. Jak ona się nazywa?

– Chorąża Monika Męka, Departament Bezpieczeństwa Teleinformatycznego i Cybernetycznego, przełożony major Franciszek Fagalski... chyba nawet nie wie, jak jest wpierdolony.

– Wskażesz go razem z Murzyńskim. Jak nie pilnuje jeden z drugim kurnika, to chuj mu w migdały. Obowiązująca prawda jest prosta: w Bandzie Trojga była funkcjonariuszka pod przykryciem. Nadzorował ją major... jak mu tam?

– Fagalski.

– A prowadził osobiście ten drugi, Murzyński, który był na miejscu. Był?

– Nadal jest. Lata z cebosiem po krzakach.

– Mimo to Agencja nie zdołała zapobiec porwaniu. Mniejsza o to dlaczego. Agentka zawiodła, przełożeni zawiedli. Katastrofa obciąża bezpośrednio generała Tajnera, abwerę i Wspólny Komitet Kontroli. Kto mu przewodniczy?

– Nasza Packa kochana. – Łajdus wypalił papierosa do samego filtra, miętoli niedopałek.

– Wymienisz Cyganiaka, Gładkiego, Tajnera, Kołtuna... niech się, mendy, boją. Jeszcze dzisiaj w nocy zastąpią ich nasi.

– Jak mam ich połączyć?

– To już twoja sprawa. Wiedział, a nie powiedział jeden gównozjad z drugim. I żona porywacza. I kontakty ze spółkami Tajnera... te usługi lipne. Przeżytek ci chyba mówił?

– Mówił. Tylko że nie wiem, na ile to prawda...

– Dopiero wierzchołek. Gdybyś ty wiedział, prokuratorze drogi, jakie tu wały idą... Kiedy się Cygan i Gładki połapią, że hyr na nich idzie, jeden obciąży drugiego. Zresztą to nieistotne, ważne, że zwolnią miejsca. Stoją już lepsi pod bramą. Jeszcze to ludziom sprzedamy jako nowe otwarcie. Za nieupilnowanie Prezesa muszą spadać głowy, za ten cały burdel. Wbijemy w nich osinowe kołki. Potem ich zakopujemy.

– A głowa Kornego?

– Udam, że nie słyszałem. Kiedy przyleci prezydent, będzie miał co podpisać, i tego się trzymamy. Ty pamiętaj jedno: nie będziesz mówił do posłów, bo oni zjedzą gówno i popiją szczochem, jeżeli im każą. Hyclowa tak samo. Pederasci też. Wszyscy umoczeni. Przemówisz do narodu. Naród kocha Pacynę. Musisz być przekonujący. Zaraz po północy zaczniemy zatrzymanie. Działamy pod rygorem ustawy. Jakie hasło wieczoru?

– Jebać konfidentów?

– Świat się dziś zmieni, kolego. W każdym razie Polska. Czyścimy stajnię Augiasza, precz z niekompetentnymi! Rozliczamy natychmiast, tu, teraz! To będzie twoja melodia. To ma przejść do historii... No co tam?

Ostatnie pytanie marszałek kieruje do Patryka Przeżytką, który przyniósł kanapki, serwetki, popielnicę z kryształą i jakiś meldunek.

– Poseł Ciemniak już czeka. I sanitariusze.

– Dobrze, sam podejść. Ty, prokuratorze, jedz i pij kawę, wzmocnij się, a jak skończysz, masz być na galerii. Patryk ci będzie towarzyszył, żebyś mi nie zginął, bo już jesteś mój. Oczyszczymy Polskę z niewłaściwych ludzi. Wrzucimy ich do zmielarki, polejemy kwasem. Masz dzisiaj zabijać, jeńców nie weźmiemy.

– A Prezes?

– Ładnie z twojej strony, że o nim pamiętasz. Powiem mu, jak wróci. A wróci niedługo. Lata ich po lesie czterdzieści jednostek. W końcu na niego wpadnie albo ten Klocek z Ełku, albo jakiś oszczany leśniczy, ktokolwiek... Bóg, honor, Jedna Polska!

Łajdus wyrzuca zgnieciony niedopałek, otrzepuje palce, sięga po kanapkę.

28. Rozdział, w którym Sztorm po raz drugi dzisiaj ratuje porwanego

Ty nigdy nie ustępujesz? – Prezes, ponownie wychylony do przodu, ma we włosach szkło, drzazgi i kawałki kory. – Jak cię pobiją łobuzy, wracasz do nich z nożem? Kiedy połamiesz nogi, będziesz szedł na rękach? Z tych jesteś, co zawsze wstają...

– Tak było, ale się skończyło, mój mały psychologu. Tym razem nie wstanę. Ty mnie nie lubisz, żona o-o-odeszła, dzieci nie mieliśmy, chochoinki już nie postawię. Wszystko sprzedałem, by kupić to auto, i go nie odsprzedam, sam widzisz, w jakim jest stanie. To o-ostatnia przejażdżka. Martw się o siebie, nie o mnie. To ciebie wystawili źli ludzie, już grają w kości o płaszcz. Może mają na oku nowego Prezesa? Może spisek jest głębszy i szerszy, niż myślisz? Może kiedy nas dorwą, kropną i mnie, i ciebie? Odjebią i zakopią albo i zostawią, żeby nas rosomaki zjadły i wysrały. Fajnie się ga-ga-gadało o Polsce i wszystkim.

– Gadało się o Polsce? Ty o niej nic nie wiesz! Nic z niej nie rozumiałeś! Cały czas mnie zadziwia, jak człowiek myślący, a przynajmniej umysłowo wygimnastykowany, może wierzyć w te arcybrednie naszych przeciwników. I jeszcze pod ich wpływem dopuszczać się przestępstwa, ryzykować życie. Głównie zresztą cudze...

– Masz rację, to wszystko jest dziwne. Chyba nas popierdoliło z tym całym porwaniem. To znaczy mnie i kolegę. Ale to już bez znaczenia. Jestem strasznie zmęczony...

Gdy Sztorm zarządził próbę żelaza, niska wierzbowa gałąź przeszła przez przednią szybę i rozerwała dach. Cudem ich nie zabiła. Ale samochód przejechał. Zmiażdżył wszystkie przeszkody, bryznął wokół rozgrzanym olejem i przeszedł. Kierowca ani na moment nie przestał cisnąć gazu. Wbili się w gęste zarośla bez szyb, bez tylnej klapy, bez paru innych rzeczy. Nie mają opon, maska też rozorana, elektryka kokpitu siadła, motor fajczy się wierzchem. Co chwila błyska snop ognia, smolisty dym wali, już by ich zadusiło, gdyby nie wyrwa w dachu i dziury po oknach.

– Odepnijże mi kajdanki, bo się zaraz spalimy razem z wrakiem cholernym!

Sztorm nic już nie odpowiada. Ma dreszcze. Konający samochód wydaje odgłosy schodzącej lawiny kamieni. Jeszcze kradną czas, choć przestrzeni niewiele. Zamienili, zamienił kiepski dukt na przecinkę, przecinkę na ścieżkę, ścieżkę na leśne runo, runo na gęste zarośla. Posuwa się, posuwają, coraz wolniej i wolniej, a tętent pogoni tuż-tuż. Znowu puchnie mu szyja, klatka piersiowa się kurczy, jakby chciała zmiażdżyć ledwo żywe serce. Z trudem zmusza przeponę do ruchu, w bidonie zostało eliksiru na może pół godziny, lecz to nie potrwa aż tyle. Nawet natręctwa myślowe, te wszystkie fragmenty książek, piosenek, cytaty, szeregi nazw, definicje – nawet to go opuszcza. Nie kołacze się w głowie. Kaczor mówi coś szybko, dochodzą fragmenty.

– ...komuś coś udowodnić... chcesz zranić... o byłą żonę ci chodzi?

– Chodzi mi, kurwa, o to, co robicie z krajem!! Chyba już powiedziałem!!! – Sztorm musi przekrzykiwać trzaski łamanych pni, śmiertelne jęki podwozia, ryki konającego w konwulsjach silnika. Gaz cały

czas do oporu, drugi bieg, skrzynia zablokowana. Grunt się obniża w prawo, drzew nad głową już nie ma i chyba przestało śnieżyć. Łysy nieśmiało kapuje, właściwie wszystko wygląda ujutnie. Czyste powietrze w górze, gwiazdy i prawo moralne. Zmasakrowane felgi wleką strzaskany, dymiący odwłok wozu po skosie schodzącym do srebrnego stawu, otoczonego trzciniami zakola rzecznej czy czegoś równie pięknego.

– Wywrócisz nas, synu!

Nad wodą bieleje ośnieżony kwadrat. Szopa, rybaczówka, binduga...

– Wywrócisz nas, powiedziałem!! Zdejmij mi kajdanki!!

Z lewej liściasty zagajnik, z prawej i w dole trzciny, przed nimi coś w rodzaju łysej skarpy w śniegu. Z napędem terenowym da się chyba przejechać na samych obręczach. Kierowca wciąż ciśnie pedał do końca, motor pod maską wydaje ostatnie ryki, płonący olej strzela jak race w sylwestra, teraz to już jest pożar. Prezes mówi nieswoim głosem: „Jezus, Maria!”, Sztorm odkrzykuje: „Na pewno!!”. Zdeformowane pierścienie zdzierają warstwę piachu, porostów i śniegu, wóz płonie żywym ogniem, toczy się przechylony o ponad czterdzieści stopni.

– Zabijesz...!!

Gaz nadal wciśnięty w podłogę, ogień zajmuje dziurawą kabinę, pali się tapicerka, lewe felgi tracą kontakt z podłożem, przez moment poruszają się tylko na prawych, jak w jakimś autorodeo. Chyba się nie uda, coś ostatecznie trzaska w zawieszeniu, podwozie się składa jak stara wersalka, obraz przed szybą wiruje, biała ziemia jest raz bliżej, raz dalej, księżyc pod trzciniami, a winien być nad. Więc jednak się nie udało; wóz dachuje, piekielne chrupanie miesza się z jękiem pękających blach, płomienie obejmują pasażerów – na Sztormie płonie mundur, a na Prezesie płaszcz. Nagle jest wściekle gorąco, brak tlenu, wszystko lata, stan nieważkości, sen mara, Bóg wiara, pierwsze nocne zmazy i pierwsze papierosy, odejście ojca,

katastrofa World Trade Center, seks z Kasią, zapłakana mama, jad żaby, kameralny ślub z Sabą, tępa praca w szkole, epidemia wirusa, samobójstwo sąsiadki z parteru, Pupy Młyn na rysunku, kolejka na onkologii, czarny orangutan i zdychający łoś, plan A i plan B, przeżarte rakiem bebechy, smród odstraszcza na dziki, znów mama...

Gdy zachorowała, uprosił Sabinę, aby ją wzięli do siebie, lecz to był bardzo zły pomysł. Teściowa i synowa z początku się obwężowały, potem doszło do serii zwań, każde ze snopem iskier, a jeszcze później ustaliła się lodowata niechęć, siekiera wisiała w powietrzu jak strzelba Czechowa. Wreszcie matka zdecydowała sama, że lepszy będzie dom starców eufemistycznie zwany Przystanią Spokojnej Jesieni, bo ma tam koleżankę. Dom był z tych lepszych, nie tani, z opieką pielęgniarską, terapeutyczną, taką, owaką i sraką.

Jak mu zaczęło brakować pieniędzy, nie płacił za różne rzeczy, nie oddawał kredytu, lecz to, co dopłacał do pobytu mamy, zawsze przelewał w terminie, szczególnie po tym, gdy przeszła do umieralni – jeszcze droższej niż Przystań. Teraz też przelał sosu, sprzedał absolutnie wszystko, co dało się spuścić przez Allegro, OLX i tak dalej. Zapłacił dwie raty hospicjum z góry, zdeponował w recepcji list, żeby matka nie przyjmowała spadku, bo odziedziczy długi. Za ostatnie pieniądze kupił ten samochód, który właśnie zniszczył.

Piach i śnieg, płomienie, nissan koziółkuje, smażą się włosy i rzęsy, kabinę wypełniają skwierczący żar, tłusta sadza i ognisty olej. Nie ma powietrza, płonąca głowa zamienia się miejscami ze ściśniętą dupą, potem jest absolutna ciemność, jak gdyby spadli do piekła. Sztorm wyobraża sobie moment, gdy przychodzą do mamy i mówią „syn pani niestety nie żyje”. A mama pyta, gdzie się podziały motyle, które tu fruwały. Przyjemniej jednak jest sobie wyobrazić chwilę, w której do Sabiny dociera, że

porywacz Prezesa, zbrodzień numer jeden, terrorysta, co zginął razem z Kaczorem w zwęglonym samochodzie, to jej były facet, jej Szymek. Ciekawe, czy razem z nią wypierdolą z roboty Gładkiego. Na pewno. Śmierć Prezesa oznacza czystkę na prawicy, to będzie coś jak terror po śmierci Kirowa. Polecą szefowie policji i służb, komitetu wspólnego i chuj wie czego jeszcze, będą się ciągnąć rozgałęzione śledztwa, o akcie oskarżenia czytany przez Monę nikt już nie będzie pamiętał. Pomniki Jarosława staną obok pomników brata, obok Jana Pawła II, Jana Szyszki, Kornela Morawieckiego i Chrystusa Króla. Za kolejną dekadę, gdy kraj będzie już Katolickim Królestwem Narodu Polskiego, a miejsce Zwycięskiej Prawicy zajmą neofaszyści, dzieci będą się uczyć, że premier-prezes-profesor Jarosław Kaczyński był wysokim, niebieskookim blondynem, który w pojedynkę pokonał koronawirusa, zapoczątkował rechrystianizację Europy, a wcześniej wynalazł internet.

Fakt, że Sztorm to rozważa, oznacza, że chyba nie zdechł, bo skoro myśli, to ma jeszcze zwoje, choć już stracił wzrok (choć John Carew Eccles, laureat Nobla, twierdził, że istnieje też umysł niematerialny, nietożsamy z mózgiem. Mówiąc w uproszczeniu – oderwana od ciała dusza nadal może myśleć, a nawet postrzegać nową rzeczywistość). Jego real to zimna czarna woda, w której brodzi nago, chudy i ze stuloną pałą jak postać z obrazu Memlinga. Tylko że nie podąża ani w stronę światłości i gotyckiej bramy, ani w kierunku ognia piekielnego, lecz całkiem zwyczajnie zbliża się do brzegu, na którym czeka jego czarna małpa, co już wyszła z lasu. Idzie do niej po kolana w wodzie, potem po pas, wreszcie po sutki skurczone do rozmiaru bobków chińskiego nietoperza, a im bliżej plaży, tym głębiej i ciężiej – powinno być, kurwa, odwrotnie. Moria, mors, manat, Marzanna, macaco, mono, Mama Genita, maimuna, Mamiori – kimkolwiek właściwie jest, czeka na niego cierpliwie, wszystko wie, wszystko rozumie,

wszystko wybaczyła. Wybaczyła mu, że zostawił Kasię i że w Nepalu, dokąd zabrała go Saba, pożalował dolara głodnemu chłopczykowi. W każdym razie wyglądał na głodnego, chciał dostać tego dolca w zamian za bransoletkę splecioną ze sznurka, lecz Szymon był akurat wkurwiony, bo zgubił telefon. A potem go znalazł, tyle że niesmak został. Więcej grzechów naprawdę nie pamięta, bo okazyjne ćpanie, wczesne walenie konia, ryzykowne picie, nałogowe palenie, seks pozamałżeński i późniejszy anal (niezbyt zresztą częsty) chyba się nie liczą.

Woda dosięga szyi, jej powierzchnia się marszczy, zimno jest przeszywające i – jak się zdaje – przywłókł je ze sobą z poprzedniego świata, tego, na którym spędził lata jako zdolny uczeń i student artysta, mąż pięknej, inteligentnej dziewczyny, chory na nowotwór bezdomny rozwodnik, ostatecznie osaczony przestępca, którego to pierdolone zimno przeżera do kości (wedle autorów książki *Żeglarz i sternik jachtowy* w wodzie dziesięciostopniowej żyje się trzy godziny. Wedle autorki *Kursu Arktyka* niezahartowana osoba przetrwa w morzu piętnaście razy tyle – liczone w minutach – ile wynosi temperatura w stopniach, czyli raczej krótko. Sporo zależy od tego, jak duża część ciała wystaje nad wodę, jaka jest siła wiatru i oczywiście większe szanse masz w ciuchach, mniejsze – gdy jesteś nagi). Czy jesteś nagi, Szymonie? Nagi i przerażony jak Frodo, gdy włożył pierścień? Tak, jestem nagi, Gandalfie, choć tylko w przerośni, bo mam na sobie nadpalony policyjny mundur, a resztki sfajczonych włosów okrywają mi czerep rubaszny, natomiast woda – czarna i gęsta jak zmrożona wódka na promocji w Lidlu – zupełnie bez przerośni wlewa mi się do nosa, co wywołuje natychmiastową panikę i przywraca zmysły.

Ożeż ja pierdołę!

Samochód, po pierwsze, leży na prawym boku, po drugie, do połowy w wodzie, po trzecie, chyba zaczął zapadać się w muł, co znaczy, że zaraz

zatonie wraz z pasażerami. Drzwi kierowcy urwane, wywaliło poduszki powietrzne, pełno jakiegoś szajsu (do wierzbowych wiórów doszły skotłowane trzciny, błoto, organiczne gluty i szczątki zwęglonych plastików). Śmierdzi ropą, siarką, zepsutą rybą, jest czarno-srebrzyście, cicho i tak zimno, jak tylko może być. Okulary? Są. Jedno ze szkielek trzasnęło. Pas... trzeba wyjąć się z pasa. Sprzączka, palce niczego pod wodą nie czują, jest gdzieś to gówno, być musi... kurwa, wszystko śliskie... odpięło się ściervo nareszcie. Teraz Prezes i klucze do kajdan.

– Żyjesz tam, stary, żyjesz?!

Cisza.

Nie ma jebanych kluczy, jest tylko spluwa w spodniach. Szymon maca kurczącą się przestrzeń, rozcina o coś dłoń – boli mnie, więc jestem. Boli wcześniej przebity policzek, boli ręka, szyja, boli brzuch, boli cały pas ciała między ramionami. I zimno. Ciepłej tylko w nogi i w jaja, czyli w to, co pod wodą.

– Żyjesz?!

Maca drugą dłoń. Jest w wodzie plecak, ramiączko zawinięte na urwanym zagłówku. Pływa też bidon z eliksirem życia. Jest i twarz Prezesa, ledwo nad powierzchnią. Mało nie wydłubał mu oka. Łapie oburącz za ten łeb i potrząsa.

– Żyjesz, do kurwy nędzy?!

Szarpie pasażera za ramię, maca jego łokieć, dociera do nadgarstka, już głęboko w wodzie. Przypiął mu rękę do ramy, która sterczy pionowo, z jednej strony urwana w pizdu. Dobrze, że nie wbiła się dziadowi w serce. Kajdanki wystarczy zsunąć.

– Żyjesz czy nie żyjesz?!

Jęczenie. Czyli żyje.

– Trzymaj nos nad wodą!

Nim się sturlali ze skarpy, nim staranowali zagajnik, zanim wysiadła elektryka, kokpit pokazywał dwadzieścia pięć przed dziesiątą. Która może być teraz? Jak długo był nieprzytomny? Gdzie obława? Wystawia oba łokcie, podciąga się, przełazi przez urwane drzwi, jest na wierzchu. Mróz przenika wychudzone ciało jak promienie gamma. Karoseria pogięta tak, że tylnych drzwi nie otworzy, trzeba wyciągnąć starego przez wybite okno. Śmigłowiec z halogenem pojawia się zniecka, jakoś go wcześniej nie słyszał. Słup światła sunie po brzegu, oświetla brzezinę i pochyłość, po której spadali. Na zaśnieżonym piachu wyraźnie widać ślady, lecz ci u góry są ślepi, bo zaraz odlatują. Teraz ich wielki szperacz oświetla wierzch zagajnika.

– Prezes! Powiedz coś, kurwa, daj ręce!

– Zła...małem...

– Możesz tam na czymś stanąć?! Na boku fotela... łeb wystaw!

W ciągu trzech minut, odkąd Szmer się ocknął, wrak osiadł pół metra. Przód idzie pod powierzchnię szybciej, bo jest cięższy. Wielkich, cuchnących siarą bąbli wylatuje tyle, jakby się gotowało. Kierownica już w wodzie, toń pokryta ropą, olejem i strzępami z auta, zaraz wszystko zatoni w tym syfie. Sztorm usiłuje wytargać Prezesa pod pachy, wyciąganie go przypomina wyrywanie zęba. A raczej – języka. Choć stary jest mały i lekki, oblaży go jakieś paskudztwa, wszystko się ślizga, klei, zimne czarne gluty, tłuszcz, przegniłe glony...

– W górę, teraaaa....az!!

Ramiona – o dziwo – przechodzą przez otwór po szybie. Porwany jęczy, charczy, zdrową ręką przyciska do piersi drugą, uszkodzoną. Nad przybrzeżnymi wierzbami coś zaczyna pulsować. Jakby za horyzontem błyskała i gasła latarnia. Lądowa nagonka jedzie, idzie, czy może skaczą po drzewach jak małpy... czort ze wszystkimi małpami. Z małpami ze

wszystkich wymiarów. Oni dwaj nie utoną, nie wsiąkną w królestwo błotnej wiedzy, która warzy piwo. Bajka o podłej Inger była jedną z historii zasmucających Szymka, kiedy czekał w przedszkolu, aż go wreszcie zabiorą, kiedy miał jeszcze ojca. Tłuste, zimne węże, pająki, co przędą tysiącletnie sieci, bezskrzydłe muchy w oczach i ten feralny bochenek, który przyciągał dziewczynkę jak bursztyn okruch słomy. Ale Inger na koniec wyleciała z błota i my także wyjdziemy, staruchu! Płaszcz Prezesa gdzieś haczy. Szymon szarpie, materiał się drze, dziad ramol wychodzi wreszcie jak ślimak z pękniętej skorupy. Jeszcze plecak i bidon. Porwany dzwoni zębami. Zapalenie płuc w jego wieku to raczej pewna śmierć. Sztorm ma już dreszcze od dawna. Zanurza się w wodzie po uszy, co daje mu krótką ulgę, bierze Prezesa na barki jak pasterz barana. Odbija obunóż od wraku. Do brzegu, po dnie, w mazi z gówna. Dociążony porwanym – grzęźnie. W ostatnim momencie nabiera powietrza i już woda zalewa mu oczy. Zaczyna się wygrzebywać, z głową płytko pod lustrem wody, nogi muszą pracować, wysiłek pochłania tlen, tchu nie na długo starczy; wydychaj powietrze nosem...

Już mu się to raz śniło, w szpitalu, gdy leżał obok złotnika, co nie mógł się spuścić przed śmiercią. A drugi raz parł do brzegu przed chwilą, gdy nieprzytomnie brodził w czarnej wódce z Lidla. Teraz trzecia próba. Tym razem w realu. To wszystko jest zaprogramowane, lecz nie w każdym szczególe. Śmierć przyjdzie, oczywiście, ale może przyjść wcześniej lub dopiero jutro, może mieć wszystkowiedzącą, włochatą twarz orangutana albo czułe wejście anielskiej postaci z obrazów, których ramy złocił tamten nieżywy już gościu. Czas się znowu rozciąga jak płonący plastik, przebieranie stopami w podwodnym gnojowisku to praca Syzyfa, wchodzenie na wydniętą usypaną z mąki. Wpierw wynurzają się oczy, usta jeszcze w wodzie, nie ma siły na podskok z ciężarem, nie ma zresztą od

czego się odbić, kisiel, szlam jelitowy, wszystko miękkie i niestawiające oporu; jeszcze kilka ruchów stopami, coś jak kręcenie rowerem stacjonarnym, powietrza, Boże, powieeee...trza! Otwórzcie, do chuja pana, drugą okiennicę!

29. Rozdział, w którym grupa pościgowa odnajduje ciało na gruzowisku

Dziesięć minut przed dziewiętnastą samochody ABW mijają w zapadających ciemnościach dyndającą na jednej śrubie nieczytelną tablicę, która kiedyś głosiła: „Gminny Zakład Przemysłu Drzewnego numer 2”. Na ostatnich kilometrach ścieżka się poszerzyła, miejscami spod ośnieżonych chwastów wystają nawet splachcie dawno zniszczonej nawierzchni z trylinki. Marian Murzyński w gumowych rękawiczkach i kamizeli z kevlaru prowadzi jednorącz, wolną dłonią zapina pod brodą sprzączkę kasku z soczewą. To samo robi jadąca za nim plutonowa Krótka. Służący ma hełm bez kamery. Jego pierwsze zadanie: cicho wycofać agentkę.

Wczoraj Krótka z oporami wtoczyła w głowę pułkownika nieskomplikowaną procedurę strojenia komóry z obiektywem przyłbicy, dzięki czemu w pokoju sytuacyjnym zadowolony Tamir Tajner może polecić dyrektorce, aby przerzuciła na ekran obraz z jego smartfona. Ciach – i już leci film... Filut z Kornym gapią się weń kompletnie zaskoczeni – jakby im pokazano na ścianie ich własne dokonania z warszawskich burdeli. Cyganiak stara się naśladować te zdziwione miny, ale widać, że tylko przedrzeźnia. Pacyna jeszcze nie rozumie, co widzi.

– Z przyjemnością informuję panią premier, że moi ludzie właśnie dotarli do miejsca przetrzymywania Prezesa. – Generał ćwiczył tę kwestię kilkakrotnie. – Widzimy obraz z hełmów grupy operacyjnej pod dowództwem pułkownika Mariana Murzyńskiego.

– Jak to pańscy ludzie? – Minister sprawiedliwości właśnie upuścił kanapkę. – Przecież tam w tej chwili wjeżdża prokurator Chwast!

– Wjeżdżają, zdaje się, razem.

Program dzieli ekran na cztery, dwie ćwiartki nieaktywne, na dwóch pozostałych trzęsą się obrazy: las, zmierzch i śnieg, maska samochodu, przed nią podła droga prowadzi do coraz lepiej widocznego dużego budynku bez okien. Obraz drugi: na bliższym planie ręka trzymająca koło kierownicy, dalej z przodu ta sama droga i tył podskakującego terenowego dodge'a z podświetloną tablicą: HKW i coś tam. Oba wozy w tej samej chwili gaszą przednie światła, zwalniają przed ruiną, hamują. Filut, wściekły, dzwoni do Hanny Chwast, ale ta nie odbiera, bo właśnie wysiada na placu przed tartakiem. Pacyna znowu klaszcze. No... to jest prawdziwa robota. W ten sposób Navy SEALs weszło po bin Laden.

– Brawo, brawo, brawo!! – Zaciska obie garście, aż bieleją jej knykie. Dyrektorka podeszła, objęła ramieniem, drugą ręką zasłania usta, oczy ma ogromne. Na ekranie po lewej cały czas leci streaming. Głupcy pod płachtą z napisem „DEMOKRACJA” nie wiedzą, co zaraz się stanie. Kobieta w masce śmierci wstała, podeszła do Prezesa, czyta mu na stojąco, ich, pożał się Boże, wyrok.

Oskarżony został uznany winnym zamachu na wolność osobistą współobywateli, zniszczenia niezależnych ośrodków kontroli nad...

– Zaraz się, pizdo, zdziwisz! – Korny spleta ręce na piersiach, brzuch do przodu, pozornie cieszy się ze wszystkimi i tylko bezwiednie zagryza dolną wargę. Gdy łapie uważne spojrzenie Tajnera, pyta go najgrzeczniejszym

tonem, na jaki może się zdobyć: – Jakim cudem pańscy ludzie znaleźli się w tym lesie?

– Byli w Augustowie na rutynowych czynnościach. – Odpowiedź na to pytanie generał ćwiczył szczególnie sumiennie. – Przyłączyli się do poszukiwań, jak wszyscy. Obraz górny to pułkownik Murzyński, pan minister go przecież kojarzy. Przeszedł do nas z resortu obrony. A dolny to plutonowa Kamila Krótka z departamentu prewencji.

Felicjan Filut dodzwonił się do Łajdusa. Prokurator krajowy przeleciał nad Goniądzem. Za cztery minuty ląduje. Ludzie Tamira Tajnera opuścili auta. Dzięki kamerze Krótkiej widać całą ich grupę, a przynajmniej większość. Ustawiają się rzędem pod dziurawym murem. Pierwszy ten cały Murzyński z kopytem rozmiaru piły mechanicznej, w okularach balistycznych, w kasku i w kamizeli z plakietą abwery. Za nim wielki chłop w identycznym kevlarze i też w rękawiczkach, tyle że ze strzelbą. Jeszcze dalej policjant z wilczurem na smyczy, przy nim... nie, to nie może być tylko złudzenie... Prokurator Chwastowa z pistoletem w garści! I dwie ciemniejsze postacie.

Bogu niech będą dzięki! Filut znowu jest w siodle. Teraz kujemy żelazo:

– Rozumiem, że zgodnie z aneksem kompetencyjnym pan pułkownik Murzyński podlega naczelnicze wydziału śledczego, która kieruje grupą. Jak widzę. Będzie dowodzić akcją, póki nie wyląduje prokurator Łajdus.

Generał Tajner udaje głuchego, lecz liczy się, że Pacyna słyszała, Mecenas słyszał i słyszał nawet sierżant Majdan, co nie wytrzymał przy wrotach i też filuje w ekran. Ważne, kto będzie pierwszą osobą, która uwolni Naczelnika Państwa. Która podejdzie do niego, oswobodzi z kajdan, coś szepnie. Gdyby Filut miał łączność, krzyknąłby do prokuratorce, by

ruszyła przodem. By wyprzedziła konkurencję o krok od sukcesu, jak Żukow Koniewa. Powtórzyć nie zaszkodzi:

– Prokurator Chwast tam dowodzi do czasu, aż mój zastępca wyląduje w miejscu.

Korny dziwnie wolno przenosi wzrok między ekranami jak dzieciak, który z trudem się zmusza, by spojrzeć na glistę. O czymś głęboko myśli. Monitor lewy: trwa sąd nad Prezesem. Prawy: grupa wchodzi do wnętrza. W obu aktywnych ćwiartkach obrazy podskakują, a plany się zmieniają. Najpierw widać coś w rodzaju pustego przedsionka, potem zniszczoną halę. Dźwięku nie ma, więc nic nie zagłusza bełkotu terrorystki z monitora obok.

...winnym kampanii nienawiści wobec grup mniejszościowych, winnym nagonki...

Światła latarek grupy szturmującej wydobywają z półmroku sraczkowate mury, wyrwane futryny, wreszcie transparent „DEMOKRACJA”. Pułkownik Murzyński i jego podkomendna (zapewne również reszta zespołu, w tym prokuratorka) stają nieruchomo i patrzą w to samo miejsce co sztab kryzysowy. Szmata na ścianie pustego pomieszczenia, pod nią turystyczny stolik, trzy składane krzesła, wędkarski taboret, na którym siedział Prezes, statyw, z którego wszystko było filmowane. Było, a nie jest. Banda Trojga znikła. Zniknął także Naczelnik.

Generał wiceprzewodniczący komitetu kontroli kilka razy uderza się pięścią w serce, żeby mu nie stanęło, żeby zassało krew z głowy, bo ta zaraz eksploduje jak arbuż przestrelony pociskiem dum-dum. On pierwszy zauważył, że sąd nad Prezesem odbywa się w dziennym świetle. A tutaj... a tam... prawie ciemno. Opada na siedzenie. Jeszcze mu się elementy do końca nie kleją.

Minister-prokurator, nadal z komórką w ręce, ponownie klęśnie wewnątrz garnituru. Ale jest młodszy od Tajnera, jego organizm to zniesie,

jak zniósł wcześniej COVID-19. Kiedy Jarosław Kaczyński powiedział mu osobiście, że dostanie resort – prawie dwa lata temu – ostrzegął przed (jak się wówczas wyraził) „najtrudniejszym frontem”. Anarchia w sądach, ciągle spory z Europą, niemożność dokończenia flagowych procesów, a wokół ofensywa tęczowych tolerastów, gospodarka zboląła po pandemii, giełda na łopatkach, milion bezrobotnych, deficyt stulecia i skarb państwa pusty jak turecki bęben. Felicjan Filut się nie zląkł. Zakasał rękawy, pracował dniami i wieczorami, osobiście nadzorował poszczególne sprawy, wiódł trudne rozmowy, naciskał, łamał opornych, był twardy, nie dosypiał, życie prywatne podporządkował zadaniom. Jeśli chodzi o godziny spędzone na służbie, mógłby konkurować z pracoholikiem Gładkim. W Prawie i Sprawiedliwości, a potem w Zwycięskiej Prawicy nie było miękkiej gry – nie po to przejęli władzę, żeby się na niej położyć jak ich poprzednicy. Rąbali drwa, leciały wióry, wojowali z kastą, z wrogą zagranicą, na ostrych zakrętach wypadali nawet lojalni, lecz nie dość odporni, jak minister zdrowia Szumowski i jego zastępca. On sam przeszedł wszystkie kryzysy i teraz też się podźwignie. Dwa i dwa jest cztery, Prezes to często powtarza. Jeżeli ktoś ma pieniądze, to skądś je, skubany, wziął. Białe jest białe, a czarne jest czarne. Jeżeli porywaczy nie ma w tym tartaku, a transmisja leci – co widać na drugim ekranie – to musi być jakieś logiczne wyjaśnienie. Albo są dwie takie same sale, takie same składane meble, tak samo rozwieszane transparenty, tak samo popękane brudne ściany – albo ten streaming idzie z jakimś pieprzonym poślizgiem. Faktycznie pseudosąd się przed chwilą zakończył. Zabrali Prezesa. Natomiast relacja leci. Jak bardzo opóźniona? I dokąd uciekli?

Godzina uprowadzenia: z grubsza piętnasta trzydzieści. Odległość od miejsca porwania do budy w Kończydrodze: pięćdziesiąt kilometrów, a w drodze jeszcze przesiadka. Sąd nad Prezesem idzie od pięćdziesięciu

minut. Jeżeli o szesnastej czterdzieści, szesnastej pięćdziesiąt bandziory dotarły na miejsce, jeżeli zaczęły odgrywać tę szopkę, powiedzmy, o siedemnastej... to w czasie rzeczywistym mogły ją zakończyć już godzinę temu. Ponad trzy godziny od uprowadzenia, pościg, który powinien być akcją wzorcową, zaczyna się od początku.

– Czy mamy rozumieć, że dalej nie to miejsce? – Patrycja Pacyna, nadal spleciona z dyrektorką, po zadaniu pytania nie zamyka buzi, jakby zasnęła w tramwaju. Na razie nikt jej nie odpowiada.

Dokąd zabrali Prezesa? Filut równocześnie wybiera numer do prokuratora i próbuje myśleć. Ciąg zdarzeń: zasadzka, porwanie, pseudosąd, pseudowyrok i w końcu... pseudoegzekucja? Chwast znów nie odbiera. Ale grupa Murzyńskiego wreszcie się ruszyła, bo obrazy w dwóch ćwiartkach ekranu szybko się zmieniają. Pułkownik przeszukuje halę, jego podwładna z prewencji biegnie przez puste wnętrza. Pierwsze jest ciemne, drugie dużo jaśniejsze, resztką dziennego światła wydobywa z półmroku porzucone fragmenty urządzeń, połamane palety, jakieś rozprute wory. Dalej jest przejście, krzywa futryna ze sterzącym zawiasem, a za nią obraz jak z wojny. Rumowisko najeżone strzaskanymi belkami, nieregularna rozwalina, między gruzami – ciało w uniformie. Wyraźnie widać ramię i mundurową patkę, rozrzucone pod dziwnym kątem nogi i czarne trzewiki.

Pacyna kręci głową, niczym piesek zabawka:

– Matko przenajświętsza! To Prezes?!

30. Rozdział, w którym kawaleria przybywa o zmroku powietrzem i lądem – tyle że za późno

Gdy Marian Murzyński dał znak, plutonowa z sierżantem wybiegli z hali traków w przeciwnych kierunkach. On – by sprawdzić resztę pomieszczeń, ona – tył budynku. Posterunkowy Trepski też nie traci czasu. Strasznie chce się wykazać, więc dał psu powąchać taboret po porwanym, a Arab od razu pociągnął go w tę stronę, w którą biegła Krótka. Prokurator Chwast i negocjator Gustek po prostu stoją w miejscu. Obserwują miejsce przestępstwa i biorących się do pracy techników. Ci najpierw oglądają stół, siedziska i statyw, jeden kuca, by się przyjrzeć posadzce, robi zdjęcia, zanim wszyscy wszystko zادةpczą. Drugi podnosi z ziemi jakiś kłak, ogląda go w świetle latarki, wraca do wozu po sprzęt. Gdzieś poza budynkiem, jeszcze dość daleko, słychać helikopter. Głośniejsze są jednak krzyki plutonowej i gliny z Grajewa:

– Mamy coś! Pani prokurator, tutaj!

W kolejnych trzech minutach dzieje się mnóstwo rzeczy.

* Po pierwsze.

Prokuratorka podąża za krzykami. Do wielkiej hali przylega mniejsze pomieszczenie, puste i całkowicie ciemne. Za nim następne, względnie jaśniejsze, w połowie zawałone zardzewiałymi odpadami, spróchniałymi

dechami, szmatami, innym gównem. Kolejna izba jest niemalże widna, ponieważ jedna ściana – ta z wyjściem na zewnątrz – w połowie się zawaliła. Wśród gruzów leży człowiek, ale to nie Prezes. Krótka trzyma mu palce przy szyi.

– Żyje, nieprzytomny.

Hanna Chwast podwija poły płaszcz, kuca przy leżącym. Młody chłopak obsypany pyłem i śniegiem. Ładny, tylko pryszczaty. Ubrany w policyjny mundur. Na głowie zrolowana kominiarka, która prawdopodobnie uratowała mu życie, bo z położenia strzaskanych drewn i cegieł można wnosić, że dostał belą stropową tak, że się na nim złamała. Część tej zeżartej przez korniki kłody przygniata go od pasa w dół, jedna noga nienaturalnie wygięta, stopa obrócona w złym kierunku, dobrze to nie wygląda. Pies liże frędzla po twarzy. A zatem: podejrzany numer jeden schwytyany.

* Po drugie.

Sierżant Stefan Służący przebiega przez rząd pustych pakamer, ustala, że piętra ani poddasza żadnego tu nie ma, znajduje wejście do czegoś w rodzaju piwnicy i jedyne chyba w tym budynku całe drzwi z klamką podpartą dwoma paletami, które odwala kopniakiem. W środku, we wnętrzu dwa na cztery, śmierdzi kocim czy tam lisim szczochem, pełno cuchnących puch po czymś tłustym, w jednym kącie stoi zakurzony korpus tartacznej szlifierki, w drugim kuca oparta tyłkiem na piętach chorąża Monika Męka, agentka ABW pod przykryciem. Pierwszy raz widzi sierżanta na oczy, więc pyta, czy jest od Marka. Służący, zgodnie z instrukcją, potwierdza. Madonna99, która w ostatnich tygodniach była także ZłąZmianą, Marią Mendelson, KonsTytucJą i Evą Duarte – wstaje.

– Ktoś od was zadzwonił do mnie o czwartej, kiedy byłam z nimi. I z Prezesem w wozie. Zniszczyli mi telefon, zniszczył. I zmienili miejsce.

To wy zjebaliście!

Sierżant kręci głową, co ma pewnie oznaczać, że nic o tym nie wie, on na pewno nie dzwonił, zresztą nie miał zasięgu, a poza tym telefon służbowy uległ w czasie czynności operacyjnych zniszczeniu. Konkretnie zalaniu. Kartę SIM jeszcze ma w kichach, ciekawe, czy się rozpuści od kwasów trawiennych, czy będzie ją musiał wysrać.

– Teraz mam cię stąd wywieźć, tłumaczenia później.

* Po trzecie.

Marian Murzyński odnajduje we framudze po oknie kupę zdechłych much i ustawiony na sztorc telefon marki Oukitel. Bierze aparat do ręki i widzi to samo co sztab kryzysowy oraz prawie dwadzieścia milionów osób w Polsce i za granicą: Prezes na taborecie, troje porywaczy frontem do kamery, kobieta w masce kościotrupa ogłasza, że uznany winnym Jarosław Kaczyński zostaje skazany na śmierć.

Pułkownik chce zrobić głośniej, coś błędnie naciska, obraz znika, zamiast niego pojawia się lista informacji: drobne, gęste litery, słowa angielskie i polskie, jakieś niezrozumiałe dla niego ikony, a nad wszystkim doskonale mu znane logo RWE.

To widzi Murzyński. Natomiast rzesze odbiorców kanału obywatelskiego i zagraniczni dziennikarze, którzy usiłują tłumaczyć sensacyjny materiał z Polski na swoje języki, widzą – w miejscu nagle urwanego streamingu – twarz pięćdziesięcioletniego, zniszczonego wódką gościa w goglach i z obiektywem na kasku. Bohater otwiera i zamyka japę, krzywi się, spluwa; wygląda, jakby właśnie pojął, że w zjedzonym przed chwilą kebabie była islamska sperma.

* Po czwarte.

W Warszawie, w pokoju sytuacyjnym, zebrani nadal mają przed oczami obraz z kamer na hełmach. W pierwszej z aktywnych ćwiartek widać

leżącego na gruzowisku młodego mężczyznę, bezsprzecznie porywacza, którego cuci prawdziwy policjant, czyli Tomasz Trepki. Kucająca prokuratorka pyta o coś leżącego i nawet bez dźwięku można się domyślić treści jej pytania: „Co zrobiliście z Prezesem?!”.

W drugiej ćwiartce – ręka w gumowej rękawicy trzyma chiński telefon, tłem jest kawałek zarobaczonej futryny i lastrykowy parapet dawnego tartaku, właściwie jego resztką. W oukitelu – strona startowa Radia Wolna Europa. Tyle pokazuje kamera na kasku Murzyńskiego. Natomiast sam pułkownik – pan Marek – zastanawia się burzliwie, co wcisnąć, by obraz z Prezesem i z trójką sądzących go przestępców wrócił na wyświetlacz. Myśli tak intensywnie, że wyładowania elektryczne w jego mózgu zakłócają obraz. Wpatrzone w to wszystko premierka z dyrektorką ściskają się za ręce, telefony na pulpicie migocą i hałasują, generał Tamir Tajner walczy o oddech, prokurator generalny Filut wreszcie łączy się z Hanną Chwast, która odbiera rozmowę – co wszyscy zainteresowani widzą w czasie rzeczywistym.

- Gdzie schowali Prezesa?
- Podejrzany jest nieprzytomny i ranny.
- Musi go pani przesłuchać natychmiast. To moje polecenie! Ocucić i wziąć za jaja. W obroty!

Wypowiadając komendę, minister dwukrotnie uderza knykciami w stół, lecz nikt nań nie zwraca uwagi. Poseł Cyganiak pisze SMS-a tak szybko, jakby brał udział w jakichś mistrzostwach dwóch kciuków. Dyrektorka, niczym lunaticzka, odbiera pierwszą z brzegu rozmowę. Ktoś z drugiej strony słuchawki zaczyna rzucać kurwami, więc go natychmiast rozłącza. To chyba był szef CBA. Zygfryd Znajda. Pewnie kompletnie pijany. Tajner zaczyna się dusić, lecz nikt go nie zauważa. Mecenat-Kamienicznik Korny uznaje, że to jest właściwy moment, by wskazać winnego porażki.

– Proszę o uwagę! Pani premier, pani dyrektor, panowie... sytuacja zrobiła się krytyczna. Streaming nie szedł na żywo, nadal nie wiemy, gdzie Prezes, i zapewniam, że wiele osób pożegna się dzisiaj z szansą dalszej pracy dla kraju. Jest skandalem, że pułkownik służby z definicji tajnej pokazał właśnie swą czerwoną mordę milionom widzów, także za granicą. I prawdopodobnie skasował końcówkę transmisji, z której moglibyśmy wnioskować, gdzie teraz szukać Prezesa i tych skurwysynów. Generale, niech pan tutaj nie zdycha! Niech pan dzwoni do swego człowieka!

Tamir Tajner osuwa się z siedziska. Jego głowa nieprzyjemnie uderza o parkiet. Cyganiak dostrzega szansę, by wyjść po angielsku. Wskazuje dyrektorze przyciski na pulpicie: – Proszę wezwać karetkę!

Kłęka przy generale i zaczyna uciskać mu klatkę. Robi to źle, ale trudno, by było inaczej – myśli przecież o sobie, a nie o Tajnerze. Tamira ma w dupie, niech odwala kite, potrzebny jest mu wyłącznie po to, by opuścić budynek, nie wzbudzając podejrzeń Kornego. Ten oligofrenik Murzyński zawałił prowokację, skompromitował swego szefa i całą abwerę, ani jemu, ani generałowi nic już nie pomoże. Tajner potrzebował sukcesu, kampania wyborcza potrzebowała pokazu, w ostateczności wszyscy potrzebowali stanu wyjątkowego. Sukcesu nie ma i raczej nie będzie, ale pokaz się odbył i teraz trzeba wynosić z pożaru, co się jeszcze da wynieść. Czyli własną głowę.

* Po piąte.

Na wchłanianym wolno przez brzezinę placu ląduje kapitan SOP Robert Rakarz, weteran z Iraku, Afganistanu i Libii, instruktor sztuk walki ze szczególnym uwzględnieniem karate shōtōkan, człowiek do specjalnych poruczeń ministra Kornego. Jego pasażerem jest prokurator krajowy Łukasz Łajdus, były szef prokuratury okręgowej w Elblągu, potem prokurator regionalny w Gdańsku, wsławiony umorzeniem postępowania wobec

wiceministra obrony Wiesława Wilgotnego i zamknięciem tak zwanej afery majciarskiej. W kurtce narzuconej na dobrze skrojony garnitur wyskakuje z maszyny, gdy ta dotyka ziemi. Pierwsze kroki kieruje w stronę czarnych aut, które są bez wątpienia własnością abwery, i tutaj się natyka na sierżanta w firmowym kevlarze z agentką Moniką Męką. Właśnie dezzerterują.

– Stać w miejscu! Nazwisko i stopień! – przybyły przekrzykuje zwalnijące śmigło.

Męka-Mona-Madonna w policyjnym mundurze bez czapki zerka na Służącego. Ten ignoruje cywila, pierwszy otwiera dodge'a, rzuca strzelbę na tył, siada za kierownicą, chce ruszać, gdy Łajdus chwytą drzwi.

– Prokuratura krajowa! Wysiadać! Nazwisko i stopień! Pani się nie rusza!

Chorąża posłusznie stoi metr od fury, sierżant odpala starter, daje jej znak, by oszczała cywila i natychmiast wskakiwała na fotel. Krawaciarz chyba wymiękł, bo odstępuje, jakby się przestraszył, że wielkolud przejedzie mu zaraz brudnymi oponami po nowych pantoflach. Faktycznie przyczyna cofnięcia się Łajdusa jest zupełnie inna. Wrośnieta w grunt agentka to widzi, Służący – jeszcze nie. Ale za chwilę czuje. W drzwiach auta pojawia się znikąd wysoki mężczyzna w panterce, ruch jego długiej ręki jest tak szybki, że ledwo go widać. Uderza podoficera w ucho. To, w którym tak lubi grzebać grubymi paluchami. Pod czaszką Służącego eksploduje z hukiem wiązanka granatów, po czym zapada noc. Głowa uderzonego leci na kierownicę, uruchamia się klakson, ciężki dodge przejeżdża jakieś dwa i pół metra, by walnąć w bok drugiego, identycznego samochodu z rejestracją HKW 1498F.

Z tartaku wybiega – z papierosem w zębach, chińskim telefonem w jednej ręce i glauberytem w drugiej – pułkownik Murzyński, dla Moniki Męki: Marek z Konsulatu. Poznała go od razu, mimo że jest już ciemno;

mimo że w Konsulacie był ubrany w gajer Cygana z Limanowej, a tu ma hełm z kamerą, kamizelę taktyczną, gogle balistyczne i wojskowe buty.

Nie wyciągając szluga z gęby, puszcza obłok dymu i skroplonej pary. Rozjuszony byk w akcji. Idąc, patrzy na Monę niczym na kocie gównu; zerka na śmigłowiec, przenosi wzrok na Łajdusa, na pilota w moro, wreszcie na to, co zostało z sierżanta Służącego. Unosi lufę pistoletu, odbezpiecza i kroczy w kierunku Rakarza, przyspieszając, jakby zamierzał go zdeptać. Przeciągnąć po ziemi.

– Kto mu to zrobił? Ty?

Gdy odległość między wściekłym pułkownikiem a pilotem śmigłowca zmniejsza się do dwóch kroków, kapitan Rakarz (który poukładał z podłogą już nie takich chojraków jak Murzyn) wykonuje kolejny błyskawiczny gest, chwyta za koniec lufy i glauberyt – jak podczas sztuki-magiki – przeskakuje z dłoni Murzyńskiego do ręki instruktora karate.

Krawaciarz obok wyciąga coś z kieszeni. To legitymacja.

– Prokurator krajowy Łukasz Łajdus. W imieniu i na osobiste polecenie ministra Filuta przejmuję nadzór nad wszystkim. Gdzie prezes Kaczyński?

Pułkownik wyjmuje z gęby ćmika, spuszcza w śnieg, charczy obleśnie i pluje pod nogi pilota. Zerka na Łajdusa wzrokiem bulteriera, który chciałby rozszarpać królika, ale elektryczna obroża jeszcze go powstrzymuje.

– Nie ma prezesa Kaczyńskiego – mówi głośno, bo klakson dodge’a wciąż buczy. – Spóźniliście się!

* Po szóste.

Podinspektor Zupak, który dojechał ze swoją ekipą w dwa wozy, wysiada i patrzy. Żuje gumę, remingtona przełożył przez ramię, sprawdza coś w telefonie, milczy. Krótka rozprawa między sierżantem Służącym i Bruce’em Lee w moro nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Szczególnie

uważnie przygląda się za to chorążej Monice Męce. Jakby chciał ściągnąć jej wzrok, by wyczytać z niego, czy się wywiązała. I co w tej sytuacji ma znaczyć, że „nie ma prezesa Kaczyńskiego”? Nie żyje czy może gdzieś zniknął?

* Po siódme dociera na miejsce karetka.

31. Rozdział, w którym śnieżycy ustaje, ABW spotyka się z dziennikarzem, a popyt z podażą

Lyli Łapserdak, wolny strzelec, dwanaście lat w niełatwym zawodzie reportera, już nie ma siły biec. Sapie, jakby się zakaził drugą generacją koronawirusa, co chwila łapie go żołądkowy kaszel na przemian ze skurczem mięśni. Śniegu jest coraz więcej, na ciasnych polanach wiatr układa puch w zasy; zrobiło się od tej bieli jasno i już nie musi obmacywać drzew – wszystko widzi. Nie czuje zimna, przeciwnie: uderzają weń fale gorąca. Przed chwilą dostał takiego bólu w poranionych gałęziach łydkach, jakby mu się mięśnie owinęły wokół piszczeli. Opadł na kolana, musiał się przez chwilę położyć przy glebie, pełzał dalej na łokciach, mroczyło go coś ciężkiego, coś go obezwładniało, czucie w palcach utracił już wcześniej, teraz tracił świadomość. Gdy sypiał głęboko znużony i słyszał budzik wzywający na ważne spotkanie (albo po prostu do wyjazdu w teren) najpierw na marginesie jaźni, a wraz z kolejnymi dzwonkami – bliżej i bliżej jej centrum, rozgrywała się mozolna walka byka z parowozem: pragnienie snu powoli ustępowało przed natłokiem wyobrażeń skutków niezebrania się z wyra. Na przykład: przepadnie ustawka z informatorem, którego długo urabiał. Ale senność jest taka przemożna... Łyli, jako wspinacz amator, przeczytał parę książek

alpinistów i himalaistów. Piszą, że najpierw przestajesz odczuwać zimno (już przestał), łapiesz haluny (na przykład, że śledzą cię wilki) i właśnie wtedy, gdy jesteś odsłonięty, słaby, już mocno nadgryziony – nadchodzi zbawienna senność. Jeżeli jej ulegniesz – nie ustąpi nigdy. Nie obudzisz się w życiu. Droga pod Everest usłana jest ciałami zmarłych – wielu w pozycjach do snu. Z dłońmi lub łokciem pod głową, na boku, z podkurczonymi nogami. Williamowi przypomniały się te historie, ale nawet one nie były w stanie sprawić, aby powstał. Aż zobaczył wilka, i to już nie był halun.

Basior jest duży, jaśniejszy od leśnego tła, jak gdyby naklejony. Z perspektywy gruntu widać włochate jaja i to jest najlepszy dowód, że bydlak pochodzi z realu. Łapserdak nie miał pojęcia, że wilkom wiszą jądra, więc nie mógł niczego takiego wyhalucynować. Wilk nadszedł zza jego pleców, ani się nie skrada, ani się nie czai, po prostu podlaźł i spogląda z bliska, a jasnoszare tęczęwki mają, jak się wydaje, własne zasilanie. Prawdopodobnie też węża, co znaczy, że może wywęchać jego strach. Łyli zaczyna wstawać, bo nagle to potrafi. Wilk pokazuje zęby. Łyli pokazuje mu swoje. To było idiotyczne, ponieważ zwierz zaczyna warczeć i podchodzi bliżej. Łapserdak, wyprostowany, cofa się o dwa kroki. Wilk robi trzy do przodu. Drżą nagle odsłonięte dziąsła, kły świecą mocniej niż ślepie. Z nozdrzy leci para. Dziennikarz żałuje, że nie namacał pod śniegiem badyła, kiedy był w parterze. Teraz już za późno. Basior ugina tylne łapy, jakby się zbierał do skoku – i wtedy coś się dzieje, coś, co tylko on łapie, bo odwraca łeb w lewo, jakby jego uwagę przykuła sprawa ważniejsza od zziąjanego człowieka. Unosi uszy w szpic, opada mu ogon – niechętnie zaczyna odchodzić. Najpierw trochę się cofa, nie spuszczać wzroku z niedoszej ofiary, potem robi powolny półobrót, jeszcze raz

krótko patrzy i to jest komunikat: „Daj mi tu tylko pretekst, a wrócę do ciebie”.

Łyli nie daje pretekstu. Stoi. Już czuje zimno. Już może trzeźwo myśleć. Pieprzony wilk coś usłyszał, teraz on słyszy to również. Samochód! Jezus, kurwa, Maria! Między drzewami błyska – jeszcze dalekie – światło reflektora.

Tylko gdzie jest ta droga?

Dźwięk idzie jakby z prawej, z jakichś pięciuset metrów, ale świetlny impuls już się nie powtarza. William zaczyna biec mimo to. Na orientację. Pieprzyć basiora... już go włochaty, zły kutas nie da rady dogonić, bo z każdym susem przyspiesza, nagle ma nowe siły. I niezgorsze szczęście. Policyjny fiat doblo faktycznie jest dużo bliżej niż pół kilometra, zasuwa po korzeniach tak szybko, że Łyli nigdy by go nie dopadł, gdyby nie biegł po krótszej ze zbieżnych. Znów rejestruje błysk, jeden, drugi, już widzi ciągle światło, już nawet rozróżnia oba reflektory, ich fasolowate kształty... wypada na szeroką trybę dwadzieścia metrów przed maską. Podskakuje i robi pajaca. Plutonowa Krótka najpierw dostrzega w mroku jego białe, poranione nogi, potem – gdy ostro hamuje – całą tę idiotyczną scenę. Niewielki facet z brodą – taki trochę kieszonkowy kochanek, co przycina rzęsy i tatuuje sobie na obojczyku kurpiowskie motywy – wygląda, jakby trenował w śniegu gimnastykę. Golenie pokrławione, majty w poziome prążki, koszulka z plamami potu, dysząc, wypuszcza słup pary i tylko błagalna, przestraszona jaźwa wskazuje, że nie przybiegł tu ćwiczyć.

Chorąża Męka – choć w pasach – zaparła się o pokrywę poduszki powietrznej. Patrzy na typa, gdy ten dopada drzwi. Drobnokościsty, modnie wystrzyżona broda, przypomina Waleta, z tym że cerę ma lepszą. Kleryk, który zgubił sutannę, uciekając po nocy z łóżka ojca proboszcza? Znajdor już wsiada z tyłu, gramoli się z trudem, bo ciasno – trzecią część kabiny

zajmuje psia klatka. Rzęzi, nic nie mówi, kilka razy kaszle, wciąga nosem gluty. Ciepło wewnątrz auta chwilowo go obezwładnia. Ogląda młode kobiety i mruga, bo ostrość mu się rozjeżdża od tego ciepła, jak wszystko. Jasnooka blondynka w czapce z daszkiem i drobna brunetka z kolczykiem w przegrodzie nosowej. Rachel i Monica. Seksowne pały – jedna w cywilu, a druga w mundurze. Na pewno szukają porywaczy, bo przecież nie grzybów. Może coś powiedzą?

– Co tu robisz bez ciuchów? Masz telefon?

– Prezes znaleziony? – Ton własnego głosu zadziwia Łylego. Można by na nim trzeć rzepę. – Jesteście policjantkami?

– Telefon! Masz?!

– Nie mam. Sam potrzebuję. Kim jesteście?

– Tymi, co cię mogą wypierdolić z tego samochodu, bo bez telefonu tylko będziesz wadził.

– Daleko stąd do szosy? Macie coś do picia?

– Zależy do jakiej. Nie mamy.

– Sześćset siedemdziesiąt.

– My nie stąd. Pucuj się, lamusie, albo wypierdalaj.

– Wszystko wam opowiem.

Krótką wrzuca bieg, rusza, przesłuchaniem zajmie się chorąża jako starsza stopniem.

Wijąc z Kończydrogi, ustaliły, że muszą wyjechać z posranego lasu w najmniej spodziewanym miejscu – im bardziej na południe, tym lepiej. I po drodze złapać kontakt z majorem Fagalskim. To było ryzykowne, jednak użyły radia. Dyżurny, chyba z Grajewa, kompletnie skołowany, bo sporo się u niego dziś działo i dzieje, bez szemrania połączył z centralą abwery. Krótka podała kod. Kobieta po drugiej stronie linii od razu odparła: „nieaktywny”. To samo z kodem chorążej.

– Siedemset trzy, trzysta sześćdziesiąt jeden, sto cztery.

– Nieaktywny, mówię.

– Jak to nie?!

– Zwyczajnie. Coś jeszcze?

– Tak, kurwa, dużo jeszcze! – Mona zaczęła wrzeszczeć. – Męka Monika z cyberbezpieczeństwa! Muszę natychmiast rozmawiać z majorem Fagalskim!! Chodzi o Prezesa!! Jak mnie nie połączysz, będziesz winna, suko!!! Swój numer mi podaj!

– Kod jest nieaktywny.

– Obie dobrze wiemy, że się rejestruje! Dzwonię przez policję, chyba ci się wyświetla?! Mówię, że sprawa priorytetowa, mam dane o terrorystach, nie pierdol mi o kodzie!

Dyżurna się rozłączyła. To było jakoś pół godziny przed tym, zanim dostrzegły gogusia w prążkowanych gaciach.

– Odcięli nas, gównozjady. – Krótka musiała zwolnić, bo droga zrobiła się bardziej dziurawa. – Nie zdziwiłabym się, gdyby to Fagalski osobiście sprzątał. Operacja totalnie zjebana. Murzyński ze Służącym zjebali. To on do ciebie zadzwonił o czwartej.

– On, czyli kto? – Chorąża zdążyła przeszukać schowek Tomasza Trepskiego. Kaganiec psa, wytłuszczony notatnik z wpiętym długopisem, ładowarka do telefonu, kilka kabli, paczka prezerwatyw, maść na hemoroidy. Ani komórki, ani broni, ani nic przydatnego.

– On, czyli sierżant Służący, Murzyna lachociąg. Miał dzwonić do generała, przekazać, że jesteśmy gotowi. Czekamy pod młynem. Ale pułkownik podał mu zły numer. Obaj przymuleni, bumersi.

– Kto to jest ten Murzyn?

– Przecież mówię: Murzyński. Pupil generała. Przepita morda fajami śmierdząca, nos w ostatnim stadium kiły. A sierżant Służący to patus od

brudnej roboty.

– Generała samego Tajnera?

– Nie... Jaruzelskiego.

Las się nagle skończył, wyjechały na białe, całkiem płaskie pole.

– Murzyński, mówisz... trep, co wygląda, jakby go korniki żarły? Co stale pali i kaszle? Był w tartaku, w kasku i z armatą...

Plutonowa tylko pokiwała głową.

– ...dla mnie on był Markiem. Wydawał rozkazy...

– Na chuj się zgodziłaś? To nie prowokacja. To jebany przypał. Jak się dowiedziałam, że mamy was zwijać, pomyślałam, że to będzie normalny najazd na kwadraty. A nie, że wam pozwolą uprowadzić Prezesa i dopiero wtedy. Murzyn mi podał miejscówkę dzisiaj przed południem, jak żeśmy wyjechali ze sprzętem w dwa wozy. Od razu wiedziałam, że debil wymyślił... się nie mogło, nie miało prawa zdarzyć, a tym bardziej udać.

– Ale też wzięłaś udział.

– Rozkazy wykonywałam.

– Jak ja.

– Musimy zdobyć aparat...

– Teraz nas obie uciszą, w izbie zatrzymań czy gdzieś.

– ...zadzwoń do Murzyna, ale bezpośrednio.

– Odwiedzi nas seryjniak. Jesteśmy kłopotem.

– Siebie samą strasz... – Monika myślała przez chwilę, czy nie powiedzieć Krótkiej o spotkaniu na szosie z Olsztyna do Szczytna. O czterech pawianach w opłu, pachnących cebosiem skurwielach, którzy dojechali pod tartak chwilę przed tym, nim wielkolud wyłapał lepę od zwyra w panterce. To, co kazali jej zrobić panowie na czarno, miało zatopić tego Murzyńskiego, czyli – jak teraz słyszy – samego Tajnera. Przy okazji

byłoby pogrzebem sierżanta i Krótkiej, chociaż oni znaczą tu tyle co pryszcz na piździe. Po prostu by ich wypierdolili za spieprzoną akcję, postawili przed sądem, a pod celą – wiadomo, wypadek. Tajner to Konfederacja Ojczysta, CBS podlega Kornemu, czyli Jednej Polsce. Mózg się od tego lasuje, jak po albańskim koksie. Lepiej nie mówić nic.

Gdy postanowiła milczeć, wertepy ustąpiły nieco równiejszej nawierzchni, jakiemuś chyba żwirowi, i od razu zajęchały im drogę z przeciwka dwa wozy żandarmerii. Na szczęście Krótka miała blachę Agencji, inaczej pewnie by obie powinęły. A tak – zajrzeli z latarkami do fiata, oblukali psią klatę, po czym najwyższy stopniem (który wyglądał na kogoś, komu się ojciec wpierdalał do wanny) powiedział, że dalej „za nic nie pojedą”. I spytał, czy mają jakieś wieści w sprawie porwanego.

- Nie mamy. Możecie pożyczyć telefon?
- Nie możemy. We dwie wam się nie nudzi? Możemy coś popróbować.
- Twoja siostra właśnie próbuje pod Żabką. Przepuście nas dalej.
- Szosa Goniądz–Dąbrowa jest zablokowana.
- To co mamy zrobić?
- Każdemu po lodzie. A jak się nie podoba, zawracać.

Zawróciły. W ciągu dziesięciu minut śnieg przestał padać, chmury się rozstały, wyszedł księżyc w pełni. Auto skakało po wykrotach, a kobiety wciąż się spierały, jak dalej podziałać. I wtedy zobaczyły przed sobą pajaca bez kurtki i spodni.

- Jestem dziennikarzem.
- Magazynu morsów?
- Koc tu leży w klatce. Mogę sobie wziąć?
- Co z twoimi ciuchami?

– Spodnie, samochód, telefon... zabrali wasi kumple. – Łyli już się owija w pokrytą psimi kłakami kraciastą, zimną derę. Potwornie go swędzą palce obu rąk. Znaczy, że odmarzają. – Grupa czterech z opła. Na czarno i z klamotami. Wiecie, co z Prezesem?

– Gdzie żeś tych czarnych spotkał?

– Piętnaście kilo stąd, może więcej. W takiej piaszczystej dolinie, obstawiali radiowóz, kijankę. Jeszcze było jasno.

– Śmierdziało?

– Jak skurwysyn. Zjechało ze sześć aut chyba. Prokuratura, karetka, technicy... Jechałem za nimi, żeby...

– Robisz dla telewizji?

– Dla każdego, kto płaci. Co z Prezesem? Widziałem kawałek...

– Jak ty się, łaku, nazywasz?

– Możecie mi mówić Łyli.

– Możemy ci mówić „psi chuju”, jak nam się będzie chciało. Pytam o nazwisko.

– Łapserdak.

– Myślałam, że Farmazon.

– Łapserdak.

– Dobra... se żartujemy. Ktoś cię może rozpoznać, potwierdzić?

– Dziesięć różnych redakcji. Kilka wie, że tu jestem.

– A gdybym ci coś zdradziła, to jaką mam gwarancję, że puścisz dopiero, gdy dostaniesz sygnał?

– W sensie... sygnał od was?

– Na przykład.

– Gwarancję stuprocentową. Dopóki nie pokażesz mi szmaty z nazwiskiem i zdjęciem, nie mam żadnego źródła.

– Pokazać to ja ci mogę majtki. Z koperkiem w środku. Przetłumacz na polski.

– Nie wiem, kim jesteście. Na razie wszystko, co powiecie, jest plotką. Mundur policji może mieć każdy. Tamci z Bandy Trojga też byli przebrani. Nawet jesteś podobna z figury do tej terrorystki. – Kończąc zdanie, Łyli już go pożałował, więc prędko dodaje: – Jak będziesz moim źródłem, nigdy cię nie wydam.

– Taki jesteś kozak?

– Pracuję dla Wolnej Europy, „Wyborczej”, Amnesty, Watchdoga, Amerykanie ode mnie teksty kupowali. Nie odpierdalałam siary, nie oszukuję informatorów. Możecie mnie sprawdzić.

– Nie mamy telefonu.

– Kim właściwie jesteście?

– Potrzebujemy zdeponować pewne informacje.

– O porwaniu Prezesa?

– Nie, Łyli, o amebach, co po polsku nie kleją.

– Już kleję.

Chorąży Monika Męka wręcza Łapserdakowi wymięty notatnik Tomasza Trepskiego.

– Zapisz tu, co ci powiem, żebyś nie popierdolił.

32. Dłuższy rozdział, w którym wracamy do początków przesłuchania Wojciecha Wolanta, a nawet cofamy się głębiej

Negocjator Gustaw Gamajda, dla przyjaciół Gustek, został pilnie ściągnięty z hotelu przez prokuratorkę, ponieważ Hanna Chwast nie wykluczała, że przyjdzie się targować z terrorystami o życie Naczelnika. Pędząc do Kluch Mazurskich, oboje wiedzieli niewiele. Porwanie dla okupu? Zamach? Zielone ludziki Moskwy?

Pierwszą (i – jak się okazało – nieścislą) informację o przewróconym drzewie, w które uderzył wóz pana prezesa, podało lokalne radio, do którego zadzwonił ktoś stojący w korku w alei kasztanowców. Dalej wieść powtórzyły portale ogólnokrajowe, potem zaczęły napływać wiadomości z centrum wypadkowego; dyspozytor rutynowo zgłosił incydent do prokuratury, a Hanna miała dyżur. Właśnie szykowała zarzuty dla Łucjana Łoja, kryminalisty, który został zatrzymany za gwałt na niepełnosprawnej. Powiedziano jej, że Pierwszego Obywatela zabrała policja z Grajewa. Przeciwnie – nie zabrali. Owszem, wzięli go, lecz nie byli z Grajewa, tylko z Białegostoku. Byli z Olsztyna. Ochroniarz Kaczyńskiego został znaleziony na drodze, potracił go radiowóz. Nie, nie był potracony.

Zaatakowany taserem. Przez pseudopolicjantów, przebierańców w skradzionej kii sportage.

Prokuratorka ruszyła więc w ciemno. Jej szofer zapieprzał na sygnale, a oni oboje z Gamajdą wykonywali telefon za telefonem, by ustalić, do czego właściwie jadą. Z pierwszego miejsca przestępstwa, z Kluchów czy też Kluch, popędzili w drugi punkt – do leśnego jaru. A potem w trzecie miejsce. Chaos narastał wraz z liczbą przyłączających się służb, Chwast musiała nad tym wszystkim panować, przynajmniej do przylotu Łajdusa, którego desant zaanonsował sam minister Filut. Fakt: chciała schwytać bandytów, nim Łajdus wylądje. I osobiście uwolnić Prezesa. Ale nie można mieć wszystkiego naraz.

W Kluchach dołączyli krawężnik z Grajewa, technicy z Ełku i grupa podinspektora Zupaka – nie wiadomo skąd. Dojechała karetka z Augustowa – na razie niepotrzebna. Była też straż pożarna, od razu trzy jednostki do dwóch oberwanych gałęzi. Potem, w lesie, przybyła im jeszcze trójka agentów abwery, nie mówiąc o tym, że się wcześniej przypętał pismak, na szczęście sprawnie przegnany. A teraz, kiedy trzeba się czym prędzej zająć podejrzanymi, prokurator krajowy wbił z jakimś komandosem, który uderzył sierżanta abwery tak, że ten – zamroczony – potłukł dwa samochody za jednym zamachem. I negocjator Gamajda nareszcie może się wykazać talentem mediacyjnym. A nie jest za łatwo. Pułkownik Marian Murzyński domaga się, aby mu wydać zatrzymaną do dyspozycji Łajdusa fałszywą policjantkę – w tej chwili ich numer jeden. Podinspektor Zupak żąda tego samego – jak się komuś nie widzi, to może natychmiast połączyć z ministrem spraw wewnętrznych. Technicy biadolą, że ponad dwadzieścia osób zdeptuje teren. Sierżant abwery, który już doszedł do siebie, ma wielką ochotę komuś przypierdolić. Lekarz, który opatrzył głowę i nogę współnika podejrzaney, czyli numeru drugiego, chce

brać go do szpitala, bo typ jest wyziębiony, a do tego może mieć krwiaka wewnątrzczaszkowego. Tymczasem Chwast chce go przesłuchać na miejscu, bo każda sekunda się liczy, i także jest gotowa połączyć z Warszawą kogo tylko trzeba. Prokurator krajowy zamierza prowadzić czynności w śmigłowcu – tam go nikt nie podejrzy i jest trochę cieplej. Zupak kategorycznie żąda wstępu do maszyny – chce wiedzieć, co zezna młoda terrorystka. Łajdus ostro odmawia. Zgodnie z aneksem kompetencyjnym ustawy o politerrorze on jest tu najważniejszy, lecz podinspektor przywiózł więcej ludzi, wszyscy uzbrojeni i sprawiają wrażenie dość zdesperowanych. Na ich desperację prokurator ma jednak panaceum w postaci kapitana Rakarza, który już pokazał, że się nie obcyndala. Negocjator Gamajda wyczuwa tajemne motywy większości zgromadzonych. Postanawia rozsypać węzeł od drugiego końca.

– Musimy wybrać grupę, co znajdzie Prezesa. Bo pies chwycił trop.

I rzeczywiście: Arab – po tym, jak wylizał z wapna, drzazg i pajęczyn twarz fałszywego gliny (numeru drugiego) – doprowadził posterunkowego Tomasza Trepskiego na miejsce, z którego najprawdopodobniej odjechali kidnapier numer trzy i pan prezes.

Wspomnienie o uprowadzonym trochę wszystkich pionuje. Kaczyńskiego szuka co prawda kilkadziesiąt jednostek, informacje nakładają się na siebie w telefonach i w radiostacjach gliniarzy, lecz jedynymi, którzy mają jakiś konkretny trop, są oni, tutaj, w tartaku. Z radiowej kakofonii wynika, że większość służb mundurowych pędzi bez sensu i we wszystkie strony po szosach Augustów–Grajewo–Łomża, Augustów–Białystok i Ełk–Grajewo–Mońki. Przeszukują stodoły, magazyny i garaże od Szczuczyna po Goniądz. Według jednej z niepotwierdzonych informacji porywacze skryli się w twierdzy Osowiec. Ktoś tam zauważył terenowy samochód z Prezesem na przednim fotelu.

Helikoptery poleciały na miejsce, już od kwadransa żaden nie hałasuje. Zaraz się okaże, że alarm był fałszywy. Tak samo jak kilka innych. Sztab kryzysowy w Warszawie nad niczym nie panuje, to nie jest planowa obława, lecz pospolite ruszenie. Gamajda, Łajdus i Chwast rozumieją, że jeśli nie wezmą za bety skłóconego bractwa, trzoda wszystkich pochłonie. A to się skończy tragedią. Prezes ma swoje lata, jest w rękach terrorysty, w środku narastającej śnieżycy, na coraz większym mrozie. Dlatego wśród błysków latarek, dźwięków z komórek i charknięć motoroli przechodzą wreszcie do rzeczy. Ustalenia są takie: pan podinspektor Zupak i pułkownik Murzyński zabiorą wilczura, pojedą za porywaczem. Prokurator Łajdus wysłucha w śmigłowcu podejrzanej. Ze strony ABW może mu asystować plutonowa Krótka, która zrobi terrorystce kontrolę osobistą. Prokurator Chwast przesłucha w tartaku drugiego bandytę i wyciągnie zeń wszystko na temat numeru trzeciego. Pomogą jej sierżant i posterunkowy. Technicy zabezpieczą dowody. Gamajda zajmie się raportowaniem online. I kropka.

Jest dwadzieścia pięć minut po siódmej, śnieg wali, jeden z realizatorów CBS wprowadza zaśnieżonego opla do tartaku, sierżant Służący sadza opatrzonego już Wolanta na taboret po panu prezesie, bo innego nie ma. Prokuratorka zaczyna przesłuchanie.

– Imię i nazwisko.

– Zimno mi, boli mnie noga. Źle mi ją nastawił, konował. Specjalnie, żeby bolała.

– Zgłoszenie przyjąłem, proszę odpowiadać. Imię i nazwisko!

– I za ciasno mi założył kajdanki ten wielki faszysta w rękawiczkach. Złośliwie. Nie czuję palców.

– Imię i nazwisko!

– Żądam adwokata. Chcę do szpitala. Miałem chyba wstrząs mózgu.

– Nie jest pan podejrzany. Jeszcze. Na tym etapie postępowania adwokat nie będzie konieczny.

– Dlaczego?

– Bo nie postawiłam panu zarzutów i nie jest pan, tym bardziej, aresztowany.

– Więc mogę wyjść? – Wojciech próbuje być odważny, lecz tak naprawdę się boi. Dopóki był przy nim Szmer, dopóki byli we troje Drużyną Pierścienia, mógł przenosić góry, mógł przesuwać przeszkody samą siłą woli. Wszystko zaczęło się pieprzyć, kiedy Monie zadzwonił telefon, a Szmer zmienił plan. Młyn, który on – Walet – znalazł, nie przydał się do niczego. Cała jego wyprawa na Podlasie, trasy sprawdzeniowe, jeżdżenie pożyczonym rowerem, oglądanie się za siebie, nerwy – wszystko to okazało się zbędne. Szmerowi właściwie ani Wojciech, ani Madonna99 nie byli niezbędni. Sam był przygotowany na wszelkie ewentualności, każdą rzecz miał w plecaku, czy puchę na telefon, czy odliczone pieniądze, czy kompas – jakby przewidział najdrobniejsze szczegóły i wszelkie warianty. W ogóle się nie wahał, nawet mało się jąkał, wciąż pił ten swój energetyk. Zdecydował, że nie puszcza streamingu na żywo. Nagrają obraz, a kartę włożą w telefon dopiero przed transmisją. I się ewakuują.

Sąd nad Kaczorem zaczęli około siedemnastej. Na zewnątrz śnieg padał już gęściej, lecz było jeszcze jasno. Porwany nie stawiał oporu, gdy go przypinali do zydła z plastiku, z początku tylko milczał. Odczytywanie zarzutów wyszło ciut chaotycznie, przypominało bardziej ostatnie sądenie małżonków Ceauşescu niż prawdziwy proces. Teksty, które wyglądały sensownie na ekranie kompa, w skrzynce, wśród niewysłanych, po wygłoszeniu przez Monę brzmiały jakoś... przeciętnie. Nie wkładała w przemowę serca, nie było w tym emocji – jakby ją zaprzętało coś znacznie ważniejszego. Gdyby to Walet czytał, wcisnąłby między wiersze

całą swoją nienawiść do Zwycięskiej Prawicy i narodowego socjalizmu w kaczystowskiej wersji. Jednak Szmer się uparł, by czytała Mona. Sam prawie ust nie otwierał. A Wojciech przerwał czytanie aktu oskarżenia tylko wtedy, gdy wygłaszała fragment o szczuciu na gejów.

– W parku Helenów naziole podpalili chłopaka! – wygarnął ramolowi. Miał ochotę go opluć. – Jego krew obciąża was tak samo jak śmierć Szczęsnego, Millera, jak rozwalenie niezależnych mediów...

Wypluwał z siebie zarzuty seriami, poliki go piekły, miał przecież świadomość, że za jakąś godzinę ujrzą go miliony. W emocjach zabrakło mu tchu, Szmer się cicho wtrącił, spokojnie zaproponował, by Mona jednak skończyła czytanie. I tak się też stało. Mimo drewnianej mowy puenta wypadła dobrze, nawet bardzo dobrze:

– Stawiamy oskarżonemu zarzut celowej destrukcji państwa w imię prywatnej zemsty za przeszłe porażki waszych polityków. Za brak talentu waszych protegowanych. Za to, że musieliście patrzeć, jak innym się udaje. Za to, że historia nie dość was doceniała. Stawiamy zarzut gloryfikacji ciasnoty umysłowej, promocji obskurantyzmu, wprowadzania dyktatury ciemniaków. Stawiamy zarzut odczłowieczenia mniejszości, zepchnięcia swobodnie myślących do roli sprzedawczyków i zdrajców ojczyzny. Stawiamy zarzut niszczenia klimatu i tych wszystkich, którzy się przeciwstawiają waszemu rabunkowi. Stawiamy zarzuty korupcji, nepotyzmu, tuszowania afer, przekształcania wymiaru sprawiedliwości w powolne narzędzie partii. Stawiamy zarzut budowy demokracji fasadowej, wyhodowania bezzębnej pseudoopozycji. Oskarżamy o budowę państwa nienawiści. Oskarżamy o budowę kraju, w którym obywatel jest przedmiotem obróbki ideologicznej i zwykłego zakupu przez władzę dzielącą nie swoje pieniądze. Oskarżamy o celowe postawienie znaku równości między tym, co antyrządowe, a tym, co antypolskie...

Gdy Madonna doszła prawie do końcówki, Kaczyński jej przerwał:

– Długo jeszcze będziecie bredzić? – spytał i zaczął tupać tą nogą, którą miał swobodną. – Nie jestem oskarżony, a wy nie jesteście sądem! Sami jesteście zbirami i kryminalistami, którzy się dopuścili serii przestępstw, jak rozbój, uprowadzenie, narażenie życia, pozbawienie wolności, mógłbym tak dodawać...

Gadał jeszcze długo, aż w końcu – mniej więcej kwadrans przed szóstą – Szmer uznał, że prawo do riposty zostało wypełnione, i kazał mu zamknąć ryj. Dopiero wtedy Mona odczytała sentencję wyroku: „Oskarżony został uznany winnym zamachu na wolność osobistą współobywateli, zniszczenia niezależnych ośrodków kontroli nad aparatem przymusu, winnym kampanii nienawiści wobec grup mniejszościowych”. Czytała tekst coraz szybciej i już nie była drewniana, nie była nieobecna, nagle coś się w niej zatliło, coś ją zaczęło porywać, broda poczęła jej latać, łzy napłynęły do oczu, łykała co drugą sylabę, aż w końcu chwyciła kopyto i wykrzyknęła „...na śmierć!”.

– Wyrok będzie wykonany na...chmiast!

Kiedy strzelała, Szmer podbił jej łokieć, potem użył tasera. Gdy odzyskała oddech po kopnięciu prądem, krzyczała, że strzał był na lipę, że nie chciała trafić, ale musiała strzelić, bo ktoś ją zaszantażował. Kiedy ją zamknęli za piwniczną ścianą, podparli drzwi paletą i wrócili bez niej, Kaczor siedział grzecznie, ogłuszony salwą, zahipnotyzowany świstem kuli, która go minęła. Zanieśli dziada ramola pod pachy do nissana, przykuli do ramy kanapy. Szmer wyjął plecak, zatrzaskał drzwi i położył Wojciechowi ręce na ramionach. Powiedział: „musisz tutaj zostać, by wypuścić przekaz”. Śnieg padał na nich obu, kiedy patrzyli sobie w oczy jak Rust Cohle i detektyw Hart sekundę po zabiciu Reggiego Ledoux.

– To jest najważniejsze, po to wszystko robimy. Z okien w hali masz zasięg, sprawdziłem. Wejdiesz na Wolną. Login spamiętałeś?

– Prosiaczek jeden, dwa, pięć.

– Jak zobaczysz, że leci, że ludzie już wchodzą, po prostu stąd o-ode-odejdiesz. Za tartakiem jest brama i ścieżka na południe. Jeżeli Mona sypnęła, ta karta SIM jest w systemie. Kiedy zaczniesz wypuszczać materiał, będą cię namierzali. Musisz się zawinąć najpóźniej w dziesiątej minucie. Masz tu wiatrówkę, nałóż ją na mundur, wytrzyj odciski z komóry, masz kompas i masz drobne. Idziesz wciąż na po-po-południe, to jest najważniejsze. Dopóki będziesz szedł lasem, nie znajdzie cię nikt.

– Nie mogę jechać z tobą?

– Nie możesz. Mnie złapią. Będą szukali nissana, dwóch ludzi i Prezesa. Ona im tak powie. Najwcześniej za kwadrans, najpóźniej za godzinę będzie tutaj armia. Dojdiesz na prze-e-ełaj do rzeki. To dziesięć kilometrów. Jak tylko skończą się drzewa, dalej w prawo wzdłuż brzegu, do mostu. Za mostem są już latarnie, zobaczysz blaszany przystanek. Biały Kał-Dolistowo. Z rysunkiem ptaka w okręgu.

Szmer miał gotową mapę. Chyba sam ją rysował. Umieścił na niej i Kluchy, i młyn, i tartak, i punkt, w którym ukrył zawczasu terenowca; była ścieżka, którą tu przyjechali, siedliska Grzędy, Kopytkowo, Sarna i tak dalej; była pozakręcana Biebrza, most na niej, przystanek autobusowy i szosa. Były wszystkie istotne szczegóły.

– Ostatni autobus w każdy dzień powszedni odchodzi dwudziesta pierwsza piętnaście. Weźmiesz bilet do Łomży.

– Chcesz dziada zastrzelić?

– Jeszcze tego nie wiem. Dobrze się z tobą działało. Jesteś kozak prawdziak. Gdybym chciał znowu kogoś porwać, to tylko z tobą, brachu.

Padli sobie w ramiona; Szmer ścisnął, ile sił, on odwzajemnił uścisk. Był wzruszony, miał w oczach gęste ślęzy. Szymonowi od razu się przypomniało, że ludzie wydzielają trzy rodzaje łez. (Podstawowe służą do zwilżania rogówki, tworzą tak zwany film łzowy. Odruchowe powstają na skutek podrażnienia oczu. Trzecim rodzajem łez, specyficznym dla gatunku ludzkiego, są łzy emocjonalne. Dwa pierwsze typy to zwykła słona woda z dodatkiem bakteriobójczym, łzy trzeciego rodzaju są miksturą bardziej skomplikowaną. Zawierają hormony przywiązania, ich ledwo uchwytny zapach obniża męską agresję i popęd. I płaczem się można zarazić, tak samo jak ziewaniem). Szmer jednak się nie popłakał. Wiatr zrywał zwarzone mrozem liście, niektóre jeszcze zielone, śnieg osiadał na glińskiarskich mundurach, na zrolowanej kominiarce Wojciecha i okularach Szymona. Przybili sobie piątki. Kaczor obserwował ich obu przez okno; miał minę, jakby mu ktoś wsadził w dupę trzonek od siekiery.

– Ślizgamy się! – Chudzielec wsiadł za kierownicę, nie patrząc na pasażera, włączył wycieraczki, sypnęło białym pyłem. Wolant wrócił pod dach. Transmisja od razu zassała, ludzie oglądali, jakby im ktoś za to płacił. W dziesiątej minucie zmusił się, by odejść. Tylne wyjście z tartaku – stalowe, zardzewiałe – było uchylone. Jedną ręką nakładał na siebie wiatrówkę, drugą szarpał klamkę, gdy nagle trzasnęło. Kiedy odzyskał przytomność, pies mu mordę lizał, a noga bolała, jakby ją odrywali. Potem było już gorzej. Zakładali mu bandaż na czołwkę i na girę, przesłuchiwali skutego, bił go ponad stukilowy nazista, dostał wysokiej temperatury, rzygał, a ta wciąż pytała i pyta:

– Dokąd Szymon Sztorm mógł zabrać prezesa Kaczyńskiego?

– Nie wiem. Ja tego naprawdę nie wiem! Mam gorączkę. Mam bóle pod żebrami i z tyłu. To może być zawał serca.

Tak, oczywiście, jeszcze nagły rak, sepsa i koronawirus.

– Uwaga: czy Szymon Sztorm kiedykolwiek mówił, wspominał, pisał, wskazywał, sugerował jakieś szczególne miejsce? Czy mówił o jakimś domu, magazynie, gospodarstwie, miejscu pobytu albo zamieszkania kolegi ze szkoły, dłużnika, wierzyciela, krewnego...?

Gdzie jest mapa, którą Szmer narysował? Ciągłe w kieszeni spodni? Przełożył ją do tej kurtki, którą od niego dostał? Co się z tą kurtką stało? Chyba schował w niej również kompas. Gdyby zdzira znalazła tę mapę, już by się o nią spytała.

– ...znajomego, byłej żony, aktualnej dziewczyny, matki, siostry, starej przyjaciółki? Czy mówił o miejscu, w którym się pierwszy raz zakochał, w którym chciałby postawić namiot, którego najbardziej nienawidzi, za którym tęskni, które uważa za ważne? Daj nam, człowieku, cokolwiek, a dostaniesz lekarza i resztę! Później adwokata.

Jest dokładnie ósma. Chcieliby cokolwiek. Więc nie znaleźli mapy, nie dogonili Szmera, nie mają Prezesa. Wolant czuje dreszcze, zaczynają go chorobliwie swędzieć różne miejsca w ciele. Jakby pomiędzy mięśniami wędrowały glisty, mrówki trupojady, zmutowane roztocza, muchy prosto z gówna. Zaczęła się schiza? Postanawia coś dać, bo go tu zamęczą.

– Myśmy się na żywo spotkali tylko raz. I drugi raz dzisiaj, w Łomży.

– W Łomży o której?

– O trzynastej. I nie gadaliśmy o pierwszych ani ostatnich dziewczynach, tylko o tym, co zrobić, żeby się ludzie ocknęli! – Drapie się po rękach, lecz to nie pomaga.

– Pan zażywa jakieś substancje psychoaktywne?

– Tak, kurwa, palę marihuanę. Przybijcie mi za to jeszcze dwadzieścia lat!

– Ma pan narkotyk ze sobą?

Nie ma, a bardzo by się przydał. – ...wypaliłem do końca, jak puszczałem materiał.

CZĘŚĆ III

WykoNanie



33. Rozdział, w którym mnożą się podejrzenia i teorie spisku

Dwadzieścia minut po dziewiątej wieczór przesłuchiwany Wojciech Wolant przestał płakać, za to posikał się na noszach. Teraz chichoce, zaśliniony, usiłuje śpiewać. Nic już z niego nie będzie. Hanna Chwast podpisuje lekarzowi protokół przekazania zatrzymanego. Wymieniają się telefonami. W drodze do szpitala karetkę będą eskortowali szofer prokuratury z posterunkowym Trepskim. Ona dosiądzie się do cebosiu, pojedzie z realizatorami po śladach pułkownika i podinspektora. Z takim postanowieniem wychodzi z ambulansu. Śnieg już nie pada, na niebie gwiazdy i księżyc. Wiatr się uspokoił. Czeka na nią czterech, pokazują sobie nawzajem jakieś wpisy i mapy w komórkach. Negocjator Gamajda, jeden z ludzi Zupaka, technik informatyk i sierżant Służący. Gotowi raportować.

– Po kolei proszę.

Negocjator przekazuje krajowe nowiny. Po tym, gdy pół narodu obejrzało streaming (co nie był streamingiem, ale retransmisją), stoimy na krawędzi stanu wyjątkowego. Ludzie zobaczyli na koniec pokazu wódczaną facjatę pułkownika w kasku, a zatem: terroryści zostali złapani. Gdzie w takim razie Prezes?! Media szaleją, także te nasze – polskie, zwolennicy władzy leją się z przeciwnikami, jest ofiara śmiertelna, podobno niejedna,

wiceminister obrony wysłał żandarmerię, bo w największych miastach brakuje policji. Wojsko obsadza granicę na odcinku Braniewo–Adampol i może stąd krąży plotka, że ci terroryści to dywersja Kremla, że Naczelnik nie żyje, że idzie zamach stanu i że za wszystkim stoją zdrajcy z Konfederacji Ojczyściej. Pod ruską ambasadą spłonęły samochody, sfajczył się też wóz Heni von Hycel, co akurat jest fajne. W Sejmie o jedenastej będzie sesja nadzwyczajna, plotki mówią, że Jedna Polska zmiażdży konfederatów. Jeżeli Prezes nie znajdzie się żywy, będą aresztowania.

Realizator wchodzi Gustawowi w słowo. Przedstawia się, chociaż wcześniej już chyba to zrobił: aspirant sztabowy Warchoł. Twierdzi, że Prezes się znajdzie w ciągu paru minut, teraz już na pewno. Śmigłowiec abwery namierzył samochód. Kierowca wjechał w las. Nie w żadnej twierdzy Osowiec, dokąd poleciały maszyny policji, tylko niecałe siedemnaście kilometrów stąd. Wcześniej wyrzucił z wozu jakieś drobne przedmioty. Kominiarkę, coś jeszcze. Widziało go dwóch myśliwych. Opisali okularnika-jąkałę w policyjnych ciuchach i z glockiem. Poszła za łujem także nagonka piesza. Znaleźli urwane lustro od auta marki Nissan, resztki rozbitej szyby i dwóch lamp, kawałki rozdartych opon, były nawet ciepłe...

– ...nie ma siły, by spierdolił daleko bez gum. To jest już kwestia metrów. Paru chwil. Jeżeli chce pani jechać, jesteśmy gotowi. Mamy dokładny namiar z ostatniego miejsca. Stuprocentowo pewnego.

– Tylko najpierw pokażę coś jeszcze. – Technik, wciąż w rękawicach i kapturze z folii, ma w dłoniach kilka strunówek i telefon zbójów. Wyraźnie jest z siebie dumny. – To było w kurtce tego zranionego... – Ruch głowy w stronę karetki. – Kompas, siedemdziesiąt złotych i mapa terenu.

Jest zaznaczone miejsce: Pupy Stary Młyn. To po drugiej stronie od sześćdziesiąt jeden.

– I to jest to stuprocentowo pewne? – Prokuratorka patrzy na mapę, Warchoł kręci głową.

– Namiar jest z naszej strony szosy, bliżej zakoli Biebrzy. Stąd będzie, jak mówiłem, około szesnastu...

Ten Młyn na mapie coś Hannie Chwast chce powiedzieć. Co najmniej osiem razy pytała Wolanta o jakiekolwiek miejsce związane ze sprawą. Mówił jej o Lubawie, Bilbao, Belfaście, Szczuczynie... nie powiedział o młynie, który miał na planie, a plan w kieszeni wiatrówki, której nie nałożył. Sztorm zwiewał z Prezesem w to miejsce, miał tam kolejny samochód, motocykl... ale zaskoczyła go pogoń i zmienił kierunek? Młyn był alternatywnym miejscem sądenia Prezesa – drugim prócz Kończydrogi? Ktoś dalej w tych Pupach czeka? Czwarta osoba z bandy? Ukryli tam coś ważnego?

– Pan się połączy z dyżurnym i niech skierują zespół, niech przeszukają i młyn, i las wokół.

Warchoł potwierdza, że słyszy. Teraz mówi technik. Jest z siebie bardzo dumny.

– Odtworzyłem końcówkę notacji. – Podtyka śledczej ekran oukitela. – To nie sierżant skasował, skasowali sprawcy. Ale odzyskałem.

Służący z tyłu tylko kiwa głową. Nie wszystkie dzisiejsze fakapy wynikły z jego głupoty. Na ekranie trójka zamaskowanych i Prezes przed nimi. Terrorystka w halloweenowej masce unosi się nad pulpitem. Jest skrajnie zdenerwowana i połyka zgłoski:

– Oskarżony Jarosław Ka...ński zostaje uznany winnym i niniejszym skazany na śmierć! Wyrok będzie wykonany na...chmiast.

Wariatka porywa ze stołu pistolet, wymierza w siedzącego i naciska spust. W tym samym momencie siedzący po prawej podbija jej łokieć. W komórcie słychać strzał. Naczelnik kurczy się jak ślimak przypalony szlugiem. Niższy z przestępców niewprawnie próbuje unieruchomić współpracowniczkę i wyrwać jej spluwę. Ona się szamoce, przewraca krzesło; a wtedy drugi zbir – ten wychudzony, wysoki, co uratował przed chwilą życie porwanemu – dobywa paralizatora i tryka ją w pierś. Chorąża Monika Męka pada na podłogę. Typ, który użył tasera, zdejmuje kominiarkę. Oto Szymon Sztorm, lat czterdzieści, warszawiak, rozwiedziony, z długami i tak dalej.

– Skasuj ko-ko-o-ońcówkę – mówi do kompana. – Żeby się kończyło na „uznany winnym”. A ją do piwnicy.

Prezes siedzi nieruchomy, skulony, sparalizowany. Wojciech Wolant opuszcza kadr, po czym obraz gaśnie.

– Chce pani zobaczyć raz jeszcze? Można dotykać, przesuwać, odciski i wszystko pobrane.

– Nie chcę. – Chwast zapina płaszcz pod samą szyję. – Znaleźliście kulę?

Technik z dumą pokazuje samarę. Jest pocisk.

– Wyjeliśmy z muru.

– Czyli usiłowanie zabójstwa. Najpierw znajdziemy Prezesa, potem zajmujemy się pindą. Który chce prowadzić?

Zgłasza się Służący. Chwilę później są w drodze z Warchołem i resztą. Po wyjeździe za bramę najpierw nie ma zasięgu, a gdy ten się chwilowo pojawia, prokuratorka wysyła Filutowi odzyskane nagranie. Ten właśnie jedzie do Sejmu. W centrum bezpieczeństwa już nie miał czego robić. Pogotowie zabrało Tajnera, Cyganiak chciał z nim jechać, udawał przejętego, ale Pacyna zmusiła go z pomocą Kornego, żeby wyszedł do

dziennikarzy, bo już trzy razy przesuwali początek konferencji. Sama Packa ugrzęzła w rozmowach z Watykanem, Brukselą, innymi świętymi. Powtarzała rozmówcom, że ostatni porywacz zostanie schwytyany – a Prezes uwolniony – najdalej za pięć minut. Może nawet w tej chwili sprawa się rozwiązuje. Dwa pomieszczenia dalej opalony Czesław solennie zapewniał media, że pan prezes żyje, że dwoje sprawców ujętych składa wyjaśnienia, że trzeci otoczony, wszystko się dobrze skończy dosłownie w ciągu sekund.

Dziennikarze, którzy powinni ponieść dalej przekaz o degeneracji przeciwników rządu, o antypolskim terrorze, o krzywdzie Naczelnika, najbardziej chcieli wiedzieć, kim jest ten ogór w hełmie, ten ze świńskimi oczkami i z czerwonym nosem, co skończył nagranie. Szczególnie natarczywa była – to już prawdziwa bezczelność – babka pracująca dla Wolnej Europy, która powinna się cieszyć, że jeszcze nie siedzi. Fakt, że włączyła na salę bez certyfikatu, sam w sobie świadczył o niezłym burdelu. Spytała Cyganiaka o konflikt w Zwycięskiej Prawicy i o to, czy Prezes nie padł czasem ofiarą spisku. Interesowało ją szczególnie, dlaczego służby rozsyłały wcześniej portret jednego sprawcy, a nie całej trójki? Wreszcie wypaliła, prawdopodobnie w ciemno:

– Czy dwoje pozostałych kidnapców to ludzie ABW? A może cebosiu? Albo innej służby?

Zapadła nagle cisza, szef sztabu partii wprawdzie nie mógł przełknąć śliny, ale jakoś się zebrał, przyjął ton i postawę święcie oburzonego niesłusznymi podejrzeniami kierowanymi w stronę Tamira Tajnera i innych agencji. Zaczął mówić o propagowaniu terroryzmu przez Wolną Europę, potem kazał strażnikom wyprowadzić sucz z sali. To chyba nie było zbyt mądre. Brak certyfikatu to jedno, ale spora część dziennikarskiego bractwa, nawet ze swoich redakcji, zareagowała gniewnymi pomrukami. Jeszcze dzisiaj rano takie demonstracje byłyby po prostu nie do pomyślenia. To już zmiana

klimatu. Wyniki prawdziwych sondaży zna kilka osób w państwie, ale jakieś niepokojące drgnienie przeniosło się niżej. W społeczeństwie sieciowym trudno o pełną szczelność, pełną izolację. Właściwie jest niemożliwa. Pismacy pierwsi się jeżą. Z każdą kolejną minutą briefingu poseł bardziej się pocił. Musiał wyjąć chustkę, by obetrzeć czoło, co oczywiście nie umknęło uwadze medialnej gawiedzi. Zrobili mu zdjęcie – poci się, więc kłamie. Miał być wybuch antypolskiej przemocy ze strony lewaków i pokaz profesjonalizmu ze strony abwery. Miał być Prezes, dumny jak biczowany Chrystus i jego oprawcy – bełkotliwi terroryści w obrzydliwych maskach. To był pomysł Cyganiaka, by chorąża, którą Murzyn pokazał mu w mieście, włożyła kominiarkę z wizerunkiem śmierci. Polska miała w całości dygotać z odrazy. Miało nastąpić katharsis narodu, patriotyczny poryw, miała się zacząć dyskusja nad degeneracją przeciwników rządu. A zrobiła się trzoda.

Dalej wszyscy dziennikarze pytali już tylko o rolę bezpieczeństwa w porwaniu. Jeżeli funkcjonariusz w rynsztunku bojowym pojawił się w miejscu przestępstwa, to dlaczego wciąż nie wiadomo, gdzie Prezes? Cyganiak zastawiał się gadką o dobru śledztwa, konieczności uściślenia danych, tajemnicy państwa... lecz to już przestało działać. Musiał przerwać briefing, musiał zrejterować. W chwili, gdy to zrobił, prokurator generalny Filut w swojej limuzynie dopiero mijał Książęcą. Chociaż ruch w centrum został wstrzymany dla wszystkich z wyjątkiem straży, policji i służb, szofer włókł się między kordonami mundurów tak wolno, że szybciej by szli. Na placu Trzech Krzyży znad kasków i tarcz wystawały dachy pancernych ciężarówek. Smród gazu łzawiącego, asfalt mokry, bo sikawki rozpedzały tłum. Wrogowie i zwolennicy rządu byli tak samo wściekli. Pierwsi krzyczeli, że prowokatorzy uniemożliwią wybory, drudzy – że anty-Polacy

wespół z kacapami zabili Jarosława, tak jak wcześniej Lecha, a dworacy Prezesa kryją to, bo się boją, że lud ich rozszarpie.

Telefon prokuratora na przemian wygrywał narodowe takty, piszczał i wibrował. Z kilku jednocześnie dzwoniących wybrał Łukasza Łajdusa. Ten oznajmił, że za chwilę przemówi na sali plenarnej, i opowiedział zwięźle, czego się dowiedział i do czego doszedł. Oraz co zameldował Piotrowi Powolnemu. Spisek zawiązali Tajner i Cyganiak, operację wykonał niejaki Murzyński. Agentka niskiej rangi, chorąża abwery, przyznała na przesłuchaniu, że wzięła dwóch przegrywów, by porwać Prezesa – w założeniu po to, żeby go uwolnić w świątlach jupiterów. Tajnerowi ta akcja miała uratować dupę; o co chodziło posłowi – trzeba jeszcze ustalić. Ale warto się przyjrzeć plotkom, że coś źle z kampanią. W każdym razie Powolny coś takiego wybąkał pomiędzy wierszami. Chce zaraz zacząć przewrót, skosić konfederatów pod nieobecność Wodza.

Gadając z Łajdusem, Filut o mało nie przegapił przesyłki od Chwast. Teraz otwiera załącznik i patrzy. To nie jest zamówiony raport z przesłuchania. To film. Zabezpieczony. W pierwszej chwili coś źle naciska i plik miał ujawnić zawartość przez chwilę się ściąga. Minister-prokurator musi go teraz znaleźć, wybrać ścieżkę otwarcia... jest wreszcie!

Oskarżony Jarosław Ka...ński zostaje uznany winnym i niniejszym skazany na śmierć! Wyrok będzie wykonany na...chmiast.

Strzał, interwencja porywacza z prawej, szamotanina z drugim sprawcą.

Skasuj ko-ko-o-ońcówkę, żeby się kończyło na „uznany winnym”. A ją do piwnicy...

Jeszcze raz od początku. Na Wiejskiej, za zjazdem w Prusa, szofer staje, opuszcza szyby i otwiera kufer. Kontrola.

– Minister sprawiedliwości na posiedzenie Sejmu.

Kontrolujących jest dwóch, mają lustro, wykrywacz i psa. Gapią się na Filuta, jakby go nie znali.

Oskarżony Jarosław Ka...ński zostaje uznany winnym i niniejszym skazany na śmierć! Wyrok będzie wykonany na...chmiast.

Skasuj ko-ko-o-ońcówkę...

Coś tu się bardzo nie zgadza. Ostatnie połączenie. Wznów. Łajdus od razu podnosi.

– Idę na mównicę – szepce.

– Stań i posłuchaj, ale bardzo uważnie. I nie dziw się, tylko odpowiedz, byle po namyśle. Czy istnieje choćby cień możliwości, że człowiekiem abwery w Bandzie Trojga nie była twoja słuchana, tylko ten typ, co ucieka?

Łajdus odpowiada cicho i od razu:

– Nie. Absolutnie nie ma takiej możliwości. Ona jest ogniwem.

– Czy jest jeszcze cokolwiek, o czym dotąd nie wiem?

Teraz kilka chwil ciszy. Kontrola zakończona. Limuzyna dojeżdża do sejmowej bramy. Pod pomnikiem akowców stoi wóz pancerny. Na wjeździe krótki korek. Znów wszystkich sprawdzają. To jedno się głąbom udaje: legitymowanie.

– Jest coś. Wypuściłem słuchaną, by się wysikała. Pod opieką plutonowej z prewencji abwery. No przecież nie mogłem jej zabronić szczania ani trzymać suki za gumę od majtek. Spierdoliły obie. Ale z Chwast gadałem. Znajdzie nam najpierw Prezesa, a potem te pizdy.

– Czy ta plutonowa jest od Murzyńskiego?

Zbyt długa pauza w słuchawce.

– Tak. Bezpośrednia podwładna.

– Przyślij mi, ale natychmiast, nagranie przesłuchania.

– Jestem na plenarnej...

Filut petuje rozmowę. Czegoś tu nie rozumie i ten fakt go wkurwia. Łajdus celowo wypuścił agentkę? Tamir kazał jej zastrzelić Prezesa? Jaką by musiał mieć dźwignię? Przecież nie dostałaby po czymś takim świadka koronnego, nigdzie by jej nie schował. Może generał sądził, że nie będzie trzeba? Że sucz zostanie zastrzelona przy próbie ucieczki... Do pryśnięcia skłoniła ją koleżanka od robienia siku? Podwładna Murzyńskiego, a zatem Tajnera... Kobieta kobiecie ratowała życie? Ucieczka niechcący się udała? Tak jak próba porwania? Z którejkolwiek strony na to spojrzeć, wyłażą konfederaci. Powolny dobrze robi: trzeba w nich wjechać na ostro, i to jeszcze dziś. Bić tak, żeby zabić.

Skasuj ko-ko-o-ońcówkę...

Łajdus niczego nie śle. Chorąża kiwała i współników w zbrodni, i swych mocodawców? Była sterowana przez kogoś trzeciego? Tak czy owak, Prezes jest teraz w rękach człowieka, który ratował mu życie. Może właśnie dlatego jeszcze ich nie mają? Może agentki uciekinierki do nich dołączyły? Może tam w lesie Wódz, jego porywacz i plutonowa z chorążą objaśniają sobie wzajemnie, co faktycznie zaszło i kto kim dziś sterował?

Filut po raz nie wiadomo już który dzwoni do Hanny Chwast.

Abonent znajduje się poza zasięgiem sieci. Please try again later.

Sejmowy strażnik uchyla drzwi limuzyny. Łajdus wciąż nic nie przysłał.

– Marszałek Powolny czeka na pana ministra.

34. Rozdział, w którym Naczelnik państwa i jego porywacz są ze sobą szczerzy

Niosąc Prezesa w stronę rudery nad rzeką, Sztorm prawie niczego nie widział. Miał zaćmienia, a do tego zaparowane i pęknięte okulary. Gdy w końcu nabrał powietrza, gdy wywlekł swój balast na brzeg, najpierw zemdłał. Upadli w trzciny i czas się znowu rozciągnął. Obława dotarła do wody, trudno, żeby było inaczej, kiedy nissan zostawił po sobie tyle zniszczeń w lesie. Podniosły się krzyki, ktoś wołał „panie prezesie!!”, choć może to były haluny. Dziesięciu chamów z latarkami oświetlało toń jakieś czterdzieści metrów dalej. Ale nissan już zniknął pod wodą, więc zawrócili w las. Jeden z drugim pewnie ledwo własnego kindybała w slipach odnajduje.

Szymon podniósł się wpierw na kolana, co było dużym sukcesem. Kaczor ładnie to ujął: „Z tych jesteś, co zawsze wstają”. Więc wstał, a potem go poniósł. Zimna już nawet nie czuł, tylko ból – najkurwiejszy z możliwych. Imadło ściskające mięśnie rąk, nóg i karku, do tego kolce, wszędzie kurewskie kolce. Gwoździe. Jakby kulali go w bece do utaczania chrześcijańskiej krwi. (W 2007 roku Ariel Toaf, historyk judaizmu i wykładowca uniwersytecki z Tel Awiwu, syn rabina Rzymu, ogłosił, że Żydzi faktycznie używali ludzkiej krwi do rytuałów, że spuszczała ją z

dziątek i tak dalej. Jego książka *Krwawe paschy* wywołała potworny skandal, lecz zesłała na pniu). Ostatnie dwadzieścia metrów wlekli się ze starym przychlastem, podtrzymując wzajem. Byli rozbitkami na Pacyfiku, niedobitkami spod Stalingradu, byli towarzyszami, co wracają w oblodzonych łachmanach z nieudanej wyprawy na biegun. Kaczor nie przejawiał najmniejszej ochoty ucieczki, z powodu złamanej ręki był półprzytomny, targały nim dreszcze. Mieli je zresztą obaj.

Teraz dochodzą do budy, która nie jest ruiną, jak mogło się wydawać. Ma taras, na nim leży zabezpieczona łańcuchem odwrócona łódź; ma też solidne drzwi, niestety zamknięte na zamek, i – na szczęście – okno. Szymon wybija szybę łokciem i otwiera, zrzucając przy tym jakieś graty wewnątrz. Otwór okienny jest nisko, ale i tak trudno przeleźć z Prezesem, mimo że ten – jak lunatyk – grzecznie współpracuje, po prostu wykonuje powoli milczące polecenia. Albo do końca się odpiął i myśli, że spaceruje po Parku Pamięci Narodowej Ojca Dyrektora, albo faktycznie dopadł go syndrom sztokholmski (choć właściwie powinien się nazywać syndromem Patty Hearst, pięknej i bogatej wnuczki magnata prasowego, która – porwana przez lewaków z Symbionese Liberation Army – nie tylko przystąpiła do bojówki, zerwała z rodziną, wyrzekła się bogactwa, ale także zaczęła sama napadać na banki i robić inne hece).

Pod dachem jeszcze ciepło, nie ma prądu, nie widać włącznika. W ciekącym przez wybite okno księżycowym blasku rysują się klinkierowy kominek i meble: dwa fotele, stół, krzesło, łóżko. Na łóżku leżą koce, wystaje jakaś pościel, poducha; na stole lampa naftowa, pod nogami podłoga z desek, na niej dywan i rozbita donica z zieleniną. Obok lampy męczy się na grzbiecie duży żuk, którego porywacz przewraca z powrotem pancerzem do góry. Owad od razu spieprza po blacie i stołowej nodze, chowa się w resztkę donicy.

Porwany dzwoni zębami, oczy mu w mroku chorobliwie błyszczą, ewidentnie dostał gorączki, zdrową ręką przyciska złamaną do piersi, z płaszcza cieknie mu woda. Sztorm wpierw układa dziada w fotelu, przy czym zostawia na oparciu krew z rozciętej dłoni. Wyjmuje z plecaka bidon, metalowe pudło i składany nóż. Każdy ruch jest wysiłkiem, jakby się nie ruszał w powietrzu, ale w zbiorniku z rtęcią.

– Pij, ile tylko dasz radę.

Prezes odbiera flakon, posłusznie łyka eliksir. Przy lampie naftowej leży zapalniczka, w kominku nie ma drewna, pewnie jest gdzieś za domem, to jednak nie problem. Szymon rozbija krzesło kopniakiem, wpycha ułamki na ruszt, odkręca zbiornik w lampie, nafta śmierdzi jak trzeba. Polewa strzaskane deski, zapala. Płomień bucha, po chwili przygasa, ale drewno zdążyło się zająć. W roztańczonym, miedzianym świetle wewnątrz budy odkrywa szczegóły. Wybite okno jest tutaj jedynym, na ścianie z desek dyndają sznury suszonych, zakurzonych grzybów, z których zerwały się mole. Przy kominie stos kolorowych tygodników; w kącie półka, na niej – więcej gazet. Jeszcze Chrystus Król Polski w chińskiej ramce z kwiatkami, pajęczyna i pająk. Kubki, flacha z czymś ciemnoczerwonym, słoiki z prawdziwkami, ocet, olej i wódka – duża flaszka siwuchy.

Sztorm odkręca, pociąga, od razu ma odruch wymiotny. Zmusza się do połknięcia alko i ściąga ubranie. Szyja znowu mu spuchła, dłonie – jakby nie jego. Wszystko, co może zrobić, to równo oddychać przez usta, by znowu nie zemdleć. Wódka jest ciepła, żre przełyk jak krew Obcego, lecz kiedy zdoła położyć ćwierć litra na to, co już wcześniej przyjął – godzinę pociągnie. Więcej mu nie trzeba.

Lugera kładzie na komin, otwiera scyzoryk, w samych majtkach i butach podchodzi do Prezesa. Ten wypił eliksir do końca. W jego wieku

mieszanka narkotyków może działać cuda. Zaraz mu wyrosną tygrysie pazury albo róg na czole.

– Trochę prze-e-sadziłeś. To ścierwo jest mocne... żeby cię nie zabiło, mi chodzi. Rozetnę ci mokre szmaty, nic nie bój, unieruchomię rękę, położysz się ładnie pod kocem. Zadzwonimy po pomoc.

– Więc czasem się poddajesz?

– Chcesz podróżować dalej? Nie mamy już czym i dokąd. Ta woda, chyba Biebrza, to moja granica. Jakie życie, taki Styks, czaisz?

– Jesteś potwornie chudy.

– A ty potwornie blady i brzydki jak stary Bułgar. Daj wite.

Wspólnymi siłami uwalniają porwanego z łańców. Sztorm zdziera prześcieradło z wyra, odrywa trzy długie pasy, z pierwszego robi temblak. Przedramię Kaczora spuchnięte, dłoń bezwładna, ale morfina już działa, bo pacjent znosi opatrywanie bez jęków, nawet wtedy, gdy porywacz przywiązuje zabandażowaną łapę do pomarszczonego, porośniętego siwymi kłakami tułowia. Oplata materiał kilkakroć, musi połączyć dwa pasy, związuje starego ciasno – trzy razy wokół korpusu i byle jaki węzeł. Pólnagi, rozczochrany Naczelnik wygląda trochę jak pacjent podłego lazaretu, a trochę jak mumia, to wszystko robi się nieco śmieszne i znowu mało realne, co zapewne ma związek z właśnie wypitą wódką. Mózg przyzwyczał się do metamfetaminy, do oksykodonu i reszty wynalazków, a teraz ma nowy opał – stąd zawroty głowy i harmider odczuć. W sumie umierający organizm i tak sprawuje się nieźle – poza tym wreszcie jest ciepło, a będzie jeszcze cieplej. Sztorm rwie kolejny pas, owija krwawiącą dłoń, przewraca stół, wyłamuje po kolei grubo toczzone nogi, wpycha je do ognia, iskry się sypią, suche drewno pracuje, w chałupie już całkiem jasno i nawet przytulnie, poza tym, że pizga od okna bez szyby. Zasłania je blatem od stołu – i gites.

– Szkoda, że nie ma kiełbasek. Ale dam ci kielicha. Wypijemy za Polskę od morza do morza. Tylko dla Polaków. Tylko dla ka-aa-tolików.

Prezes siedzi oparty o poduchę i ścianę, naciągnął na siebie pościel, przyjmuje kubek z gorzałą bez żadnych oporów, upija z niego połowę, krzywi się i mlaska.

– Nie lubię wódki, nie piję.

– Mmo-mogę ci podać grzyba. Albo rozrobić z sokiem. – Sztorm bierze w dłoń flaszkę z korkiem, otwiera, wacha: wino własnej roboty. – Masz dziś szczęśliwy dzień, Jarek. Patrz... uniknąłeś kuli, wyszliśmy cało z wypadku... powiedzmy, że prawie cało, siedzimy sobie w przyrodzie, jest ciepło, sucho, nikt nam nie przeszkadza, zaraz zadzwonimy po pomoc... Czerwone, słodkie. Po-po-podobno wina lubisz.

– Lubię wytrawne, ale możesz nalać. Mój brat się znał na winach. – Elixir ewidentnie starego rozbiera. Jeszcze trochę i będzie chciał buzi. Tu bardziej by się Walet przydał. Powinien już być w autobusie. Albo nawet w Łomży.

Sztorm wręcza porwanemu butlę, otwiera swoją puchę, wyjmuje myPhone'a. Włącza.

– Masz założony PIN-kod? Kto tego jeszcze używa?

– Ja.

– Prawda, że nigdy nie miałeś ka-karty kredytowej?

– Teraz już mam. A PIN jest jeden, osiem, zero i na końcu szóstka.

– Do karty czy telefonu?

– Jednego i drugiego.

– Fajnie. Może coś sobie na szybko wypłacę, jak będzie internet... jeden, osiem, powiadasz, zero, sześć. Twój dzień i miesiąc urodzin. Osiemnasty czerwca.

Prezes wylewa resztkę gorzały na dywan, napełnia kubek wińskiem i patrzy zdziwiony.

– Pamiętasz takie rzeczy?

– Mam tę przypadłość, że zapamiętuję. Dużo niepotrzebnego. Chodziłeś do Lelewela, potem do Kopernika, matura w sześćdziesiątym siódmym, magister w siedemdziesiątym pierwszym, doktorat w siedemdziesiątym szóstym. Od osiemdziesiątego dziewiątego naczelny „Tysola”. Na gwiazdkę dziewięćdziesiątego Wałęsa cię zrobił szefem kancelarii...

– Nie wspominaj mi o tym łajdaku. Płatnym konfidencie.

– Dobra, jedziemy, dzwonię. Się zdziwią na sto dwanaście...

Meble płonące w kominku wydają cudaczne dźwięki, jakby ktoś łamał styropian.

– ...czy może jest jakiś numer tajny, że przyślą helikopter?

– Nie znam takiego numeru. – Prezes... to nie jest złudzenie, on się, skubaniec, uśmiecha. – Masz przebity na wylot policzek – mówi troskliwym tonem.

– Przebiłem, jak żeśmy spotkali te dwa balerony.

– Łapię się na tym, że coraz bardziej nie wiem, co o tobie sądzić. To mnie irytuje. Potwór powinien wyglądać jak potwór.

– Herbert o Michniku. Pa-aa-mięć to wysypisko. Kurwa, nie mamy z-za-zasięgu. Nie ogolę ci konta. Szkoda... bym wysłał coś matce.

– Trudno, poczekamy.

– Poopowiadamy coś sobie. – Szymon odkłada aparat tuż obok lugera. – Może jakieś żarty, dowcipy, zagadki? Na przykład o tobie.

– Są takie?

– Niestety, wszystkie suche i śmieszne, jak pięć złotych z drewna. Powiedz mi może, czy Mona, ta laska, co była z nami... czyja to jest

agentka? I po co to wszystko? Po chuj nas podpuściliście?

– Nikogo nie podpuszczałem i nie kazałem podpuszczać. Przypomniał mi się dowcip.

– O tobie?

– Zdziwisz się, ale poniekąd tak. – Porwany wlewa w kubek kolejną porcję wina, pomaga sobie kolanami, solidnie pociąga. – To szmonces, uważaj: młody Żyd, Icek, wybiera się w daleką, arcyniebezpieczną podróż w interesach. Postanawia zdeponować walory u rebe. Rabin woła świadków przekazania, powiedzmy: starszych kahału. Przychodzą, dajmy na to: Mosze, Chaim i Szmul. W ich obecności duchowny przelicza pieniądze, chowa na samo dno szafy, wszyscy Icka żegnają. Icek wraca z podróży...

Prezes, po morfinie i całej reszcie chemii, mówi szybciej niż zwykle; próbuje gestykulować ręką, w której trzyma wino. Rozlewa i się nie przejmuje. I tak narobili już syfu. Właściciel tej chałupy nie będzie zadowolony. Sztorm odrywa podłokietnik fotela, po nim drugi, dokłada do ognia, pije wódkę z gwinta. Żołądek, czy co z niego zostało, zwija się w węzeł jak wąż na patelni. Ale Szymon łyka, choć musi się napiąć, by nie zwymiotować. Wszystko już przesądzone. Widać czarne gwiazdy. Dym z tego komina zobaczą aż w Mońkach, zaraz wszyscy będą. Mógłby wyjść do nich z kopytem, nagrany, jak Tony Montana, oni krzykną „rzuć to”, on w nich wyceluje i wrzaśnie: *Say hello to my little friend!* Dostanie dziesięć kul naraz, będzie pozamiatane, na niebie pojawi się napis: *The world is yours*, a potem *The End*. Ze sceny na wodzie, w której utopił furę, zaśpiewa Morrison.

– ...Icek prosi rabina o zwrot pieniędzy, a rabin pyta: „Jakich? Co ty wygadujesz?”. „No, ale przecież Mosze widział, Chaim widział i Szmul” – mówi Icek. „Wszyscy byli świadkami, rebe, jak ci dawałem gotówkę”. Więc rabin woła starszych, przychodzą tamci trzej i zgodnie zaprzeczają,

jakoby Icek coś dawał. Młody Żyd załamany. Płacze. Starsi wychodzą. Rabin przyciska Icka do piersi, sięga do szafy i mówi: „Tutaj są twoje pieniądze, ja tylko chciałem, byś widział, z kim muszę pracować”.

– Śmie-e-eszne, jak coś.

– Dla mnie wcale nieśmieszne. Ludzie, którzy się od dekady oddają rytuałom władzy, którzy wyspecjalizowali się w kombinowaniu, tracą kontakt z realiem. Zarządzani przestają być istotni, są tylko liczmanami, które można bez końca przesuwac. Długo pozostający u władzy żyją już tylko władzą. Staram się ich wymieniać, lecz ławka jest krótka, a pole ogromne i obficie rodzi. Chciałbym mieć kombajn żniwny, a mam do dyspozycji widły, sierpy, cepy.

– I młoty. Dużo młotów. Czyli kto chciał cię zabić? Przemyślałeś w drodze? Powolny, Filut, ktoś inny? Bo chyba nie Packa Boska? Ona jest gotowa wysysać orzeszki z tego, co wysrałeś.

– Latem przyszedł do mnie generał Tamir Tajner, wiesz, kto to?

– Wiem.

– Przyniósł coś jakby teczkę ministra Kornego.

– Kojarzę kutafona. Na-na-najgłośniej śpiewa w Toruniu i ma największy kałdun. Podobno był zapaśnikiem, podobno ma dużo kamienic.

– Ma kilka.

– Aha... więc to już nie są antypolskie kłamstwa?

– Literalnie „Wyborcza” kłamała, bo on sam ich nie ma. Wszystkie przepisał na żonę, z którą mają rozdzielnosc, i coś na teściową. Nieruchomości w Krakowie, Katowicach, Sopocie. Świetne lokalizacje.

– A w środku hotele burdele... jak ten, jak mu tam... Banaś?

– Otóż nie. Nie hotele. I nie lupanary. Przeróżne instytucje. Kancelarie, salony urody, gabinety dentystów. Tylko że wysokie czynsze, do trzydziestu

nawet razy powyżej cen rynkowych, płacą terenowe oddziały pewnej cypryjskiej spółki, które zajmują poddasza.

– Ciekawe.

– Spółka prowadzi niejasną działalność w Serbii, Mołdawii i Turcji, należy do innej spółki, a ta do fundacji... w każdym razie służba Tajnera długo to prześwietlała, aż się w końcu dokopali do ruskich pieniędzy.

– Czyli Korny jest szpionem?

– Nie uprzedzajmy zdarzeń. Ponieważ z wolna startowała kampania wyborcza i problemy trzeba było rozwiązywać szybko, wezwałem na świadka marszałka Powolnego. Zrobiłem konfrontację. U mnie, w siedzibie partii. Bo niestety generał Tajner też sobie nagrabił i istniała możliwość, że odsuwa cykutę od siebie, rzucając na pożarcie...

– Ministra Kamienicznika.

– ...z tym że tu, naturalnie, nie ma porównania. Generał po prostu okradał resorty, o czym abecadło wiedziało, tylko zbierali wciąż kwity.

– Abecadło?

– Mówię o CBA. Gdybym chciał powyrzucać wszystkich, którzy kradną...

– ...nie dałoby się zebrać dziesięciu sprawiedliwych?

– Ty to powiedziałaś. Konrad Korny i ruskie pieniądze są sprawą poważniejszą...

– ...bo figo jest kretem?

– Nie bądź niecierpliwy. – Prezes wypił już jedną trzecią swojskiego winiucha. Doliczając eliksir i ćwierć kubka wódki, powinien już uwolnić swą wewnętrzną świnię, bredzić, wyciągać lampiony z nosa, widzieć Matkę Boską. A on wciąż kontaktuje, tyle że słowotoczy. I fajnie.

– Na konfrontacji oburzony Korny zdzielił Tajnera w gębę. Przy mnie i przy marszałku, co miało być dowodem jego świętego gniewu. Potem, wiem z drugiej ręki, podrzucił żonie generała przykrą obyczajówkę. A ja dostałem na biurko sprawozdanie z logicznym opisem procederu drenowania resortów, który abecadło wciąż jeszcze badało.

– Korny ci opisał, jak Tajner kradł kasę?

– Tajner i konfederaci. Przy wyprowadzaniu pieniędzy zostawił odciski także kolega Cyganiak.

– Kojarzę. Z Gdyni. Sprze-sprze-dawca fałszywych bulli papieskich, szef waszego sztabu.

Prezes znów się uśmiecha. Aż pokazuje zęby – niebieskie od wina.

– Wiesz, że on się dzielił pieniędzmi z Hyclową? Taka jest wasza opozycja. Już nawet na głosowania nie chodzą, wiesz przecież. Oddanie rządów tym durniom byłoby zdradą stanu.

– Mówiłeś to dwa razy.

– Cyganiak mnie oszukiwał, nas wszystkich oszukiwał, niestety w czymś poważniejszym.

– Kampania?

– Poparcie zaczęło spadać od połowy lipca.

– To jakim cudem sss-so-sondaże...

– Jesteś bystry, a nie rozumiesz, co się wokół dzieje. Wy sami nie wierzycie w możliwość zmiany władzy. Niczego nie dostrzegacie, jesteście kompletnie odcięci w tych swoich różowych bańkach z bezmlecznej czekolady.

– No, ale sondażownie...

– ...jakie sondażownie? – Naczelnik nie śmieje się swoim tradycyjnym chichotem Ebenezera Scrooge'a, tylko pełną piersią. Jakby szeroko rechotał

mu w środku jakiś inny Jarosław: rubaszny i wyluzowany.

Jednak go nieźle trafiło.

– Nie żartuj, synu, z pogrzebu. Badani po prostu mówią, że popierają władzę, po to, by móc spokojnie zamknąć za ankieterem drzwi i wrócić do talerza. Albo odłożyć słuchawkę. Mamy własne sondaże, zrobiła szwajcarska firma. Jest fifty-fifty. Od końca epidemii było wciąż gorzej i gorzej. Daliśmy ludziom wszystko, co można było dać. I się przyzwyczaili. A pieniędzy na więcej nie mamy.

– Więc ktoś postanowił za-zagrać le-le-lewackim terrorem?

– Sądzę, że się zmówili. Porwanie obciąża policję, a zatem Kornego. Wy się natomiast wykazaliście skrajną naiwnością. Myśleliście, że jak ludzie usłyszą te pseudozarzuty, które wasze środowisko stawia nam przeciw od lat, to się wzruszą i stwierdzą... sam nie wiem, co mieliby stwierdzić. Prawda jest taka, że wszyscy te wasze argumenty znają. Tylko mało kto je podziela...

– Przed chwilą mówiłeś, że połowa... owszem. – Sztorm wrzuca do kominka nogi od fotela i plik tygodników. Z trudem się prostuje. Zwała graty z półki, ją samą odrywa od ściany. Robi w powstałym śmietniku wieszak na swoje spodnie z lampasami; stękając, ustawia przy ogniu. Jeśli ma stać przed plutonem, to chociaż będzie stał w portkach.

– Połowa na połowę. Tak, to niestety jest problem, że co druga osoba nie czuje się już Polakiem. Cyganiak rozważał, tak to w tej chwili widzę, dwie główne możliwości. Pierwsza: że po takim bezprzykładnym akcie terroryzmu wybory da się odwołać, co nikogo nie zdziwi. Nawet i w Europie.

– A druga możliwość?

– Że zły trend się odwróci, kiedy wszyscy zobaczą waszą kompromitację. Tutaj nie zawiedliście. Pokazaliście nagość waszej retoryki.

Nagą przemoc w imię tych wszystkich arcyżałosnych bzdur o rzekomym łamaniu konstytucji, niszczeniu klimatu, stosowaniu opresji wobec kobiet, mniejszości seksualnych i co tam jeszcze chcecie. Mielście być egzemplifikacją zdrady i daliście radę, jak to mawiają młodzi. Ludzie pojęli, że nie ma alternatywy. Jeżeli nie my, partia, to tylko anarchia, zwykły bandytyzm, chaos. A potem, jak teraz myślę, miał wkroczyć Tamir Tajner albo jego ludzie...

Porwany na chwilę milknie, nad czymś się zastanawia.

– ...Korny musiałby odejść. Wiadomo, jakie ustawa nałożyła na policję nowe obowiązki. I wtedy na stół by wróciła, nazwijmy ją, ruska teczka. Nikt by nie podał ministrowi ręki na ratunek. Nikt z całej Jednej Polski. Wybory byśmy wygrali, Cyganiak na pewno liczył... ach, ten to ma ambicje. Chociaż przeczytał w życiu może ze dwie książki. Kucharską i telefoniczną.

Naczelnik Państwa się śmieje. Ponad trzydzieści lat starszy od Szymona, uwięziony, zmarznięty, ze złamaną ręką, radzi sobie lepiej od swego porywacza. Sztormowi kręci się w głowie, szyja kompletnie sztywna, ogólnie coraz mniej czuje. Właściwie nawet nie wie, czy mu teraz ciepło, czy zimno. To raczej ostatnia faza. Otoczenie jest jakieś rozmyte. Próbuje się skoncentrować:

– Jak wszystko rozkminiłeś, to może mi powiesz, dlaczego Madonna chciała cię zastrzelić?

– Bo taki mieliście plan, tylko...

– Mówiłem ci już, że nie taki. Chciałem cię za-za-zamknąć we młynie, a potem w tartaku, wypuścić transmisję i uciec we troje.

– Założmy, że mówisz prawdę. Ty tak planowałeś. Ktoś zaplanował inaczej.

– Kto?

– Moim zdaniem nie Tajner. To złodziej, nie morderca. Właściwie jak masz na imię?

Sztorm kładzie dłonie na skroniach. Pod czaszką narasta buczenie, intensywny warkot. Jakby przez ucho wleciał stalowy koliber.

– Uspokój się. To nie w głowie. Przyjechali po nas.

– Co?

– To samochód.

Nie ma już czasu na włożenie spodni. Bierze w rękę pistolet, podchodzi do drzwi, ale od środka nie da się ich otworzyć. Dwa razy strzela w spojenie tuż poniżej klamki. W małym pomieszczeniu huk jest ogłuszający. Prezes aż podskakuje na wyrze. Drewniane skrzydło samo się otwiera. Szmer staje pólnagi w blasku niebieskich świateł. Unosi broń, kiedy pierwszy radiowóz hamuje przed progiem. M16 z granatnikiem byłby, wiadomo, lepszy, lecz luger musi wystarczyć. *Hello to my little friend, skurwysyny!*

Porwany krzyczy chrapliwie:

– Nie wychodź z pistoletem!

35. Rozdział, w którym posłowie Jednej Polski żądają odejścia ministrów Konfederacji Ojczystej

Kiedy marszałek Sejmu Piotr Powolny rozmówił się z wezwanymi na Wiejską sanitariuszami, kiedy poinstruował ich na okoliczność możliwych wybuchów szaleństwa u deputowanych, kiedy wreszcie (spóźniony) wszedł na salę posiedzeń plenarnych – od razu wezwał na mównicę Łukasza Łajdusa, który do ostatniej chwili jeszcze z kimś gadał z iPhone’em przy skroni. Emocje były już olbrzymie, ale po tym, gdy prokurator krajowy powiedział to, co powiedział, rozpętała się awantura jak w płonącym zamtuzie. Zresztą od godziny cała Warszawa była na krawędzi piekła. W kilku dzielnicach zaczęło się plądrowanie sklepów, prewencja poczęła strzelać gumowymi kulami, anarchiści, kibole, zwyczajni chuligani, a do tego prawackie i lewackie bojówki walczyły ze sobą na kije i maczety, fruwały flaszki z moczem. Falangiści wyszli w miasto kolumnami, jakby od dawna czekali na taką okazję. Ktoś cisnął butelkę z benzyną, zapalając wóz bojowy na rondzie Gosiewskiego. Zniżające się helikoptery rozpraszały śmigłami coraz wścieklejsze hordy, wielu uczestników zakończonego Marszu Solidarności z Prezesem przyłączyło się do wszechogarniającej bijatyki. Jakby było mało, z północy nadciągnęła śnieżycą.

W Sejmie zatarły się granice między posłami Zwycięskiej Prawicy a grupą Hyclowej, pederastami i mniejszościowcami. Deputowani Konfederacji Ojczyściej domagali się głowy Kornego, posłowie Jednej Polski – aresztowania generała Tajnera i dymisji Packi, posłowie opozycji – i tego, i tamtego, choć prokurator krajowy nie zdradził wszystkich bulwersujących szczegółów, a nawet sporo nakłamał. Rzekł mniej więcej tyle: rozbita już grupa terrorystyczna, która porwała Prezesa, miała w szeregach agentkę, chorążą ABW. Ta rozpracowywała bandytów i winna im przeszkodzić w końcowej fazie przestępstwa, a jednak – jak wiemy – zawiodła. Z powodów, które będą wnikliwie wyjaśniane, nie zapobiegła dzisiejszym wydarzeniom. Fakt ten obciąża oczywiście jej bezpośredniego zwierzchnika – Franciszka Fagalskiego, a także jego zwierzchnika – generała Tamira Tajnera, który leży w szpitalu i będzie tam słuchany. Odkrycia miejsca bandyckiego sądu nad Prezesem – a był nim opuszczony tartak w powiecie monieckim – nie zawdzięczamy agentce, która nawaliła, lecz tylko i wyłącznie śledztwu prokuratury. Śledztwu, które prowadził na miejscu on sam (Łukasz Łajdus) oraz naczelniczka wydziału śledczego jednostki w Białymstoku, pani Hanna Chwast. Dochodzenie od początku skutecznie nadzorował minister Felicjan Filut, który się lada chwila pojawi na sali.

Jeśli się rozchodzi o rzekomy streaming, wszystkim doskonale znany, to był on przesuniętą o prawie godzinę retransmisją, a kwestii odpowiedzialności wiadomego wydawcy za rozpowszechnienie skandalicznego, wołającego o pomstę materiału rząd nie puści płazem. W chwili zatrzymania dwójki porywaczy (i przerwania transmisji) na miejscu przestępstwa Prezesa nie było. Znany wszystkim z widzenia oficer w rynsztunku szturmowym, który zakończył nagranie, znajdował się w zespole roboczym pani prokurator i brał udział w zatrzymaniach dwojga

z trójki zbirów. Ten zespół zadaniowy cały czas prowadzi czynności na miejscu, osobna grupa poszukuje trzeciego bandziora i pana Prezesa. Dane terrorysty są wszystkim znane, jest to wichrzyciel kojarzony z antypolskimi akcjami, monitorowany już wcześniej przez służby uczestnik rozruchów i przeciwnik rządu. Jego mieszkanie w Warszawie właśnie podlega przeszukaniu, zakreślono też obszar, gdzie się obecnie ukrywa i więzi ofiarę. To leśno-bagienny teren w górnym biegu Biebrzy. Zatrzymanie bandyty i uwolnienie Naczelnika Państwa jest kwestią kilku chwil.

– Być może następuje właśnie w tym momencie!

Odpowiedzialnością polityczną za bezprzykładny akt przemocy prokurator krajowy obarczył opozycję i antypolskie media. Wymienił portale Helsińskiej Fundacji, „Wyborczej”, Amnesty oraz Wolną Europę.

– ...wpływ mediów dywersyjnych na działanie sprawców jest nadto oczywisty, jeśli się weźmie pod uwagę rozpowszechnione dziś treści. Treści, których nie umiem określić inaczej niż jako wykwit chorej wyobraźni degeneratów patologicznie nienawidzących ojczyzny, jako ściek myślowy, a nie akt oskarżenia! Aktem oskarżenia całej przestępczej szajki, do której zaliczam niestety wielu z tu obecnych (okrzyk z sali: „Spierdalaj!”), była mowa Prezesa, której wysłuchaliśmy. Jego nieugięta postawa w obliczu terroru niech będzie dla nas wzorem przy wyciąganiu najostrzejszych konsekwencji wobec winnych karygodnych zaniedbań, a także złej woli, żeby nie rzec spisku!

Okrzyk z sali wedle sporządzonego potem stenogramu: „Spisku konfidentów!!”.

Odpowiedź: „Sam jesteś, chamie, konfident!!”.

Po Łajdusie na mównicę wszedł poseł Jednej Polski Ciemniak, członek komisji służb specjalnych, o którym „Wyborcza” pisała, że łomocze i partnerkę, i dziecko. Zażądał, by Pacyna przestała się zasłaniać sztabem

kryzysowym, by przybyła do Sejmu, skoro pan prezydent mógł przerwać kolację w Watykanie i leci do kraju. Poza tym posłom należą się ze strony komitetu kontroli jakieś wyjaśnienia.

– Konkrety, nie takie świstki!

Tu parlamentarzysta pokazał zebrany plik sześciu dzisiejszych raportów, a potem rzucił nim w stronę konfidentów:

– Jeżeli służby monitorowały tego Szymona Sztorma, to ja się państwa pytam: od jak dawna agencja bezpieczeństwa i komitet wspólny wiedziały o planach porwania?! Jakie podjęto działania chroniące Prezesa?! Kto w ogóle prowadził na miejscu całą operację?! Chyba nie jedna chorąża?! To bardzo teraz wygodne, że generał Tajner jest chory!

Po Ciemniaku na podest wdarła się bez żadnego trybu posłanka Konfederacji Ojczyściej – nieforemna baba z wysoko upiętym kokiem, która powinna więcej czasu spędzać u dentysty, a mniej na solarium. Zadała retoryczne pytanie o odpowiedzialność policji, a szczególnie cebosiu, a jeszcze bardziej – wydziału zwalczania aktów terroryzmu.

– Tu się powinien wytłumaczyć pan minister Korny! – krzyczała, lecz mało kto słyszał, ponieważ marszałek Powolny wyłączył jej mikrofon, a grupa jedнопolaków buczała i gwizdała. Lubelski poseł Hyclowej stanął na skraju mównicy i wrzeszczał, że tak naprawdę wszystko to zmontowały służby, że Kaczor siedzi w domu, drapiąc kota po jajach, transmisja jest wielką ściemą, a chodzi jedynie o to, by powsadzać za kraty tych, co jeszcze nie siedzą, wprowadzić stan wyjątkowy, odwołać wybory, ponieważ władza się boi obserwatorów z Unii.

Chłop chciał się podzielić z widownią czymś jeszcze ważniejszym, lecz na rozkaz Powolnego wkroczyła straż sejmowa, zaczęła się szarpanina. Dalej wielu zebranych wyrzaskiwało żądania już prosto w nagrzone powietrze, oczywiście wszyscy śledzili przy tym w smartfonach wypadki

na Podlasiu i rozruchy w kraju. Sprzeczne doniesienia potęgowały chaos. Konferencja prasowa posła Cyganiaka w Sali Chorągwieńskiej skończyła się, jak się skończyła, więc Wolna Europa, „Wyborcza” i tego typu kanały zaczęły utrzymywać, że cała Banda Trojga (nie tylko jedna osoba) to prowokatorzy, wysłannicy służb. Inne witryny wypuszczały coraz dziwniejsze newsy:

„Pan prezes już uwolniony i w drodze do Warszawy”;

„Stołeczne metro stanęło, bo ktoś zagroził zamachem”;

„Porywacz otoczony, trwają negocjacje, bandyta żąda zwolnienia Seweryna Swata i jego współpracowników”;

„Pod Ełkiem policja otworzyła ogień do uciekającego auta, ranne są trzy osoby”;

„Terrorysta Sztorm wysadził się bombą, razem z nim zginął Prezes i prokuratorka (osierociła córkę)”;

„Wybuchły bunty w więzieniach w Płocku i Czerwonym Borze”;

„Rosjanie zaproponowali pomoc w znalezieniu Prezesa, chcą przysłać własną grupę dochodzeniową, która już czeka na przejściu w Bezledach”.

Na sali potworzyły się grupy i grupki, męska część Konfederacji Ojczyściej sformowała szpaler, by blokować podest. Zaczęli śpiewać *Bogurodnicę*, potem *Boże, coś Polskę...* Większość jedнопolaków skandowała: „Spi-sek!!” oraz „Kon-fi-den-ci!!”. Posłanki z Konfederacji Ojczyściej odpowiadały: „Zdra-da!!”, „Hań-ba!!” oraz „Pro-wo-ka-cja!!”. Opozycja krzyczała: „Rząd do zmiany dzisiaj!!”.

Po serii ostrych interwencji strażników do mikrofonu wrócił – za zgodą, a właściwie na rozkaz marszałka – ten sam Celestyn Ciemniak, który przemawiał zaraz po Łajdusie. Powolny kazał mu uzupełnić wypowiedź, bo wcześniej buć o czymś zapomniał. Teraz, machając rękoma, informuje zebranych, że żona czy też była żona aktualnego wroga publicznego numer

jeden, niejaka Sabina Sztorm z domu Sobek, jest dyrektorką w resorcie infrastruktury, prawą ręką ministra Grzegorza Gładkiego, dziwnym trafem nagle tu nieobecnego. Nici prowadzących do konfederatów jest, jak widać, tyle, że najwyższy czas na wotum nieufności dla wszystkich ministrów tej partii i samej Pacyny, która powinna tu przybyć, tymczasem ma izbę w głębokim poważaniu.

– Ten kryzys obnażył prawdziwe oblicze naszych koalicjantów!

Okrzyki z sali: „Nie koalicjanci, tylko konfidenci!” oraz „Twoje hemoroidy obnażył!”.

Ktoś rzuca w Ciemniaka chińskim długopisem, ktoś inny – ściągniętą z giry skarpetą. Poseł się nie poddaje. Woła, że Jedna Polska niniejszym wysuwa na stanowisko premiera pana marszałka doktora Piotra Powolnego i domaga się głosowania natychmiast, bez debaty.

Opozycja oczywiście popiera, konfederaci krzyczą o łamaniu konstytucji, ponieważ wotum nie można głosować od razu, są na to procedury, muszą się wypowiedzieć prezydent i sama premierka, jest siedmiodniowy termin *et cetera*...

– Teraz nagle się konstytucja przypomniała?!

– Nie kpij sobie, Ciemniak!

– Do budy!

Zaatakowanego wspomaga szef klubu Jednej Polski, który przedarł się jakoś przez szpaler oponentów. Argumentuje z mównicy, że w sytuacji zagrożenia państwa należy natychmiast rozbić spisek, bez względu na procedury. Po pierwsze, rozwiązać sztab kryzysowy, który nic nie robi – bo jak ma odnosić sukcesy, gdy siedzą w nim (czy siedzieli) spiskowcy, jak Tajner? Po drugie, kompetencje sztabu przejmie prezydium Sejmu. Po trzecie, powołana zostanie dziś jeszcze parlamentarna komisja śledcza, która zacznie pracować. Musi zostać wyjaśniona rola polityków

w porwaniu Prezesa. Pierwszymi przesłuchanymi będą szef abwery (choćby go tu mieli dostarczyć na noszach) oraz przełożony chorążej Franciszek Fagalski.

36. Długi rozdział, w którym pięć osób zostaje otoczonych przez kilkadziesiąt innych, a puzzle zaczynają wskakiwać na miejsca

Skoro nie dało się wyjechać na szosę Goniądz–Dąbrowa Białostocka, plutonowa Krótka i chorąża Męka postanowiły spróbować przejazdu wzdłuż rzeki w kierunku twierdzy Osowiec. Droga wpierw biegła przez las, potem zarośniętymi niwami, minęły traktor, a właściwie wrak, skoro jednak ktoś kiedyś tu wjechał, to i one powinny się w końcu dostać na jakiś żwir czy szuter. Monika briefowała Łylego, pozwoliła mu również wyjść z auta i napić się wody prosto z niewielkiej strugi. Teraz – już trochę rozgrzany pod kocem oblezionym przez ostre psie kłaki – dziennikarz przyswaja informacje na temat dzisiejszych wydarzeń. Co najmniej pięć redakcji czeka na korespondencję, on ma coraz więcej ekskluzywnych... mało powiedziane... po prostu rozpierdalających totalnie megainformacji, lecz nie ma zasranego telefonu, by nagrać relację i wysłać do wszystkich miejsc naraz.

Droga, a dokładnie dwa równoległe przedepy w ośnieżonej trawie, wykręca takie same esy-floresy jak z grubsza równoległa Biebrza. Posuwają się – w linii prostej – może dwadzieścia kilometrów na godzinę

albo i nawet nie to. Paliwa w fiacie zostało na kwadrans jazdy w tym tempie. Tyle dobrego, że świetnie znać teren, bo śnieg już nie pada, księżyc – jak lampa śledczego w starym filmie o szpiegach – błyszczący nad białym i płaskim pustkowiem. Przez to, że dobrze widać, Krótka dostrzega z daleka drewnianą kładkę nad wąskim dopływem. Na pewno autem po niej nie przejadą.

– Za wąsko.

– Nie powinniśmy się dać wycofać tym żandarmom, klaunom. Co teraz?

Wzdłuż kanału, wśród nadrzecznych zarośli odchodzi w prawo ślad ścieżki, ledwo do odróżnienia od reszty rozłogu. Skręcają. Struga spływa, jak się okazuje, z małego zalewu, który może być odciętym zakolem rzeki albo stawem rybnym. Jeden brzeg jest wysoki, za nim liściasty zagajnik, drugi brzeg jest niski i sterczy tam szopa. Z komina idzie dym, wiatr zwiewa go na południowy zachód, ze szpary w oknie sączy się mikroskopijne światło, jakby świecy czy lampy naftowej. Przed budą nie ma samochodu, jest tylko odwrócona dnem do góry łódź.

– Jeśli ktoś tam siedzi, musi mieć telefon.

Kiedy podjeżdżają, z wnętrza (albo z zaplecza) dochodzą dwa strzały. W tej chwili Krótka, Męka i Łapserdak myślą o tym samym. W chacie schował się porywacz z Prezesem. Właśnie zastrzelił starca, a potem siebie samego. Nie... jednak ktoś przeżył. Drzwi się otwierają, staje w nich chudy facet, właściwie szkielet gościa, i to na tle ognia – jakby trup szedł z piekła. Księżyc wali na niego niby sceniczny spot. Już drugi łeb w samych gaciach i butach, z tym że ten jest starszy niż redaktor William, jakiś taki... wyniszczony, niezdrowy, posępny. Ręka obandażowana szmatą, twarz w sadzy, na środku policzka dziura (może ślad po kuli?), a krew – bo to chyba krew – rozmazana na wystających żebrach jak plama w teście

Rorschacha. Resztki włosów z głowy sterczą niczym sierść na dziku, krzywe okulary, pistolet w lewej łapie – bo to chyba pistolet. Na pewno. Glock luger. To on przed chwilą strzelał.

– Ja pierdolę, Szmer... zajebał Kaczafiego?

Pytanie chorążej Męki działa na Łapserdaka jak smagnięcie biczem. Wszystko, co usłyszał w radiu i od agentek, całe dzisiejsze puzzle... wszystko się układa. Wysoki chudzielec w brylach, członek Bandy Trojga, najbardziej poszukiwany człowiek, rozbójnik numer jeden, as pik w talii kart – we własnej osobie. Zastrzelił Prezesa?! Jezus, kurwa, Maria!! Dziennikarz wysiada pierwszy, podnosi obie ręce, jakby szedł do niewoli, psi koc z niego spada, scena jest komiczna. Dwóch roznegliżowanych gostków na dziewiczym śniegu. Patrzą na siebie niczym Livingstone i Stanley. Łyli powinien teraz spytać Szmera: „Pan porywacz, jak sadzę?”. Ale mówi coś całkiem innego:

– Jestem dziennikarzem. Nazywam się Łapserdak. Robię dla wolnych mediów. Czy tam w środku jest Prezes? Czy żyje?

Szymon nie odpowiada. Chwilowo nie interesuje go ani brodaty patafian, ani przyczyna tego, że jest goły. Dostrzegł wysiadającą Madonnę99 i przygląda jej się uważnie przez zaparowane, uszkodzone szkła. Ukradła kolejny radiowóz? Co tu, do nędzy, jest grane? Kaszle, podnosi rękę z bronią na wysokość szyi, trzyma splotkę poziomo, lufą ku przybyłym, kołysze nią, jakby w rytm jakiejś rzewnej melodii, która gra mu głowie. On chyba jest pijany.

Naćpany?

Postrzelił się w twarz?

Chorąża pokazuje wnętrza obu dłoni.

– Nie strzelaj, wszystko wytłumaczę! Jestem agentką abwery! Robiłam swoją robotę! Daliście się wkręcić, to nie moja wina, że akurat wy. Nic do

ciebie nie mam. Nie chciałam Prezesa trafić, mówiłam przecież, celowałam obok. Przecież nie oszalałam. To była część przedstawienia... ale się porąbało i teraz polują na mnie. Nie chcemy cię aresztować. Nie mamy broni! Potrzebny nam tylko telefon i sobie jedziemy.

– Tutaj nie ma za-za-zasięgu i nikt już stąd nie odjedzie. – Sztorm opuszcza lufę i wraca do wnętrza. Kłamstwa Madonny nie mają znaczenia. Jej prawda zresztą też nie. Melodia – rzeczywiście – wypełnia mu głowę i faktycznie jest rzewna. Słynny kawałek Waterboysów: *I never got to Kiev. We never came by home...* On też już nie wróci do domu. Już nie zobaczy Warszawy. Swojego ciasnego mieszkania obciążonego długiem. *I never got to Warsaw. We never came by home.* Fale wódki, dragów i lekarstw zalewają mu trzewia, rozpuszczają kości, krew rozlewa się po ciele swobodnie, dociera nareszcie do zsiniałych rąk, zdrętwiałych stóp, koniuszków uszu. Każda cebulka, każdy centymetr skóry wciąga w siebie ostatki narkotyków, cukru, alkoholu. Ciało zaczyna gąbczeć, począwszy od rdzenia, ale peryferie jeszcze funkcjonują, wydłużają się paznokcie i włosy, choć nie wiadomo po co. (Przekonanie, że rosną także po śmierci, to jeden z mitów medycznych. Umarły wysycha, a odwodnienie sprawia, że skóra i inne tkanki miękkie cofają się i klęsną. Włosy i paznokcie – jeśli nienaruszone – wydają się nagle dłuższe, lecz to tylko złudzenie). – Tutaj nie ma za-za-zasięgu i nikt już stąd nie odjedzie – Szymon powtarza to zdanie jeszcze raz albo tylko mu się wydaje, że je powtarza.

– Nie ma zasięgu, ale telefon masz? – Pytanie Moniki Męki odbija się od jego kościstych pleców. Sztorm nie tyle wraca, ile wpływa do chaty. Na tle płonącego kominka robi się mniej wyraźny niż w świetle księżyca. Łapserdak wchodzi za nim. Na widok Prezesa w łóżku wydaje z siebie ni to czknięcie, ni wizg. Coś mu tam w środku strzeliło z podniecenia.

– Nie... matko, kurwa... nie wierzę.

Za to zdjęcie – porwanego Obywatela Numer Jeden, lekko zaślinionego, rozczochranego, brudnego od sadzy, w barłogu z podartym prześcieradłem, z obtłuczonym kubkiem, unieruchomioną ręką i przewiazanym szmatami tułowiem – dostałby World Pressa. To jak sfotografować Nataszę Kampusch w piwnicy, bin Ladeną przy ostatniej kolacji z dziećmi, Clintona, jak podaje lachę Monice Lewinsky. Wystarczyłby telefon bez zasięgu. Ale chudzielec o spalonych włosach, wyraźnie nieprzysiadalny, nawet jeżeli ma tutaj komórkę, to na pewno nie trzyma jej w mokrych bokserkach, które mu spadają. Powinien mieć do nich jeszcze hawajski naszyjnik z czerwonych i żółtych kwiatów. Zachowuje się, jakby był na urlopie. Jakby przyjechali z Prezesem na ryby i grzyby. Stęka, kucając przy kominku, właściwie nie tyle nawet kuca, ile jakoś dziwnie się składa, jakby zeń spuścić powietrze. Wrzuca do środka stare czasopisma. Bierze w garść napoczętą flaszkę, opada na podłogę, pije wodę z gwinta w pozycji półleżącej, lecz broni nie wypuszcza. Gapi się w żar, w te tysiące płonących nerwów, których kształty obchodzą go chyba bardziej od tego, co się wokół dzieje. Od tego, że zaraz tu wjadą. Że mogą go zastrzelić.

Z ogólnej rozpierduchy można by wnioskować, że Prezes i porywacz stoczyli tu walkę, lecz Łyli myśli szybko, bo jest teraz na akcji – akcji swego życia. Przewieszzone przez półkę przy ogniu parujące spodnie, kłęb mokrych ciuchów na ziemi, okno zastawione blatem – pewnie się przez nie włamali. Kubek w ręce Kaczora i butelka wina – już prawie opróżniona. Człowiek szkielet się w tej chałupie Prezesem opiekuje. Musieli mieć jakieś przykre przygody w lesie, stracili auto, wpadli do wody i tutaj się schronili. Rozbijają meble i palą. Piją alkohol, suszą odzież. To unikalna chwila, by zadać kilka pytań.

– Jestem dziennikarzem. Nazywam się Łapserdak... – Staje w pół drogi między progiem a wyrem. Zaczyna cicho, by nie straszyć starego. –

Chciałem pana Prezesa spytać, czy...

– Potem będziesz pytał. – Chorąża Męka odsuwa dziennikarza, waląc go łokciem w bok. Też wie, że ma mało czasu. Staje przy łóżku Prezesa. – Nie celowałam do pana, celowałam obok. Kazali mi to zrobić. Zaszantażowali. Nie chciałam trafić.

– Kto panią szantażował? – Kaczyński pyta takim głosem, jakby rozgryzał pumeks. O kilka tonów niższym niż jego zwykły tembr.

– Plan prowokacji był inny. Mieli to szybko przerwać. Uwolnić pana w ciągu pierwszej godziny. Może nawet szybciej. To nie ja wymyśliłam. Wykonywałam rozkazy. To miało pomóc partii...

– Trzeba przestać pierdolić i coś wreszcie zrobić, tak? – Szymon Sztorm już nie patrzy w ogień. Patrzy z podłogi na Madonnę99. Podciągnął nogę, oparł na kolanie rękę, w której trzyma broń. Celuje w chorążą. Lufa drży. – Trzeba się ruszyć jeszcze przed wyborami, bo potem dokręcą śrubę, tak?

– Wykonywałam rozkazy. – Usta Mony trzepocą, rysy twarzy się rozjeżdżają. Zaczyna płakać. Gdyby wyciągnąć z niej korek, spłynęłaby na podłogę. – Szantażowali mnie...

– Nie rób tego! – Prezes gwałtownie kręci głową, oczy ma wbite w Szymona. – Pamiętasz, co mówiłem, jeszcze nic nieodwracalnego...

Porywacz naciska spust. Huk jest taki, jakby w dach chałupy walnął pięścią olbrzym. Ze ściany za Madonną odskakuje drzazga – długa na dwa palce. Wszyscy zamierają we wcześniej przyjętych pozycjach niby na spauzowanym wideo.

– Nie celowałem do pani, celowałem obok. – Szmer wypowiada sześć słów, jakby grał źle obsadzoną rolę. Monika Męka sika w policyjne spodnie i nawet tego nie czuje. Blednie, łyzy jej ciekną jak soki z brzozy, twarz robi się zupełnie brzydka, nieinteligentna. Razem z płynami z ciała uszedł ten bardziej wartościowy kawałek jestestwa.

– Proszę mi nalać do kubka. Kto panią szantażował? – Prezes ma jednak (nawet w tych warunkach) niesamowitą zdolność zamykania jednych sytuacji, by otworzyć inne. Nadal chrypi i zapewne będzie ciężko chory, ale na razie – rozgrzany, po eliksirze i winie – jest gotów naprawiać stan rzeczy. Sparaliżowana Madonna nie może się ruszyć, więc Krótka, która przymknęła właśnie drzwi wejściowe, podchodzi, by spełnić życzenie.

– Kto panią szantażował? Pytam. – Ton Wodza jest wciąż zardzewiały, coś chrzęści między zgłoskami.

– Dzisiaj przed jedenastą zdjęli mnie na szosie. – Chorąża pozostaje sztywna, patrzy prosto przed siebie, w jakiś punkt na ścianie. Odpowiada głosem syntezatora Iwona. – Czterech, mundury bez dystynkcji, armijna broń, każdy miał inny zestaw, jak dla mnie: CBŚ, zwalczanie aktów terroru, coś takiego. Dowodził szatyn, pięćdziesiąt lat, ponad sto dziewięćdziesiąt wzrostu, brzydkie plamy na szyi, problemy żołądkowe. Widziałam go potem w tartaku. Ten, co stale żuł gumę.

– Nazywa się Zupak – mówi wyraźnie Krótka. – Podobno jest cynglem ministra Kornego.

Sztorm jednak słuchał uważnie, bo zerka z dołu na Kaczkę, a Prezes na niego. Jak gdyby obaj czekali na to konkretne nazwisko. Na to, że przyjadą Kamila z Moniką i wyjaśnią sprawę. Można by pomyśleć, że ta nora jest miejscem, w którym się wszystko rozstrzygnie. Może właśnie tak jest.

– Nie wiedziałem, że moi ministrowie mają jakichś cyngli. – Kaczyński pije, część wina ścieka po brodzie. Obciera ją wolnym nadgarstkiem. Jego ton, nadal niski i szorstki, jest zarazem uległy. – Sam widzisz, synu, z kim muszę pracować... widły, cepy i młoty.

Łyli wyczuwa dziwną wspólnotę między Prezesem i Sztormem, choć jej nie rozumie. Czy oni wspólnie przyćpali? Może jakieś grzyby? Może te sznury suszonych na ścianie to psylocybiny? A ci leżą sobie w tym

syfie jak para bezdomnych patusów po włamie na altanę. I z całej piątki obecnych najmniej się denerwują. Szymon wrzuca do ognia ostatnie papiery, wtyka kopyto pod pachę, jakimś pajęczym ruchem przysuwa się do tapczanu. A Kaczor... ożeż kurwa jego... on się po prostu śmieje. Ale to śmiech kogoś, kto będzie niedługo zabijał złych ludzi.

– ...czyli jednak to Korny. – Dopija, odstawia kubek, ten stacza się z pościeli na zaświniony dywan. – Przejrzał, co tamci knują, i docisnął sprężynę na konto generała. Przechytrzył Tatarzyna. Wykorzystał okazję. Moskiewska robota, oni to ćwiczą już przeszło sto lat. Sto lat bezczelności. Cały wiek kłamstwa i chamstwa. On nie jest tylko ruskim szpiegiem. Jest prowokatorem.

– Z tego, co mówiłeś... mógł z czystej nienaaa...wiści... dooo... – Sztorm szepce z wysiłkiem, nie może skończyć zdania. Ma tembr aktora Himilsbacha w jego ostatnich latach. Wyciska z siebie zgłoski, jakby odrywał strupy.

– Do Tajnera?

– Żeby go... utopić... odegrać. Twym kosztem. Ko-o-osztem twego życia.

Łapserdak już chciał się wtrącić, już otworzył usta, lecz go przymurowało.

„Z tego co mówiłeś”? „...twego życia”?

Kaczor i porywacz już przeszli na ty? Co tu się, kurwa, stało? Co zaszło między nimi dwoma w ostatnich godzinach? Odkryli, że są kuzynami? Odbyli rytuał wymieszania krwi? Postanowili rzucić wszystko i zostać nad rozlewiskiem, by żyć z rybołówstwa?

– Model operacyjny wskazuje... – Prezes poprawia się w barłogu, zdrową ręką przesuwa poduchę. – Podwójna *maskirowka*, zagranie pod obcą banderą.

– Ale po kiego diabła? – Sztorm z wysiłkiem wyciąga flaszkę w kierunku kompana, lecz ten kręci głową. Nie chce ciepłej wody. Już przecież raz mówił. Łapserdak przebiera nogami, jakby musiał do klopa. To wszystko wygląda na teatr. Konwersatorium polityczne sobie urządzają. Klasyczny syndrom sztokholmski. Ta historia już dawno przerosła siebie samą. Królestwo za telefon...

– Jesteś taki naiwny czy udajesz, synu? – Kaczafi strofuje chudzielca, jak gdyby rzeczywiście był mu teraz ojcem. Jakby byli tu sami. – Destabilizacja jest celem w sobie. Stwarza możliwości. Nigdy nam nie odpuszczą. Nigdy nie śpią, kanalie. Wspierają antykapitalizm, feminizm, genderyzm, klimatyzm, homodemonstracje, rozsiewają *fake newsy* o depopulacji, efekcie cieplarnianym, zagrożeniu faszyzmem, szkodliwości szczepień... to wszystko ruska robota.

– To wszy-yy...stko, czego nie lubisz.

– Nie wiesz tego, co ja wiem. Jak myślisz, co słyhać w Warszawie? Bo ja się domyślam. Już sobie skaczą do gardeł. Sierpy, widły i młoty. Wam to trudno zrozumieć, ale jestem osobą... ostatnim gwarantem porządku. Powolny, Filut, Cyganiak, Hyclowa... przewrotni, aroganccy, kłamliwi, żądni władzy. Nie tylko Tajner i Korny są w kleszczach własnych kłamstw i grzechów. Cała moja partia, nasza koalicja... wiesz, że od sześciu miesięcy nie bierzemy jeńców...

– O tym wie ca-cała Polska.

– Nie można prowadzić wojny i mieć czystych rąk. Już nawet nie o tym mówię, że cel uświęca środki, ale po prostu żołnierz się na wojnie brudzi, krwią także, to nieuniknione. Walczymy na bagnety. Oko w oko z wrogiem. Ludzie się w tej walce zużywają. I demoralizują. Ale że ta kanalia opasła, że ten jurgieltnik będzie mnie gotów zabić cudzymi rękami... tego się nie spodziewałem. A pewnie powinienem. Ciekawe, ile wziął rubli.

– Myślę, że po-o-brał w dolarach.

– ...wyhodowałem hydrę. Najślabszym ogniwem zawsze okazuje się człowiek. Pieniędzy najbardziej łakną ci, co już mają.

Ostatnie zdanie Prezesa miesza się z hałasem. Wszyscy zebrani w szopie poznali dobrze ten rumor. Helikopter. Chyba więcej niż jeden. Buda się trzęsie, blat stołu spada z parapetu okna. Na zewnątrz widno jak w dzień. Blackhawk, który zawisł nad dachem, oświetla halogenem całą okolicę razem z fragmentem wody. Od strony płaskiego pola i od strony trzciny nadciąga kilka ekip. Wynurzają się z mroku, wdzierają w jasny krąg. Pieszko i w samochodach. Szczekają psy, ludzie się nawołują, warczą silniki, błyskają niebieskie i czerwone światła, mrugają żarówki latarek i mnóstwo diod, śmierdzi spalinami. Broń, aparatura, mundury różnych formacji, skoncentrowana siła, testosteron, paliwo, żelazo. Przybywa państwo polskie. Jest tutaj prokurator Chwast, jest sierżant Służący, jest aspirant sztabowy Warchoł, są także dwaj myśliwi z Bargłowa – rzeczywiście bliźniacy. Oprócz śmigłowca, co wisi nad szopą, nadleciał drugi, typ Bell, własność Biura Operacji Antyterrorystycznych. Ten ląduje jakieś dwadzieścia metrów za fiatem z Grajewa i łodzią nieobecnego właściciela chaty. Wznieca śnieżne tumany i zagłusza tego, co krzyczy przez megafon. Sztorm próbuje wstać, trzymając się ściany i rantu kominka. Wygląda paskudnie, dźwiga się jak larwa, jak ktoś, komu połamano kości. Nie daje rady stanąć, chwieje się, zaraz upadnie. Łapserdak przytrzymuje go wpół, unosi z dziwną łatwością. Ma wrażenie, jakby porywacz był z gąbki. Pozbawiony wagi przelewa się przez ręce, choć nie puszcza broni.

– Tu popatrz – mówi. Z ust spływa mu krew. Nie chlusta, tylko po prostu cieknie. Ulewa się swobodną strużką grubości tasiemki, spływa po brudnej brodzie, po zapadniętej i już wcześniej zakrwawionej kłacie, po wklęsłym brzuchu. – Tutaj patrz – powtarza.

Na kominku, za obrazkiem Chrystusa Króla Polski, popielnicą i słojem z marynatą leży telefon – czarny myPhone, którego nikt z przybyłych jak dotąd nie dostrzegł.

– Szymon Sztorm!! Wyjdź z podniesionymi rękami!!

Policjanci, żandarmi, agenci i antyterrorysty zajmują pozycje dookoła chaty. Kilka laserowych wiązek wpada przez dziurę po oknie.

Szmer przystawia usta do twarzy trzymającego go w pionie Łylego. Brudzi dziennikarza rudą krwią wymieszaną z sokami żołądka, niestrawioną wódką. Ostatkiem sił ściska go w nadgarstku. To znaczy wydaje mu się, że ściska, bo już nie ma siły.

– Daję ci skarb – szepce. – Plik dźwiękowy. PIN jeden, osiem, zero i szóstka. Pamiętasz?

– Jeden, osiem, zero, sześć. Tak.

– Włóż do buta. Puść mnie i otwórz drzwi. Reszty nie trzeba,

– Odłóż pistolet, oni cię zastrzelą.

– To nic. Nie spierdol tego. Tego, co ci dałem. I otwórz mi drzwi.

Głos z megafonu powtarza komunikat. Wyjść z rękami w górze! Prezes, Krótka i nadal rozedrgana Męka zerkają przez okno. Łapserdak chowa telefon. Sztorm sunie do wyjścia oparty o ścianę. Jego chude nogi ruszają się jak odnóża zdychającego na piasku kalmara. Wywraca półkę, z której zrobił wieszak, jebać spodnie, w Dolinie Jozafata wszyscy i tak wstaną nadzy. (Nikt, Szymku, nie wstanie. Religia i jej pochodne to tylko sposób organizacji wielkich rzesz ludności. Twórcy ewolucji społecznej. Albo językowy wirus, który zmienia mózg, tępiąc przejawy myślenia. Bramka obraca się wyłącznie w jedną stronę, jak kołowrót w metrze. Już ją przecież widzisz).

– Sztorm!! Jesteś otoczony!! Wyjdź natychmiast z podniesionymi rękami!!

Detektyw Cohle miał rację: oczekiwanie na światło w tunelu to błąd ontologiczny, który sprzedają nam katabazy, psycholodzy też zresztą. Stymulują naszą wrodzoną skłonność do iluzji. Zawsze jest z tego forsa. Za bramą nie ma nic – tylko przestrzeń, w której czas wiecznie stoi.

– Sztorm, poddaj się!!!

– Nie spierdol. Otwórz.

Łapserdak, skulony przy ścianie, pcha drzwi i od nich odskakuje. Przez otwór wpada naraz kilka snopów światła. Zasikana chorąża z błądą plutonową wciskają się za łóżko. Skulone przy wezgiłowiu, jakby Kaczor mógł je teraz chronić mocą swojej władzy, zerkają na Szmera. A ten kolebie się w progu, głowa na spęczniałej szyi robi dziwne obroty razem z ramionami, przez moment patrzy na Wodza i obie agentki, jego twarz jest po prostu przeraźliwa. Jak u żywego trupa.

– Mam na imię Szymon – bulgoce. Zakrwawione, nieforemne usta boksera w ostatniej rundzie sprawiają, że brzmi jak świadek koronny o zmienionym głosie. Porwany w ogólnym rumorze raczej go nie słyszy. Powtarza to, co raz już mu mówił:

– Nie wychodź z pistoletem.

Oparty o futrynę nikogo nie słucha, przestępuje próg. Musi zarzucić biodrem, aby zrobić krok. Umiera na stojąco, wielokroć i we krwi, jak Husajn, syn Fatimy, na piaskach pod Karbalą. Ale lugera trzyma. Przeszło trzydzieści par oczu wpatruje się intensywnie w tę broń.

– Rzuć to i odejź od budynku!!!

Przez megafon przemawia dowódca grupy pościgowej, inspektor Kajetan Klocek. Ma spodnie wojskowe i kamizelę taktyczną na puchowej kurtce, ryczy, ile wlezie, ale i tak nie ma pewności, czy śmigło go nie zagłusza. Już dwa razy polecił, by pilot podniósł cholerną maszynę, jednak

sierżant Służący, który robi wszystko, by się teraz przydać, ma problem z przekazem.

Szmer chce unieść gnata, lecz nie daje rady. Za ciężki. Ręce też już bezwładne, nogi są galaretą. Z rozgrzanego ciała idzie para jak z końskiego grzbietu. Dopóki stoi w wejściu, nikt z przeciwka nie strzeli. Lecz Zupak i Murzyński są z boku. Zaparkowali przy doblo, na widok otwartego auta swego przewodnika i koca na śniegu wilczur się ucieszył. Pozwolili mu zostać, sami odeszli na trzydzieści metrów, poza okrąg światła, każdy w inną stronę. Pułkownik rozłożył kolbę glauberyta, wtulił gumowy trzewik w pachę, jest gotów do strzału. Może w tej chwili sprzątnąć terrorystę, nie dziurawiąc budy. Czeką na rozwój wypadków.

Zupak ustawił się w miejscu, z którego może zajrzeć do chaty przez otwór po oknie. Światło z helikoptera sprawia, że wewnątrz wydaje się czarne, ale takie nie jest. Szczególnie gdy się przyłoży do oka lunetę remingtona. Ponad parapetem widzi przeciwległą ścianę, na niej sznury grzybów, obity klinkierem czopuch, a bliżej – plecy dziennikarza, którego puścił w majtach cztery godziny temu. I czubek innej głowy, ale to nie są czarne włosy chorążej Moniki Męki, głupiej motocyklistki. To ta druga pizda. Plutonowa jakaś tam, zapomniał, chociaż ich sobie w tartaku pokazano. Ciasno owija na łokciu pas od karabinu. Mógłby pewnie wypatrzeć Mękę (i strzelić), gdyby się na coś wspiął. Tylko nie ma na co. Jedyne wzniesienie – po drugiej stronie wody. Nie zdąży tam dobiec. Czeką na rozwój wypadków.

– Powtarzam, odejść od budynku i rzuć to!! – Inspektor z megafonem stoi pochylony za drzwiami srebrnego pick-upa, własności jednostki z Ełku. Od strony rzeki wciąż zjeżdżają coraz to nowe wozy. Augustów, Łomża, Mrągowo. Jest już i negocjator Gamajda, który podbiega do Klocka, by coś mu gwałtownie tłumaczyć. Sierżant Służący daje mu własną kamizelę

z kevlaru i do tego kask. Pilot śmigłowca wreszcie odebrał przekaz od Służącego, unosi się, okrąg światła rośnie, w tej chwili stoi w nim, kuca i czai się na różne sposoby ponad czterdziestu mężczyzn i kilka kobiet z bronią. Zupak, cały czas z lunetą przy oku, zaczyna się cofać. Woli zostać w półmroku. Antyterrorysty z Włochowskiej podchodzą od tyłu pod okap budynku. Już tam wszyscy są. Megafon przejmuje Gamajda.

– Nie chcemy cię zabić! Wysłuchamy życzeń! Zaraz ktoś podejdzie! Nie strzelaj!!

Oświetlony golas głodomór o twarzy zombie robi niepewny krok w przód. Chwieje się i rozgląda, jakby był w jakimś zoo. Barki, ręce i nogi chodzą mu osobno, bez związku jednego z drugim. Migalki odbijają się w pękniętych okularach. Śmigłowiec znów idzie wyżej, okrąg światła rośnie, Zupak jeszcze się cofa. Kroczy wstecz miękko jak kot, karabin wyborowy wciąż wycelowany w okno. Dziennikarz w chacie zmienił położenie, plutonowa znikła z pola widzenia, Monika Męka nadal niewidoczna. Sekundy biegną. Odrywa twarz od teleskopu i krzyczy z całych sił:

– Sztorm!! Zawołaj współpracowniczkę!!!

Gdzieś u góry pojawia się nowy śmigłowiec. Chyba pogotowia. Będzie natychmiast lądował. W narastającym hałasie porywacz nie słyszy, co Zupak do niego wrzeszczy. Nie wiadomo zresztą, czy słyszy cokolwiek. Strużka krwi z jego ust zamieniła się w strumień, wraz z posoką wypływają jakieś nieczystości, to wygląda jak agonia ofiary gorączki krwotocznej – tyle że na stojąco. Podinspektor znowu przykładła oko do lunety, jest wreszcie w chałupie jakiś konkretny ruch. Tak!! Pojawiają się czarna krzywa grzywka, czoło, przekłute uszy i oczy chorążej.

Bierze poprawkę na wiatr i odległość, strzela tak, żeby pocisk uderzył między brwi.

37. Rozdział, w którym posłowie najpierw szaleją, a potem się uspokajają

Minister Karol Kołtun (Konfederacja Ojczysta), widząc, co się święci, opuszcza ławy rządowe i zwołuje na głównych schodach Sejmu grupkę kompletnie skołowanych dziennikarzy mediów patriotycznych. Po kilku minutach dołącza doń Grzegorz Gładki, który, jak teraz widać, czaił się gdzieś w pobliżu. Panowie oświadczają przed mikrofonami – w imieniu prezeski Rady Ministrów i własnym – że to, co się wyprawia na sali, jest zamachem stanu. Larum Polsce grają!! Mówcy wzywają wszystkich miłujących kraj i Konfederację Ojczystą do ratowania pani premier wraz z jej gabinetem. Kto ma Boga i Ojczyznę w sercu, niech bieży do Sejmu!

Apel Kołtuna i Gładkiego jest całkiem bez sensu, ponieważ południowe śródmieście, a szczególnie ulice otaczające parlament, są już tak nabite policją, żandarmerią, antyterrorem i wszelkimi służbami włącznie ze strażą miejską, że nikt niepożądany się tutaj nie wciśnie. A będzie jeszcze ciasniej, bo od strony Pięknej wjeżdża kolumna SOP-u. Na rozkaz Kornego pododdział (połowa w garniturach, połowa w mundurach) wbija na salę plenarną, by wspomóc strażników marszałka. Prowadzi ich Przeżytek. W pierwszych chwilach rozgorączkowani posłowie wszelkich frakcji nie są

w stanie się zorientować: kto za tym stoi i czemu to służy. Tymczasem mundurowi brutalnie rozrywają łańcuch konfidentów śpiewających *Rotę*. Kilka chronionych immunitetami osób zostaje popchniętych, a dwie – uderzone. Jeden z deputowanych usiłuje się bronić drzewcem polskiej flagi, która chwilę temu stała obok krzyża. Macha nią jak cepem, ale już za moment jest obezwładniony. Z łbów się kurzy, kamery i telefony nagrywają wykrzywione wściekłością usta, miotane wyzwiska, tryskającą ślinę, płacz kobiet. Koncesjonowani dziennikarze i operatorzy, dotychczas uwieczniający opozycję w roli łgarzy, małwersantów i złodziei drobiazgów, a parlamentarzystów Zwycięskiej Prawicy w dostojnych pozach pochyłonych nad pracą, teraz kręcą sceny dantejskie. A prawdziwa bomba dopiero wybuchnie.

Służba Ochrony Państwa, jak się okazuje, wkroczyła tu między innymi dla ochrony ministra-prokuratora generalnego Felicjana Filuta, który wychynął z sejmowej biblioteki po to, by (jak głosi przekazywana z ust do ust nowina) przedstawić zebrany jakies odkryte nagranie. To może być obraz z samej akcji porwania Prezesa. Albo z zabicia porywacza. Lub jedno i drugie. Nie – to film, na którym generał Tajner zleca bandytom atak w obecności Packi. Inaczej – to coś grubego na pana prezydenta. Przeciwnie: to będzie *deepfake*, brudna jednopolska prowokacja, nie dajcie się nabrać...

Ochroniarze ze strażnikami powoli zaprowadzają porządek. Posłowie do pulpitów, operatorzy do kamer, reporterzy do piór! Asystenci, doradcy i administracja tłoczą się na galeriach, temperatura rośnie (dosłownie i metaforycznie), wystraszeni posłowie i ministrowie siadają na miejscach, myśląc o swoich grzechach, popełnionych świństwach, skręconych pieniądzach. W przejściach między ławami jest tak gęsto od broni, jakby to były ostatnie minuty Konstytuanty w Pałacu Taurydzkim. Filut wchodzi na

podest otoczony roślinami ozdobnymi. Zbrojna grupa formuje wokół mównicy poszarpany pierścień, minister sprawiedliwości staje przy mikrofonach, w ręce dzierży tablet, funkcjonariusze poniżej wyglądają jak anioły trzymające wstęgę.

– Wysoka Izbo! To, co zaraz zobaczycie, jest gwoździem do trumny spiskowców z Konfederacji!

Okrzyki z sali: „Buda!!”, „To zamach!!”, „Będzie fotomontaż!!”, „Co wy odpierdalacie?!”.

– Jak widzę, niektórzy się boją, choć jeszcze nie wiedzą czego... Cóż... na złodziejach czapki...

„Sam jesteś złodziej, bananie!!”, „Lepiej powiedz, gdzie Prezes!!”, „Buda, Filut, było!!”.

– ...w wyniku intensywnej czynności śledczych udało się odtworzyć końcówkę przekazu terrorystów...

„Chcą rozbić prawicę!”, „Jarosław nie pozwolił”, „Gadaj, co z Prezesem!!”.

– ...uspokójcie się, jeżeli chcecie zobaczyć i słyszeć! Zobaczyć Prezesa! Powtarzam: spokój, spokój! Bo nic nie pokażę!!

„Nie szantażuj, Filut!!”, „Co wy ukrywacie?!”, „Zabrać szczyłowi tableta!!”, „Lokaj pederastów!!”, „To wasz koniec, gady!!”, „Ja-ro-sław, Ja-ro-sław!!!”.

Stojący na mównicy wybiera, jak się zdaje, najrozsądniejsze wyjście. Puka w ekran i zaczyna odtwarzać nagranie.

Oskarżony Jarosław Ka...ński zostaje uznany winnym i niniejszym skazany na śmierć! Wyrok będzie wykonany na...chmiast.

Dzięki mikrofonom wystrzał terrorystki rozbrzmiewa na sali, jakby któryś z mundurowych wypalił z kopyta. Izba od razu cichnie.

– Pokaż jeszcze raz!!

Posłowie z tylnych rzędów pchają się do przodu. Ponieważ straż i służba zastawiły przejścia, łążą przez fotele. Nawet niektóre posłanki podkasały kiecki, forsują oparcia, jedna się wywróciła, zabawnie fika grubymi nogami, w rajtkach poszło jej oczko. Ci, którym udało się przepchać po kordon chroniący Filuta, wyciągnęli komórki, próbując zarejestrować nagranie z nagrania.

– Jeszcze raz pokazuj!!

Oskarżony Jarosław Ka...ński zostaje uznany winnym i niniejszym skazany na śmierć! Wyrok będzie wykonany na...chmiast.

Terrorystka w masce z wizerunkiem śmierci strzela do Naczelnika. Porywacz – ten wyższy i chudszy, ciągle poszukiwany – podbija jej rękę. Między bandytami zaczyna się szamotanina skończona użyciem tasera.

*Skasuj ko-ko-o-ońcówkę tak, żeby się kończyło na „uznany winnym”.
A ją do piwnicy!*

Na sali posiedzeń – podobnie na galeriach – robi się nagle cicho. Posłanka opozycji, bodajże z Wrocławia, już nie żąda, lecz prosi:

– Panie ministrze... jeszcze!

– Starczy! – Felicjan Filut unosi iPada niczym Aragorn ostrze Elendila i mówi, ciężko spoglądając na ławy rządowe, ze szczególnym uwzględnieniem Kołtuna, Gładkiego i reszty konfidentów: – Jest gorzej, niż mogliśmy sądzić! Sami widzieliście! Agentka ABW pod przykryciem próbowała zastrzelić prezesa Kaczyńskiego!! Ocalił go porywacz! To się w głowie nie mieści!! To gorzej niż zamach stanu!! To zbrodnia, zdrada, bestialstwo!! Panie marszałku, Wysoka Izbo, wnoszę o natychmiastowe głosowanie nad wotum nieufności dla członków rządu desygnowanych...

– Nie jesteś posłem, Filut, nie masz prawa nic wnosić!!

– Marszałek to zrobi!

– Kpina! Hańba! Tar-go-wi-ca!!

– Kon-sty-tu-cja!! Kon-sty-tu-cja!!

– Zabraniam wam używać tego słowa, gnoje!

Opozycja zaczyna śpiewać hymn, minister Filut – na mównicy – unosi jednocześnie i laptopa, i głos. Tłumaczy posłom, co ma wspólnego strzelanie do Prezesa z żądaniem odwołania nominatów KO. Marszałek Powolny już ma zgłaszać wniosek, kiedy w głębi sali znać nowe poruszenie. Melodia hymnu łamie się na słowach „dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy!”. Prawie wszyscy się już odwrócili.

– To mistyfikacja!! Tego filmu nie ma!! To jest fotomontaż!! Przepuść! Jestem posłem!!

Czesław Cyganiak przeciska się przez strażników pomiędzy ławami. Wygląda, jakby mu zwiąło beret. Już się wcześniej z kimś szarpał. Chyba też ostro powąchał. Ma krawat na ramieniu, częściowo oderwany rękaw marynarki i czerwone oczy chorego na jaskrę. Rozczochrany i rozdygotany krzyczy wniebogłosy, spod języka tryska mu ślina.

– To się nie wydarzyło!! To nie miało prawa!!

– Zatrzymać go natychmiast! – Marszałek wstaje i wskazuje gdyńskiego posła swemu asystentowi. – Wołaj sanitariuszy!

Patryk Przeżytek zatrzymuje Czesława, ten wrzeszczy na całą salę:

– Puszczaj, mam immunitet! To wasze szulerstwo, kundle!! Zostaliśmy wrobieni!! To Korny z Powolnym...

Nie kończy, nie zdoła już powiedzieć posłom, że szef MSW lub marszałek (albo obaj razem) przekręcili agentkę w roli porywaczki. Sanitariusze właśnie rozwijają kaftan bezpieczeństwa. Posłowie Konfederacji Ojczystej biją ze złości w pulpity, rozwścieczony minister Kołtun usiłuje skoczyć w kierunku marszałka, mocuje się z Przeżytkiem i ze strażnikami. Unieruchomiony przez ratowników Cyganiak kwiczy jak niedobita świnia. Pomarańczowa na twarzy posłanka, która domagała się

rozliczenia cebosiu (i której marszałek wyłączył mikrofon), wyjmując z włosów szpilę i dźga nią oponentów. A kiedy się wydaje, że nikt już nie jest w stanie zapanować nad tym pandemonium – kilka rozgłośni i portali podaje jednobrzmiącego newsa: uwolniono Prezesa! Leci do Warszawy zaprowadzić porządek. Jeszcze z helikoptera przemówi przez radio.

Cała sala plenarna ponownie się uspokaja. Większość, nie wyłączając strażników i SOP-u, wbija oczy w smartfony, Felicjan Filut – w tablet. Szcherbata parlamentarzystka upuszcza szpikulec na ziemię. To, co miało nastąpić już dawno, już za kwadrans, za minutę, za kilka sekund – wreszcie nastąpiło. Prezes ocalony! Teraz marszałek Powolny ma dwie możliwości – przyspieszyć wydarzenia lub czekać na Wodza.

38. Rozdział, w którym Szymon Sztorm bezsukutecznie próbuje zabić swoją śmierć

Pocisk z remingtona sniper weapon system, kaliber NATO-wski siedem sześćdziesiąt dwa, ma prędkość początkową przeszło ośmuset metrów na sekundę, co znaczy, że odległość między podinspektorem (strzelcem) a chorążą (celem) pokonuje w ciągu stu milisekund z ogonkiem. Wcześniejsze naciśnięcie spustu trwało dwa razy tyle. W sumie od momentu, gdy Zupak dostrzegł w rozbitym oknie część twarzy Moniki Męki, do momentu, gdy kula wpada do wnętrza chałupy, mija pół sekundy. A Mona się właśnie schyla, by pomóc wstać Prezesowi. Ośmiogramowa stalowo-ołowiana pestka ślizga się po skroni, rozcinając skórę. Odrywa górną część ucha.

– Strzelają do nas! – Krótka natychmiast przypada do podłogi. Prezes chrypi: – Pomóżcie mi wstać!

Dokładnie w tej chwili uginają się nogi pod Szymonem Sztorem. Zaczyna spadać w przepaść i nic na to nie może poradzić, a czas się ponownie wydłuża. Ma go wystarczająco, by poczuć olbrzymi żal, że nie będzie już mógł uczestniczyć w dalszych wydarzeniach. Że nie dowie się, jak brodaty dziennikarz wykorzysta prezent, który od niego dostał. Że nie polecą ani do Nepalu, ani w inne miejsce. Że nie zobaczy zachodu księżyca,

który wisi gdzieś ponad helikopterem; nie ujrzy też wschodu słońca, które jutro rozpuści ten przedwczesny śnieg. Nie wsiądzie do pociągu, nie zje gruszki, nie obejrzy wieczoru wyborczego w barze z telewizorem, nie otworzy książki ani puszki z colą, nie wyśpi się do syta. Nie zbuduje domu, nie posadzi drzewa i nie spłodzi syna. Spadają mu pęknięte okulary. Opada na kolana, usiłując nie wypuścić pistoletu z ręki.

Dalsze wydarzenia następują jednocześnie w ciągu pięciu sekund.

* Po pierwsze.

Negocjator Gamajda wychodzi zza otwartych drzwi pick-upa i idzie ku terroryście. Lewą rękę trzyma na kamizeli, prawą unosi jak Chrystus na obrazie *Jezu, ufam Tobie*.

– Nie chcemy cię zabić!! – woła.

* Po drugie.

W drzwiach chałupy, tuż za Sztormem, pojawia się Prezes. Wygląda jak uchodźca. Zgarbiony, owinięty kocem, spod szmaty wystają nagie łydki, jedna noga w bucie, a druga w skarpecie. Za nim – niby za żywą tarczą – skulona Krótka i posikana, zapłakana Męka, która się trzyma za zranione ucho. Krew ścieka jej między palcami na rękaw munduru.

* Po trzecie.

Niewielki żółty helikopter medyczny siada na białej łące, lecz ani jego warkot, ani hałas większej maszyny nie przeszkadzają inspektorowi Klockowi usłyszeć pojedynczego strzału, który oddał ktoś ukryty za granicą światła.

– Znajdź mi tego chuja – mówi Służącemu. – Przyrowadź do nogi.

* Po czwarte.

Kłęczący Sztorm wymiotuje krwią, wódką, poszarpanymi tkankami. Chwyta się prawą ręką za lewe przedramię, z najwyższym wysiłkiem unosi lugera. Lufa się trzęsie, twarz Szymona też, płuca mu się zapadły albo je

wyrzygał, nie oddycha, nie czuje, nie słyszy. Sylwetka negocjatora w siwej kamizeli – być może przez brak szkieł – rozmazuje się jeszcze bardziej niż wszystko – ciemnieje, włochacieje, jest rozlanym w mroźnym powietrzu kleksem, a potem już – oczywiście – jego mroczną znajomą. Ociężałą małpą z Borneo, która go zaraz przytuli. W tym ostatnim z ostatnich momentów Szymon nie chce umierać. Żałuje nie tylko tego, że nie powącha gruszki, nie napije się kawy i nie będzie miał syna. Żałuje, że chciał bezmyślnie położyć głowę na torach; żałuje, że nie leczył depresji i zaniedbał raka; żałuje, że odszedł od Kasi, a potem nie zawalczył o związek z Sabiną; żałuje, że jest niewierzący – bo gdyby wierzył w niebo i świętych obcowanie, byłoby pewnie łatwiej. A tak... matka dostanie wiadomość i Saba dostanie wiadomość, jego ciało zakopią pod chińskim nagrobkiem, a Prezes ocaleje, aby ocalić partię, która musi rządzić, żeby się Polska nie stoczyła w czeluści szeolu. Jemu został Glock. Znowu na pierwszym planie. Konkret, gwarancja alternatywnego rozwiązania. Nikt nie wymyślił niczego lepszego od czasu lancy ognistej z bambusa. Iskra, pocisk, skutek. Celował dziś do zwierzęcia, które już pewnie ostygło na drodze, do Prezesa, który po bliższym poznaniu zyskał w jego oczach, do pary myśliwych, którzy (jak czuje) są gdzieś tutaj blisko, do Madonny99, którą wykorzystali ludzie bez skrupułów, ponieważ okazała się słaba, choć wprawdzie miał ją za silną. Strzelał dzisiaj i straszył, że strzeli. Zużył bodajże pięć kul. Iskra, pocisk, skutek. Ostatnie rozwiązanie. *Endlösung der Lebensfrage*. Czy można zastrzelić śmierć? Skoro została poczęta po zerwaniu owocu z zakazanego drzewa, a narodziła się po pierwszym jego ugryzieniu, czy kiedyś także umrze? Na Sądzie Ostatecznym, jak sądził Mistrz Polikarp? Czy dzisiaj, nad zimną Biebrzą, pod hałasującym helikopterem? Trzeba spróbować to sprawdzić, bo dlaczego nie? Człowiek, który umiera, jest krańcowo smutny, lecz bezbrzeżnie wolny. Może

wszystko. Rusty Cohle mówił swemu partnerowi, że w oczach umierających zjawia się powitanie i wyraźna ulga, ponieważ wcześniej się bali, a teraz zobaczyli, iż można po prostu odejść. Opuścić sobie ten cały huczny dramat, tę jedną wielką prowizorkę skleconą z błędnych przypuszczeń i zwykłej głupoty. Szymon niezdarnie celuje w pierś czarnego stwora i mówi do niego: „Jeśli myślałeś, że nie potrafię strzelić, że zrobiliśmy sobie jakieś jaja, to się, kurwa, myliłeś”. Właściwie mówi to w myślach, bo krtań wypuł razem z płucami, trzewiami, kawałkami kości. Naciska spust, wkłada w to naciśnięcie całą resztę siły, ten jej koniec, który zmagazynował w szpiku, a teraz uwalnia. Oto końcowy impuls, ostatni błysk w czerwonym oku Terminatora, finalny płas podłączonej do prądu zabiej nogi. Wszystkie mięśnie poza tymi, które ruszają dłonią, w jednej chwili wiotczeją, broda opada na tyle, na ile pozwala opuchnięta szyja, oczy się zamykają, procesy myślowe ustają.

* Po piąte.

Dwóch antyterrorystów dopada Prezesa z dwóch stron jednocześnie. W ułamku sekundy otwierają parasole taktyczne. Pułkownik Murzyński strzela do porywacza pierwszy i te dwa wystrzały – z lugera i z glauberyta – są sygnałem do wielkiej kanonady. Impet zawarty w kilkunastu pociskach rzuca klęczącego Szymona na plecy, jego potylicą w zetknięciu z twardą ziemią wydaje dźwięk, jakby owalny kamlot plasnął w płytkiej wodzie. Przewraca się też negocjator, lecz on będzie żył, bo kula z lugera ugrzęzła w zbyt wielkiej na niego kamizeli dokładnie pod logo ABW.

* Po szóste.

Antyterror wpada do wnętrza chałupy. Przestraszona blondynka macha blachą. Brunetka w policyjnych ciuchach i z kolczykiem w nosie trzyma się za głowę, z której cieknie krew. Jakiś herbatnik w samych gaciach i butach stoi z podniesionymi rękami. Powtarza, że jest dziennikarzem.

Dowódca sekcji bojowej trzeciej BOA pozwala dopuścić lekarza i sanitariusza. Są już nosze i folia NRC. Układają Prezesa płasko, zaraz mu podepną kroplówkę, przeniosą do śmigłowca, wdrożą procedurę MEDEVAC. Miał starego ratować pułkownik Murzyński z sierżantem Służącym i plutonową Krótką, chciała go uratować prokurator Chwast, ostatecznie zajmie się nim załoga lotniczego pogotowia z warszawskiej bazy HEMS.

Kiedy wynoszą Naczelnika, podinspektor Zupak i pułkownik Murzyński próbują się bezszelestnie wycofać, każdy w swoją stronę. Ten pierwszy, z karabinem na plecach, przemyka chyłkiem wzdłuż ośnieżonych trzcin. Gdy wpada na Służącego, ma uczucie zderzenia ze ścianą. Bydlak o stalowych mięśniach chwyta go w łapska, każde jak pizza z kapustą, i wykręca rękę. Mylnie łączy oficera cebosiu z prokuratorem Łajdusem i jego pilotem, który go dzisiaj o zmierzchu tak strasznie upokorzył. Lecz ta pomyłka nie ma żadnego znaczenia. Podobnie jak fakt, że Zupak przewyższa sierżanta rangą i inteligencją. Liczy się naga siła, a tę Służący ma. Zabiera karabin snajperski i prowadzi zgiętego wpół podinspektora w objęcia dowodzącego zespołem zadaniowym Kajetana Klocka. Za dwadzieścia pięć minut będzie północ. Oddziałowy szpitala więziennego w Psitce koło Białegostoku właśnie wciąga na księgę zatrzymanego do dyspozycji prokuratury Wojciecha Wolanta, syna Pawła, urodzonego 8 maja 1996 roku. Stan pacjenta: nieprzytomny z urazem czaszki i nogi. Prawdopodobnie śpiączka. Pierwsze skierowanie: prześwietlenie głowy.

* Po siódme.

Łukasz Łajdus kończy tłumaczyć posłom, że dzisiejszy dramat obciąża Franciszka Fagalskiego, Tamira Tajnera, a kogo więcej, to się jeszcze zobaczy. Winnych zaraz wskaże marszałek Powolny.

Gdy prokurator krajowy zstępuje z podestu, w zdemolowanym wnętrzu nadrzecznej chałupy antyterrorysty skuwają zakrwawioną brunetkę i ładną blondynkę oraz jednego łba z bródką. One nawet nie protestują. On powtarza jak nakręcony, że wykonuje tu pracę. Ten, który go zakuł, odpowiada krótko:

– Mnie to, kolego, jebie. Opowiesz sędziemu na wniosku o areszt.

W tej samej minucie Jarosław Kaczyński – w ciasnym, lecz ciepłym wnętrzu helikoptera, pod dwoma kroplówkami, pod folią i kocem, każe przywołać osoby dowodzące akcją. Trochę musi poczekać, lecz nie pozwala lekarzom na start. Po dwóch minutach stawiają się przed nim kobieta w płaszczu i równy jej wiekiem mężczyzna w rozpiętej puchówce. Przedstawiają się: prokurator Hanna Chwast z Białegostoku i inspektor Kajetan Klocek z Ełku. W części ratunkowej maszyny już nie ma dla nich miejsca, wchodzą więc do kabiny, na fotele pilota i sanitariusza, którzy muszą wysiąść. Jeżeli, podchodząc, sądzili, że Prezes podziękuje im za ocalenie, to się pomylili.

– Ktoś do mnie przed chwilą strzelał. Trafił jedną z kobiet, tę ciemnowłosą, niższą...

– Już został zatrzymany do mej dyspozycji. – Prokuratorka odzywa się pierwsza, gliniarz zaraz po niej:

– Mają go moi ludzie.

– Proszę przyprowadzić. Aha, i jeszcze... czy znaleziono telefon komórkowy? Z dużymi przyciskami, ma szare logo myPhone i należy do mnie.

– Nic nie wiem. Każę sprawdzić.

Inspektor z Ełku opuszcza helikopter. Hanna Chwast wykorzystuje chwilę uwagi Polaka Numer Jeden.

– Chciałabym poprowadzić sprawę zbiorczo. We wszystkich kierunkach. Podżegania, przekroczenia uprawnień, usiłowania zabójstwa, rozboju, pomocnictwa i oczywiście artykułu sto dwadzieścia siedem. Przesłuchałam już jednego ze sprawców. Wojciech Wolant, zamieszkały w Łodzi, lewak i homoseksualista. Zaraz przesłucham tę postrzeloną. Nie zawiodę. Zażądam najwyższych kar. To ja stawiałam zarzuty pomocnikom Swata.

Kaczyński nie odpowiada. Ignoruje prośbę. Każe lekarzowi, żeby mu wyświetlił jakieś wiadomości.

– Najlepiej ze stron antypolskich.

Medyk rozważa przez moment, czy nie cwaniej byłoby oświadczyć dyplomatycznie, że takich nie subskrybuje, lecz ostatecznie odpala Wyborczą.pl. Podaje pacjentowi xiaomi. Leżący tylko rzuca okiem na nagłówki: pogoń za trzecim terrorystą; konferencja prasowa posła Cyganiaka; zamieszki w kilku miastach (ofiara śmiertelna); członek sztabu kryzysowego miał zawał, sztab się rozpadł na skutek podejrzeń o zdradę; spalenie kukły posłanki Hyclowej (a potem jej samochodu); zaczęło się posiedzenie Sejmu (możliwa zmiana rządu); o północy przemówi prezydent, który leci z Włoch. Ostatnia wiadomość: „PILNE!!! Policja i służby otoczyły Prezesa i jego porywacza”.

– Więc jednak jest tu zasięg?

– Nawet bardzo dobry. Winniśmy już lecieć. Musimy się jak najprędzej zająć pańską ręką.

Prezes nie komentuje. Jakaś myśl mu ucieka. Nie ma zasięgu – jest zasięg. Już prawie tę myśl uchwycił, gdy wraca inspektor Klocek.

– Przyprawdziliśmy podejrzanego. Strasznie się odgrażał, co to on nam nie robi. Straszyl nas komendantem głównym i ministrem Kornym.

– Wprowadźcie.

- Tutaj?
- Wprowadźcie.
- To może tędy z boku?
- Proszę mnie trochę unieść.

Lekarz tak zmienia ustawienie noszy, że Prezes prawie siedzi. Sanitariusz uchyła boczny właz. Na zewnątrz nadal jasno, maszyna w powietrzu wciąż oświetla teren. Kilkadziesiąt osób w mundurach krząta się na śniegu. Przed chwilą dotarł na miejsce emerytowany podkomisarz Mylny z resztą ochroniarzy. Stoją, obserwują. To się nazywa musztarda po obiedzie. Technik fotografuje poprute kulami ciało Szymona Sztorma. A Prezes znów zbliża się do myśli, która uleciała. Jest zasięg – nie ma zasięgu – nie ma telefonu. Numer PIN, komórka w ręce kidnapera. Nie ma zasięgu. Jest zasięg.

- To ten, panie prezesie.

Olbrzym w cywilnej, czymś uświnionej kurtce przytrzymuje niewiele niższego od siebie szatyna w czarnym uniformie bez żadnych dystynkcji. Po bokach stoją Klocek i jakiś jego podwładny z gwiazdkami aspiranta.

– Nie chce się przedstawić – mówi głośno inspektor. – Ale to on strzelał. Z tego.

Aspirant prezentuje karabin wyborowy.

– Pocisk zabezpieczamy. Telefonu pana Prezesa na razie nie znaleźli. Sprawdzamy, czy w ogóle jest w sieci.

- Szukajcie dalej. A jego... tu bliżej.

Sierżant popycha Zupaka. Wykręca mu skrępowane za plecami ręce i ten musi się schylić. Teraz niemal dotyka nosem koca na Naczelniku.

- Spójrz na mnie.

Podinspektor unosi brwi, zerka, kilka razy mruga. Ze strachu prawie nie oddycha, ale i tak czuć wstrętny, jelitowy odór. Prezes zasłania nos, patrzy w oczy.

– Czy Konrad Korny to zlecił?

Zupak przymyka powieki i lekko opuszcza głowę. Więcej nie potrzeba.

– Szukajcie telefonu. I tego przyprowadźcie. – Zdrową ręką wskazuje Mieczysława Mylnego. Ochroniarz podbiega sam.

– Jak się pan czuje, Prezesie?

– Oddaj mi swoje ubranie. I buty.

– Oczywiście! – Emeryt zaczyna się rozbierać.

Naczelnik już na niego nie patrzy.

– Możemy lecieć. Ręka zaczyna mnie boleć, doktorze.

39. Rozdział, w którym redaktor Łapserdak próbuje się zapisać w historii dziennikarstwa

Marszałek Piotr Powolny postanowił przyspieszyć. Zaczął mowę od tego, że na podstawie konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, artykuł sto pięćdziesiąt siedem paragraf jeden i inne, wnosi o natychmiastowe odwołanie z urzędu Prezesa Rady Ministrów Patrycji Pacyny oraz szefów resortów dziedzictwa narodowego i kultury, infrastruktury narodowej, zdrowia oraz energetyki. Posłowie opozycji i mniejszościowcy natychmiast zaczęli klaskać, brawo biła też ponad połowa Zwycięskiej Prawicy: PiS-owcy i jedнопolacy. Konfederaci walili w pulpity, ktoś gwizdał na palcach, ktoś rzucił w stronę mównicy rolką papieru toaletowego, ktoś inny – garścią monet. Hałas trwał jeszcze w najlepsze, kiedy na salę wkroczyła premierka. Była blada, cały czas w płaszczu i z dzwoniącym telefonem w dłoni. Widać, że przybyła prosto z centrum sytuacyjnego. Role się odwróciły: teraz Konfederacja Ojczysta klaskała, a buczeli inni. Szef Klubu KO, który mimo wysiłków straży (a dzięki chwilowej dezorientacji SOP-u i pomocy roślących kolegów partyjnych) bez żadnego trybu dopadł do mikrofonu, wołał, że wniosek marszałka to „dyktat, upokorzenie Izby, łamanie konstytucji i gangsterski chwyt”. Poseł niezależny z Włocławka (wyrzucony wcześniej z ZP za

przejechanie po pijaku zakonniczy w ciąży) okazał się nagle lojalny wobec Prezesa i krzyczał, że przed jego powrotem nie należy niczego głosować. Przeciwny wniosek złożył poseł Ciemniak, damski bokser i członek Komisji do spraw Służb Specjalnych. Zawnioskował, by zgodnie z artykułem sto pięćdziesiąt osiem, odwołując Pacynę, powołać zarazem na premiera marszałka Powolnego, a wicepremierem uczynić Kornego, ponieważ trzeba opanować rozruchy na zewnątrz.

Jakby to miało związek.

Następnie wybuchła awantura o dopuszczenie premierki do głosu. Powolny chciał zamknięcia dyskusji i przegłosowania wotum nieufności bez zwłoki. Konfederaci krzyczeli „Kon-sty-tu-cja!!”, ci od Hyclowej, którzy wcześniej postulowali, żeby ich oponenti strzegli się tego słowa, gardłowali wraz z nimi. Pacyna zagroziła, że jeśli nie pozwolą przemówić jej samej i ministrom, wyjdzie do dziennikarzy, by zwrócić się bezpośrednio do Polaków i Polek. Ostatecznie marszałek wpuścił ją na mównicę. Pięciominutowy *speech* pani premier był stekiem banałów, sprowadzał się generalnie do tego, że jej partia nie ma nic wspólnego z perfidną prowokacją wymierzoną w Prezesa, za którą stoją najnikczemniejsi zdrajcy. Tych należy wyłapać, osądzić i skazać bez względu na barwy klubowe. Rząd w obecnym stanie jest gotów przywrócić porządek i kontynuować misję aż do dnia wyborów, a choćby i dłużej.

Po Pacynie mieli się wypowiedzieć Kołtun, Gładki i inni zagrożeni ministrowie ojczyści, ale w tym momencie nastąpił zwrot akcji. Na sali pojawił się Mecenas-Kamienicznik Korny, a szefowie resortów reprezentujący JP – od ministra finansów przez ministerkę klimatu po szefa resortu rozwoju – wyszli z ław rządowych, by dołączyć do posłów poniżej. Z Pacyną została czwórka. To było bardzo wymowne. Z osiemnastu miejsc na podeście dla Rady Ministrów – dwanaście nagle pustych. Jedyna wolna

przestrzeń w przepelnionej sali. Premierka zrozumiała, że nic jej nie uratuje, że jest praktycznie sama. Gdy Ciemniak składał wniosek formalny o „głosowanie bez zwłoki”, krzyknęła do zebranych:

– Oświadczam, że nie składam żadnej rezygnacji!! To jest zamach pod nieobecność pana prezesa Kaczyńskiego, to hańba!! Jak wy po czymś takim spojrzycie ludziom w oczy?!!

Powolny się nie ugiął. Zarządził głosowanie. Siły Jednej Polski, opozycji, mniejszości ukraińskiej i niemieckiej jeszcze by nie starczyły, lecz przeciw Pacynie i czterem ministrom zagłosował klub partii oraz – uwaga – kilkoro konfederatów, którzy postanowili uciec z tonącego statku. Zaraz podniosły się krzyki o zdradzie, lecz to już nie miało znaczenia. Słowa „zdrada” i „hańba”, „kolaboracja” i „targowica” bardzo się w ostatnich godzinach zdewaluowały. Sejm wymienił premiera, a klub Konfederacji Ojczyściej *de facto* się rozpadł – i wszystko w ciągu kwadransa. Wygrani w głosowaniu zaczęli bić brawo, skandować „Powolny!!!”; najgłośniej krzyczał milkliwy na co dzień Przeżytek, posłanka, która wcześniej dźgała wrogów szpilą, płakała pełną piersią. Pacyna z ministrami już miała iść do wyjścia, kiedy znowu w kieszeniach marynarek, w torebkach i na poselskich pulpitych zaczęły dzwonić i pikać smartfony. Wszystkie rozgłośnie radiowe, portale i telewizje zapowiedziały przemowę Prezesa, który właśnie leci do Sejmu śmigłowcem.

Eurocopter lotnego pogotowia rozwija prędkość dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a wiatr z północnego wschodu jeszcze pilotowi pomagał. Gdy lecieli nad Łomżą, ratownik i lekarz założyli Naczelnikowi elastyczny gips. Oczyszczili mu ciało na mokro i na sucho, pomogli założyć ubranie po Mieczysławie Mylnym, jednocześnie trwały próby ustabilizowania łącza z redakcją Polskiego Radia, lecz z powodu zakłóceń radiowcy zaproponowali, aby Prezes po prostu nagrał oświadczenie

i przysłał im plik. Zajęło to razem dwadzieścia pięć minut. Wódz nawet się nie zająknął, nim maszyna przeleciała nad Tłuszczem, plik został wysłany, gdzie trzeba. I teraz słuchają go wszyscy. Posłowie na sali posiedzeń, policja na posterunkach, kierowcy na autostradach, pacjenci w izbach przyjęć, żołnierze w garnizonach, podróżni w nocnych pociągach, seniorzy w przytułkach, bezrobotni przed telewizorami i załoga sukki, która wiezie na przesłuchanie Williama Łapserdaka. Prokuratorka powiedziała mu krótko: „zatrzymuję pana za uporczywe utrudnianie śledztwa”. Krótka i Męka – z opatrzonym uchem – zostały posadzone w osobnych radiowozach. Odtąd podejrzani nie mogą się kontaktować. Zobaczą swoje twarze dopiero na sali rozpraw.

Szanowne panie i szanowni panowie posłowie, drodzy Polacy! Jak zapewne wiecie, zostałem uwolniony z rąk terrorystów i jestem w drodze do Warszawy. Wiem, że w mediach i pomiędzy wami samymi krążą najrozmaitsze teorie na temat osób, które przygotowały ten bezprzykładowy zamach na państwo i demokrację. Są domniemania co do mocodawców i ich przynależności partyjnej. Wiem, że wielu z was pała słusznym gniewem, żądzą natychmiastowego ukarania winnych. Apeluję jednak o spokój. Celem zamachu na mnie było wywołanie chaosu i musimy zrobić wszystko, aby temu scenariuszowi zapobiec. Aby plany osób stojących za sprawcami obróciły się wniwecz. Apeluję w szczególności do parlamentarzystów o niepodejmowanie pochopnych decyzji, a zwłaszcza o nieprzeprowadzanie jakichkolwiek głosowań do mego powrotu...

– I co ty zrobiłeś, Powolny?! – Pierwszy zaczyna krzyczeć szef klubu konfederatów. Jego koledzy skandują: „Ja-ro-sław! Ja-ro-sław!!”.

Nasza misja naprawy Polski jeszcze się nie wyczerpała. W obliczu wrogiej dywersji Zwycięska Prawica musi zachować jedność. Przed nami arcyważne wybory, które zdecydują o tym, czy kraj będzie się nadal rozwijał

w demokratycznie obranym kierunku, czy też, co nie jest niestety wykluczone, władza przejdzie w ręce ludzi nieprzygotowanych do jej sprawowania; ludzi, których jedynym celem jest własna kariera i bogacenie się wiadomych środowisk kosztem reszty państwa, a jedyną ich umiejętnością jest sianie zamętu, podważanie naszych ugruntowanych tradycją wartości, totalna destrukcja...

Powolny zaczyna wyjaśniać przez mikrofon, że Prezes przez ostatnie siedem godzin pozostawał w niewoli i nie wie tego, co objawili zebrany minister Felicjan Filut i prokurator Łajdus. Obowiązkiem marszałka, który pod nieobecność prezydenta jest teraz głową państwa, było wzięcie odpowiedzialności za rozwój sytuacji. Nie można było dopuścić...

- Sklej pizdę, daj słuchać!!
- Unieważnić głosowanie, powtórzyć!
- A-nu-lo-wać!! A-nu-lo-wać!!

Panie i panowie posłowie, wzywam was, abyście czekali do mego przybycia. Polacy i Polki, drodzy współobywatele, proszę was i wzywam do natychmiastowego zaprzestania wszelkich demonstracji, także tych w obronie wartości i władzy, ponieważ nasi wrogowie tylko na tej eskalacji korzystają...

„Jeszcze Polska nie zginę-ę-ę-ęła...!!” – konfederaci zaczynają śpiewać hymn. Niektórzy nadal krzyczą: „Ja-ro-sław!! Ja-ro-sław!!”. Z ław opozycji dochodzą dzikie wrzaski: „Powolny do dymisji!!”, „Dajcie na niego taczki!!”, „To jest wasz koniec, chamy!!”.

W ławach Prawa i Sprawiedliwości oraz Jednej Polski – wielkie poruszenie. Parlamentarzyści przekazują sobie z ust do ust jakieś kluczowe informacje; szepcą, gestykują, ktoś krzyczy „Nigdy! nigdy!”. Tymczasem grupa młodych konfederatów – z tych, co tworzyli łańcuch, śpiewali *Bogurodzicę* i *Rotę* – przebija się przez szpaler strażników, wdziera na

mównicę. Porywają marszałka, by wynieść go z sali. Przeżytek próbuje przeszkodzić, zostaje uderzony, na pomoc rusza ochrona, jest nowa (która już dzisiaj?) szarpanina. Coraz więcej obecnych domaga się desperacko powtórki głosowania, zebrani walą w pulpity, niektórzy zdjętymi butami. Opozycja gwiżdże, buczy, w powietrzu latają drobne przedmioty (a także całkiem spora butelka z wodą mineralną). Gromada, która niesie do wyjścia marszałka, zostaje skutecznie zablokowana przez dobrze umięśnionych funkcjonariuszy SOP-u. Jedni się teraz mocują, a inni filmują niesłychane sceny. W zamieszaniu do mikrofonów dopada ponownie Pacyna, tym razem w obstawie Kołtuna, Gładkiego i dwóch innych mężczyzn.

– Uspokójcie się! Powtarzam, uspokójcie!! Za chwilę Prezes wróci! Klub Konfederacji żąda powtórki głosowania! Dajemy wam, ludzie, jedyną szansę rehabilitacji!! Patrzcie, co zrobiliście!

– Nie jesteście już premierem!

– Jestem!! To było głosowanie wbrew woli Prezesa!

– Anulujemy z pobudek technicznych!

– Jeszcze raz głosujemy!

– To wasza kompromitacja!!

– A-nu-lo-wać!! A-nu-lo-wać!!!

W trakcie całej tej awantury większość obecnych na sali posiedzeń (poza tym, że wrzeszczą, ciskają przedmiotami, chodzą po siedzeniach i się nawzajem pchają) śledzi w telefonach lawinę wypadków za murami Sejmu. Samolot z głową państwa, marszałkiem Senatu i ministrem obrony narodowej z powodu śnieżycy lądował w Radomiu, skąd prezydent już jedzie w kolumnie na Wiejską, by przemówić do posłów i do społeczeństwa. Wojsko włączy się w zaprowadzanie porządku. Helikopter z Prezesem jest już nad Warszawą. Stacje radiowe i telewizyjne nadają tymczasem Ojca Dyrektora, który też jedzie do Sejmu, a na razie w imieniu

Kościół i zdrowej części narodu dziękuje Maryi Pannie i Chrystusowi Królowi za ocalenie Wodza w dniu kanonizacji świętego Jerzego, męczennika Polski. I również wzywa wszystkich do opamiętania. Jednocześnie wieść o tym, że prokuratorzy oskarżyli Konfederację Ojczyzną o maczanie paluchów w porwaniu Naczelnika, przecieka do mediów, także antyrządowych, dla których jest to gratka, na jaką te środowiska czekały latami. Nagłówki: „Konfederacja Ojczyzna stoi za porwaniem”, „Rozłam w koalicji PiS-KO-JP”, „Koniec Zwycięskiej Prawicy”, „Rząd nie przetrwa nocy”, „Wotum nieufności dla premier Pacyny i pięciu ministrów”, „Posłowie się biją”, „Rząd upadł”, „Marszałek Powolny premierem!”.

W Gdyni nieznani sprawcy demolują biuro poselskie Czesława Cyganiaka. Zdjęcia szarpiących się nawzajem parlamentarzystów, w tym szczególnie wymowna fotografia posłanki desperatki kłującej oponentów szpilą do spięcia włosów, rozchodzą się po sieci jak pożar w burdelu. Szybko piszący publicyści wrzucają już na strony pierwsze analizy: przypominają rok dwa tysiące siódmy, kiedy to w sierpniu (też w kryminalnej atmosferze) Jarosław wywalił z rządu ministrów Ligi Polskich Rodzin i Samoobrony, a dwa miesiące później – mimo dobrych sondaży – z kretelem przegrał wybory. „Konfederaci topią Zwycięską Prawicę”, „Porywacze unieszkodliwieni, lecz cel osiągnęli – stabilność rządu wisi na włosku”, „Zamieszki w Warszawie, Trójmieście, Katowicach”, „Czy Prezes da radę odwrócić bieg wydarzeń?”.

Ksiądz prymas Lucjan Maria Lepki wzywa tych proboszczów, co się jeszcze nie dźwignęli z łóżek, do otwarcia kościołów i do bicia w dzwony. A wszystkich wiernych do tego, by się dzisiaj w nocy zgromadzić przy ołtarzach na ogólnokrajowej modlitwie o spokój, o opamiętanie, o dalsze trwanie rządu i powrót Prezesa do zdrowia. Szczególnie ci, co teraz

manifestują poparcie Zwycięskiej Prawicy i biją się z lewakami, mają natychmiast odrzucić kije, a chwycić różańce.

W tym samym czasie dwójka policjantów wyprowadza skutego Williama Łapserdaka na zaśnieżony dziedziniec białostockiej prokuratury koło ronda Świętej Faustyny Kowalskiej. Prowadzą do sutereny, do izby zatrzymań, gdzie będzie czekał na pierwsze zarzuty i wnioski o areszt. W mijanych korytarzach roznosi się odór potu i najtańszej chemii. Dziennikarzowi przychodzi na myśl, że jest tu w podziemiu siłownia dla śledczych.

Dwa piętra wyżej Hanna Chwast, która milczenie Naczelnika w śmigłowcu przyjęła za zgodę, dyktuje aplikantowi postanowienie o wszczęciu postępowania „w sprawie usiłowania zabójstwa, doprowadzenia do określonych zachowań, pozbawienia wolności, podżegania, pomocnictwa i innych czynów przestępczych”, po czym sama się ustanawia prowadzącą śledztwo, które przejdzie do historii jako „sprawa Tajnera, Cyganiaka i innych”. Za chwilę wysłane dokumenty do swych przełożonych – tutaj i w Warszawie. W tym czasie Łyli Łapserdak – wstrząsany dreszczami, nadal bez ubrania – fasuje trącający stęchlizną, sprany więzienny łań. Wystawia dłonie przez otwór, by mu zdjęli kajdanki. W celi z widokiem na pusty korytarz jest kąpielownia, dwie prycze z kocami, lampa i kamera. Jeżeli ją zasłoni, zaraz tu przylecą. Trzeba jakoś inaczej.

W aresztanckim drelichu i w kocu, lecz dalej zmarznięty, roztrzęsiony, głodny – siada na sedesie. Teraz obiektyw obejmuje go od pasa w górę. Łapserdak wyciera nos w papier do dupy, ściąga but, wyjmując zeń najpierw kartkę z notesu Tomasza Trepskiego, a potem telefon. Włącza go, a czekając na uruchomienie systemu, przegląda własne notatki. Gdy na wyświetlaczu pojawia się fotografia kota, wpisuje PIN: jeden, osiem, zero

i na koniec szóstka. Otwiera „moje pliki”, wybiera „kategorie” i „dźwięki”. Jest tylko jedna empetrójka. Długość ścieżki – dwadzieścia jeden minut. Odtwórz.

Stłumiony, ale jakiś dziwnie wesoły głos Prezesa.

...rabin przyciska Icka do piersi, sięga do szafy i mówi: „Tutaj są twoje pieniądze, ja tylko chciałem, byś widział, z kim muszę pracować”.

Oni sobie w czasie porwania dowcipy opowiadali? Dużo wyraźniej od Naczelnika Państwa brzmi chudy kidnaper:

Śmie-e-eszne, jak coś.

Dalej znowu Prezes:

Dla mnie wcale nieśmieszne. Ludzie, którzy się od dekady oddają rytuałom władzy, którzy wyspecjalizowali się w kombinowaniu, tracą kontakt z realem. Zarządzani przestają być istotni, są tylko liczmanami, które można bez końca przesuwac. Długo pozostający u władzy żyją już tylko władzą. Staram się ich wymieniać, lecz ławka jest krótka, a pole ogromne i obficie rodzi. Chciałbym mieć kombajn żniwny, a mam do dyspozycji widły, sierpy, cepy.

I młoty. Dużo młotów. Czyli kto chciał cię zabić? Powolny, Filut? Bo chyba nie Packa Boska? Ona jest gotowa wysysać orzeszki z tego, co wysrałeś.

Latem przyszedł do mnie generał Tamir Tajner, wiesz, kto to?

Wiem.

Przyniósł coś jakby teczkę ministra Kornego.

Kojarzę kutafona. Na-na-najgłośniej śpiewa w Toruniu i ma największy kałdun. Podobno był zapaśnikiem, podobno ma dużo kamienic.

Ma kilka.

Aha... więc to już nie są antypolskie kłamstwa?

Literalnie „Wyborcza” kłamała, bo on sam ich nie ma. Wszystkie przepisał na żonę, z którą mają rozdzielnosc, i cos na teściową. Nieruchomości w Krakowie, Katowicach, Sopocie. Świetne lokalizacje.

Dziennikarz zaczyna obgryzać paznokcie. Jezus-kurwa-Maria... Kaczafi się chudemu wypowiadał. To ich połączyło.

...w każdym razie służba Tajnera długo to prześwietlała, aż się w końcu dokopali do ruskich pieniędzy.

Czyli Korny jest szpionem?

Silne szumy i trzaski, fragment nieczytelny. Potem głos Prezesa:

...niestety generał Tajner też sobie nagrabił i istniała możliwość, że odsuwa cykutę od siebie, rzucając na pożarcie...

Ministra Kamienniczka.

Chudzielec jest lepiej słyszalny niż Kaczor. Zbliżył się do komórki albo ją przesunął. Dla kogo nagrywał? I co chciał z tym zrobić? Wysłać, nim go zabiją? Zabrakło mu czasu? Zasięgu? „Nie spierdol tego. Tego, co ci dałem”.

Generał po prostu okradał resorty, o czym abecadło już wiedziało, tylko zbierali wciąż kwity.

Abecadło?

Mówię o CBA. Gdybym chciał powyrzucać wszystkich, którzy kradną...

...nie dałoby się zebrać dziesięciu sprawiedliwych?

Ty to powiedziałeś.

To nie skarb, to atom! To materiał, który przejdzie do historii dziennikarstwa i historii Polski. Były już różne afery taśmowe, ale to jest nagranie o lata świetlne ponad wszystkimi dotąd! Żeby się tylko pieprzona komórka nie rozładowała. Jeśli dobrze wyświetla, zostało siedem procent.

...on się dzielił pieniędzmi z Hycłową? Taka jest wasza opozycja. Już nawet na głosowania nie chodzą, wiesz przecież. Oddanie rządów tym durniom byłoby zdradą stanu.

Mówiłeś to dwa razy.

Cyганиak mnie oszukiwał, nas wszystkich oszukiwał, niestety w czymś poważniejszym.

Kampania?

Poparcie zaczęło spadać od połowy lipca.

To jakim cudem sss-so-sondaże...?

– Wysrałeś się już? Bo jest micha!

Za kratą stoi policjant. Ciekawe, jak długo patrzył. W rękach plastikowa taca – pewnie zapierdolona z McDonald's. Na tacy papierowy kuban, kilka sznyt najtańszego chleba, ćwiara masmiks z Biedrony, wyrób kielbasopodobny i łycha. Łapserdak udaje, że podciera dupsko, papier z notatkami wyrzuca do muszli, bo już wykuł na pamięć. Wtyka telefon za gumę wilgotnych wciąż majtek, poprawia na sobie koc i podciąga przydziałowe portki. Krótко myje ręce w zlewie rozmiarów nocnika. Mydła mu nie dali. Odbiera jedzenie.

– Koca nie obesrałeś? Moja teściowa tu pierze.

W kubku jest cienka herbata. Wypija od razu, zagryzając chlebem. Wciąż go swędzą palce. U rąk i u nóg. Ale to teraz nieważne. Gliniarz stoi za kratą, coś tam jeszcze pierdzieli, wreszcie sobie idzie. Łapserdak wraca na sedes, przeżuwając chleb. Odsłuchuje dalej.

Daliśmy ludziom wszystko, co można było dać. I się przyzwyczaili. A pieniędzy na więcej nie mamy.

Więc ktoś postanowił za-zagrać le-le-lewackim terrorem?

Sadzę, że się zmówili. Porwanie obciąża policję, a zatem Kornego. Wy się natomiast wykazaliście skrajną naiwnością. Myśleliście, że jak ludzie

usłyszą te pseudozarzuty...

Nieczytelny fragment. Bateria – jeszcze pięć procent. Paznokcie już obgryzione. Na czole – pot.

Cyganiak rozważał, tak to w tej chwili widzę, dwie główne możliwości. Pierwsza: że po takim bezprzykładnym akcie terroryzmu wybory da się odwołać, co nikogo nie zdziwi. Nawet i w Europie...

A druga możliwość?

Że zły trend da się odwrócić, kiedy wszyscy zobaczą waszą kompromitację. Tutaj nie zawiedliście...

– Chodź no, do firan, gostek!

Ktoś z sąsiedniego boksu od chwili stuka w ścianę. Zegar w komórce pokazuje za dwadzieścia północ. Do firan? *What the fuck?* A „gostek” to niby on?

...a potem, jak teraz myślę, miał wkroczyć Tamir Tajner albo jego ludzie... Korny musiałby odejść. Wiadomo, jakie ustawa nałożyła na policję nowe obowiązki. I wtedy na stół by wróciła, nazwijmy ją, ruska teczka. Nikt by nie podał ministrowi ręki na ratunek. Nikt z całej Jednej Polski. Wybory byśmy wygrali, Cyganiak na pewno liczył...

Stukanie w mur nie ustaje. Łapserdak schyla się nad komórką, własnymi udami i rantem sedesu. Mimo kataru czuje gnój i siarkę.

Założmy, że mówisz prawdę. Ty tak planowałeś. Ktoś zaplanował inaczej.

Kto?

Moim zdaniem nie Tajner. To złodziej, nie morderca. Właściwie jak masz na imię?

Cisza. Koniec nagrania? Jeszcze nie przeleciało nawet dziesięć minut. Paździor za ścianą puka natarczywiej.

– Bastuj z bardachą! – krzyczy. – Chodź no tu na bajerę!

Nie wychodź, bo cię zastrzelą!

Nagranie ma jednak ciąg dalszy. „Nie wychodź...” Łapserdak wyobraża sobie, jak Prezes – leżący w łóżku ze złamaną ręką – ostrzega porywacza. Nie chce, aby ten zginął. Poopowiadali sobie dowcipy o Żydach, Kaczor się wypowiadał, obgadał swoich dworzan, przeszli na ty z porywaczem, chudzielec mówił mu „stary”, a tamten do niego „synu”.

Dwukrotny wystrzał w komórcę. Wyraźny krzyk Naczelnika:

Nie wychodź z pistoletem!

Dalej szumy i cisza. I tylko ogór za ścianą się pulta:

– Cho no tu, bo mnie biks bierze!

Łyli popycha nagranie. *Play*. Słyszysz coś jakby kroki. I siebie samego.

Nie... matko, kurwa... nie wierzę.

Własne słowa sprzed raptem półtorej godziny:

Jestem dziennikarzem. Nazywam się Łapserdak... Chciałem pana Prezesa spytać, czy...

Potem będziesz pytał. Nie celowałam do pana, celowałam obok. Kazali mi to zrobić. Zaszantażowali. Nie chciałam trafić.

Kto panią szantażował?

Plan prowokacji był inny. Mieli to szybko przerwać. Uwolnić pana w ciągu pierwszej godziny. Może nawet szybciej. To nie ja wymyśliłam. Wykonywałam rozkazy. To miało pomóc partii...

Trzeba przestać pierdolić i coś wreszcie zrobić, tak?

Figo z sąsiedniej celi wali w mur z płaskiej ręki:

– Chodźże no tutaj, apropak!

Strzał chudzielca nad głową brunetki. To, co mówiła w samochodzie, było połową prawdy. Elementy układanki nareszcie do siebie pasują.

Łapserdak stopuje nagranie. Już wie, co będzie dalej, a szkoda baterii. Zasięg. Królestwo za zasięg! Oczywiście tu nie ma. Może pod sufitem?

Chowa telefon w rękawie. Zapina spodnie, podchodzi do kraty, staje pod obiektywem. Kiedy wyciągnie rękę, prawie do niego sięga. Jeżeli prawa optyki nie zmieniły się w ciągu tych zwariowanych godzin, dłoń przełożona przez kraty powinna być poza zasięgiem kamery.

– Przypilaj na peron, masz gibona, piksy? – Cham z sąsiedniej celi nawija coraz szybciej, byłby dobry na *freestyle*. Grypsera jest tak gęsta, że Łyli niewiele rozumie – i dobrze. Nie może się teraz rozpraszać. Wypuszcza telefon z rękawa. Przykłada do prętów od zewnątrz pół metra nad głową. Musi się nagimnastykować, by zobaczyć efekt. Koc spada na posadzkę. Jest kreska. Tylko jedna. Będzie musiała wystarczyć.

Zasuwa na sedes, jakby go schwyciło nagłe rozwolnienie.

40. Rozdział, podczas którego Prezes zaczyna obracać kłopoty w sukces Zwycięskiej Prawicy

W chałupie nad martwym zakolem Biebrzy ogień w kominku zgasł. Z kilkunastu samochodów zostały tylko cztery. Odjechał – jako jeden z pierwszych i z łuską w kieszeni – pułkownik Marian Murzyński. Nie ma już negocjatora Gamajdy, odleciały śmigłowce, zabrali się żandarmi. Technicy zrobili zdjęcia wewnątrz i na zewnątrz, zabezpieczyli kilka rodzajów gilz i pocisków – tych wystrzelonych z broni porywacza, tych z karabinu snajperskiego zatrzymanego funkcjonariusza cebosiu, innych z walthera, jeszcze innych z H&K i tak dalej. Reszta ołowiu zostanie wyjęta podczas sekcji zwłok Szymona Sztorma, którego właśnie zabiera koroner z Białegostoku. Stwierdzenie zgonu było formalnością, półnagi, zakrwawiony i dziurawy jak durszlak kidnaper zdążył przez ponad godzinę wystygnać na mrozie. Kiedy go wzięli na nosze, kiedy rozprostowali mu zgięte kolana, w śniegu została ruda plama krwi, coś jakby negatyw ludzkiego tułowia i głowy. Bardziej wymowny niż zwłoki. Inspektor Kajetan Klocek chwilę w tym miejscu postął, myśląc o facecie, który popełnił samobójstwo. Nie zamordował Prezesa, a nawet go ratował, opatrywał... i strzelił do negocjatora – nieznanego sobie niewinnego człowieka, który podchodził doń nieuzbrojony. Bez sensu.

Może ten cały Sztorm był po prostu wariatem? Normalny człowiek by się przecież na Naczelnika nie porwał. Policjant wraca do radiowozu i kończy notatkę. Przed chwilą dzwonił do niego sam komendant główny z wezwaniem do stolicy – potrzebny mu ustny raport. Sierżant Służący, który pomagał, jak umiał, słucha wiadomości na fotelu obok. Pan prezes Kaczyński wylądował w Warszawie. W Sejmie odtworzono końcówkę podcastu terrorystów. Po ujawnieniu zbrodniczej roli agentki ABW i związków porywacza z ministrem Grzegorzem Gładkim Wysoka Izba przegłosowała wotum nieufności dla gabinetu Patrycji Pacyń, lecz w związku z apelem Prezesa zarządzono właśnie reasumpcję głosowania. Zabezpieczone nad Biebrzą ślady pozwoliły odtworzyć przebieg zdarzeń poprzedzających oswobodzenie Wodza. Kidnaper i ofiara wpadli z autem do wody. Udało im się wydostać i w trakcie tych czynności Sztorm prawdopodobnie jakoś pomagał Prezesowi, co trochę by wyjaśniało późniejszy rozwój wypadków...

Radiowcy mają zaskakująco dobre i świeże informacje. Pół setki ludzi przewinęło się tutaj przez ostatnie kwadransy, zdeptali śnieg wokół chałupy, rozjeździli pole autami. Antyterrorysty, CBS, żandarmeria, medycy, policja, załogi helikopterów, straż parkowa, myśliwi. Pewnie sami wrzucają na Facebooka swoje zdjęcia z trupem Szymona Sztorma w tle.

Według nieoficjalnych informacji od osób zaangażowanych w pościg Prezes złamał rękę, a członek Bandy Trojga opatrzył złamanie, chociaż sam był ranny. Przed przybyciem na miejsce grupy pościgowej doszło do strzelaniny między dwójką bandytów. Jak to się ma do informacji o wcześniejszym zatrzymaniu dwójga spośród sprawców – będziemy wyjaśniali, informując państwa możliwie na bieżąco. Jeszcze tej nocy odbędą się nowe przesłuchania, którymi kieruje prokurator Hanna Chwast, naczelniczka wydziału śledczego...

– Czternastka do siedem jeden... – Gdy odzywa się policyjne radio, Służący ścisza zwykłe.

– Siedem jeden, jestem.

– Inspektor prosił powiadomić, jakby telefon Prezesa...

– Macie go?!

– Zalogował się w sieci o dwudziestej trzeciej trzydzieści dwie i trzydzieści...

– Gdzie?

– No właśnie to ciekawe, że tu... u nas, w Białym. W rejonie Sienkiewicza. To znaczy bliżej centrum.

– Dokładniej potrzebuję!

– Zaraz będziemy wiedzieć.

– Czekam!

– Tak jest! Bez odbioru.

Klocek patrzy przez chwilę na sierżanta, który boruje palcem ucho tak intensywnie, jakby chciał sięgnąć tamtędy do gardła. Ustalenia operacyjne są takie, że zastrzelony porywacz zabrał ten aparat, jeszcze gdy jechali wraz z Wodzem skradzioną kijanką, jednak nie miał go przy sobie w chwili własnej śmierci. Miał tylko majtki, buty i broń. Policjantki przeszukały też obie podejrzane. Dziennikarza o śmiesznym imieniu nie było sensu sprawdzać, bo chłystek był tylko w koszulce i w gaciach. Chałupę natomiast przetrząsnęto łącznie z zamkniętym na kłódkę pawlaczem. I gównem. Nasuwa się podejrzenie, że zabrał ten telefon ktoś z członków którejś z ekip. Nikogo nie można być pewnym. Porywaczka była chorążą abwery. Oficer CBS chciał zastrzelić Prezesa. Albo tę dziewczynę. Albo dziennikarza. Ten kraj jest popierdolony. Polskość to nienormalność.

– Zrób głośniej, posłuchamy. Do Łomży kieruję, a potem się zdrzemnę. – Inspektor odpala motor. Rusza wzdłuż czarnej strugi przez

rozryte pole. Trzeba najpierw dojechać do mostu Kał–Dolistowo i dalej przez Goniądz, Radziłów. Sierżant podkręca dźwięk w radiu.

Głosowanie nad zmianą części gabinetu zostało anulowane po tym, gdy grupa posłów zgłosiła omyłkowe naciśnięcie zielonych guzików za wnioskiem, podczas gdy – jak zapewnili – ich celem było głosowanie za rządem w niezmienionym składzie, czyli przeciw wnioskowi o wotum nieufności...

– Zostawiłem auto służbowe w tartaku.

– Chcesz, to idź po nie z buta. Na mnie czeka komendant. Słyszałeś.

– Słyszałem... się jutro po dryndę pojedzie. Staniemy coś zjeść może?

Klocek nie odpowiada.

W trakcie najbliższych minut pan prezes Jarosław Kaczyński wejdzie na salę posiedzeń. Już się co chwila zrywają oklaski posłów i części senatorów, którzy zajęli galerię. Ławy rządowe są prawie pełne, ponadto przybyli prymas i nuncjusz apostolski. Jest szef Sztabu Generalnego, prezes Trybunału Konstytucyjnego, brakuje jeszcze Ojca Dyrektora, ministra obrony, marszałka Senatu i pana prezydenta, który wraz z małżonką dojeżdża...

Inspektor prowadzi jedną ręką, pick-up z napędem na cztery sprawnie połyka zaśnieżoną przestrzeń. Przed mostem droga kluczy, inspektor niekiedy ścina ją polami. Grunt jest zmarznięty na blachę, termometr wskazuje minus sześć, księżyc powoli zachodzi, głos w radiu co rusz zanika, a to z kolei skłania Klocka do snucia rozważań na temat zasięgu fal, sposobów identyfikacji pozycji komórek i tego typu rzeczy.

– Wywołaj mi tę czternastkę – mówi do Służącego. – Ile możemy czekać?

Jeżeli Naczelnik, ze złamaną ręką i pod dwoma kroplówkami, mówił o telefonie – to musi on być ważny. Miło by było znaleźć ten aparat,

a potem dostarczyć na Wiejską jeszcze przed zameldowaniem się u komendanta. Wódz by to zapamiętał.

Panują spokój, powaga i radość z powodu uwolnienia Prezesa z rąk sprawców porwania. Wedle ostatnich informacji, teraz już oficjalnych, jeden z terrorystów nie żyje, drugi jest obecnie hospitalizowany w podlaskim szpitalu więziennym, natomiast współpracowniczka-agentka w rękach prokuratury, będzie przesłuchiwana, podobnie jak przełożeni. „Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego musi się oczyścić” – oświadczył przed kwadransem minister Konrad Korny. Czekamy na pana prezesa...

– Czternastka do siedem jeden.

– Co z tym telefonem?!

– Pojawia się i znika. Ale mamy zamiar. Ulica Włókiennicza. To w prokuraturze.

– Przyjąłem.

Inspektor zastanawia się, czy to możliwe, żeby komórkę Kaczora zwinęła na potrzeby śledztwa prokurator Chwast. Mogłaby jej zażądać zupełnie oficjalnie. Chyba że gra nieczysto. Jak ten snajper z cebosiu, co straszył koneksjami. Prywatne połączenia Naczelnika – ta wiedza ma swoją wartość. Szczególnie dla tych, którym się teraz pali pod dupami.

Trzynasty raport sytuacyjny Wspólnego Komitetu Kontroli, do którego udało się dotrzeć naszej radiostacji, informuje o uspokojeniu sytuacji ulicznej, wszyscy czekają w napięciu na przemówienie Prezesa, policja odzyskała kontrolę, chwileczkę... tak! Wchodzi do sali plenarnej! Oklaski narastają, sala skanduje „Ja-ro-sław!!”...

Posłowie koalicyjni klaszczą, jakby chcieli zaklaskać to, co tu wcześniej zaszło. Wchodzącego Wodza obstawia grupa zbrojna – są jego prywatni goryle, w tym Mylny w zielonym dresie. SOP i strażnicy robią wąski szpaler. Wokół mównicy stoi co najmniej dwunastu kolejnych, patrzą na

posłów nieufnie. Prezes podnosi rękę niczym Leonid Breżniew w pałacu kremlowskim i oklaski cichną.

– Siedem jeden do czternaście. Połączcie mnie z tym budynkiem. Siedzi tam jakiś dyżurny?

– Powinien być, zaraz łączę.

– Dajcie mi prokurator Chwast!

– Zrozumiałem.

Sygnaly, trzaski, sygnaly. Już widać most na Biebrzy, drewniany i wybrzuszony. Jedna samotna latarnia oświetla jego koniec. Za rzeką zaczyna się asfalt i pierwsze gospodarstwa. Łany kukurydzy pod śniegiem, krzywe słupy, drewniana zabudowa. Zakręty pod kątem prostym. Przystanek autobusu z wymalowanym na zielonym kole biało-czarnym ptaszydłem. Batalion – herb biebrzańskiego parku.

Jarosław Kaczyński zaczyna przemowę:

– Panie marszałku, Wysoka Izbo, czcigodni purpuraci, szanowna pani premier, panowie ministrowie i wszyscy tutaj zebrani, którzy służą Polsce. Przemawiam do was w dniu dla mnie szczególnym, szczególnym dla ojczyzny; w dniu, w którym przyszło nam się zmierzyć z czymś dotąd niesłychanym i niewyobrażalnym. Swoje słowa chcę dzisiaj skierować także do wyborców opozycji, a może przede wszystkim do nich. Oto przekonał się dzisiaj, do czego prowadzi totalna krytyka rządu, linii rozwoju przyjętej demokratycznie przez naród, do czego wiedzie plugawienie słusznych wyborów dokonanych w ciągu ostatnich lat, opluskwanie naszej tradycji i całej rzeczywistości społeczno-politycznej. Powiem krótko: prowadzi do terroryzmu!

Burza oklasków.

– Przed nami ważne wybory i chciałbym, aby dzisiejsze wydarzenia zostały przyjęte jako swoiste memento, abyśmy, abyście, zdobyli się na

refleksję. Nie ma dziś w Polsce pozytywnej alternatywy dla rządów Zwycięskiej Prawicy, taka jest prosta prawda. Jeżeli nie my, to bandytyzm, terroryzm i totalny chaos. Mogliśmy dzisiaj wieczora zobaczyć obrabowane sklepy, ofiary śmiertelne, podpalenia, przemoc. Tak będzie wyglądała Polska, jeżeli, nie daj Boże, władzę przejmą wrogowie. Ci, których uosobieniem jest... była... ta trójka porywaczy, te życiowo zagubione trzy młode osoby. Ci nieszczęśnicy, którym się wydawało, że mają coś do powiedzenia Polakom. A nie mieli nic. Sami mogliście słyszeć. Żadnego pozytywnego programu. Antypolski bełkot...

– Hanna Chwast, szybko proszę, bo jestem zajęta. – Pogłos wskazuje, że prokuratorka odbiera na głośnomówiącym. I chyba nie jest sama.

– Klocek mówi. Namierzili telefon prezesa Kaczyńskiego. Loguje się w gmachu u pani.

– Coooo?!

– Ulica Włókiennicza, tak? Ma pani tam zadołowanych...?

– Jest tu cała trójka. Dziennikarz i... właśnie im piszę...

– Któreś musi go mieć.

– Pieprzony kmiot!! Utykał, kiedy go brali. Przemycił aparat w butcie!

Gdy Chwast wypowiada dwa ostatnie zdania, słychać jakieś trzaski, potem narastające sapanie, bo chyba zaczyna biec.

– To pana ludzie sprawdzali podejrzanych... Dobrze, jeszcze oddzwonię.

– ...Alternatywą dla Prawa i Sprawiedliwości, dla Jednej Polski i Konfederacji są rządy terrorystów, wichrzycieli, jest linia antypolska, linia prowadząca do arcyprędkiej zguby! Wiem, że pod moją nieobecność doszło na tej sali do pożałowania godnych rozłamów, sporów i podejrzeń... ale to

już przeszłość. Winni przestępstw, a ja tych winnych znam, zostaną ukarani. Winni zaniedbań, o których również wiem, zostaną rozliczeni. Bez taryfy ulgowej, jednak w ramach demokratycznych procedur. Poradzimy sobie...

Oklaski.

– ...poradzimy sobie z tym bagażem, tak jak poradziliśmy sobie wcześniej z przewyciężeniem fatalnego dziedzictwa po naszych przeciwnikach, jak poradziliśmy sobie w niełatwych sporach z korporacjami, z nieżyczliwymi Polsce zagranicznymi ośrodkami, z antynarodowymi mediami, z epidemią koronawirusa i wreszcie z dywersją gospodarczą, z tymi, którzy po prostu chcieli, żeby Polakom szkodzić. Będziemy kontynuować naszą politykę! Chcę wyraźnie zaznaczyć, że pani premier Patrycja Pacyńska cieszy się nadal moim niesłabnącym zaufaniem i zaufaniem całej Zwycięskiej Prawicy...

Obecni na sali konfederacji, klaszcząc, wstają z miejsc. Ktoś woła: „Niech nam żyje!!”. Wybija północ. Kolumna limuzyn z prezydentem i małżonką wjeżdża do Warszawy. Inspektor Kajetan Klocek pojawia się na szosie sześćset siedemdziesiąt. W więziennym szpitalu w Psitce prześwietlenie wykazuje ostry krwirik podtwardówkowy w mózgu Wojciecha Wolanta. Lekarze zaczynają operację, choć sytuacja wydaje się beznadziejna – żadna ze źrenic pacjenta nie reaguje na światło.

Hanna Chwast zbiega po schodach do izby zatrzymań, gdzie w osobnych boksach czekają na postawienie zarzutów: Monika Męka (uprowadzenie, pozbawienie wolności, usiłowanie zabójstwa, utrudnianie śledztwa, przekroczenie uprawnień i inne), Kamila Krótka (przekroczenie uprawnień, niedopełnienie obowiązków, utrudnianie śledztwa i inne), William Łapserdak (również utrudnianie, a zaraz dojdzie i kradzież zuchwała) oraz niejaki Łucjan Łój, wielokrotny kryminalista, który nagrywał swoje próby obcowania płciowego z chorą umysłowo sąsiadką.

41. Rozdział przedostatni, w którym prawdziwie narodowa atmosfera tworzy się i rozwiewa

Roztrzęsiony z emocji Łyli, po raz kolejny udając defekację, nagrał z pomocą telefonu Prezesa pięcioipółminutowy podcast. Zgarbiony na sedesie, wstrząsany gorączką i z ciekącym nosem wychrypiał do aparatu to, czego się dziś dowiedział w policyjnym fiacie od Krótkiej i od Męki, oraz to, co sam zobaczył i przeżył w nadbiebrzańskim lesie. Musiał mówić głośno ze względu na coraz mniej zrozumiałe krzyki niedojeba zza ściany, ale atanda do celi nie wpadła – czyli albo kamera przenosi tylko obraz, albo dyżurny ma ważniejsze sprawy, na przykład telewizję. Końcówka nagrania:

...chwilę przed zastrzeleniem głównego porywacza Jarosław Kaczyński usiłował go ratować, ostrzegał, by ten nie wychodził z bronią przed szpaler policji. Nieprawdopodobne? Posłuchajcie ostatniej rozmowy Prezesa z kidnapierem i jego współpracką.

Bateria – dwa procent. Szybko... kamera pod sufitem już Łylemu nie wadzi. Za pół minuty będą mogli mu skoczyć na sanki. Dopada kraty, przykłada do niej telefon, jest jedna jedyna kreska, zaczyna wysyłać podcasty, którym nadał zachęcające nazwy: „prezes-nowe-fakty” i „prezes-główna-bomba”. Chodzi o to, by w chaosie, jaki musi panować

w newsroomach, wydawcy nie przegapili. Najpierw lecą dwa pliki do Wolnej Europy, potem do „Wyborczej”, dalej do Amnesty. W połowie szóstego transferu dzieją się trzy rzeczy: po pierwsze, Łucjan Łój za ścianą wreszcie zamyka mordę, po drugie, myPhone Kaczyńskiego ostatecznie gaśnie z braku zasilania, więc Łapserdak wycofuje się na wąską pryczę, po trzecie, na korytarz za kratą wpadają wąsaty kurdupel z kluczami i dobrze już znana Łylemu przystojna prokuratorka. Zdenerwowany gliniarz mocuje się z zamkiem od kraty. Hanna Chwast spogląda przez pręty na aparat w ręce zatrzymanego i mówi dosadnie:

– Dołożyłeś sobie, kmiecie, tym telefonem jeszcze jeden zarzut. Ty chyba nie lubisz wolności.

– Posłuchaj, ciociu, Wolnej Europy za jakieś piętnaście minut. – Dziennikarz odpowiada nadspodziewanie hardo. Choć w aresztanckich łańkach i pojedynczym bucie, ze smarkiem pod nosem i z czerwonymi kręgami wokół zeszlonych przez gorączkę oczu wygląda jak kupa gówna, to dumny jest i szczęśliwy. Kładzie martwą komórkę Prezesa na koju, podnosi swój koc z posadzki, okrywa się nim i dodaje. – Może być też „Wyborcza”. Pozwoliłem sobie napomknąć w relacji, jak mnie w twojej obecności policja okradła. Jak mi zabraliście na mrozie ubranie, telefon i auto. Jak mnie puściliście gołego w środku lasu, żebym tam wykitował. Ty, ciociu, i niejaki Zupak, cyngiel ministra Kornego. To już słowa Prezesa. Też jesteś, ciotka, cynglem?

Policjant z hitlerowskim wąsikiem wyciąga z kieszeni gumowe rękawice i większą dilerówkę, ostrożnie podnosi myPhone’a, zamyka samarę, podaje Hannie Chwast.

– Sprawa twojego ubrania i auta na pewno wszystkimi wstrząśnie, kmiecie, bo nic się w kraju większego nie dzieje. – Prokuratorka chowa dowód w sprawie, po czym wraca na górę, by dyktować decyzje

o przedstawieniu zarzutów dla dwójki z Bandy Trojga i reszty podejrzanych, w tym i dla pismaka. Nie może się jednak skupić. Trochę dlatego, że jest już po północy – a ona dziewiętnastą godzinę na nogach, trochę zaś z tej przyczyny, że kołacze jej się po głowie hasło „Wolna Europa”, wreszcie trochę z tego względu, że wciąż jej przeszkadzają. Najpierw dzwoni Klocek (w sprawie telefonu Prezesa), po nim Prokurator Krajowy, który chce jako pierwszy przeczytać sentencję postanowień, później jej bezpośredni szef (chce tego samego co Łajdus), a wreszcie zaufany szofer ze szpitala w Psitce. Przed chwilą pokazali mu protokół stwierdzenia zgonu: Wojciech Wolant, lat dwadzieścia sześć, zatrzymany tymczasowo do dyspozycji Hanny Chwast z Prokuratury Regionalnej Białostok i przywieziony do więziennego szpitala wczoraj o dwudziestej drugiej trzydzięci w stanie bez przytomności, nie przeżył operacji na otwartej czaszce. Sekcja zwłok będzie przeprowadzona niezwłocznie... i wykaże obecność substancji, które nie mogły się znaleźć w organizmie pacjenta wskutek palenia trawy, wciągania amfetaminy czy też łykania pigułek. Już dzwoni doktor Jucha. Też się zdążył dowiedzieć, że pryszczaty nie przeżył, pewnie ma pełne gacie. Tym bardziej że był pijany przez cały Boży wieczór i pewno nadal chleje. Prokuratorka mogłaby go uspokoić: ocalony Naczelnik nie pozwoli ich skrzywdzić. Mogłaby też wyjaśnić, że sama prowadzi śledztwo i zamierza je w pełni utajnić, na co pozwala ustawa. Wreszcie mogłaby zdradzić swoje przypuszczenia, które graniczą z pewnością: biorąc pod uwagę, że Sztorm i ten Wolant nie żyją, na przyszłej ławie oskarżenia musieliby zasiąść wyłącznie funkcjonariusze i funkcjonariuszki służby plus dziennikarz. To byłoby politycznie fatalne. Dlatego ta sprawa nigdy nie znajdzie się na wokandzie. Ale zarzuty muszą być postawione, więc śledcza odrzuca połączenie. Nie ma czasu dla Juchy. Wchodzi na RWE. Dołem idzie pasek, że za chwilę ekskluzywna „relacja

z pościgu za porywaczami i akcji uwolnienia...” – jak go określają – „pośła Kaczyńskiego”. Na żywo leci przemowa:

– Apeluję do naszych przeciwników: możemy zacząć wspólnie podążać drogą pozytywnych zmian w duchu miłości do ojczyzny, solidarności społecznej, szacunku dla Kościoła, troski o gospodarkę narodową, o godność i o przyszłość. Możemy przekreślić plany tych, którzy liczyli na wzniesienie bratobójczej walki, na rozłam narodowy, wywołanie kryzysu. Możecie się odciąć od elementów totalnie antypolskich, które ujawniły przestępcze oblicze. Możecie zacząć służyć, zamiast nadal szkodzić.

Brawa z ław koalicji, pojedyncze oklaski opozycjonistów.

– Powiem Wysokiej Izbie, co sędzę o dzisiejszych, a właściwie wczorajszych wypadkach. Otóż ktokolwiek i jakkolwiek zaplanował zbrodnię, obiektywnie skorzystaliby na niej – a zatem są jej winni – nasi krytycy w kraju i nasi nieprzyjaciele w Europie. Beneficjenci chaosu, ci, dla których im gorzej, tym lepiej, którzy marzą o rozmontowaniu porządku społecznego, gospodarczego, religijnego i rodzinnego. Każdego. Współcześni podpalacze państw! Wszystkim tym siłom mówię dzisiaj stanowczo, że tak po prostu nie będzie! Nie zejdziemy z drogi budowy silnej, narodowej, chrześcijańskiej Polski!

Oklaski.

– Nie uda się wam zdestabilizować kraju!

Jeszcze więcej braw.

– Zarazem jednak, jak już napomknąłem, ponawiam stanowcze zaproszenie skierowane do tych wszystkich osób, formacji, polityków, samorządowców, ludzi kultury i mediów, którzy poczuli przerażenie wybuchem terroru, jaki nam przyszło przeżyć. Bo jedynym ośrodkiem, wokół którego mogą i winny się skupić wszystkie zdrowe siły, jest

Zwycięska Prawica. Innej opcji nie ma! Inną opcją jest polityczny terror, uliczny bandytyzm i totalny chaos!

W ławach koalicyjnych owacja, marszałek Sejmu wita prezydenta, który pojawił się w loży razem z całym dworem. Głowa państwa pokazuje zebrany uniesione kciuki, siada. Zamierza wygłosić orędzie, kiedy Prezes skończy. Sala posiedzeń plenarnych jest duszna, a jeszcze przybywają kolejni notable. Marszałek Senatu, rzecznik praw obywatelskich, szefowie czterech kancelarii, dojechał również w końcu Największy Redemptorysta. Naczelnik kontynuuje:

– Były już w naszej historii momenty, kiedy w obliczu zagrożenia następowało potrzebne zjednoczenie skłóconych wcześniej stronnictw. Tak było, gdy Turek stanął u bram i regaliści pogodzili się z malkontentami, tak było w roku dziewiętnastym, kiedy delegaci Marszałka przemówili jednym głosem z Komitetem Polskim. Tak może być i teraz. Możemy się otrząsnąć z niepotrzebnych waśni i gorszących swarów. Proponuję wam wszystkim zgodę narodową, proponuję Polakom i Polkom, mieszkańcom aglomeracji i wiosek, a przede wszystkim wam, zebrany tutaj... zgodę i jeszcze raz zgodę!

Ktoś z opozycyjnych krzyczy: „Na twoich warunkach!”, to jednak głos odosobniony, od razu zaklaskany, właściwie niebyły. Sala zdaje się zahipnotyzowana słowami Prezesa. A on jest w uniesieniu:

– Historia powiedziała nam „sprawdzam” i Zwycięska Prawica ten egzamin zdała. Nasza słuszność została dowiedziona w chwili zagrożenia. Życie potwierdziło, że nasze ustawy wzmacniające bezpieczeństwo, tak nigdy krytykowane, lecz już nie wracajmy... że były konieczne...

Posłowie i notable słuchają, ale już nie wszyscy. Coś odciąga uwagę. Niektórzy z zebranych pokazują sobie ekrany smartfonów. Wolna Europa i „Wyborcza” puszczają gorący podcast, na Facebooku tysiące udostępnień,

dziesiątki tysięcy... Nieznany szerzej dziennikarz, jakiś William Łapserdak, relacjonuje spotkanie z Prezesem i głównym porywaczem, tym Sztormem, który nie żyje. To się wszystko stało dwie godziny temu. Wiele portali zrzuca mowę Naczelnika i wstawia Łylego.

W obecności prokuratorzki zostałem odarty z ubrania, okradziony z samochodu i przegnany w samych majtkach na śnieg, w środku lasu, z dala od ludzkich siedzib, przy temperaturze minus pięciu stopni, po zmroku. Pomocy udzieliły mi jednak osoby zaangażowane w pościg. Jak ustaliłem, za porwaniem Prezesa stoją pułkownik ABW Marian Murzyński – ten, który zasłynął pokazaniem zadziwionej twarzy połowie Polaków – i jego znajomy, poseł Czesław Cyganiak z Konfederacji Ojczyznej, szef sztabu wyborczego Zwycięskiej Prawicy. Nie jest prawdą, że Agencja jedynie monitorowała sprawców, chcąc udaremnić przestępstwo. Ona inspirowała i umożliwiła porwanie, dostarczyła policyjny radiowóz, kajdanki i stroje. Bez udziału Agencji nic by się nie stało. To jednak dopiero połowa historii. Bardziej niebezpieczne dla życia Prezesa okazało się Centralne Biuro Śledcze, a konkretnie funkcjonariusz o nazwisku Zupak, wedle moich informacji, człowiek od brudnej roboty na usługach ministra spraw wewnętrznych Konrada Kornego. To on szantażem skłonił chorążą ABW do próby zastrzelenia prezesa Kaczyńskiego. A kiedy główny porywacz, Szymon Sztorm, zamknął się w leśnej chacie z Prezesem i obiema funkcjonariuszkami Agencji, prawdopodobnie ten sam Zupak strzelił do nich i ranił agentkę, omal jej nie zabijając. W tym krytycznym momencie, dosłownie na chwilę przed zastrzeleniem głównego porywacza, Jarosław Kaczyński usiłował go ratować, ostrzegał, by ten nie wychodził z bronią przed szpaler policji. Nieprawdopodobne? Posłuchajcie ostatniej rozmowy Prezesa z porywaczem i jego współpracownicą.

Naczelnik dalej przemawia, ale zgromadzeni już słabo słuchają. Wspaniała atmosfera, która się rodziła, ten kiełkujący duch porozumienia, klimat epickiej jedności... wszystko ulatuje. Posłowie i decydenci – jak ostatnie szczyły – pokazują jeden drugiemu ekrany smartfonów, klikają, niektórzy wkładają do uszu słuchawki. Jest już drugi podcast. Wolna dała tytuł: „Kaczyński: wyhodowałem hydrę. Kto inspirował próbę zabójstwa prezesa?”; „Wyborcza”: „Kaczyński śmiertelnie szczerze o Kornym, Filucie i rządzie: przewrotni, arogancy, kłamliwi. To cepy i młoty”.

Latem przyszedł do mnie generał Tamir Tajner... Przyniósł coś jakby teczkę ministra Kornego... Oburzony Korny zdzielił Tajnera w gębę. Przy mnie i przy marszałku... Poparcie zaczęło spadać od połowy lipca... Daliśmy ludziom wszystko, co można było dać... I się przyzwyczaili. A pieniędzy na więcej nie mamy.

Pierwszy Obywatel na mównicy milknie. Ale w telefonach, radiodbiornikach, na setkach tysięcy ekranów – nie przestaje mówić.

Cyganiak rozważał, tak to w tej chwili widzę, dwie główne możliwości. Pierwsza: że po takim bezprzykładnym akcie terroryzmu wybory da się odwołać, co nikogo nie zdziwi. Nawet i w Europie...

A druga możliwość?

Że zły trend da się odwrócić, kiedy wszyscy zobaczą waszą kompromitację. Tutaj nie zawiedliście, a potem, jak teraz myślę, miał wkroczyć Tamir Tajner... Korny musiałyby odejść. Wiadomo, jakie ustawa nałożyła na policję nowe obowiązki. I wtedy na stół by wróciła, nazwijmy ją, ruska teczka. Nikt by nie podał ministrowi ręki na ratunek. Nikt z całej Jednej Polski. Wybory byśmy wygrali...

Z ław rządowych wychodzą – niczym lunatycy – Grzegorz Gładki i Kołtun. Obaj z telefonami, wpatrzeni w ekrany, chyba nawet nie wiedzą, po co i dokąd idą. Suną wzdłuż ściany za mówcą, jak duchy przegranych,

które nigdy nie wstąpią na Pola Elizejskie. W sali zrobiło się cicho. Wszyscy słuchają nagrania. Nawet Ojciec Dyrektor i nuncjusz. Prezydent też. A prócz niego: minister obrony narodowej, marszałek Senatu oraz Czesław Cyganiak, którego ambulans wiezie na oddział zamknięty żyrardowskiego Centrum Zdrowia Mazowsze, ponieważ zakład w Tworkach nie był w stanie go przyjąć.

...Tajner. To złodziej, nie morderca. Właściwie jak masz na imię?

Podcastu Łapserdaka słucha też Marian Murzyński z motelu w Zambrowie, gdzie się zatrzymał, żeby nareszcie popić. Siadł przy barze z ukraińskimi kurwami i grupą przedstawicieli handlowych, z których jeden zaczął odtwarzać na służbowym laptopie przekaz RWE. Gdy pułkownik usłyszał swe nazwisko („ten, który zasłynął pokazaniem zadziwionej twarzy połowie Polaków”), poczuł, że właśnie przełykana wódka nagle zmienia smak. Staje się słona jak szczochoy. Więc zaczyna pić szybciej, ale im więcej wlewa tej berbeluchy w rurę – tym bardziej trzeźwieje. Przynajmniej tak mu się zdaje. Już wcześniej próbował dzwonić do Tamira, lecz ten miał wyłączone. I nadal nie odbiera. Dzwoni za to dyżurna z centrali abwery. Murzyński otwiera telefon, wyjmuje baterię i kartę. Kładzie tę drugą na języku, zapija gorzałą. Uśmiecha się nieszczercze do dziwki z krostą nad wargą. Chciałby jeszcze poruchać, zanim po niego przyjadą.

42. Bardzo krótki ostatni rozdział, w którym Jarosław Kaczyński czuje się podwójnie zdradzony

Ktoś w ławach opozycji puszcza głośno transmisję, potem robi to następna osoba i jeszcze kolejna. Naśladują ich dziennikarze i senatorowie – nie tylko z opozycji. Głosy Prezesa, porywacza i jego współpracownicy rozchodzą się po Sejmie – w sali posiedzeń, na galeriach, w głównym *foyer* i bocznych korytarzach. Słuchają policjanci na posterunkach, kierowcy na autostradach, lekarze na dyżurach i Sabina Sztorm, dyrektorka w resorcie infrastruktury, prawa ręka lunatykującego Gładkiego, o którym mawiała w gronie psiapsiółek „mój Grzesiek”. Teraz jednak nie myśli o nim, ale o swoim byłym, o Szymku. Właśnie okazał się dla niej – pośmiertnie – jeźdźcem apokalipsy. A miała wcześniej wrócić do nazwiska Sobek...

Nie celowałam do pana, celowałam obok. Kazali mi to zrobić. Zaszantażowali.

Kto panią szantażował?

Wykonywałam rozkazy. To miało pomóc partii...

Kto panią szantażował?

Szatyn, pięćdziesiąt lat, ponad sto dziewięćdziesiąt wzrostu, brzydkie plamy na szyi, problemy żołądkowe.

Nazywa się Zupak. Podobno jest cynglem ministra Kornego.

Sam widzisz, synu, z kim muszę pracować... Widły, cepy i młoty... czyli jednak to Korny. Przejrzał, co tamci knują, i docisnął sprężynę na konto generała.

Wykorzystał okazję...

Wargi stojącego na mównicy Sejmu Naczelnika Państwa zaczynają drżeć. Ten dygot szybko obejmuje zuchwę i policzki. Trudno orzec, czy coś mówi do siebie, czy może tylko obraca w ustach nagle luźne zęby. Próbuje gwałtownie nabrać powietrza jak ktoś, kto się zaciąga końcówką ostatniego blanta. I mruga. Bardzo szybko mruga. Kilkanaście razy.

Wam to trudno zrozumieć, ale jestem osobą... ostatnim gwarantem porządku...

Nie tylko Tajner i Korny są w kleszczach własnych kłamstw...

Cała moja partia, nasza koalicja...

Naczelnik zerka na Packę i wierna bojowniczką po raz pierwszy w karierze znajduje strach w jego oczach. Dostrzega ból i gorycz człowieka zdradzonego. Nie może na to patrzeć, odwraca twarz w drugą stronę. Widzi Konrada Kornego, który robi obiema rękami jakieś niezborne i kanciaste ruchy niczym zepsuty android. Gdyby ktoś zechciał go teraz zastrzelić – zrobiłby mu przysługę. Już go otacza grupa funkcjonariuszy SOP-u. Nie po to, żeby chronić.

Ludzie się w tej walce zużywają. I demoralizują. Ale że ta kanalia opasła, że ten jurgieltnik będzie mnie gotów zabić cudzymi rękami... tego się nie spodziewałem. A pewnie powinienem. Ciekawe, ile wziął rubli. ... wyhodowałem hydrę. Najśłabszym ogniwem zawsze okazuje się człowiek. Pieniądzy najbardziej łakną ci, co już je mają.

Ostatnie cztery słowa giną w rosnącym terkocie, chyba z helikoptera. Podcast skończony. Ale po Wolnej Europie transmisję zaczyna

„Wyborcza”. I teraz niektórzy puszczaają to drugie nagranie, a inni wznawiają pierwsze, ponieważ nie mogą uwierzyć, że Prezes rzeczywiście wypowiedział wszystkie te niebywałe zdania. W efekcie powstaje wielogłos, jakby jakiś cholerny chór grecki deklamował frazy:

Poparcie zaczęło spadać od połowy lipca... daliśmy ludziom wszystko... Tajner i Korny są w kleszczach... jurgielnik będzie mnie gotów zabić cudzymi rękami...

Henryka Hycel weszła na mównicę, staje obok Prezesa, włączoną na głośno komórkę przytyka do mikrofonu. Teraz nagrany głos Kaczyńskiego niesie się z całą siłą.

Ciekawe, ile wziął rubli... wyhodowałem hydrę.

Ktoś krzyczy:

– To wasza Polska! To jest prawda o was, Bandyckiej Prawicy!!

To wszystko wydaje się wręcz nieprawdopodobne i można by sądzić, że jakiś zewnętrzny reżyser przeprowadza test. Ekstrawaganckie badanie z dziedziny psychologii grupy, coś jak nowy eksperyment więzienny Zimbarda. Ale wystarczy spojrzeć na Prezesa, aby zyskać pewność, że nagranie jest autentyczne. To się musiało stać w lesie, pod koniec pościgu, raptem przed dwiema godzinami. Ta cała wymiana zdań. Nagła erupcja szczerości w obliczu rychłej śmierci. Potem porywacza zabili, współników zamknęli, Prezesa przewieźli do Warszawy, dostarczyli, jak paczkę, tutaj – na mównicę. On jest tylko człowiekiem i już dawno skończył siedemdziesiąt lat, a siwy zarost w kępkach jeszcze dodaje wieku. Ma złamaną rękę, niedopasowane ubranie, nie jadł od kilkunastu godzin, nie wziął lekarstw lub wziął niewłaściwe, drży jakby ze strachu.

„Widły, cepy i młoty”, „przewrotni, aroganccy, kłamliwi”, „są w kleszczach”, „hydrę”, „hydrę”.

Słowa Prezesa, jak majowe szerszenie, brzęczą nad pulpitemi do głosowania, nad spoconymi czołami zebranych, nad przepełnioną galerią, nad leżącymi po sali śmieciami: długopisami, częściami garderoby, zmiętymi kulami papieru... Kąsają nie tych, których miały. I oto nagle wszyscy obecni dostrzegają jedno. Jak tłum zgromadzony pod szubienicą, na której stanął Jan Baptysta Grenouille, nabrał równoczesnej pewności, że wytwórca perfum jest trzykroć niewinny, tak oni – nuncjusz apostolski i Ojciec Dyrektor, prymas i prezydent, jeden z drugim marszałek, premierka i ministrowie, posłowie koalicji, opozycji, mniejszości i niezrzeszeni, dziennikarze, funkcjonariusze, obsługa parlamentu, a nawet otoczony minister Konrad Korny – wszyscy nagle widzą, że Prezes jest mały.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

CZĘŚĆ I. DOCHODZENIE

1. Rozdział, w którym kończy się dzień i od razu poznajemy porywacza
2. Rozdział, który dzieje się wcześniej i w którym sierżant Służący dzwoni pod zły numer
3. Średniej długości rozdział, podczas którego pogoń za porywaczem jest całkiem blisko
4. Rozdział, w którym trwa jeszcze ciepły dzień, a prosta operacja zaczyna się komplikować
5. Rozdział, w którym zatrzymany na gorącym uczynku odmawia zeznań
6. Bardzo krótki rozdział, w którym szef abwery i poseł Konfederacji Ojczyściej konspirują w ogródku
7. Rozdział, podczas którego zatrzymana terrorystka przyznaje się, kim jest
8. Rozdział, w którym decydenci obserwują jeden drugiego i podejrzewają
9. Rozdział, w którym przesłuchiwany Wojciech Wolant zaczyna zeznawać
10. Rozdział, w którym członkowie sztabu kryzysowego poznają Szymona Sztorma
11. Rozdział, w którym przesłuchiwany Wojciech Wolant wspomina, jak muchy wpadały w sieć
12. Rozdział, który wyjaśnia, jak się zawiązała Akcja Demokracja

13. Rozdział, podczas którego sztab kryzysowy ogląda transmisję z komórki porywaczy.

14. Rozdział, w którym już wiadomo, że akcja nie idzie zgodnie z planem

15. Rozdział, w którym Prezes i jego porywacz dyskutują o Polsce i sukcesach rządu

16. Rozdział, w którym przesłuchiwany wspomina, jak narodził się plan uprowadzenia Prezesa

17. Rozdział, w którym prokurator Chwast tropi sprawców, a dziennikarz Łapserdak traci część ubrania

CZĘŚĆ II. ORZECZENIE

18. Rozdział, w którym wicepremier zdradza, kogo podejrzewa

19. Rozdział, w którym dowiadujemy się sporo na temat przeszłości Wolanta i Sztorma

20. Rozdział, podczas którego prokurator Łajdus wpada na trop spisku

21. Rozdział, w którym przesłuchiwany płacze i opowiada, jak się zaczęło ostatnie popołudnie

22. Rozdział, w którym dowiadujemy się, po co podinspektor Zupak pojechał na Mazury i na Podlasie

23. Rozdział, z którego dowiadujemy się, jak Prezes wsiadł dobrowolnie do auta porywaczy.

24. Rozdział, podczas którego dziennikarz ma wrażenie, że ktoś lub coś się za nim skrada

25. Dłuższy rozdział, w którym Prezes daje odpór zarzutom, a pościg dojeżdża na miejsce

26. Rozdział, w którym Szmer zmienia plan, a Walet traci kontakt z rzeczywistością

27. Rozdział, w którym bohaterowie ustalają, kto poniesie winę za dzisiejszą katastrofę

28. Rozdział, w którym Sztorm po raz drugi dzisiaj ratuje porwanego

29. Rozdział, w którym grupa pościgowa odnajduje ciało na gruzowisku

30. Rozdział, w którym kawaleria przybywa o zmroku powietrzem i lądem – tyle że za późno

31. Rozdział, w którym śnieżycą ustaje, ABW spotyka się z dziennikarzem, a popyt z podażą

32. Dłuższy rozdział, w którym wracamy do początków przesłuchania Wojciecha Wolanta, a nawet cofamy się głębiej

CZĘŚĆ III. WYKONANIE

33. Rozdział, w którym mnożą się podejrzenia i teorie spisku

34. Rozdział, w którym Naczelnik państwa i jego porywacz są ze sobą szczerzy

35. Rozdział, w którym posłowie Jednej Polski żądają odejścia ministrów Konfederacji Ojczystej

36. Długi rozdział, w którym pięć osób zostaje otoczonych przez kilkadziesiąt innych, a puzzle zaczynają wskakiwać na miejsca

37. Rozdział, w którym posłowie najpierw szaleją, a potem się uspokajają

38. Rozdział, w którym Szymon Sztorm bezskutecznie próbuje zabić swoją śmierć

39. Rozdział, w którym redaktor Łapserdak próbuje się zapisać w historii dziennikarstwa

40. Rozdział, podczas którego Prezes zaczyna obracać kłopoty w sukces Zwycięskiej Prawicy

41. Rozdział przedostatni, w którym prawdziwie narodowa atmosfera tworzy się i rozwiewa

42. Bardzo krótki ostatni rozdział, w którym Jarosław Kaczyński czuje się podwójnie zdradzony.

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Anna Slotorsz/Artnovo

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Rysunki na stronach tytułowych części
Anna Slotorsz

Adiustacja
Witold Kowalczyk

Korekta
Aneta Iwan
Joanna Kłós

Copyright © by Piotr Głuchowski
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2020

ISBN 978-83-240-7953-7

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek